

Danielle Steel

Okup

Czułość jest potężniejsza od uporu, Woda mocniejsza od skały,
Miłość silniejsza od przemocy

Peter Matthew Morgan stał przy ladzie zbierając swoje rzeczy — portfel z czterema setkami dolarów wypłaconych z rachunku oszczędnościowego oraz dokumenty zwolnienia warunkowego, które miał przedłożyć kuratorowi. Miał na sobie strój otrzymany od władz stanu — dżinsy, białą trykotową koszulkę, a na niej bluzę z niebieskiego drelichu; tenisówki i białe sportowe skarpetki. Nie był to ubiór, w jakim zwykł się pokazywać przed aresztowaniem.

Odsiedział cztery lata i trzy miesiące — minimalną wymaganą część wyroku, nader surowego jak za pierwsze przestępstwo. Został jednak złapany z olbrzymią ilością kokainy, oskarżony z urzędu, skazany przez ławę przysięgłych i osadzony za murami więzienia stanowego Pelican Bay

Z początku Peter rozprawdzał prochy tylko wśród znajomych. Zarabiał w ten sposób na własny nałóg, a później także na utrzymanie swoje i (przez jakiś czas) rodziny. W ciągu sześciu miesięcy zarobił prawie milion dolarów, ale i to nie wypełniło wyrwy, jaką stworzył swoją finansową zonglerką. Narkotyki, chybione inwestycje, akcje wysokiego ryzyka, sprzedaż poniżej kosztów... Przez pewien okres był maklerem giełdowym — dopóki nie naraził się izbie kontroli; oczywiście nie aż tak, by postawiono go w stan oskarżenia (w takim wypadku już wcześniej aresztowaliby go federalni). Żył rozrzutnie, znacznie ponad stan, imał się ryzykownych przedsięwzięć, a do tego kumał się z niewłaściwymi ludźmi. W efekcie zaczął brać narkotyki. Cpał coraz więcej, w końcu nie mógł już spłacić dealera i musiał zacząć dla niego pracować. Miał też na sumieniu pomniejsze sprawy

— czeki bez pokrycia i defraudacje. Na szczęście jego pracodawca zrezygnował z roszczeń, kiedy Peter znalazł się w więzieniu za kokainę. Co by to dało? I tak nie miał pieniędzy, by pokryć sprzeniewierzone sumy, stanowiące zresztą ledwie drobny ułamek w masie jego długów. Od dawna był całkowicie niewypłacalny. Zresztą prezesowi było go po prostu żal. Peter umiał budzić sympatię.

Był ucieleśnieniem milego chłopca, który zszedł na złą drogę. Zbłądził raz, drugi, trzeci..., aż weszło mu to w nawyk. Stracił każdą szansę, a miał ich w życiu wiele. Jeszcze bardziej niż jemu znajomi i współpracownicy współczuli jego żonie i dzieciom

— ofiarom wariackich pomysłów i błędnych decyzji Petera. Ale każdy gotów byłby ręczyć, że w głębi duszy Morgan jest dobrym człowiekiem. Zdumiewali się, co się stało. W istocie już od dawna działa się źle.

Morgan senior, który zmarł, kiedy Peter miał trzy lata, był potomkiem znanej rodziny ze ścisłej elity towarzyskiej Nowego Jorku. Rodzinna fortuna kurczyła się jednak z biegiem lat, a nim Peter dorósł, jego matce udało się roztrwonić resztki. Nie czekając

długo, wyszła ponownie za mąż za kolejnego młodego bogacza z wyższych sfer, spadkobiercę długiej linii bankierów. Człowiek ten przyjął Petera i dwójkę jego rodzeństwa z otwartymi rękami, ojcował im, posyłał do najlepszych szkół wraz z dwoma przyrodnimi braćmi, którzy przyszedli na świat nieco później. Rodzina wydawała się szczęśliwa, a z pewnością zamożna, lecz matka piła coraz więcej i w końcu zamknęła ją w zakładzie. W tym momencie Peter formalnie został sierotą. Ojczym nigdy prawnie ich nie adoptował, a rok po śmierci żony zawarł ponowny związek. Jego druga żona nie widziała powodu, aby miał być obciążony — finansowo czy jakkolwiek — trójką dzieci, z którą nie łączyły go żadne więzy krwi. Już dwóch młodszych chłopców stanowiło dla niej problem (wymogła w końcu, by posłano ich do szkoły z internatem) — cóż dopiero dzieci „wniesione w posagu” przez poprzedniczkę! Ojczym zadeklarował więc, że sfkansuje szkołę, a później college, przyznał im też niewielkie kieszonkowe, ale (jak wyjaśnił z pewnym zmieszaniem) nie mógł dłużej zapewnić im domu pod swoim dachem ani godziwego utrzymania. Odtąd Peter spędzał wakacje w szkole albo w domach kolegów, których łaski udało mu się zdobyć. Z biegiem czasu doszedł w tym do perfekcji. Nauczył się żyć ze swej inteligencji. Była wszystkim, co miał, i służyła mu dobrze. Jedynych przejawów uczucia, ciepłych gestów, jakich doświadczył w owych latach, zaznał od obcych ludzi. Jego wizytom towarzyszyły często drobne incydenty. Ginęły pieniądze, rakietki tenisowe znikwały w tajemniczy sposób i już się nie odnajdywały. Pożyczane ubrania nie wracały do właścicieli. Raz zdematerializował się złoty zegarek, w efekcie czego wyrzucono z pracy pokojówkę. Jak się później okazało, szesnastoletni wówczas Peter był jej kochankiem i to on namówił ją do kradzieży. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży zegarka wystarczyły mu na pół roku. Jego życie było ciągłą walką o byt. Potrzeby miał duże; aby je zaspokoić, był miły, układny i zawsze niewinny, kiedy wybuchał skandal. Nie sposób było uwierzyć, że ten grzeczny chłopiec mógłby mieć na sumieniu jakiegokolwiek grzeszki.

W pewnym okresie szkolny psycholog zwracał uwagę na socjopatyczne skłonności Petera, ale dyrektor nie chciał mu dać wiary. Doświadczony psycholog dostrzegł, że pod maską pozorów Peter ma mniej skrupułów, fliz powinien. A pozory świadczyły na jego korzyść. Nikt nie wiedział, kim w rzeczywistości jest ukrywający się pod tą maską człowiek. Był zaś czarującym, inteligentnym, przystojnym chłopcem, który przede wszystkim umiał spadać na cztery łapy. To prawda, życia nie miał usłanego rozami. Na nikim nie mógł się oprzeć, a w głębi serca bolały go stare rany. Śmierć rodziców, postawa ojczyma, który się od niego odciął, jeśli nie liczyć głodowego zasiłku, rozstanie z rodzeństwem, wysłaniem do innej szkoły na wschodnim wybrzeżu, wszystko to odcisnęło na nim bolesne piętno. Później, już w college’u, młodą jeszcze duszę dosięgnął kolejny cios: osiemnastoletnia siostra Petera utonęła. Peter rzadko mówił o swojej przeszłości, o smutkach, które ciążyły mu na sercu. Wszystkim wydawał się dobrym, zrównoważonym chłopcem o optymistycznym usposobieniu. Mógł oczarować każdego i przeważnie to robił. Jego bliźni tkwiły głębiej, dobrze ukryte.

Kobiety wpadały mu w ręce jak dojrzałe owoce, a mężczyźni uważali go za dobrego kumpla. W czasach studenckich sporo pił, wspominali później koledzy, ale nigdy nie wydawał się pijany. Istotnie, Peter nigdy nie tracił kontroli nad sobą. W każdym razie nie tak, by ktokolwiek to spostrzegł. Potrafił się maskować.

Miał spore ambicje i dalekosiężne plany. Ojczym dotrzymał obietnicy i posłał go do Duke College, a tam Peter zdobył pełne stypendium, które pozwoliło mu podjąć studia na Harvardzie. Ukończył je z tytułem magistra ekonomii. Miał wszystkie potrzebne narzędzia, by wykuć sobie dobrą przyszłość — wykształcenie, lotny umysł, świetną aparycję i cenne znajomości nawiązane w elitarnych szkołach. Nie ulegało wątpliwości, że Peter Morgan odniesie w życiu sukces. Był finansowym geniuszem, tak się przynajmniej wydawało, i miał głowę pełną znakomitych pomysłów. Po ukończeniu studiów dostał pracę na Wall Street, w firmie maklerskiej, lecz dwa lata później skończyła się jego dobra passa. Łamiąc obowiązujące go zasady naruszył rachunek klienta, „pożyczając” sobie część pieniędzy. Miał z tego powodu poważne problemy, lecz jak zwykle mu się upiekło. Zatrudnił się w banku inwestycyjnym i przez krótki okres uważany był za cudowne dziecko Wall Street. Miał wszystko, co potrzebne do szczęścia, oprócz rodziny i sumienia. Zawsze wolał iść na skróty, osiągnąć cel szybciej, niż to było możliwe. Z dzieciństwa wyniósł jedną smutną naukę: czasem wystarczy chwila, by całe twoje życie rozpadło się w gruzy. Człowiek sam musi troszczyć się o siebie, bo los rzadko mu sprzyja. Szczęśliwy traf to fikcja — chyba że sam go sobie zapewnisz.

Przed trzydziestką ożenił się z Janet, prześliczną debiutantką., która „szczęśliwym trafem” była również córką prezesa jego firmy. W ciągu dwóch lat doczekali się dwóch rozkosznych córeczek. Peter kochał żonę i szalał za dziećmi. Wyglądało na to, że wreszcie ścięła się przed nim równa, prosta droga. Tymczasem bez żadnej widocznej przyczyny sprawy znów zaczęły przybierać zły obrót. Peter wpadał w obsesję, zaczął mówić już tylko o robieniu pieniędzy. Być może zbyt wiele przyszło mu zbyt łatwo? Żył rozrzutnie jak krezus, grał za wysoko, wciąż pożywał pieniędzy, coraz więcej pieniędzy, i krok po kroku jego życie wymknęło się spod kontroli. W końcu znów dał o sobie znać stary nawyk chodzenia na skróty i brania sobie tego, co chciał mieć. Imał się ryzykownych, niezbyt czystych transakcji — nie takich, by groziło mu zwolnienie z pracy, ale też nie takich, jakie prezes skłonny byłby tolerować. Peter pędził na oślep ku przepaści. Teść odbył z nim kilka poważnych rozmów i myślał, że przemówił mu do rozsądku. Spacerując wraz z zięciem po swej rozległej posiadłości w Connecticut, tłumaczył, że nie istnieją takie rzeczy jak darmowy posiłek czy łatwy sukces. Ostrzegał, że transakcje, w jakie Peter się wdaje, i sposób ich finansowania kiedyś się na nim zemszczą. Najpewniej już wkrótce Wytoczył szereg argumentów podkreślających wagę dobrego imienia i zakończył wykład święcie przekonany, że Peter zastosuje się do jego wskazówek. Bądź co bądź bardzo lubił tego chłopca. W rzeczywistości udało mu się tylko doprowadzić do tego, że Peter poczuł się zbity z tropu i poddany presji.

Po trzydziestce zaczął brać narkotyki — z początku dla zabawy. Ostatecznie nie ma w tym nic złego, twierdził, wszyscy to robią, a świat na haju jest o wiele barwniejszy. W ciągu dwóch lat do reszty stracił kontrolę nad nałogiem (choc sam temu zaprzeczał) i zaczął trwonąć pieniądze żony, dopóki teści nie

położył na nich twardej ręki. Rok później został wyrzucony z pracy, a Janet wróciła do rodziców, roztrzęsiona i znerwicowana. Prawda, Peter nigdy nie użył wobec niej przemocy, ale bez przerwy był pod wpływem kokainy, a jego życie całkowicie wyśliznęło mu się z rąk. W tym samym czasie teść odkrył kwoty dyskretnie

„wyprowadzone” przez Petera z kont firmy. Zważywszy na stopień spowinowacenia i grożący mu — a przede wszystkim Janet — skandal, teść pokrył dług. W zamian Peter zgodził się na przyznanie Janet wyłącznych praw do opieki nad dziećmi, dwuletnią Isabelle i rok starszą Heather. Prawo do ich widywania stracił niewiele później, kiedy zabrał dziewczynki na wycieczkę jachtem. Prócz nich zabrał również trzy podchmielone kobiety i potworną ilość kokainy. Przerażona niania zaalarmowała Janet z telefonu komórkowego. Dopiero pod groźbą, że będzie ich ścigać straż przybrzeżna, Peter zawrócił do brzegu, wysadził córki wraz z nianią na ląd i to był ostatni raz, kiedy się z nimi widział. Wówczas zresztą miał już poważniejsze problemy. Zapożyczył się na potężne sumy. Większość poszła na narkotyki, resztę zainwestował w rynek dóbr konsumpcyjnych

— i stracił. Kiedy wyszło to na jaw, żadne referencje ani dyplomy nie były już w stanie zdobyć mu jakiegokolwiek posady. Podobnie jak jego matka przed śmiercią, staczał się po równi pochyłej

— bez grosza, w szponach kosztownego nałogu.

Dwa lata po rozstaniu z Janet przeniósł się do San Francisco. Usilnie starał się o pracę w znanej firmie inwestycyjnej, ale na próżno. Z braku innych dochodów zajął się więc handlem kokainą. Zarobił na tym procederze fortunę, co jednak wciąż stanowiło zaledwie ułamek bająskich sum, które był winien różnym ludziom — w tym bardzo nerwowym i bardzo groźnym ludziom. Nikogo nie zdołał spłacić. Zawsze brakowało mu forsy. Zmarnował wszelkie szanse na to, by zrobić karierę. Zmarnował sobie życie, które teraz wisiało na włosku. Mając trzydzieści pięć lat i zajadłych wierzycieli na karku, został zatrzymany z wielką ilością koki przeznaczonej na sprzedaż. Światkiem dealerów rządziły niepisane reguły. W większości przypadków, kiedy dłużnik szedł siedzieć, długi umarzono (choć rzadko zapominano o nich całkowicie). W przypadkach poważniejszych dłużnik nie opuszczał już więzienia żywy. Peter liczył na łut szczęścia i rzeczywiście — znów mu się upiekło.

Kiedy go aresztowano, od dwóch lat nie miał kontaktu z córkami i nie zanosilo się, że je wkrótce zobaczy. Przesiedział proces z kamienną twarzą, a składając zeznania robił to zrećnie i ze skrucą. Obrońca starał się uzyskać dla niego wyrok

w zawieszeniu, ale sędzia był na to zbyt inteligentny. Widywał już ludzi pokroju Morgana, choć z pewnością niezbyt wielu, a żadnego, kto miałby aż takie możliwości. Przejrzał go na wskroś i zaniepokoiło go to, co zobaczył. Słowa Petera i jego działania nijak do siebie nie pasowały. Sędzia nie dał się wziąć na lep potocznych deklaracji skruchy i chęci poprawy. Brzmiały gładko, lecz nie do końca szczerze. Twarz Petera Morgana budziła sympatię, ale jego działania — odrazę. Kiedy więc ława przysięgłych uznała go za winnego, sędzia skazał go na siedem lat pozbawienia wolności i wysłał do położonego siedemdziesiąt mil na zachód od San Francisco, a jednaście od granicy Oregonu zakładu karnego Pelican Bay w Crescent City, więzienia o zaostrowym rygorze, gdzie karę odbywało 3300 najgorszych kryminalistów w systemie więziennym stanu Kalifornia. Wyrok zdawał się nadmiernie surowy. Nie było to właściwe miejsce dla zbłąkanego yuppie.

Peter został warunkowo zwolniony po upływie czterech lat i trzech miesięcy. W tym czasie odzwyczaił się od narkotyków,

pilnował własnego nosa, prowadził kancelarię naczelnika więzienia i ani razu nie naruszył dyscypliny. Naczelnik widział w nim nawróconego grzesznika. Każdy, kto znał Morgana, wierzył w jego skruchę. Dostał nauczkę i nie miał zamiaru wracać na złą drogę. Komisji do spraw zwolnień warunkowych oświadczył, że jego nadrzędnym celem jest pojednanie z dziećmi i stanie się dla nich ojcem, z którego pewnego dnia będą dumne. Mówił z przekonaniem z chybą sam wierzył w to, że ostatnie szesc lub siedem lat jego życia było tylko nieszczęsnym, pechowym zakłóceniem na czystym poza tym ekranie. Zamierzał dopilnować, by ten ekran pozostał czysty. I wszyscy mu wierzyli. Zwolniono go przy pierwszej przewidzianej prawem sposobności. Musiał pozostać przez rok w północnej Kalifornii pod nadzorem kuratora z San Francisco. Zdecydował się zatrzymać w schronisku dla byłych więźniów, dopóki się nie ustawi. W rozmowie z komisją zastrzegł się, że nie jest wybredny. Przyjmie każdą pracę, jaką zdoła dostać, nawet fizyczna, byle była uczciwa. Oczywiście nikt nie miał wątpliwości, że Peter Morgan bez trudu znajdzie pracę. Popełnił w życiu parę kolosalnych błędów, ale nawet po czterech latach w Pelican Bay pozostał kulturalnym, inteligentnym człowiekiem i na takiego wyglądał. Był ogólnie lubiany; ci, którzy mu dobrze życzyli (w ich liczbie także naczelnik więzienia), mieli nadzieję, że znajdzie sobie odpowiednie miejsce i zbuduje od nowa dobre życie. Miał po temu wszystkie dane. Potrzebował tylko szansy. I wszyscy ufali, że tę szansę otrzyma. Naczelnik osobiście przyszedł się pożegnać z zasłużonym pracownikiem.

— Daj czasem znać, co u ciebie słyhać — rzekł ściskając mu dłoń. Dwukrotnie zapraszał go do siebie na Boże Narodzenie i miał o nim jak najlepsze nmiemanie. Peter był znakomitym kompanem — bystry, serdeczny, zabawny, obdarzony poczuciem humoru, potrafił znaleźć wspólny język z każdym, starym czy młodym. Ileż serca okazywał czterem nastoletnim synom naczelnika! Najstarszemu doradził, by postarał się o stypendium, i dzięki niemu chłopiec w tym roku został przyjęty na studia na Harvardzie. Naczelnik czuł się więc w pewnym sensie dłużnikiem Petera. Peter zaś był wdzięczny za życzliwość, jaką mu okazano.

— Najbliższy rok spędzę w San Francisco — powiedział z uśmiechem. — Ale będę się starał o przepustkę na wschodnie wybrzeże. Bardzo bym chciał zobaczyć córki. Isabelle miała teraz osiem lat, Heather zaś dziewięć. W pamięci Petera wciąż były malutkimi dziećmi — nie widział ich od pięciu lat, a od czterech nawet na fotografii. Janet dawno zabroniła mu się z nimi kontaktować, a teściowie poparli jej stanowisko. Ojczym Petera nie żył, brat od wielu lat nie dawał znaku życia. Nie miał już nikogo. I nic prócz czterystu dolarów w portfelu, kuratora w San Francisco i pryczy w schronisku dla byłych więźniów w starej hiszpańskiej dzielnicy Mission, ongiś pięknej, dziś mocno podupadłej. Od czterech lat nie był u porządnego fryzjera. Wiedział, że pieniądze nie starczą mu na długo, skoro chce wykorzystać garść dawnych kontaktów w Dolinie Krzemowej. Poza nimi nie miał wielu perspektyw, jeśli wykluczyć znanych mu narkotykowych dealerów, od których szczerze zamierzał trzymać się z daleka. Pozostawało zmywanie naczyń w barze albo praca na stacji benzynowej. Tak pesymistyczny scenariusz uważał jednak za mało prawdopodobny. Ostatecznie był absolwentem Harvardu, a wcześniej Duke College. Jeśli nic innego nie wypali, odnajdzie paru szkolnych kolegów — może nie wszyscy wiedza., że siedział. Rzecz jasna nawet się nie łudził, że będzie mu łatwo. Miał trzydzieści dziewięć lat i

choćby wysilił całą swoją elokwencję, pod względem zawodowym minione cztery lata jego życia stanowiły podejrzaną białą plamę. Czekala go długa droga pod górkę. Ale był zdrowy, silny, uleczony z nałogu, inteligentny i wciąż bardzo przystojny. W końcu los musi się odmienić.

— Odezwiw się kiedyś — powtórzył naczelnik. Po raz pierwszy w życiu tak polubił skazańca. Ale też mężczyźni, z którymi miewał do czynienia, bardzo się różnili od Petera Morgana.

Pelican Bay zostało zbudowane jako więzienie o maksymalnym rygorze, które miało pomieścić najgorszy element przestępczy, wysyłany niegdyś do San Quentin.

Większość osadzano w pojedynczych celach. Zabezpieczenia stanowiły cud nowoczesnej techniki, co pozwalało trzymać tu najgroźniejszych ludzi w kraju.

Naczelnik spostrzegł od razu, że Peter jest postacią z innej bajki. Tylko olbrzymia ilość posiadanych przez niego narkotyków i równie wielka suma zaangażowanych w to pieniędzy sprawiły, że trafił do Pelican Bay. Gdyby zarzuty miały mniejszy ciężar gatunkowy, odsiedziałby wyrok w zakładzie o najlżejszym obostrzeniu. Nie stwarzał ryzyka ucieczki, nie dopuścił się czynów z użyciem przemocy i w czasie odbywania kary ani razu nie złamał dyscypliny. Był człowiekiem na wskroś cywilizowanym. Ci nieliczni więźniowie, z którymi nawiązał kontakt, naprawdę go szanowali. Peter zaś rozumnie trzymał się z dala od kłopotów. Zażyłość z naczelnikiem nadała mu status nietykalnego. Nie kumał się z gangami, awanturnikami ani dysydentami. Pilnował swego nosa. I po ponad czterech latach opuszczał Pelican Bay nie okaleczony psychicznie. Nie wychylał się, odsiedział swoje. Sporo czytał na tematy prawne i finansowe, spędził zaskakująco dużo czasu w bibliotece i niestrudzenie pracował w kancelarii.

Naczelnik sam napisał mu list polecający do komisji do spraw zwolnień warunkowych. Przedstawił go jako młodego człowieka, któremu powinęła się noga, lecz potrzebował tylko szansy, aby wrócić na dobrą drogę. Naczelnik był bowiem pewien, że Peter wróci do świata ludzi uczciwych. Już się nastawiał, że w przyszłości usłyszy o nim dużo dobrego. Peter miał dopiero trzydzieści dziewięć lat i jeszcze całe życie przed sobą, za sobą zaś doskonale wykształcenie. I można było mieć nadzieję, że błędy, które popełnił, czegoś go nauczyły. Nikt nawet w najśmielszych przypuszczeniach nie wątpił, że Peter pójdzie odtąd prostą drogą cnoty.

Peter i naczelnik wciąż ściskali sobie ręce na pożegnanie, gdy przed bramą więzienia zatrzymała się furgonetka miejscowej gazety. Wysiedli z niej reporter i uzbrojony w sprzęt fotograf. Podeszli do lady, z której Peter przed chwilą zabrał portfel. Obok podpisywał dokumenty zwolnienia inny więzień. Peter skinął mu głową. Znał go — wszyscy go znali. Spotykał go czasami na siłowni albo na korytarzu, często też widywał w kancelarii. Człowiek ten nazywał się Cariton Waters, miał czterdzieści jeden lat, a odsiedział dwadzieścia cztery za morderstwo. Przez cały ten okres bezskutecznie zabiegał o ulaskawienie i znany był wśród więźniów jako wyśmienity prawnik. Tymczasem zaś dorósł i osiągnął wiek średni za kratami.

Cariton Waters został skazany za zabójstwo sąsiada i jego żony oraz usiłowanie zabójstwa ich dwojga dzieci. Miał wtedy siedemnaście lat, a jego współnikiem w zbrodni był dwudziestosześcioletni recydywista, z którym się przyjaźnił. Włamali się do domu ofiar, skąd skradli dwieście dolarów. Wspólnikowi Watersa już dawno wymierzono karę śmierci, Waters natomiast zawsze utrzymywał, że nie przyłożył ręki

do morderstwa. Po prostu znalazł się tam przypadkiem, twierdził i nigdy na krok nie odstąpił od tej wersji. Poszedł do tamtego domu nie mając pojęcia, co zamierza jego kompan, a potem tragedia rozegrała się zbyt szybko. Dzieci były za male, aby potwierdzić jego zeznania lub je podważyć — tak mak, że nie było nawet ryzyka, by zidentyfikowały sprawców, zostały więc ciężko pobite, lecz ostatecznie pozostawione przy życiu. Obaj mężczyźni byli pijani, a Waters utrzymywał, że stracił przytomność i niczego nie pamięta.

Lawa przysięgłych nie uwierzyła w tę opowieść, toteż młodociany Waters stanął przed sądem dla dorosłych, został uznany za winnego i przegrał również apelację. Większą część swego dotychczasowego życia spędził w więzieniu, najpierw San Quentin, potem Pelican Bay. W tym czasie udało mu się skończyć college i był teraz w połowie studiów prawniczych. Z biegiem lat nawiązał rozległe stosunki z prasą napisał kilka artykułów o wymiarze sprawiedliwości i systemie penitencjarnym. Uparta walka o ułaskawienie zyskała mu swoistą sławę. Redagował więzienne pismo i znalazł chyba wszystkich osadzonych. Często przychodzili do niego po poradę; cieszył się dużym szacunkiem. Waters nie miał wytwornej urody Morgana, był mocno zbudowany, wyglądał jak kulturysta i był nim w istocie. Jeśli nie liczyć paru wyskoków we wczesnym okresie, kiedy był jeszcze młody i narwany, można go było uznać za wzorowego więźnia. Ten potężny, groźny mężczyzna papiery miał czyste, a opinię wypisaną srebrnymi, jeśli już nie złotymi zgłoskami. Oczywiście sam powiadomił prasę o swoim uwolnieniu i z zadowoleniem ujrzał dziennikarzy na miejscu.

Waters i Morgan nigdy nie byli ze sobą blisko, ale obaj darzyli się chłodnym szacunkiem. Rozmawiali parokrotnie o różnych prawniczych kwestiach, kiedy Waters czekał w kancelarii na spotkanie z naczelnikiem. Peter czytał kilka jego artykułów w więziennej gazecie, a także w lokalnym dzienniku, i mimo woli czuł dla niego podziw. Winny czy nie, ten człowiek miał lotny umysł i pracował ciężko, aby coś osiągnąć, mimo że praktycznie dorastał w więzieniu.

Okres nadzoru Waters miał spędzić w Modesto; w tym okręgu mieszkała jego rodzina. Kiedy Peter przeszedł przez bramę, niemal bez tchu z ulgi, obejrzał się raz przez ramię i zobaczył jak Waters ściska dłoń naczelnika, a fotoreporter robi im zdjęcie. — Dzięki ci, Boże — powiedział Peter przystając na chwilę. Zamknął oczy, potem otworzył je i zmrużył w słońcu. Czuł się tak, jakby miał przed sobą całe nowe życie. Potarł oczy ręką, żeby nikt nie zauważył spływających z nich łez, skinieniem głowy pożegnał strażnika przy bramie i ruszył pieszo w stronę przystanku autobusowego. Znał drogę i niczego bardziej nie pragnął, niż się na nim znaleźć. Zajęło mu to dziesięć minut. Pięć minut później machnięciem ręki zatrzymał autobus, wsiadł i odjechał.

Tymczasem Cariton Waters pozował do ostatniej fotografii przed bramą więzienia. Czy naprawdę był winny, czy też nie, jego historia nadawała się na ciekawy artykuł. W ciągu minionych dwudziestu czterech lat stał się osobistością, a ze swoich odwołań i deklaracji niewinności wyciągnął maksimum korzyści. Zapowiadał że napisze książkę. Dwoje zamordowanych ludzi i osierocone dzieci już dawno poszły w zapomnienie, utonęły w potokach jego zręcznych słów. W czasie gdy Waters kończył udzielać wywiadu, Peter Morgan dotarł na dworzec autobusowy, gdzie kupił bilet do San Francisco. Nareszcie był wolny.

Rozdział II

Ted Lee lubił pracować na wieczorną zmianę. Z czasem zaczęło mu to odpowiadać, zmieniło się w utarte, wygodne przyzwyczajenie. Toteż już od lat między godziną szesnastą a dwudziestą czwartą detektyw inspektor Lec z wydziału śledczego policji San Francisco zajmował się przypadkami kradzieży, rabunków i napaści, zwykłą kryminalną „drobnicą”. Gwałty podlegały wydziałowi przestępstw na tle seksualnym, zabójstwa

— wydziałowi zabójstw. Lec dwa lata służby spędził w wydziale zabójstw, ale nie cierpiał tej pracy, zanadto go przygnębiała. Koledzy, którzy poświęcali się jej z pasją i potrafili godzinami oglądać zdjęcia pomordowanych, zawsze wydawali mu się niezupełnie normalni. Uodpornienie na drastyczne sceny odarło ich z jakże potrzebnej wrażliwości, zubożyło. To, co robił Ted, trąciło rutyną, ale jemu wydawało się ciekawsze. Każdy dzień był inny. Fascynował go logiczny aspekt przypasowywania przestępców do poszkodowanych. Pracował w policji od osiemnastego roku życia — już dwadzieścia dziewięć lat. Z tego prawie dwie dekady zajmował się pracą śledczą i był w tym dobry. Na pewien czas oddelegowano go do komórki zajmującej się fałszerstwami kart kredytowych, ale nudził się tam jak mops. Nie, jego żywiołem była drobna przestępczość — pasowała mu tak samo jak wieczorna zmiana.

Ted urodził się i wychował w samym sercu Chinatown, chińskiej dzielnicy San Francisco. Jego rodzice pochodzili z Pekinu, przyjechali do Stanów wraz z obiema babkami. Żyli według tradycyjnych wzorców, ojciec pracował w restauracji, matka była szwaczką. Obaj bracia Teda wstąpili do policji tak jak on tuż po ukończeniu szkoły. Jeden był zwykłym „krawężnikiem” i nie miał większych ambicji, drugi służył w policji konnej. Ted prześcignął obu i lubili mu z tego powodu dokuczać. Praca w wydziale śledczym stanowiła dla niego spore osiągnięcie.

Żona Teda była Amerykanką w drugim pokoleniu. Jej rodzina przybyła z Hongkongu; należała do nich restauracja, w której ojciec Teda pracował od przyjazdu do Stanów aż do emerytury. Dlatego się poznali i zakochali w sobie mając po czternaście lat. Ted nigdy nie spotykał się z inną kobietą, nie wiedział nawet, co to znaczy „romans”.

Kiedy brali ślub, namiętnie kochał żonę. Z biegiem lat namiętność zgasła, ale wciąż było mu z nią dobrze. Teraz łączyła ich raczej przyjaźń niż miłość. Shirley Lee była dobrą, miłą kobietą. Pracowała jako pielęgniarka na oddziale intensywnej terapii w szpitalu miejskim i widziała w życiu więcej ofiar przemocy niżli Ted. Oboje bardziej angażowali się w pracy niż w domu. W wolne dni Ted grał w golfa albo zabierał matkę na zakupy. Shirley lubiła karty, wędrówki po sklepach z koleżankami i wizyty u fryzjera. Ich wolne dni rzadko się pokrywały, ale z czasem przestało im to przeszkadzać. Żyli obok siebie, osobno. Teraz, kiedy dzieci dorosły, niewiele mieli już

zobowiązań wobec siebie nawzajem. Nie taki miał być finał ich wielkiej miłości, ale cóż, dwadzieścia osiem lat to szmat czasu.

Ich najstarszy syn rok temu ukończył studia i przeniósł się do Nowego Jorku. Dwaj młodszy byli w college'ach — jeden w San Diego, a drugi w Los Angeles. Żaden z trójki chłopców nie chciał służyć w policji i Ted wcale ich za to nie winił, choć sam chwalił sobie tę pracę. Dla niego był to społeczny awans, lecz dla synów pragnął czegoś więcej.

Nagle uzmysłowił sobie, że za rok stuknie mu trzydzieści lat pracy i będzie miał prawo do pełnej emerytury. Wielu kolegów rezygnowało wcześniej. Nie bardzo sobie wyobrażał siebie na emeryturze: czym mógłby się zająć? Dobiegał pięćdziesiątki; nie miał już ochoty uczyć się nowego fachu, zwłaszcza że bardzo lubił dotychczasowy. Był pasjonatem swojego zawodu, silnie związanym z ludźmi, z którymi pracował. Było ich wielu na przestrzeni lat, niektórzy odchodzili ze służby, inni się starzeli, ginęli, odnosili poważne rany, często przyprawiające ich o kalectwo. Od dziesięciu lat miał tego samego partnera; wcześniej na kilka lat przydzielili mu kobietę.

Przeprowadziła się jednak z mężem do Chicago i podjęła służbę w tamtejszej policji. Co roku dostawał od niej kartkę na Boże Narodzenie i musiał przyznać, że mimo początkowych zastrzeżeń ich współpraca układała się doskonale.

Jeszcze wcześniejszy partner Teda, Rick Holmquist, przeniósł się do FBI. Do dziś raz w tygodniu jadali razem obiad i Rick niezmiennie pokpiwał ze spraw prowadzonych przez Teda. To, co on sam robił w FBI, było znacznie ważniejsze — przynajmniej tak utrzymywał. Ted nie był tego taki pewien. Z jego obserwacji wynikało, że policja San Francisco rozwiązuje więcej spraw i wsadza za kratki liczniejszych przestępców. Gros działalności FBI stanowiło gromadzenie informacji i inwigilacja podejrzanych, a potem sprawę z ich rąk przejmowały inne agencje. Praca Ricka zazębiała się z poczynaniami wydziałów do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej, CIA, Departamentu Sprawiedliwości czy urzędów szeryfa. Tymczasem nikt nie wtrącał się do spraw Teda, chyba że przestępca przekroczył granicę stanu albo popełnił przestępstwo federalne — bo wtedy właśnie do akcji wkraczało FBI.

Co jakiś czas zdarzało mu się współpracować z Rickiem i zawsze był z tego rad. Po czternastu latach od odscia Ricka z miejscowe; policji wciąż byli przyjaciółmi i wciąż mieli do siebie dużo szacunku. Rick Holmquist rozwiódł się przed pięcioma laty. Obecnie był zakochany w młodej agentce FBI i zamyslał się znowo ożenić. Ted, stary zonkos, często się nasmiewał z jego miłosnych perypetii. Rick udawał twardziela, lecz w rzeczywistości miał czułe, romantyczne serce.

Jedną z zalet pracy na wieczorną zmianę był ocean spokoju, który otaczał Teda po powrocie. W domu panowała niezmacona cisza. Shirley spała, rano zaś wychodziła, nim Ted się obudził. Dawniej, kiedy chłopcy byli mali, ten system pracował na ich korzyść. Shirley woziła ich do szkoły, on odbierał po lekcjach, uczył różnych sportów i w wolne dni chodził na ich mecze. Po południu szedł do pracy, lecz Shirley wracała tuż po jego wyjściu, tak że chłopcy cały czas byli pod nadzorem. Nigdy nie musieli płacić za opiekunkę ani oddawać dzieci do przedszkola. Razem z żoną byli samowystarczalni. System działał sprawnie, przynosił wymierne i niewymierne zyski, ale miał także swoją cenę. Ted rzadko widywał żonę i synów; kiedy wracał z pracy,

wszyscy już spali. Był okres, gdy Shirley gorzko wyrzekała, że nigdy nie ma go w domu. Kłócili się wtedy niemal codziennie. Spróbowali zmian: przez jakiś czas oboje pracowali rano, ale wtedy kłócili się jeszcze częściej. Później Ted przez jakiś czas brał nocki, a w końcu wrócił na drugą zmianę. I tak już zostało.

Ten wieczór był taki sam jak zawsze: kiedy wrócił, Shirley już mocno spała, a w domu panowała cisza. Pokoje chłopców były teraz puste. Wiele lat temu kupił ten mały domek na Sunset. Kiedy miał wolne, lubił przechadzać się po plaży i patrzeć, jak mgła toczy się z morza na ląd. Sprawiało to, że znów czuł się człowiekiem, odzyskiwał spokój po trudnej sprawie, ciężkim tygodniu lub zdarzeniu, które wytrąciło go z równowagi. Wydział był w znacznym stopniu zależny od władz, co często rodziło konflikty, ale Ted nie poddawał się stresom; był człowiekiem pogodnym i zycziwym. Być może dlatego ich małżeństwo wciąż trwało. To Shirley była domowym raptusem, ona wściekała się i pomstowała, ona uważała, że ich związek powinien być czymś więcej, niż jest. Ted wysłuchiwał tego ze spokojem i robił swoje. Z biegiem lat Shirley w końcu pogodziła się z losem i zaprzestała starań, by wykrzesać z męża nieco więcej ognia. Jednakże z tą chwilą ich małżeństwo jakby zbladło, straciło rumieńce. Wyrzekli się emocji na rzecz przyzwyczajenia. Cóż, w życiu zawsze jest coś za coś, toteż Ted się nie uskarżał. Miał dobrą żonę, wspaniałe dzieci, wygodny dom, kochał swoją pracę, w której otaczali go przyzwoiści, uczciwi ludzie. Czy można żądać więcej? Ted w każdym razie niczego więcej nie żądał (to właśnie najbardziej irytowało Shirley). Był zadowolony z tego, co dał mu los.

Shirley oczekiwała od życia znacznie więcej niż Ted. Ten całą energię poświęcał pracy i synom. Dwadzieścia osiem lat to ciężka, długa próba — ich namiętność jej nie przetrwała. Ted kochał żonę, co do tego nie było dwóch zdań. Zakładał też, że i ona go kocha. Nie była wylewna i rzadko mówiła o miłości. Akceptował ją jednak taką, jaką była — tak samo jak przyjmował wszystko inne, dobre czy złe, rozczarowania i radości. Lubiał krzepiącą pewność, którą czuł co wieczór wracając do domu, nawet gdy Shirley już spała. Nie rozmawiali ze sobą poważnie od miesięcy, a może od lat, lecz wiedział, że jeśli stanie się coś złego, Shirley stanie przy nim, tak jak on przy niej. Tomu wystarczało. Płomienne uniesienia, których Rick Holmquist szukał w swoich romansach, nie były dla niego. Ted nie łaknął podniet. Pragnął tego, co już miał. Dobrej pracy, kobiety, którą znał na wylot, trojga uwielbianych dzieci i świętego spokoju.

Usiadł w kuchni z filiżanką herbaty, napawając się spokojem cichego domu. Przeczytał gazetę, przejrzał pocztę, na chwilę włączył telewizor. O wpół do trzeciej wsunął się pod kóldrę obok Shirley i leżał w ciemności oddając się rozmyśleniom. Shirley nie poczuła, że jest obok niej; odwróciła się mrużąc coś przez sen. Potem on także odwrócił się plecami i zaczął usypiać myśląc jeszcze o zaległych sprawach. Miał podejrzanego, który niemal na pewno szmuglował heroinę z Meksyku. Zamierzał rano zadzwonić w tej sprawie do Ricka Holmquista. Zanotowawszy w duchu, by zrobić to zaraz, gdy tylko wstanie, westchnął lekko i odpłynął w sen.

Fernanda Barnes siedziała przy kuchennym stole, wpatrując się w stos rachunków. Miała wrażenie, że tę samą stertę ogląda codziennie od czterech miesięcy, odkąd tuż po Bożym Narodzeniu zmarł jej mąż. Wiedziała jednak, że chociaż plik wygląda wciąż tak samo, z dnia na dzień jest większy. Za każdą wizytą listonosza na stosie lądował nowy kłopot. Nie kończące się pasmo złych nowin i przerażających wieści trwało nieprzerwanie od śmierci Allana. Ostatnio dowiedziała się, że towarzystwo ubezpieczeniowe odmawia wypłaty z jego polisy na życie. Adwokat ją uprzedzał, że się tego obawia. Allan stracił życie w niewyjaśnionych okolicznościach podczas wyprawy na ryby do Meksyku. Wziął jacht i wypłynął sam w morze późną nocą. Jego towarzysze spali wówczas w hotelu, a załoga spędzała czas w miejscowym barze. Wszystko wskazywało na to, że wypadł za burtę. Ciało odnaleziono dopiero po pięciu dniach. Wcześniej jednak znaleziono rozpaczliwy list, jaki zostawił żonie. I to przypieczętowało sprawę. Policja przekazała list firmie ubezpieczeniowej jako ważną poszlakę mogącą świadczyć o tym, że śmierć Allana była wynikiem samobójstwa.

Fernanda też żywiła takie podejrzenia. Nie przyznała się do nich nikomu poza adwokatem, Jackiem Watermanem, samobójstwo było jednak pierwszą rzeczą, o której pomyślała, kiedy otrzymała wiadomość, że Allan nie żyje. Od sześciu miesięcy Allan Barnes był w stanie ciągłego szoku. Gorączkowo powtarzał, że wszystko naprawi, wszystko będzie dobrze, ale list świadczył, że nawet on w to nie wierzył. Allan Barnes złapał Pana Boga za nogi. Wypłynął na fali teleinformatycznej hossy i udało mu się sprzedać początkującą firmę jednemu z potentatów tej branży za oszałamiającą kwotę dwustu milionów dolarów. Fernanda lubiła ich wcześniejsze życie — odpowiadało jej w zupełności. Mieli mały wygodny dom w dobrej dzielnicy Palo Alto, w pobliżu miasteczka uniwersyteckiego Stanfordu, gdzie poznali się w college'u i pobrali w uczelnianej kaplicy dzień po ukończeniu studiów. Trzydzieści lat później Allan trafił na swoją szansę i wykorzystał ją do maksimum. Wycisnął z niej więcej, niż Fernanda kiedykolwiek oczekiwała, marzyła lub nawet chciała. Z początku trudno jej się było z tym oswoić. Nagle zaczął kupować samoloty i jachty, mieszkanie w Nowym Jorku, gdzie jeździł w interesach, dom w Londynie, gdzie podobno zawsze chciał mieszkać, letnią rezydencję na Hawajach i dom w San Francisco — tak olbrzymi, że na jego widok Fernanda się popłakała. Kupił go nie pytając jej nawet o zdanie. Nie chciała przenosić się do pałacu. Kochała dom w Palo Alto, w którym mieszkali od narodzin najstarszego syna Willa.

Mimo jej sprzeciwów cztery lata temu przeprowadzili się do San Francisco. Will miał wtedy dwanaście lat, Ashley osiem, a Sam zaledwie dwa. Allan zatrudnił nianię, żeby Fernanda mogła z nim podróżować, ale ona się nie zgodziła. Chciała sama opiekować się swoimi dziećmi. Nigdy nie miała ambicji zawodowych — na szczęście Allan zawsze zarabiał dość, by utrzymać rodzinę. Czasem bywało ciężiej, ale wtedy Fernanda zaciskała pasa, ograniczała domowe wydatki i jakoś szło. Dobrze się czuła w roli pani domu Will urodził się równo dziewięć miesięcy po ślubie. W czasie pierwszej ciąży Fernanda pracowała na część etatu w księgarni, lecz później nie podjęła już pracy. Z

college”u wyniosła licencjat z historii sztuki, a zatem mało użytecznej specjalności (chyba że zdobyłaby stopień naukowy, aby móc nauczać lub pracować w muzeum). Poza tym nie miała żadnych kwalifikacji. Umiała tylko być żoną i matką — i w obu tych rolach doszła do perfekcji. Dzieci były radosne, zadbane i rozumne. Nawet gdy Ashley osiągnęła buntowniczy wiek lat dwunastu, a Will równie trudny wiek lat szesnastu, nigdy nie miała z nimi kłopotów. Dzieci też nie chciały przenosić się do wielkiego miasta, mając tylu kolegów w Palo Alto.

Dom wybrany przez Allana przytłaczał swym ogromem. Zbudował go pewien sławny finansista, który na starość przeniósł się do Europy. W oczach Fernandy był to pałac. Wychowała się na przedmieściu Chicago, jej ojciec był lekarzem, a matka nauczycielką. W przeciwieństwie do Allana stawiała życiu skromne wymagania. Chciała tylko mieć kochającego męża i udane dzieci. Wiele czasu poświęcała lekturze eksperymentalnych teorii edukacyjnych, fascynowała ją psychologia wychowawcza i dzieliła się z dziećmi swoją namiętnością do sztuki. Zachęcała je, by śmiało realizowały swe marzenia. Dokładnie tak samo odnosiła się do męża — nie spodziewała się tylko, że zrealizuje swe marzenia aż na taką skalę.

Kiedy jej powiedział, że sprzedał firmę za dwieście milionów dolarów,omal nie zemdląła. Myślała, że żartuje. Wyśmiała go wtedy, sądząc, że przy wyjątkowym szczęściu mógł uzyskać dwa, pięć, może dziesięć milionów, ale przecież nie dwieście! Fenian- da pragnęła mieć tyle pieniędzy, by zapewnić dzieciom studia, a im — wygodną starość. Jej najśmielszym, zgoła ekscentrycznym marzeniem była roczna podróż po Europie. (O, gdyby Allan mógł wcześniej przejść na emeryturę... ciągałaby go po wszystkich muzeach... Albo chociaż miesiąc lub dwa we Florencji...) Ale sukces Allana i jego wymierne skutki przekroczyły wszelkie najśmielsze marzenia. A Allan zawzięcie parł naprzód.

Kupowanie ruchomości i nieruchomości było dlań tylko rozrywką przede wszystkim dokonywał nadzwyczaj ryzykownych inwestycji na rynku zaawansowanych technologii. Za każdym razem zapewniał Fernandę, że wie, co robi. Płynął na grzbiecie fali i czuł się niezwyciężony. Był niezwyciężony, nieomylny. Fernanda nie miała aż tyle pewności. Pokłócili się nawet. Allan śmiał się z jej obaw. Kupował akcje nowych spółek, nie sprawdzonych jeszcze na eksplodującym hossa rynku, a cze gokolwiek się tknął, zmieniało się w złoto. Tak było przez prawie trzy lata. Allan Barnes grał ostro i wciąż wygrywał. W ciągu dwóch pierwszych lat szacunkowa wartość jego majątku podwoiła się. Ryzykował coraz bardziej, choć wielu ludzi go ostrzegało. Nie słuchał ani ich, ani żony. Jego pewność siebie osiągnęła apogeum. Tymczasem Fernanda urządzała nowy dom, a mąż kpił z niej, że jest taką asekurantką i pesymistką. Pieniądze mają być źródłem przyjemności, nie zmartwień, powtarzał. Z czasem nawet Fernanda zaczęła się przyzwyczajać do bogactwa i wydawać więcej, niż — jej zdaniem — powinna. Zaskoczyła samą siebie kupując na aukcji u Christiego dwa impresjonistyczne płótna. Dosłownie drżała wieszając je w salonie. Nigdy nie przypuszczała, że mogłaby mieć taki obraz na własność. Allan pogratulował jej wyboru. Był u szczytu, sam świetnie się bawił i chciał, żeby ona też coś z tego miała. Nawet jednak w najlepszych czasach Fernanda wystrzegała się ekstrawagancji; nie zapominała też o swoim skromnym pochodzeniu. Barnesowie pochodzili z północnej Kalifornii i przywykli do większego dostatku niż rodzice Fernandy. Ojciec Allana był biznesmenem, matka nie pracowała zawodowo, choć miała za sobą krótką karierę

modelki. Jeździli drogimi samochodami, mieszkali w ładnym domu i należeli do klubu. Podczas pierwszej wizyty bardzo to Fernandzie zaimponowało, lecz teściowie wywarli na niej wrażenie ludzi płytkich. Matka Allana stroiła się wieczorami w futro, choć kalifornijskie noce były ciepłe. Fernanda uświadomiła sobie, że jej matka znosiła mroźne zimy środkowego Zachodu bynajmniej futra nie pragnąc. Zewnętrzne objawy bogactwa były o wiele ważniejsze dla Allana niż dla niej, zwłaszcza od czasu gdy błyskawiczny sukces dał mu nowe możliwości. Żałował tylko, że jego rodzice tego nie dożyli. Jakżeż byliby z niego dumni! Fernanda przeciwnie — w skrytości ducha czuła ulgę, że rodzice jej nie widzą. Zginęli oboje przed dziesięciu laty w wypadku samochodowym na oblodzonej drodze. Ale wewnętrzny głos podszeptował Fernandzie, że byliby zgorszeni rozrzutnością Allana. Ten pogląd (który po trosze sama podzielała) sprawiał, że czuła wyrzuty sumienia, podziwiając obrazy, które tak ją urzekły, na ścianie salonu. To jest inwestycja, usprawiedliwiała się w duchu (a przynajmniej miała taką nadzieję). Ale większość zakupów Allana obliczona była na pokaz. Twierdził, że go na to stać.

Fala niosła ich coraz wyżej przez kolejne trzy lata. Allan inwestował w nowe technologie, nabywał wielkie pakiety akcji rozwijających się dopiero firm. Wierzył w swą intuicję, czasem wbrew rozsądkowi. Koledzy z branży nazywali go żartobliwie Szalonym Kowbojem. Fernanda zwykle czuła się troszkę winna, że nie jest mu bardziej pomocna. Jako dziecko Allan był wręcz chorobliwie nieśmiały; ojciec często łątał go za niezdecydowanie, aż tu nagle jakby coś w nim pękło — poczuł się wszechmogący. Fernanda często miewała uczucie, że Allan tańczy na linie nad przepaścią. Ale jej miłość przemogła strach, choć ograniczyła się do bicia brawa za kulisami. Z pewnością nie miała się na co uskarżać. W ciągu trzech lat ich majątek prawie się potroił. Był teraz wart bez mała pół miliarda. To się nie mieściło w głowie. Nawet w skromnych początkach byli razem szczęśliwi. Bezkonfliktowy, sympatyczny Allan kochał żonę i dzieci. Narodziny każdego z nich stanowiły dla obojga wspólne radosne przeżycie. Uwielbiał je nie mniej niż matka. Najbardziej dumny był z Willa, który był urodzonym sportowcem. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczył tańczącą Ashley, łzy ciekły mu po policzkach. Był wspaniałym mężem i ojcem, a jego umiejętność przekształcenia skromnej inwestycji w wielką fortunę dała dzieciom możliwości, o jakich rodzice nawet nie śmieli marzyć. Allan zamierzał spędzić rok w Londynie, żeby mogły chodzić do angielskich szkół. Myśl o tym, by dzień po dniu buszować w British Museum i Tate Gallery, była dla Fernandy pokusą nie do odparcia. W rezultacie nawet się nie sprzeciwiała, kiedy Allan kupił wspaniały dom przy Belgrave Square za dwadzieścia milionów dolarów — najwyższą cenę, jaką za ludzkiej pamięci osiągnął budynek w tej dzielnicy.

Po zakończeniu roku szkolnego pojechali tam na miesiąc. Wspólne zwiedzanie Londynu sprawiło im olbrzymią radość.

Resztę lata spędzili na południu Francji, w towarzystwie znajomych i przyjaciół Allana z Doliny Krzemowej. W owym czasie Allan stał się już legendą, choć byli także inni, którzy zarabiali prawie tyle co on. Podobnie jak przy zielonym stoliku w Las Vegas niektórzy zgarniali wygraną i odchodzili, inni zaś z powrotem kładli ją na stół, AJJan zaś wciąż zawierał nowe, krociowe transakcje. Fernanda już dawno pogubiła się w tym, co robił. Ograniczyła się do zarządzania licznymi domami i opieki nad dziećmi. Coraz rzadziej czuła strach. Czasem łapała się na myśli, że na tym

właśnie polega życie ludzi bogatych. Minęły prawie trzy lata, lecz w końcu zdołała uwierzyć, że sukces Allana nie jest mrzonką, tylko jawą.

Po trzech latach bańka mydlana pękła. Wybuchł skandal z udziałem firmy, w którą Allan sporo zainwestował jako cichy wspólnik. Jego nazwisko nie wyszło na jaw, ale stracił ponad sto milionów dolarów. Choć trudno uwierzyć, był to tylko niezbyt znaczny uszczerbek w jego ówczesnej fortunie. Fernanda dowiedziała się o tej sprawie z gazet. Pamiętając, że Allan wymienił kiedyś nazwę upadłej firmy, zagadnęła go z niepokojem. Powiedział, żeby się nie martwiła. Wedle jego słów sto milionów znaczyło tyle co nic. Był na najlepszej drodze do miliarda. Nie wiedziała o tym, że zaciągał pożyczki pod zastaw swoich zwyżkujących akcji, a kiedy ich wartość zaczęła spadać, nie był w stanie ich sprzedać dostatecznie szybko, by pokryć dług. Próbował przeciwdziałać spadkowi kursów akcji biorąc dalsze kredyty i kupując następnę. Drugi cios był silniejszy niż pierwszy i przyniósł dwukrotnie większe straty. Po trzecim załamał się rynek i nawet Allan zaczął mieć zmartwioną minę. Aktywa, pod których zastaw pożyczał, nagle nie były warte już nic i został mu tylko dług. Później nastąpiła spirala śmierci — spektakularny upadek, podczas którego Allan pociągnął za sobą praktycznie cały rynek teleinformatyczny. W ciągu sześciu miesięcy wszystko, co posiadał, obróciło się w nicość. Akcje o wartości nominalnej dwustu dolarów warte były po kilka centów. Skutki dla Barnesów były, by rzec oględnie, katastrofalne. Wyrzekając gorzko, Allan sprzedał jacht i samolot, zapewniając Fernandę i siebie samego, że w ciągu roku kupi takie albo jeszcze lepsze — gdy tylko zmieni się koniunktura. Niestety, wciąż trwała bessa. Allan nie tylko stracił to, co miał; poczynione przez niego inwestycje dosłownie implodowały, tworząc kolosalne zadłużenie, a cały system przedsięwzięć wysokiego ryzyka zawalił się jak domek z kart.

Pod koniec roku miał debet dorównujący niemal wysokością wcześniejszej fortunie. I podobnie jak wtedy gdy akcje szły w górę, a Fernanda nie mogła pojąć, co się stało, tak i teraz nie zorientowała się, co im grozi. Zresztą Allan prawie niczego jej nie mówił. Wciąż był zdenerwowany, wisiał na telefonie, jeździł z jednego końca świata w drugi, a kiedy był w domu, wrzeszczał na nią. Z dnia na dzień jakby postradał zmysły. Zachowywał się jak zaszczute, konające ze strachu zwierzę — nie bez przyczyny.

Przed Bożym Narodzeniem Fernanda wiedziała tylko, że dług męża sięga kilkuset milionów dolarów, a gros jego akcji nie ma żadnej wartości. Były to jednak dla niej słowa pozbawione konkretnej treści; nie wiedziała, jak Allan zamierza temu zaradzić. Dziw nad dziwy, ponieważ w większości transakcji nie pojawiała się jego nazwisko (zwykle w imieniu Barnes'a występowała anonimowa firma), nikt się w porę nie zorientował, jak tragiczna jest sytuacja, a Allan bynajmniej nie chciał tego rozgłaszać. Ukrywał fakty zarówno przez wzgląd na własną dumę, jak i dlatego żeby nie pogłębiać finansowej zapaści

— wiedział, że gdy wyjdzie na jaw, iż jest bankrutem, nikt już nie zawrze z nim żadnej umowy. Zaczynał węszyć wokół siebie odór klęski — on, który dotąd chodził w glorii sukcesu. Atmosfera w domu przepojona była strachem, Fernanda w milczeniu zmagając się z narastającą paniką, pragnąc choć trochę podtrzymać męża na duchu. Namawiała, żeby wyzbył się nieruchomości. Tuż po świętach Allan poleciał do Meksyku, gdzie miał zawrzeć umowę z pewną grupą kapitałową. Powiedział, że jeśli

mu się uda, odrobi prawie wszystkie straty. Zanim wyjechał, proponowała, by sprzedali dom w mieście i przenieśli się z powrotem do Palo Alto. Warknął, żeby nie była śmieszna. Już niedługo wszystko wróci do normy i nie ma powodu do zmartwień. Tymczasem jednak meksykańska transakcja nie doszła do skutku.

Dwa dni po wyjeździe dosięgnął go następny cios. Trzy duże spółki rozpadły się w ciągu tygodnia jak domki z kart, topiąc dwie największe inwestycje Allana. To oznaczało koniec. Późnym wieczorem zadzwonił do niej z hotelu. Głos miał ochrypły; przez cały dzień prowadził negocjacje, ale to był tylko blef. Nie miał już niczego, co mógłby zainwestować lub sprzedać. Zaczął płakać. Fernanda zapewniała go, że pieniądze nie są najważniejsze, dopóki się kochają i są razem, lecz nie była w stanie go pocieszyć. Ten czterdziestoletni mężczyzna traktował swoją pracę w kategoriach zwycięstwa lub porażki, jakby wspinał się na Everest. Sukces, który od czterech lat stanowił treść jego życia, nagle przerodził się w totalną klęskę. We własnych oczach Allan był człowiekiem przegranym. Słowa Fernandy padały w próżnię. Mówiła mu, że nie dba o to, że byłaby z nim szczęśliwa w szalasię, w łachmanach, byle dzieci były zdrowe. A on szlochał na drugim końcu linii i powtarzał, że nie warto żyć. Że stanie się pośmiewiskiem całego świata, że jest wart już tylko tyle, ile wynosi jego polisa na życie. Przypomniała mu, że wciąż jeszcze mają kilka domów, wartych blisko sto milionów dolarów, i mogą je sprzedać.

— Czy masz pojęcie, ile wynoszą nasze długi? — spytał łamiącym się głosem. Oczywiście nie miała, bo przecież nigdy jej o tym nie mówił. — Setki milionów. Będziemy musieli sprzedać wszystko, co mamy, a resztę spłacać przez dwadzieścia lat. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle zdołamy z tego wyjść. Ugrzęźliśmy zbyt głęboko, maleńka. To koniec. To już naprawdę koniec.

Nie widziała łez płynących mężowi po twarzy, lecz słyszała je w jego głosie. O ile dobrze zrozumiała, dokonywał rozpaczliwych inwestycji, żeby podtrzymać kursy swoich akcji; kupował na kredyt i stracił wszystko. Stracił więcej niż wszystko. Mieli do spłacenia astronomiczny dług.

— Nie, to nie koniec — zaprzeczyła stanowczo. — Możesz ogłosić upadłość. Pójdę do pracy. Wyprzedamy co się da. I cóż z tego? Możemy handlować preclami na ulicy, najważniejsze, żebyśmy byli razem.

Zawarła w tych słowach całą swoją miłość, ale on był zbyt przybity, by jej słuchać. Tego samego wieczoru zadzwoniła do męża jeszcze raz. Martwiła się o niego. Nie spodobało jej się to, co powiedział o polisie ubezpieczeniowej, i bardziej przerażał ją stan jego ducha niż sytuacja finansowa. Wiedziała, że mężczyźni potrafią robić głupstwa z powodu nieudanych przedsięwzięć i są zdolni do nieprzemysłanych kroków. Kariera zawodowa była całym „ja” Allana. Rozmawiając z nim przez telefon, poznała, że pił. Prawdopodobnie dużo. Mówił niewyraźnie i wciąż powtarzał, że jego życie jest skończone. Zaniepokoił ją do tego stopnia, że postanowiła lecieć po niego do Meksyku. Nim wszakże rano zdążyła poczynić jakiegokolwiek kroki, zadzwonił do niej jeden z towarzyszących Allanowi mężczyzn. Głos miał schrypnięty i zrozpaczony — natychmiast zgadła, że coś się stało. Wiedział tylko tyle, że nocą Allan wypłynął samotnie w morze wynajętym przez nich jachtem. Gdy tylko załoga wróciła na przystań, natychmiast zgłoszono jego zaginięcie. O świcie jacht został odnaleziony

przez straż przybrzeżną, lecz Allana nie było na pokładzie. Przypuszczano, że musiał wypaść przez burtę. Intensywne poszukiwania nie dały rezultatów.

Jeszcze tego samego dnia Fernanda znalazła się w Meksyku. Na powitanie policja wręczyła jej pozostawiony przez Allana list. Pisał, że jego sytuacja jest beznadziejna, że nigdy już nie zdoła się wydzwignąć, że dla niego to koniec i woli umrzeć, niż znieść wstyd, kiedy świat się dowie, jakim był głupcem i nieudacznikiem. List był kropką nad „i”. Przekonał nawet Fernandę, że Allan popełnił samobójstwo lub przynajmniej zamierzał to uczynić. Nie było sposobu, by się tego dowiedzieć na pewno. Jednakże prawdopodobieństwo, iż po pijanemu niechcący wypadł za burtę, było nikłe.

Jedna kopia listu została w aktach śledztwa, a drugą policja zgodnie z przepisami przekazała firmie ubezpieczeniowej. Uzasadniając decyzję własnymi słowami Allana, ubezpieczyciel odmówił wypłaty odszkodowania, a adwokat Fernandy powiedział, że nie ma szans, by je wywalczyć. Dowody były zbyt obciążające.

Kiedy w końcu znaleziono ciało, wyrzucone na brzeg po krótkim sztormie, stwierdzono tylko tyle, że Allan zmarł na skutek utonięcia. Nie było niezbitych dowodów samobójstwa, ran postrzałowych lub innych urazów, zważywszy jednak, co powiedział i napisał do żony, wiadomym było, iż chciał umrzeć.

Fernanda dziękowała Bogu, że nie ma z nią dzieci. Przeszła przez koszmar identyfikacji i tydzień później po niekończących się urzędowych perypetiach wróciła do Stanów jako wdowa. Doczesne szczątki Allana przyjechały wraz z nią w trumnie umieszczonej w bagażowym luku samolotu.

Pogrzeb był następnym koszmarem. Gazety pisały, że Allan Barnes uległ wypadkowi podczas morskiej wycieczki — tak brzmiała wersja oficjalna. Nikt z jego kontrahentów nie przypuszczał, że wpierv stoczył się na dno, a nawet jeszcze niżej, przynajmniej we własnym pojęciu. Nikt też, z wyjątkiem Fernandy i jej radcy prawnego, nie miał klarownego obrazu co do tego, jaką sumą zamyka się finansowa katastrofa Allana.

Fernanda wiedziała, że mogą minąć lata, nim uda jej się uporządkować wszystkie sprawy. W ciągu czterech miesięcy sprzedała wszelkie nieruchomości prócz domu w mieście, który stanowił część masy spadkowej. (Na szczęście pozostałe były jej wyłączną własnością — Allan kupował je żonie w prezencie.) Wisiał nad nią jeszcze podatek spadkowy, który trzeba będzie wkrótce zapłacić. W czerwcu oba obrazy szły pod młotek na aukcji w Nowym Jorku. Fernanda wyzbywała się wszystkiego.

Adwokat Jack Waterinan pocieszał ją, że jeśli sprzeda cały dobytek, także dom, przy odrobinie szczęścia może wyjść na czysto, choć bez grosza przy duszy. Większość długów Allana ciążyła na spółkach, w których miał udziały. Jack miał zamiar ogłosić ich bankructwo, ale na razie nikt nie wiedział, jak drastyczny był to upadek. Fernanda trzymała język za zębami, nie chcąc szargać pamięci męża. Nawet dzieciom nie wyjawiała, że mają kłopoty finansowe. Cztery miesiące po śmierci Allana Fernanda sama wciąż usiłowała objąć wszystko umysłem. Także w to słoneczne majowe popołudnie siedziała w kuchni, walcząc z przygniatającym ją oszołomieniem.

Za dwadzieścia minut miała odebrać Ashley i Sama ze szkoły. Robiła to codziennie o tej samej porze jak automat. Will jeździł bmw, które ojciec podarował mu na szesnaste urodziny. Prawdę mówiąc, Fernanda miała ledwie dość pieniędzy, by ich wyżywić, a cóż dopiero utrzymywać dwa samochody. Niecierpliwie wyczekiwała dnia, kiedy

będzie mogła sprzedać dom i spłacić lub przynajmniej zadatkować jeszcze parę długów. Wiedziała, że wkrótce musi się rozejrzeć za pracą — może istotnie w jakimś muzeum? Życie całej rodziny zostało wywrócone do góry nogami. Nie miała pojęcia, co powie dzieciom. Na razie utrzymywała, że pieniądze są zablokowane do zakończenia sprawy spadkowej. Żadne nie wiedziało, że przed śmiercią ojciec stracił cały majątek, a potem popełnił samobójstwo. Nawet ludzie, którzy byli z nim w Meksyku, nie znali prawdy. Znali ją tylko Fernanda, adwokat i policja.

Co noc leżąc w łóżku odtwarzała w myślach ich ostatnią rozmowę. Robiła to raz po raz, bez końca wyrzucając sobie, że nie było jej przy nim, kiedy jej potrzebował. Bolesne, okrutne wyrzuty sumienia potęgowały grozę wciąż nowych żądań, nowych rachunków, których nie miała czym zapłacić. Te cztery miesiące przeżyła jak w koszmarnym śnie.

Czuła się potwornie osamotniona. Jediną osobą świadomą, jakie piekło przechodzi Fernanda, był jej radca prawny. Jack Waterman niezmiennie okazywał jej współczucie, pomagał i dodawał ducha. Właśnie ustaliła z nim, że w sierpniu wystawi na sprzedaż dom, w którym mieszkała od czterech i pół roku. Czuła gorętkę na myśl, że odbiera dom własnym dzieciom. Niestety, nic nie mogła na to poradzić. Ważniejsze, żeby mogły pozostać w swoich szkołach. W tym celu będzie musiała wystąpić o zasiłek, ale jeszcze nie teraz. Wciąż bowiem utrzymywała w tajemnicy bankructwo Allana. Robiła to nie tylko przez wzgląd na jego pamięć. Wierzyli, że jest wypłacalna, nie naciskali jej zbyt mocno, Fernanda zaś grała na czas, tłumacząc zwłokę procedurą spadkową i koniecznością zapłaty podatków. W prasie nadal pojawiały się wiadomości o upadku takiej czy innej firmy. Nie do wiary: nikt nie powiązał ze sobą tych wydarzeń; zapewne dlatego, iż mało kto wiedział, że to Allan był głównym udziałowcem bankrutujących spółek.

Fernanda dusiła się w tej pajęczynie kłamstw i lęków. Przybita żalobą po jedynym mężczyźnie, jakiego w życiu kochała, starała się być dla dzieci podporą w ich rozpaczach. Często czuła się jak ogłuszona; z trudem docierało do niej, co się dzieje. Od miesięcy nie przespała porządnie ani jednej nocy. Poszła do lekarza; zaproponował jej środki psychotropowe. Odmówiła. Chciała się przekonać, czy potrafi przejść przez to o własnych siłach. I tak dzień w dzień zdobywała się na koszmarny wysiłek, by wstać z łóżka i postawić lewą nogę przed prawą. Powtarzała sobie, że musi, dla dobra dzieci. Musi wybrnąć z tej sytuacji, musi znaleźć źródło utrzymania. Ale czasem, szczególnie nocą, ogarniały ją fale paniki.

Zerknęła na zegar wiszący na ścianie eleganckiej kuchni wyłożonej białym granitem. Dzieci za pięć minut kończyły lekcje, musiała się więc pospieszyć. Ściągnęła gumką nowy plik rachunków i wrzuciła go do pudełka, w którym trzymała wszystkie pozostałe. Przypomniała sobie zasłyszane kiedyś słowa, że ludzie czują gniew w stosunku do zmarłych bliskich. Ona jeszcze nie osiągnęła tego etapu. Płakała tylko i żałowała, że Allan tak głupio, tak ślepo dał się porwać fali sukcesu, aż załamała się niszcząc go, a ich razem z nim. Nie, nie czuła gniewu. Czuła jedynie smutek i potworny lęk.

Pobiegła do drzwi, niosąc w ręku torebkę i kluczyki do samochodu, powiewając długim jasnym warkoczem, w który splatała włosy. Była niska i szczupła; w dzinsach, sandałach i białej trykotowej koszulce wyglądała jak dziewczynka, lustrzane odbicie

własnej córki. Ashley miała dopiero dwanaście lat, ale dojrzewiała szybko i już była tego samego wzrostu co matka.

Z roztargnieniem zatrzasnęła za sobą drzwi i na schodkach omal nie zderzyła się z Willem. Jej syn był wysokim ciemnowłosym chłopcem — dla odmiany wierną kopią ojca — o dużych niebieskich oczach i atletycznej budowie. Wyglądał na więcej niż szesnaście lat; psychicznie też był dojrzały jak na swój wiek.

Fernanda zatrzymała się w biegu i wspięła na palce, żeby go ucałować.

— Wszystko w porządku, mamó?

Pytanie nie miało sensu. Od czterech miesięcy nic nie było w porządku. Fernanda nosiła w oczach ciągły strach; wyglądała jak człowiek ogłuszony wybuchem, na przemian to płakała, to się denerwowała, a Will choć robił co w jego mocy, żeby pomóc matce, o którą martwił się bardziej, niż to okazywał, nie potrafił tego zmienić. Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

— Jadę po Ash i Sama. Jak wrócę, zrobię ci coś do jedzenia.

— Sam się obsłużę — uśmiechnął się. — Mam dzisiaj mecz.

Grał w baseball i hokeja na trawie. Fernanda lubiła mu kibicować, często przychodziła nawet na treningi. Ale ostatnio była wciąż tak roztargniona, że nie był pewien, czy go w ogóle widzi.

— Chcesz, żebym ich przywiózł? — zaofiarował się. Był teraz jedynym mężczyzną w rodzinie. Przeżył szok tak jak wszyscy, lecz starał się wejść w nową rolę. Wciąż ciężko mu było uwierzyć, że ojciec nie żyje i nigdy nie wróci. Wszyscy z wielkim trudem starali się do tego przyzwyczaić. Will miewał uczucie, że jego matka zmieniła się do niepoznania, i bardzo się obawiał, gdy siadała za kierownicą. Stwarzała zagrożenie dla siebie i innych.

— Nie, wszystko w porządku — zaprotestowała, nie przekonując ani jego, ani siebie. Krokiem lunatyczki podeszła do kombi, pomachała mu i odjechała. Chwilę później zobaczył, że na pełnym gazie mija znak stopu na skrzyżowaniu. Zgarbił się, jak gdyby przygniotło go ciężkie brzemie, z westchnieniem otworzył drzwi kluczem, wszedł do cichego domu i zamknął je za sobą. Jedną idiotyczną wyprawą na ryby ojciec zmienił ich życie raz na zawsze. Bez przerwy dokądś jeździł, straszliwie zajęty zarabianiem pieniędzy. W ciągu ubiegłych paru lat rzadko bywał w domu — wszystko inne było dla niego ważniejsze. Nie obejrzał ani jednego meczu, w którym grał jego syn. I choć Fernanda nie czuła do męża gniewu za krzywdę, jaką wyrządził im swoją śmiercią, to Will był wściekły. Ilekroć spojrzał na matkę i widział, w jakim jest stanie, nienawidził ojca za to, co jej zrobił, co zrobił im wszystkim. Opuścił ich. Will miał o to do niego ogromny żal — a przecież nie wiedział jeszcze wszystkiego.

Rozdział IV

Peter Morgan wysiadł z autobusu w dzielnicy South Market³ której nie znał, toteż stanął na chodniku i przez dłuższą chwilę rozglądał się wokół. Kiedy mieszkał w San

Francisco, miał dom na Pacific Heights i apartament na Nob Hill, którego używał do narkotykowych transakcji, legalne zaś spotkania w interesach przeprowadzał w Dolinie Krzemowej. Nie zapuszczał się w miejsca, które uważał za slumsy, ale dziś, ubrany w pospolite ciuchy ze stanowego magazynu, pasował tu jak ulał.

Ruszył wzdłuż Market Street, starając się przywyknąć do manewrowania w tłumie. Bezbronny i poszturchiwany, wiedział, że będzie musiał to w sobie pokonać, ale po czterech i pół roku za kratami na ulicy czuł się jak jajko bez skorupki. Wstąpił do bistra, zamówił hamburgera i kawę. Jadł powoli, delektując się smakiem wolności, dzięki któremu ten hamburger wydał mu się najwspanialszym posiłkiem w życiu. Potem wyszedł z baru i znów stał przez chwilę, przypatrując się ludziom. Mijały go kobiety, dzieci i mężczyźni, którzy wyglądali, jakby mieli coś do załatwienia. Widział także bezdomnych leżących po bramach oraz ślaniających się pijaków. Było ciepło i słonecznie, toteż po namyśle ruszył dalej ulicą bez żadnego konkretnego celu. Gdy zamelduje się na kwaterze, znów będzie musiał poddać się regułom. Nie dziwi więc, że najpierw chciał nacieszyć się wolnością.

Dwie godziny później wypytał przechodniów o drogę, po czym znów wsiadł do autobusu i pojechał do dzielnicy Mission.

Schronisko dla byłych więźniów znajdowało się przy Szesnastej Ulicy i niczym nie przypominało miejsc, w których Morgan obracał się przed aresztowaniem. Mimo woli pomyślał o Janet i córeczkach, zastanawiając się, gdzie są teraz. Siedząc w więzieniu, tęsknił za nimi straszliwie. Wyczytał w gazecie, że Janet powtórnie wyszła za mąż. Prawa rodzicielskie zostały Peterowi odebrane o wiele wcześniej. Przypuszczał, że nowy mąż Janet adoptował dziewczynki. Co do niego — w życiu Janet i dzieci nie było już dla niego miejsca; pochłonęły go mętne wody. Siłą zmusił się, żeby o tym nie myśleć, i wszedł po schodkach do zdewastowanego budynku, który był domem dla takich jak on wyrzutków.

W korytarzu śmierdziało kocim moczem i przypalonym jedzeniem. Ze ścian płátami obłaziła farba. Absolwentowi Harvardu mogło się to wydać dnem, ale to samo można było powiedzieć o Pelican Bay, a przecież przeżył tam ponad cztery lata. Tu też przeżyje. Najważniejszym talentem, w który opatrność wyposażyła Petera, była umiejętność znajdowania się w każdej sytuacji.

Przy biurku w holu w recepcji siedział wysoki chudy Murzyn z rzędami sznytów na przedramionach. Najwyraźniej się nimi nie przejmował, ubrany był bowiem w koszulę z krótkim rękawem, a mimo ciemnej skóry widać było wytatuowane na jego twarzy łyzy — znak, że siedział w więzieniu.

Murzyn podniósł głowę. W oczach Petera dostrzegł lekkie oszołomienie, typowe dla ludzi świeżo zwolnionych z zakładów karnych. Uśmiechnął się więc życzliwie, prezentując minę uzębienia.

— Co mogę dla ciebie zrobić, chłopie? — zagadnął. Znał tę minę, te ubrania, te fryzury; natychmiast poznał, że Peter także jest byłym więźniem. Widać to było w sposobie, w jaki się poruszał, czujności, z jaką przyglądał się mężczyźnie za biurkiem. Byli członkami tego samego bractwa. Peter miał w tej chwili znacznie więcej wspólnego z tym czarnym eks-kryminalistą niż z ludźmi finansjery, wśród których obracał się za dawnych czasów. Teraz tu był jego świat.

Skinął głową recepcjoniście i podał mu dokumenty mówiąc, że miał się tu zgłosić. Murzyn zerknął na niego, pokiwał głową, wyjął z szuflady klucz i wstał.

— Pokażę ci pokój — zaofiarował się.

— Dzięki — mruknął Peter. Trzymał wysoko gardę, jak co dnia w ciągu minionych czterech lat. Wiedział, że tutaj jest tylko odrobinę mniej zagrożony niż w Pelican Bay. Środowisko było właściwie to samo. Wielu z tutejszych mieszkańców wkrótce trafi z powrotem za kraty nie pierwszy i nie ostami raz. Peter nie chciał tam wracać; bał się, że cofną mu warunkowe zwolnienie z powodu byle rozróby czy sprowokowanej bójki. Cuchnącymi schodami weszli na drugie piętro starego wiktoriańskiego domu, który popadł w ruinę i został spisany na straty — dlatego właśnie urządzono w nim schronisko. Mieszkali tu wyłącznie mężczyźni. Na korytarzu unosił się odór rzadko wynoszonych śmieci. Dyżurny podszedł do ostamich drzwi w rzędzie, zapukał. Nie było odpowiedzi. Otworzył więc kluczem i wprowadził Petera do pokoju trochę tylko większego niż schowek na szczołki. Podłogę kryła brzydko poplamiona wykładzina. Na całe umeblowanie składały się piętrowe łóżko, dwie komody, odrapane biurko i krzesło. Okno wychodziło na łuszczącą się ścianę sąsiedniego domu — obraz bardziej niż przygnębiający. Cella w Pelican Bay była przynajmniej nowoczesna, dobrze oświetlona i czysta. Tu wyglądało jak w chlewie.

— Łazienka jest w korytarzu — poinformował Petera Murzyn. — Twój współlokator jest chyba teraz w pracy.

— Dzięki.

Na górnym łóżku nie było prześcieradła. Peter zdał sobie sprawę, że musi zaopatrzyć się we własną pościel albo spać na gołym materacu jak ten drugi. W pokoju panował nieopisany bałagan; większość rzeczy była rozwleczona po podłodze. Peter na długą chwilę zapatrzył się w okno. Czuł smutek, rozpacz, strach. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz zwrócić. Musiał znaleźć pracę. Potrzebował pieniędzy. Nie mógł się stykać ze środowiskiem przestępczym. Jakże kusząca wyda-

wała się myśl, by wrócić do handlu narkotykami — byle tylko się stąd wydostać.

Perspektywa pracy przy zmywaniu naczyń w McDonalddie lub innym podrzędnym barze jakoś mu się nie uśmiechała. Kiedy dyżurny wyszedł, Peter zrezygnowany wyciągnął się na górnej pryczy. Leżał wpatrując się w sufit i usiłując nie myśleć o tym, co go czeka. Po pewnym czasie zasnął.

Niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy Peter wchodził do swojego pokoju na Mission, Carlton Waters wszedł do swojego w Modesto. Miał go dzielić ze starym znajomym, z którym przesiedział dwanaście lat w San Quentin, Malcolmem Starkiem. Dał mu kiedyś wyśmienitą radę w kwestiach prawnych, dzięki czemu Stark wcześniej wyszedł na wolność.

— A co ty tu robisz? — powitał Starka, który odpowiedział mu szerokim uśmiechem. Waters nigdy by się do tego nie przyznał, ale po dwudziestu czterech latach w więzieniu wolność była dla niego szokiem. Poczul ulgę widząc znajomą twarz.

— Odsiedziałem jeszcze piątkę w Soledadzie, zwolnili mnie w zeszłym roku. Potem cofnęli mi warunek za posiadanie broni. Nic wielkiego. No i właśnie miesiąc temu znów wyszedłem. Tu jest całkiem nieźle. Zobaczysz, sami starzy znajomi. — Stark miał długie włosy i toporną, poznaczoną bliznami twarz. Za młodu brał udział w wielu bójkach.

— Za co ta piątka?

— Zatrudniłem się jako mrówka i nakryli mnie w San Diego.

Kiedy się poznali, Stark siedział za handel narkotykami. Było to jedyne zajęcie, jakie znał. Miał czterdzieści sześć lat, ćpał od dwunastego roku życia, a handlował od piętnastego. Ale pierwszy wyrok dostał również za zabójstwo. Podczas transakcji wystąpiły różnice zdań i zginął człowiek.

— Tym razem obeszło się bez krwi — dodał.

Waters kiwnął głową. Lubił Starka, choć uważał go za głupca, skoro dał się znów złapać. Nie mówiąc już o tym, że „mrówka” zajmowała najniższy szczebel w narkotykowej branży. Ludzie ci przenosili towar przez granicę — najwyraźniej Stark nie umiał go dobrze schować, skoro został aresztowany. Choć prędzej czy później wszystkie mrówki lądowały w mamrze. A w każdym razie większość.

— Ktoś ze starej gwardii prócz ciebie tu mieszka? — zaciekawiał się Waters. Byli więźniowie tworzyli coś w rodzaju klubu.

— No, Jim Free i jeszcze paru, których znasz.

Waters pamiętał Jima Free. Siedział w Pelican Bay za porwanie i usiłowanie morderstwa. Jakiś gość zapłacił mu, żeby zabił jego żonę. Free schrzanił robotę i obaj z mężem niedoszłej ofiary dostali po dziesięć lat, zwane w więziennym slangu „dychą”. Pelican Bay, a przed nim San Quentin uważane były za przestępcze uniwersytety, swoiste odpowiedniki Harvardu.

— Jakie masz teraz plany? — zagadnął Stark tonem biznesmena, który rozmawia o wakacjach albo projektowanej inwestycji.

— Najpierw muszę się zgłosić do kuratora i spotkać z paroma facetami w sprawie pracy. — Waters miał wiele planów, układał je od lat.

— Ja pracuję na farmie — pochwalił się Stark. — Pakuję pomidory. Gówniana robota, ale płacą nieźle. Chcę się tam zatrudnić jako kierowca ciężarówki, ale to dopiero po trzech miesiącach. Powiedzieli, że najpierw muszą mnie lepiej poznać. Zostały mi jeszcze dwa. Potrzebują ludzi; chcesz, to cię tam wkręcę — zaofiarował się były przemytnik.

Wolałbym coś siedzącego. Straciłem krzepę — uśmiechnął się Waters. Nie wyglądał bynajmniej na mięczaka i w rzeczywistości był w doskonałej formie, ale fizyczna praca wcale go nie nęciła. Chciał spróbować, czy nie uda mu się znaleźć czegoś lepszego. Zwykle miewał szczęście; w więzieniu przez dwa lata pracował w zaopatrzeniu, gdzie nauczył się porządnie obsługi komputera. Kierownik działu dał mu doskonale referencje. Waters napisał też serię artykułów wykazując pewien talent literacki. Wciąż nosił się zmyśłą o wydaniu książki o swoim życiu w więzieniu. Mężczyźni gawędzili przez chwilę, apotem wyszli do baru na kolację. Musieli podpisać się na liście i wrócić przed dziewiątą. Krocząc ulicą Waters rozmyślał, jak dziwnie jest iść tam, dokąd się zechce. Nie robił tego od siedemnastego roku życia — przez dwadzieścia cztery długie lata. Ponad połowę życia spędził za kratami, chociaż — jak oświadczył na procesie — to nie on pociągnął za spust. Nie zdołano mu udowodnić, że było inaczej. Teraz miał to już za sobą. W więzieniu nauczył się wielu rzeczy, których nigdy by nie poznał na wolności. Pozostawała tylko kwestia, jak je wykorzysta.

Femanda odebrała młodsze dzieci ze szkoły, następnie podrzuciła Ashley na lekcję tańca i wróciła do domu z Samem. Willa zastali jak zwykle w kuchni. Większość czasu spędzanego w domu poświęcał na jedzenie, choć nie było tego po nim widać.

Miał atletyczną budowę, był smukły, lecz umięśniony, i już osiągnął sześć stóp wzrostu. Mian mierzył sześć stóp i dwa cale, lecz widząc, jak Will szybko rośnie, Fernanda przypuszczała, że wkrótce prześcignie ojca.

— O której masz mecz? — spytała, nalewając Samowi szklanek mleka, dołożyła jabłko na talerz pełen ciastek i postawiła to wszystko przed najmłodszym synem. Will pochłaniał kanapkę, która wyglądała, jakby miała eksplodować: z indykiem, serem i pomidorami, ociekającą musztardą i majonezem. Chłopak miał apetyt!

— Dopiero o siódmej — wymamrotał między jednym a dnigim kęsem. — Przyjdiesz? — zerknął na nią udając, że tak naprawdę wcale mu na tym nie zależy. Fernanda wiedziała, że mu zależy. Zawsze chodziła na jego mecze. Nawet teraz, kiedy miała tyle zmartwień. Uwielbiała mu kibicować, poza tym uważała to za swój obowiązek. Wkrótce będzie musiała znaleźć sobie posadę, ale dotąd była pełnoetatową matką i czuła się spełniona w każdej minucie. Opieka nad dziećmi stała się dla niej jeszcze ważniejsza teraz, po śmierci męża.

— Oczywiście, że tak! Za skarby świata bym tego nie przepuściła! — Uśmiechnęła się do niego ze znużeniem, starając się nie myśleć o nowej stercie rachunków, którą wepchnęła do pudełka, zanim pojechała do szkoły. Co dzień było ich więcej, stos rósł w postępie geometrycznym. Nie miała pojęcia, ile Allan wydał ani jak ona za to wszystko zapłaci. Musiała jak najprędzej sprzedać dom za tyle, ile da się uzyskać. Ale rozmawiając z dziećmi dbała o to, by utrzymać pogodny ton.

— Z kim gracie?

— Z Marinem. To fujary. Zwycięstwo mamy w kieszeni.

— Uśmiechnął się do niej i wyszczerzył zęby do Sama, który pałaszował ciastka udając, że nie widzi jabłka.

— To mnie cieszy. Zjedz jabłko, Sam — powiedziała Fernanda nie obracając głowy. Chłopiec jęknął.

— Nie lubię jabłek — poskarżył się. Był ślicznym piegowatym sześciolatkiem o jaskraworudych włosach i piwnych oczach.

— To weź brzoskwinie. Trzeba jeść owoce, nie tylko słodczyce.

Mimo tragedii życie toczyło się dalej. Mecze, lekcje tańca, posiłki. Zachowywała pozory normalności — głównie dla nich, ale także dla siebie. Tylko dzięki dzieciom znajdowała siły, żeby brnąć dalej.

— Will nie je owoców — naburmuszył się Sam.

Jej dzieci stanowiły ciekawy wachlarz typów, każde z innej parafii, by tak rzec. Will miał ciemne włosy po ojcu, Ashley jasne jak ona, a Sam rude — nie wiadomo dzięki czyim genom, bo w obu rodzinach nie było rudzielców. Z wielkimi ciemnymi oczami i rojem piegów wyglądał jak dziecko z reklamy lub kreskówki.

— Will i tak zmiata wszystko, co znajdzie w lodówce, nie trzeba go dokarmiać. — Podała Samowi brzoskwinie i mandarynkę i zerknęła na zegarek. Właśnie minęła czwarta. Skoro Will miał mecz o siódmej, obiad musiała podać o szóstej. A o piątej odebrać Ashley z lekcji tańca. Jej życie składało się z drobnych odcinków — teraz jeszcze bardziej wypełnionych pracą, bo nie miała nikogo do pomocy. Wkrótce po śmierci Allana zwolniła

gosposię i dziewczynę au pair, która pomagała jej się opiekować Samem. Drastycznie ograniczając wydatki, robiła wszystko sama, łącznie ze sprzątaniami i innymi pracami domowymi. Za to dzieci były zachwycone, że mama cały czas jest z nimi.

Siedzieli razem w kuchni: Sam skarżył się na czwartoklasistę, który dokuczał mu w szkole, Will mówił o pracy, którą musiał wykonać na lekcję fizyki, i prosił, żeby kupiła mu miedziany drut, a potem doradzał bratu, jak dawać sobie radę ze szkolnymi chuliganami. Will był w liceum i świetnie się uczył, ale stopnie Ashley po śmierci ojca wyraźnie się pogorszyły, a nauczycielka Sama mówiła Fernandzie, że chłopiec często pochlipuje. Wszyscy wciąż byli w szoku. Podobnie Fernanda. Przez cały czas chciało jej się płakać. Dzieci już przywykły, że ilekroć wchodzi do pokoju mamy, widzą łzy w jej oczach. Starła się trzymać fason przed Samem, ale malec od śmierci ojca przeważnie sypiał z nią w jednym łóżku i nieraz nocą słyszał, jak szlocha przez sen. Parę dni wcześniej Ashley żaliła się Willowi, że mama już się nie śmieje, nawet nie uśmiecha, i wygląda jak upiór.

— Musi dojść do siebie — odparł rozsądnie Will. — Daj jej trochę czasu.

Wszyscy potrzebowali czasu na dojście do siebie. Will usiłował sprostać obowiązkom mężczyzny w rodzinie — bardziej, niż zdaniem Fernandy powinien. Nieraz miała uczucie, że jest dla niego ciężarem. Po zakończeniu roku szkolnego jechał na obóz sportowy i Fernanda bardzo się cieszyła, że wreszcie się rozerwie. Ashley wybierała się do koleżanki nad jezioro Tahoe, a Sam miał zostać z nią w mieście, zapisała go na półkolonie. Dobrze, że będą zajęci. Da jej to czas na przemyślenia i narady z adwokatem. Miała nadzieję, że uda jej się szybko sprzedać dom, choć dla dzieci będzie to wstrząs. Musi kupić jakieś małe tanie lokum. Wiedziała też, że wcześniej czy później wyjdzie na jaw, iż w chwili śmierci Allan był całkowicie spłukany i co gorsza, zadłużony po uszy. Dotąd robiła co w jej mocy, by chronić jego dobre imię, ale w końcu prawda i tak wypłynie. Nie jest to sekret, jaki można utrzymywać w nieskończoność. Jak dotąd była prawie pewna, że nikt jeszcze nie wie. Nekrologi były pełne słów uznania. Słów bez pokrycia, ale wiedziała, że Allan byłby rad.

Przed piątą poprosiła Willa, żeby miał brata na oku, i pojechała po Ashley do szkoły baletowej, gdzie dziewczynka uczyła się trzy razy w tygodniu. Teraz na to także nie będzie ich stać. Daj Bóg, by zdołała zapewnić dzieciom dach nad głową, jedzenie i szkołę. Cała reszta odsunęła się w sferę pobożnych życzeń

— chyba że Fernanda znajdzie dobrze płatną pracę, na co nie mogła żywić większych nadziei. Ale to nie miało znaczenia. Bardzo niewiele rzeczy miało teraz znaczenie. Zyli i byli razem, tylko to się liczyło. Często zapożytywała się w duchu, dlaczego Allan tego nie rozumiał. Dlaczego wołał umrzeć, niż stawić czoło rezultatom swoich błędów, brawury, pecha, a może wszystkiego po trochu. Gorączka inwestycji doprowadziła go na skraj przepaści i zepchnęła na dno. A koszty ponieśli oni, Fernanda i dzieci. Woleliby mieć jego niż te wszystkie miliony. Ostatecznie cóż dobrego z nich przyszło? Parę miłych chwil, wymyślnych zabawek, domy i mieszkania, których nie potrzebowali, samolot i jacht, które zawsze uważała za bezcelową ekstrawagancję. Dzieci straciły ojca, a ona męża. To o wiele za wysoka cena za cztery lata bajkowego luksusu. Żałowała, że się w ogóle wzbogacili i wyjechali z Palo Alto. Właśnie o tym myślała (w ogóle często o tym myślała ostatnimi czasy), parkując przed budynkiem szkoły baletowej. W tejże chwili na stopniach pojawiła się Ashley w trykocie i tenisówkach, trzymając w ręku puenty.

Dwunastolatka już przykuwała wzrok urodą. Miała klasyczne rysy, długie proste jasne włosy jak Fernanda i zaczątki pięknej figury. Powoli przeobrażała się z dziecka w kobietę, a Fernandzie często przychodziło na myśl, że dzieje się to zbyt szybko.

Malująca się w oczach dziewczynki powaga dodawała jej lat. Wszyscy dojrzeni w ciągu ubiegłych miesięcy, sama Fernanda czuła się na sto lat, a nie trzydzieści z okładem.

— Jak było? — zagadnęła córkę, gdy ta usadowiła się obok niej w samochodzie. Za nimi zrobił się zator i rozległo kilka klaksonów. Gdy tylko Ashley zapięła pas, Fernanda ruszyła w stronę domu.

— W porządku. — Ashley, zapalona miłośniczka tańca, dziś wyglądała na znużoną i apatyczną. Wszystko sprawiało im teraz więcej wysiłku. Fernanda miała uczucie, jak gdyby od miesięcy płynęła pod prąd. Gdy patrzyła na córkę, widziała na jej twarzy ten sam wysiłek. Tęskniła za ojcem, tak jak oni wszyscy.

— Will ma dziś mecz. Chcesz pojechać? — spytała Fernanda, manewrując w korku na Franklin Avenue.

Ashley potrząsnęła głową.

— Muszę odrobić lekcje.

Naprawdę przykładała się do nauki, choć efektów nie było widać w ocenach. Ale Fernanda nie miała zamiaru robić jej z tego powodu wyrzutów. Wiedziała, że ona w tej sytuacji też miałaby kiepskie stopnie. Jej samej wszystko wymykało się z rąk. Codzienne borykanie się z rzeczywistością, wizyty w urzędach, płacenie rachunków, utrzymanie domu w porządku, troska o dzieci, ba, nawet zwykła rozmowa telefoniczna! — przerastały obecnie jej możliwości.

— Wobec tego przypilnujesz Sama, dobrze?

Ashley kiwnęła głową. Wcześniej Fernanda nigdy nie zostawiała dzieci samych, ale teraz nie miała kogo poprosić o pomoc. Błyskotliwy awans wyrwał ich z kręgu znajomych, a nagła tragedia i bieda odcięły do reszty. Starzy przyjaciele Fernandy czuli się niezręcznie wobec bogactwa Barnesów; ich style życia zanadto się różniły. Śmierć Allana i zmartwienia, jakie zostawił Fernandzie, wyobcowały ją jeszcze bardziej. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, w jak ciężkiej jest sytuacji. Korzystała z automatycznej sekretarki i rzadko odpowiadała na telefony. Nie miała ochoty rozmawiać z nikim prócz swoich dzieci i radcy prawnego. Przejawiała klasyczne oznaki depresji, ale kto by ich w tej sytuacji nie miał? Owdowiawszy nagle w wieku niespełna czterdziestu lat, została sama z dziećmi i perspektywą utraty wszystkiego, nawet domu.

Przygotowała hamburgery i sałatkę, a o szóstej, kiedy wszyscy już byli w domu, podała je na stół wraz z miską frytek. Nie była to zdrowa dieta, ale przynajmniej miała pewność, że zjedzą. Fernanda nie nałożyła sobie nawet hamburgera na talerz, i podziubała go do kubła. Rzadko czuła teraz głód. Niestety, to samo zaobserwowała u córki. Dziewczynka wyrosła i znacznie zeszczupłała w ostatnich miesiącach, przez co zaczęła wyglądać o wiele doroślej.

Ashley odrabiała lekcje w pokoju na piętrze, a Sam oglądał telewizję, kiedy za kwadrans siódma Fernanda i Will wsiedli do samochodu i pojechali do Presidio. Will, ubrany w strój do baseballu, nie odzywał się wiele. Oboje byli milczący i zamyśleni, a gdy dotarli na miejsce, Fernanda udała się na trybuny wraz z innymi rodzicami. Nikt jej nie zagadywał, a i ona nie starała się nawiązać rozmowy. Ludzie nie wiedzieli, jak się przy niej zachować, w obliczu jej żałoby czuli się skrępowani. Szczęśliwe zamożne mężatki trzymały się od Fernandy z daleka, jakby jej tragedia mogła być zakaźna. Po

raz pierwszy od siedemnastu lat była kobietą samotną i czuła się jak parias, w milczeniu obserwując mecz.

Will zdobył dwa punkty, jego drużyna wygrała sześć do zera, toteż wracał do domu z bardzo zadowoloną miną. Uwielbiał wygrywać, źle zaś znosił porażki — podobnie jak ojciec.

— Chcesz wstąpić po pizzę? — zaproponowała Fernanda.

Po krótkim wahaniu kiwnął głową. Wbiegł do pizzerii z pieniędzmi, które mu dała, wziął dużą wieloskładnikową pizzę i po chwili z powrotem usadowił się w samochodzie, kładąc pudło na kolanach.

— Dzięki, mam... dzięki, że przyszedłeś na mecz. — Chciał powiedzieć więcej, ale nie bardzo wiedział jak. Chciał jej powiedzieć, ile dla niego znaczy to, że zawsze chodziła na jego mecze. Zastanawiał się, dlaczego ojciec nigdy tego nie robił. Zabierał go na ligowe rozgrywki, na które chodził wraz ze swoimi partnerami w interesach, ale nigdy nie widział syna na boisku. Tylko matka zawsze mu towarzyszyła i teraz gdy jechali do domu, zerknęła na niego, a on odpowiedział jej uśmiechem. Była to jedna z tych cudownych chwil, które czasami łączą matki i dzieci i które pamięta się do końca życia.

Niebo nad zatoką miało różowy odcień, gdy Fernanda zjechała na podjazd przed domem. Przyglądała mu się przez chwilę, nim Will wygramolił się z samochodu z pizzą. Po raz pierwszy od miesiąca zaznała uczucia spokoju i ładu, nadziei, że poradzi sobie z tym, co los jej zesłał, i wyjdą z tego bez większego szwanku. Może wszystko jeszcze jakoś się ułoży, powiedziała do siebie zamykając samochód i ruszyła w ślad za synem do domu. Uśmiechnęła się raz jeszcze widząc, że Will już jest w kuchni, i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział V

Cariton Waters zameldował się u kuratora zgodnie z nakazem, dwa dni po opuszczeniu więzienia. Jak się okazało, miał tego samego kuratora co Stark, poszli więc we dwóch.

Stark tym razem zawziął się, że nie wróci za kraty. Od wyjścia był czysty, a na plantacji pomidorów zarabiał dość, by się utrzymać, zjeść w miejscowym barze i od czasu do czasu wychylić parę piw. Waters ubiegał się o posadę w biurze tej samej plantacji. W poniedziałek miał dostać odpowiedź.

W niedzielę wybierał się do krewnych, których nie widział od dzieciństwa. Na szczęście mieszkali niedaleko — niecałą godzinę jazdy autobusem — bo nie wolno mu było opuszczać okręgu bez specjalnego zezwolenia. W sobotę mężczyźni zjedli obiad w pobliskiej garkuchni, po czym przenieśli się do barn, gdzie obejrzeni mecz, i o dziewiątej wieczorem byli już z powrotem na kwaterze. Żaden z nich nie chciał

kłopotów. Odsiedzieli swoje, teraz pragnęli nacieszyć się wolnością i mieć święty spokój i czyste papiery. Waters zwierzył się, że ma nadzieję dostać tę posadę. Jeśli mu się nie uda, będzie musiał poszukać sobie czegoś innego. Nie wydawał się szczególnie zatroskany. Położyli się spać przed dziesiątą, a kiedy nazajutrz Stark wstał o siódmej, Carla już nie było, zostawił tylko kartkę, że wróci wieczorem. Resztę dnia Malcolm spędził włócząc się po domu, oglądając telewizję i gawędząc z innymi. Nie zastanawiał się nad tym, co robi Waters. Powiedział, że jedzie do rodziny, toteż gdyby ktoś zapytał Starka, to właśnie by usłyszał.

Około południa Stark poszedł z Jimem Free do najbliższego baru na meksykańskie tacos. Nie rozmawiali między sobą o kryminalnej przeszłości. Ten temat poruszany był czasem za kratami, ale kiedy więzień wyszedł już na wolność, pragnął jak najszybciej zapomnieć o tamtym. Free, niedoszły zabójca, miał jednak powierzchowność kryminalisty. Zdradzały go tatuaże na ramionach i znane więzienne łązy pod oczyma. Sprawiał wrażenie, że nic i nikt go nie przeraża. Potrafił sam się o siebie zatroszczyć i na takiego właśnie wyglądał.

Przy obiedzie rozmawiali o baseballu — o meczu, który miał się odbyć wieczorem, o swoich ulubionych graczach, o tabeli wyników, o historycznych momentach tego sportu. Była to rozmowa, jaką dwóch mężczyzn mogłoby prowadzić wszędzie. Stark uśmiechnął się, kiedy Free napomknął o dziewczynie, którą poznał niedawno na stacji benzynowej. Była kelnerką w tamtejszym barze. Free określił ją mianem najpiękniejszej dziewczyny, jaką w życiu spotkał. Wygiąda jak Madonna, powiedział. Stark wzruszył ramionami. W więzieniu słyszał nie raz takie opisy i zawsze się zastanawiał, czy ci wszyscy faceci cierpią na wadę wzroku. Nie zdarzyło się, by opisywana w ten sposób kobieta choć w części dorównała wyobrażeniom. Ale skoro Jim Free uważał ją za Madonnę, on w żadnym razie nie zamierzał się z nią spierać. Człowiek ma prawo do swoich marzeń i złudzeń.

— Wie, że byłeś w pudle? — zaciekawił się.

— Powiedziałem jej. Wcale się nie przejęła. Jej brat siedział za kradzież samochodu. Istniał cały odrębny świat ludzi, którzy mierzyli czas długością wyroków i nie czuli się tym zażenowani. Przypominało to klub albo tajne stowarzyszenie. Jego członkowie w niewytłumaczalny sposób ciążyli ku sobie, znajdowali i rozpoznawali się nawzajem.

— Umówiłeś się z nią? — Stark też miał na oku jedną z robotnic na plantacji, ale jeszcze nie odważył się jej zagadnąć. Jego kunszt uwodzicielski nieco jakby zardzewiał.

— Myślałem, żeby zaprosić ją gdzieś w przyszły weekend

— rzekł ze skrępowaniem Free.

W czasie odsiadki wszyscy marzyli o podbojach miłosnych i orgiastycznym seksie. Urzeczywistnienie tych marzeń po wyjściu było jednak trudniejsze, niż się spodziewali. W prawdziwym świecie poruszali się niepewnie jak dzieci, najtrudniejsze zaś było znalezienie kobiety. Mieszkańcy schroniska trzymali się razem, a nawet tym, którzy mieli rodziny, zajmowało trochę czasu ponowne oswojenie się z żonami. Byli tak przyzwyczajeni do własnego środowiska, że pod wieloma względami łatwiej było im pozostać w znajomym i prostszym męskim świecie — niczym zakonnikom albo żołnierzom, którzy zbyt długo służyli w armii. W tym układzie równań kobiety stanowiły kłopotliwy dodatek.

Wieczorem Stark i Free palili na schodkach, kiedy wrócił Cariton Waters. Uśmiechnął się do nich, wypoczęty i zrelaksowany, jak gdyby miał za sobą przyjemnie spędzony dzień. Ubrany był w rozpiętą niebieską bawełnianą bluzę na trykotowej koszulce, dżinsy i kowbojskie buty, zakurzone po pół-milowym marszu gruntową drogą wiodącą od przystanku autobusowego.

— Jak tam rodzinka? — zagadnął uprzejmie Stark. Śmieszne, jak tu, na zewnątrz, obowiązywały całkiem inne maniery

— na przykład zadawanie pytań. W więzieniu najmądrzej było trzymać gębę na kłódkę i nikogo o nic nie pytać. Ciekawość mogła być przyczyną ciężkiego pobicia, a nawet śmierci.

— Mam nadzieję, że w porządku. Tłukłem się pół dnia autobusem na tę ich zakazaną farmę i nikogo nie zastałem. Może wyjechali. Zapowiadałem się na dziś, ale pewnie zapomnieli. Powłóczyłem się trochę, posiedziałem na ganku, potem zrobiłem sobie spacer do miasteczka, żeby coś zjeść, no a w końcu wsiadłem do autobusu i oto jestem

— opowiadał z ożywieniem Waters. Miło było móc pojechać gdziekolwiek, spacer w słońcu też sprawił mu przyjemność. Od młodości nie mógł sobie na to pozwolić.

Usiadł przy nich na schodkach. Wolność dobrze mu służyła: wyglądał jak rozradowane dziecko, jakby ktoś zdjął mu z barków ciężkie brzemię.

Malcolm Stark uśmiechnął się do niego ukazując przednie zęby, jedyne, jakie mu zostały.

— Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że łziesz o tych krewnych, a w rzeczywistości pojechałeś na dziewczynki — zażartował. W istocie, Waters miał zadowolony, syty wyraz twarzy człowieka po udanym stosunku.

Carl wybuchnął głośnym śmiechem, ale nie skomentował, cisnął tylko leniwie kamyk na drugą stronę ulicy. O dziewiątej wstali, weszli do środka, zgodnie z regulaminem podpisali się na liście i ruszyli do swoich pokoi. Byli przyzwyczajeni do ujętych w ścisłe karby ram dnia i żaden nie sprzeciwił się zasadom

— wymogowi ciszy nocnej, meldowania wyjść i powrotu przed oznaczoną godziną.

Jim Free pożegnał się i poszedł spać. Waters i Stark pogawędzili jeszcze trochę, siedząc na łózkach. Stark wstawał przed szóstą do pracy, o dziesiątej więc obaj już spali. W schronisku zapadła niezmacona cisza. Patrząc na tych pogrążonych w spokojnym śnie mężczyzn, nikt by nie podejrzewał, jacy są naprawdę groźni, ile krzywd wyrządzili, nim znaleźli się tutaj. Można było tylko mieć nadzieję, że przeszłość czegoś ich nauczyła.

Rozdział VI

Weekend Femanda spędziła jak

zawsze z dziećmi. Ashley miała próbę solowego występu, przygotowywanego na czerwiec, a potem wybierała się z koleżankami do kina. Fernanda zawiozła ją na próbę, po czym wraz z Samem i jego kolegą pojechała na mecz Willa. Dzieci wypełniały jej każdą wolną chwilę; była im za to niezmiernie wdzięczna. Chroniły ją przed całkowitym załamaniem.

W niedzielę wzięła się do zaległej papierkowej roboty. Ashley spała, Sam oglądał wideo, Will siedział nad swoim projektem rzucając od czasu do czasu okiem na telewizor, w którym transmitowano mecz baseballu. Mecz był nudny, jego ulubiona drużyna — San Francisco Oiants — przegrywała, toteż nie poświęcał grze nazbyt wiele uwagi. Fernanda bezskutecznie usiłowała się skoncentrować na formularzach podatkowych, które dał jej do wypełnienia prawnik. Miała ochotę pójść z dziećmi na spacer po plaży — zaproponowała to przy lunchu, ale żadne nie było w nastroju. Na próżno usiłowała znaleźć sobie pretekst, żeby oderwać się od pracy. W końcu poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Nagle w pobliżu — wydawało jej się, że tuż za ścianą — rozległ się potężny wybuch. Potem zapadła cisza. Po chwili do kuchni wpadł przerażony Sam.

— Co to było? — wyjąkał.

— Nie wiem. Coś huknęło. — Fernanda też przestraszyła się nie na żarty. W dali słysząc już było syreny nadjeżdżających wozów pożarniczych.

— Huknęło? To była eksplozja! — poprawił ją Will, który też wbiegł do kuchni. Sekundę po nim pojawiła się zdezorientowana Ashley. Stali pośrodku kuchni, zastanawiając się, co się stało. Straż pożarna wjechała już na ich ulicę i zbliżała się szybko. Wozów było kilka, za oknem śmignęły też trzy samochody policyjne z włączonymi kogutami.

— Jak myślisz, co to, mamó? — powtórzył Sam.

Huk był taki, jakby któryś z sąsiednich domów wyleciał w powietrze, lecz Fernanda uznała to za nieprawdopodobne.

— Może wybuch gazu — bąknęła.

Za oknem migało coraz więcej świateł. Podbiegli do drzwi wejściowych i wyjrzeni na ulicę. W pobliżu zebrał się już chyba tuzin radiowozów oraz trzy ogromne wozy pożarnicze. Fernanda podeszła wraz z dziećmi do krawężnika. Zobaczyli płonący samochód w kłębach piany tryskającej z rozwijanych w pośpiechu węży. Sąsiedzi powychodzili z domów, rozmawiali i gestykulowali z ekscytacją. Kilku ciekawskich podeszło do palącego się auta, ale policjanci natychmiast kazali im się cofnąć. Przyjechał jeszcze jeden samochód oznaczony emblematem policji San Francisco. Wysiadło zeń paru mężczyzn, wśród nich chyba oficer. Stopniowo wraz z tłumionym pożarem gasło też podniecenie gapiów.

— Samochód się zapalił. Pewnie wybuchł zbiornik paliwa

— wyjaśniła rozsądnie Fernanda. „Właściwie już było po wszystkim. Ale wciąż wszędzie kręcili się policjanci i strażacy.

— Może ktoś podłożył bombę — poddał zaniepokojony Will, gdy wracali do domu wbrew protestom Sama, który chciał obejrzeć wozy straży pożarnej. Policja nie dopuszczała jednak nikogo w pobliże miejsca wypadku. Dziwne, że płonący samochód zaprzętał aż tyle ich uwagi. Otaczał go kordon policjantów, których wciąż przybywało. Chociaż z drugiej strony, wybuch był naprawdę imponujący.

— Wątpię, czy to była bomba — stwierdziła Fernanda, kiedy znaleźli się znów w domu. — Myślę, że wybuch paliwa też narobiłby straszego huk. Pewnie bak tlił się przez jakiś czas, tylko nikt tego nie zauważył.

— Jakim cudem mógł się zapalić? — zdziwiła się Ashley, pokrywając strach miną pełną niesmaku.

— To się zdarza. Może ktoś rzucił papierosa. Albo podpalili go wandalę — dodała Fernanda, choć akurat w to nie chciało jej się wierzyć. Nie w ich dzielnicy.

— A moim zdaniem eksplodował ładunek wybuchowy oświadczył Will zachwycony, że ma powód, by oderwać się od zadanego projektu. (Robota szła mu jak po grudzie i każdy pretekst, by ją odłożyć — szczególnie bomba w samochodzie!

— był na wagę złota.)

— Za dużo grasz w nintendo — skrzywiła się Ashley.

— Samochody wysadzają tylko w filmach.

Wszyscy wrócili do swoich zajęć. Fernanda usiadła z powrotem nad podatkami. Will po chwili znów wyszedł z pokoju i oznajmił, że skończył mu się drut. Obiecała, że dokupi w poniedziałek. Ashley siedziała z Samem, oglądając końcówkę filmu. Straż pożarna wkrótce odjechała, natomiast radiowozy zostały na miejscu jeszcze przez dwie godziny. W końcu znów zapanował spokój. Fernanda wzięła się do gotowania obiadu. Właśnie wkładała naczynia do zmywarki, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyszła do holu, zawahała się, wyrzła przez wizjer i zobaczyła dwóch nieznanymych mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą.

— Kto tam? — zapytała ostrożnie.

— Policja — usłyszała w odpowiedzi.

Nie wyglądali na policjantów; żaden nie był w mundurze i Fernanda właśnie doszła do wniosku, że bezpieczniej będzie nie otwierać, kiedy jeden z nich wyjął policyjną odznakę i podetknął ją pod wizjer. Uchyliła drzwi, wycierając mokre ręce w dzinsy, i spojrzała na nich pytająco. Przeprosili, że zakłócają jej niedzielny wypoczynek.

— Czy coś się stało? — Z początku nie wpadło jej do głowy, że ich wizyta może mieć związek z podpalonym samochodem. Odżyły za to koszmarne wspomnienia związane ze śmiercią Allana.

— Czy mogłaby pani poświęcić nam kilka minut?

Zmierzyła ich badawczym spojrzeniem. Jeden Azjata, drugi biały, obaj po czterdziestce, byli przyzwoicie ubrani w sportowe płaszcze, koszule i krawaty. Przedstawili się jako detektywi Lee i Stone, a kiedy wpuściła ich do holu, podali jej swoje legitymacje. Nie wydawali się groźni. Azjata zerknął na nią i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Nie chcieliśmy pani przestraszyć. Dziś po południu na waszej ulicy zdarzył się wypadek. Najprawdopodobniej słyszeliście państwo huk. — Był miły i grzeczny, toteż Fernanda natychmiast się odprężyła.

— Tak, słyszeliśmy. Widzieliśmy palący się samochód, toteż doszliśmy do wniosku, że pewnie wybuchł zbiornik paliwa.

— Rozsądne założenie — przyznał detektyw Lee. Przyglądał się jej, jakby coś w niej go zaintrygowało. Drugi detektyw nie odzywał się, pozwalając swemu partnerowi prowadzić rozmowę.

— Zapewne chcecie panowie wejść? — spytała Fernanda. Było oczywiste, że nie odejdą tak prędko.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Naprawdę nie zajmiemy wiele czasu.

Wprowadziła ich do kuchni i pospiesznie znalazła sandały pod stołem. Wyglądali tak szacownie, że czuła się zażenowana rozmawiając z nimi boso.

— Proszę, usiądźcie, panowie. — Gestem zaprosiła ich do kuchennego stołu, który był prawie sprzątnięty. Zmiotła gąbką resztę okruszek, wrzuciła je do zlewu i usiadła naprzeciw. — Co się stało?

Właśnie chcemy to ustalić i dlatego wypytujemy sąsiadów. Czy ktoś oprócz pani był w domu, kiedy nastąpił wybuch?

Zobaczyła, że policjant omiata spojrzeniem kuchnię. Przestronne pomieszczenie z białymi granitowymi blatami, lśniącem wyposażeniem i dużym kandelabrem z weneckiego szkła stylem nawiązywało do przepychu pozostałych wnętrz. Cały dom był imponujący — ogromny i bardzo elegancki. Kiedy go kupowali, stanowił odzwierciedlenie sukcesu Allana Barnes'a. Pani domu jednak wyglądała całkiem zwyczajnie w dzinsach, trykotowej koszulce, z włosami luźno ściągniętymi gumką. Na pierwszy rzut

oka przypominała podlotka i było oczywiste, że właśnie sprzątała po obiedzie, co mocno zaskoczyło detektywa Lee. W tego rodzaju domu oczekiwalby kucharki. A nie ładnej kobiety w dzinsach i z bosymi nogami.

— Były ze mną dzieci — powiedziała.

Kiwnął głową.

— Ktoś jeszcze?

Poza kucharką powinna mieć gospodynię. I pokojówki, a przynajmniej dziewczynę au pair. Albo nawet lokaja. Wydawało się dziwne, że zastali ją samą. Być może służba miała wolne w niedziele.

— Nie, tylko my. Dzieci i ja — powiedziała po prostu.

— Pani mąż był nieobecny?

Fernanda zawahała się i odwróciła wzrok. Wciąż nie zносиła mówić o swym wdowieństwie. Wszystko było za świeże i bolało, kiedy musiała wypowiedzieć to na głos.

— Mąż nie żyje — szepnęła. Głos uwiązł jej w gardle. O, jakże nienawidziła tych słów!

— Najmocniej panią przepraszam — spieszył się detektyw.

— Czy ktokolwiek z państwa wychodził na zewnątrz, zanim usłyszeliście wybuch? — Zadawał pytania miłym, życzliwym głosem i nie wiedzieć dlaczego Fernanda poczuła do niego sympatię. Jak dotąd odzywał się tylko Lee. Ten drugi, Stone, milczał. Ale widziała, że rozgląda się po kuchni baczynym okiem. Obaj zdawali się notować wszystko w pamięci.

— Nie. Wyszliśmy potem, ale nie przed wybuchem. A dlaczego pan pyta? Czy ktoś zrobił to naumyślnie? — Zatem mogło to być celowe działanie, nie zaś nieszczęśliwy wypadek, jak jej się wydawało.

— Tego jeszcze nie wiemy. — Policjant uśmiechnął się pod nosem. — A może ktoś wyglądał przez okno? Zobaczył coś niezwykłego albo kogoś podejrzanego?

— Wątpię. Ja siedziałam nad rachunkami przy biurku. Córka chyba spała, młodszy syn oglądał telewizję, a starszy konstruował jakieś urządzenie do szkoły.

— Pozwoli pani, że zadamy im parę pytań?

— Oczywiście, bardzo proszę. Chłopcy będą zachwyceni. Zaraz ich zawołam. — W progę zawahała się i obróciła. — Może chcą panowie się czegoś napić? — Obaj zaprzeczyli ruchem głowy i uprzejmie podziękowali. W ogóle byli bardzo ugrzeczni. — Wobec tego zaraz wracam — dodała, kierując się na piętro do pokojów dzieci.

Powiedziała im, że na dole jest policja i chce im zadać kilka pytań. Tak jak przypuszczała, Ashley nie była tym uszczęśliwiona — rozmawiała właśnie przez telefon i nie chciała przerywać. Sam natomiast nie posiadał się z radości.

— Aresztują nas? — spytał ze strachem i nutką nadziei.

Nawet Will oderwał się od nintendo na dość długo, by zaintrygowany unieść brew.

— A więc miałem rację i to była bomba?

— Wątpię. Mówili, że nie mają pewności, ale chcą się dowiedzieć, czy ktoś z nas zauważył coś niezwykłego. — I spojrzawszy na młodszego syna, szybko wyprowadziła go z błędu:

— Nie, mój skarbie, nie aresztują nas. Nie mają cię na liście podejrzanych.

Na twarzyczce Sama odbiło się rozczarowanie. Will wstał i ruszył za matką ku schodom. Ashley zaprotestowała:

— Muszę schodzić? Spałam i nic nie słyszałam. Nie możesz im tego powiedzieć?

Rozmawiam z Marcy.

Miały do omówienia kilka bardzo poważnych spraw — na przykład kwestię tego chłopca z ósmej klasy, który ostatnio oglądał się za Ashley. Z punktu widzenia dziewczynki było to o wiele ważniejsze i o wiele ciekawsze niż jakiś tam wybuch.

— Powiedz Marcy, że za chwilę do niej zadzwonisz. Sama możesz wyjaśnić policji, że spałaś — rzekła Fernanda schodząc po stopniach. Dzieci ruszyły za nią rzędem. Kiedy cała gromadka znalazła się w kuchni, dwaj detektywi wstali, uśmiechając się na powitanie.

Patrząc na tę trójkę miłych dzieci, Ted Lee nagle poczuł żal. Tragedia musiała dotknąć ich niedawno. Po niemal trzydziestu latach zadawania pytań i wysłuchiwanie odpowiedzi Lee rozwinął w sobie niezawodny instynkt. Z wyrazu twarzy matki, gdy mówiła o swoim wdowieństwie, wywnioskował, że jej ból jest jeszcze bardzo świeży. Teraz, otoczona dziećmi, wydawała się nieco spokojniejsza. Ted zwrócił uwagę na najmłodszego młodzielca, który wyglądał jak chochlik i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— Mama mówi, że nie chce nas pan aresztować — pisnął. Nikt z zebranych nie zdołał zachować powagi. Ted uśmiechnął się do malca.

— Zgadza się, synu. Ale może chciałbyś dopomóc nam w śledztwie? Co ty na to? Mianujemy cię zastępcą szeryfa, a kiedy dorośniesz, może sam zostaniesz detektywem.

— Mam dopiero sześć lat — rzekł przepraszająco Sam, jak gdyby czuł się winny, że jest jeszcze za mały, by im pomóc.

— Nic nie szkodzi. Jak masz na imię? — Detektyw Lee umiał postępować z dziećmi. Także ten brzdąc błyskawicznie nabrał do niego zaufania.

— Sam.

— Jestem detektyw Lee, a to mój partner, detektyw Stone.

— Czy to była bomba? — wpadł mu w słowo Will. Ashley ze zgrozzeniem przewróciła oczyma. Chciała jak najszybciej wrócić do pokoju i przerwanej rozmowy z Marcy.

— Możliwe — odparł szczerze Ted Lee. — Nie wykluczamy takiej opcji. Ale pewność zyskamy dopiero wtedy, kiedy nasi technicy dokładnie zbadają wrak. Niewiele da się przed nimi ukryć.

W rzeczywistości otrzymali już potwierdzenie, że wybuchł podłożony ładunek. Nie powiedział tego na głos, nie chcąc niepokoić mieszkańców dzielnicy. Na tym etapie śledztwa przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Najpierw chcieli zebrać wszelkie, choćby z pozoru nieistotne informacje. Być może wyłoni się z nich portret sprawcy.

— Czy którekolwiek z was wyszło na zewnątrz albo wyglądało przez okno, zanim usłyszeliście wybuch?

— Ja — odparł szybko Sam.

— Ty? — Matka spojrzała na niego zdumiona. — Wychodziłeś na dwór? — Wydało jej się to nieprawdopodobne.

Starsze rodzeństwo przyjęło za pewnik, że smyk zmyśla, aby popisać się przed policją.

— Patrzyłem przez okno. Film zrobił się nudny.

I co zobaczyłeś? — zainteresował się Ted. Chłopczyk był naprawdę uroczy, przypominał mu jednego z jego własnych synów, kiedy był w tym wieku. Miał tę samą zabawną otwartość w stosunku do obcych, skutkiem czego podbijał serca wszystkich, z którymi się zetknął. — Co tam widziałeś? — powtórzył siadając, żeby nie górować nad chłopcem. Był wysokim mężczyzną, kiedy więc usiadł, Sam mógł mu patrzeć prosto w oczy, co też uczynił bez najmniejszego wahania.

— Całowali się — powiedział stanowczo z miną pełną niesmaku.

— Za oknem?

— Nie, w filmie. Dlatego był głupi. Całowanie jest nudne.

Will parsknął, a Ashley zachichotała. Fernanda patrzyła na synka ze smutnym uśmiechem. Już nie zobaczy całujących się rodziców. Będzie musiał poczekać, aż sam dorośnie. Siłą odepchnęła od siebie tę refleksję. Tymczasem Ted zadawał chłopcu kolejne pytania.

— A co widziałeś na dworze?

— Pani Farber spacerowała z psem. Zawsze chce mnie ugryźć.

— To niezbyt ładnie z jego strony. Widziałeś kogoś jeszcze?

— Pana Coopera z torbą golfową. Gra w golfa co niedzielę. I jeszcze jeden pan szedł ulicą, ale nie wiem kto to.

— A jak wyglądał? — spytał lekko Ted.

Sam zmarszczył brwi.

— Nie pamiętam. Wiem tylko, że ktoś szedł.

— Wyglądał dziwnie albo groźnie? Może zapamiętałeś jakiś szczegół?

Chłopiec pokręcił głową.

— Nie zwróciłem uwagi, bo patrzyłem na pana Coopera. Wpadł na panią Farber i potracił ją torbą, a jej pies zaczął szczekać. Byłem ciekawy, czy go ugryzie.

— I CO) ugryzł? — zaciekawił się Ted.

— Nic... Pani Farber pociągnęła smycz i nakrzyczała na niego.

— Na pana Coopera? — zaśmiał się detektyw.

Sam wyszczerzył zęby. Składanie zeznań było całkiem zabawne.

— Nie — wyjaśnił cierpliwie. — Nakrzyczyła na psa, żeby nie gryzł pana Coopera. A potem wróciłem przed telewizor. A jeszcze potem usłyszałem huk, jakby coś wybuchło.

— I to wszystko, co widziałeś?

Sam skoncentrował się i kiwnął głową.

— Aha. Była jeszcze jedna pani, też nieznajoma. Biegła.

— W którą stronę?

Pokazał kierunek przeciwny do miejsca wypadku.

— I jak wyglądała?

— Zwyczajnie. Trochę podobna do Ashley.

— Była w towarzystwie tego nieznajomego mężczyzny?

— Nie, on szedł w przeciwną stronę, a ona na niego wpadła.

Pies pani Farber ją też obszczekał, ale ona po prostu wyminęła ich i pobiegła dalej. I to już naprawdę wszystko, co widziałem

— zakończył Sam I z lekkim niepokojem zerknął na siostrę i brata. Bał się, że będą mu dokuczać.

— Dzięki, Sam, naprawdę nam pomogłeś! — pochwalił go policjant i spojrzał na dwoje starszych.

— A wy? Widzieliście coś?

— Ja spałam — oznajmiła Ashley, ale już bez poprzedniej wrogości. Ten człowiek był miły. I zadawał takie śmieszne pytania.

— A ja ślezczałem nad kablami — wyjaśnił Will. — Podniosłem głowę dopiero, kiedy usłyszałem wybuch. W telewizji leciał mecz, ale ten huk zagłuszył wszystko.

— Nie wątpię. — Ted kiwnął głową i wstał. — Jeśli którekolwiek z was coś sobie przypomni, proszę o telefon. Wasza mama ma mój numer.

Wszyscy potwierdzili skinieniami głowy. Fernanda zadała pytanie, które dopiero teraz zaczęło ją nurtować:

— Czyj to był samochód? Należał do kogoś z sąsiadów czy przypadkiem parkował na ulicy? — Trudno jej się było zorientować w zamęcie akcji gaśniczej.

— Sędziego McIntyre'a. Mieszka kawałek dalej, może go pani zna. Sędziego nie było wmieście, ale jego żona miała zamiar jechać samochodem. Bardzo się przestraszyła. Na szczęście eksplozja nastąpiła, nim pani McIntyre wyszła z domu.

— Ja też się przestraszyłem — wyznał Sam szczerze.

— Wszyscy się przestraszyliśmy — dodała Fernanda.

— Brzmiało to tak, jakby cała ulica wyleciała w powietrze

— uzupełnił Will. — Mówię wam, że to była bomba.

— Poinformujemy państwa o wynikach śledztwa — rzekł zdawkowo detektyw, nie mając zresztą najmniejszego zamiaru dotrzymać tej obietnicy.

— Jak pan sądzi, czy to był zamach na sędziego? — dociekała Fernanda ze świeżym zainteresowaniem.

— Chyba nie. Najprawdopodobniej po prostu nieszczęśliwy wypadek.

Tym razem już mu nie uwierzyła. Za wiele aut policyjnych pojawiło się na scenie.

Will chyba jednak miał rację. Najwyraźniej szukali kogoś, prowadzili drobiazgowe śledztwo. Zbyt drobiazgowo jak na przypadkowy pożar.

Policjanci podziękowali im, pożegnali się i wyszli. Fernanda zamknęła za nimi drzwi z zamyśloną miną.

— To ciekawe — powiedziała patrząc na Sama, który był niekwestionowaną gwiazdą wieczoru i pękał z dumy, że okazał się tak pomocny policji. Rozmawiali o tym jeszcze przez chwilę, a potem rozeszli się do swoich pokoi. Fernanda wróciła do sprzątanania kuchni.

— Uroczy dzieciak — rzekł Ted Lee do Jeffa Stone'a, kiedy szli do następnego domu, w którym nikt niczego nie zauważył. Sprawdzili wszystkie domy w sąsiedztwie, także Farberów i Cooperów, o których wspomniał Sam. Nikt nie spostrzegł niczego podejrzanego, a w każdym razie niczego takiego nie pamiętał.

Trzy godziny później, kiedy wrócili na posterunek, Ted zrobił sobie kawę i właśnie wlewał do niej śmietankę, kiedy Jeff ni stąd, ni zowąd stwierdził:

— Mamy informację, że w tym tygodniu wyszedł z więzienia niejaki Carlton Waters. Pamiętasz go? To ten, który jako siedemnastolatek zabił sąsiadów, stawał przed sądem dla dorosłych i wysłał chyba milion apelacji. Starał się o uniewinnienie, bezskutecznie zresztą. Jest w tej chwili w Modesto, na zwolnieniu warunkowym. Tamtą sprawę prowadził właśnie McIntyre. Czytałem kiedyś o tym. Twierdził, że ani przez chwilę nie miał wątpliwości, iż Waters jest winny. Waters twierdził, że to jego wspólnik strzelał, a on stał obok niewinny jak świeżo narodzone dziecko. Tego drugiego stracono parę lat później w San Quentin. Waters odsiedział wyrok chyba w Pelican Bay.

Czekaj, czekaj... — Ted pociągnął łyk gorącej kawy.

— Chcesz powiedzieć, że to jego sprawka? Jeśli tak, to chyba stracił rozum. Zamach na sędziego natychmiast po wyjściu z więzienia? Waters nie jest głupi, czytałem kilka jego artykułów. Musiałby zdawać sobie sprawę, że będzie pierwszym podejrzanym i zafunduje sobie ekspresowy bilet w jedną stronę z powrotem do Pelican Bay. Sędzia McIntyre z pewnością naraził się bardzo wielu ludziom, zanim pięć lat temu odszedł na emeryturę. Waters nie jest jedynym, którego posłał za kratki.

— Tak sobie tylko myślałem. Interesujący zbieg okoliczności. Ale chyba rzeczywiście jedynie zbieg okoliczności. Mimo wszystko warto by się temu przyjrzeć. Masz ochotę przejechać się jutro do Modesto?

— Jasne, czemu nie? Skoro twierdzisz, że może coś w tym być... Choć osobiście wątpię. Ale chętnie wybiorę się na wycieczkę. Jeśli wyjedziemy zaraz na początku zmiany, będziemy na miejscu przed siódmą. Może w tym czasie wyjdą na jaw jakieś nowe poszlaki.

Jedyną nową rzeczą był oficjalny już raport pirotechników. Wybuch rzeczywiście okazał się dziełem przemyślnie skonstruowanej bomby. Gdyby sędzia lub jego żona byli w samochodzie, zginęliby lub zostali ciężko okaleczeni. Bomba miała detonator zegarowy. Wybuchła przedwcześnie: pani McIntyre spóźniła się o pięć minut na spotkanie ze Stwórcą. Powiadomiony telefonicznie o wypadku sędzia stwierdził, że teza o zamachu na jego życie wydaje mu się trafna, lecz podobnie jak Ted Lee wątpił w winę Watersa. Ten człowiek zbyt wiele wysiłku włożył w odzyskanie wolności, aby ryzykować jej utratę ledwie w parę dni po wyjściu z więzienia.

— Facet jest na to za inteligentny — uznał sędzia. — Czytałem jego artykuły. Wciąż twierdzi, że był niewinny. A już na pewno nie jest aż tak głupi, żeby próbować mnie wysadzić wiedząc, iż będzie pierwszym podejrzanym.

Podał im nazwiska kilkunastu innych ludzi, którzy jak sądził, mogli żywić do niego urazę i też znajdowali się na wolności.

Ted i Jeff pojechali mimo wszystko do Modesto i stanęli przed schroniskiem właśnie w chwili, gdy Malcolm Stark, Jim Free i Carlton Waters wracali z kolacji. Jim namówił ich na wypad do bistra przy stacji benzynowej, bo chciał spotkać dziewczynę, która tam pracowała.

— Dobry wieczór, panowie — rzekł z galanterią Ted. Wszyscy trzej natychmiast stężeli, a na ich twarzach odmalowała się wrogość. Policjantów umieli wywęszyć na milę.

— A cóż tu panów sprowadza? — zapytał Waters, kiedy usłyszał, kim są i skąd przyjechali.

— Drobny wypadek, jaki przydarzył się wczoraj w naszym miasteczku — wyjaśnił Ted. — Ktoś wysadził samochód sędziego McIntyre’a. Zapewne pamięta pan to nazwisko — dodał patrząc Watersowi prosto w oczy.

— Jasne, że pamiętam. Zamachowiec nie mógł wybrać lepiej

— odparł bez wahania Waters. — Żałuję, że sam tego nie zrobiłem, ale ten stary piernik nie jest wart, żeby przez niego wracać do mamra. Zginął? — spytał z nutką nadziei.

— Na szczęście nie. Nie było go wmieście. Ale wybuch omal nie zabił jego żony. Pięć minut później siedziałaby w aucie.

— Szkoda — westchnął Waters bez krzty współczucia.

Policjant obserwował go uważnie. Widać było, że jest inteligentny. A do tego zimny i śliski jak antarktyczny lodowiec.

Pomimo wszystko Ted Lee przychylił się do zdania sędziego. Niemożliwe, żeby Waters chciał ryzykować powrót do więzienia przez tak jawny zamach. Chociaż z drugiej strony... ponoć najciemniej jest pod latarnią. Waters mógł mieć stalowe nerwy i przewidzieć tok rozumowania służb śledczych. Miał dość czasu, by pojechać autobusem do San Francisco, podłożyć bombę i wrócić do schroniska w Modesto przed ciszą nocną. Instykt Teda podpowiadał mu, że szczeka pod niewłaściwym drzewem. Waters zadawał się jednak z podejrzanymi typami. Ted wiedział, kim są pozostali dwaj i od jak dawna przebywają na wolności. Zawsze uważnie czytywał informacje o wypuszczanych z więzień przestępcach i pamiętał ich nazwiska. Ci tutaj należeli do najgorszego sortu. Ted nigdy nie wierzył w zapewnienia Watersa, że skazano go niewinnie, i nadal nie miał do niego zaufania. Wszyscy zawsze twierdzą, że zostali wrobieni — przez swoje dziewczyny, współników czy obrońców z urzędu. Ted słyszał to miliony razy. Waters był trudnym przeciwnikiem i chytrzejszym, niżby Lee chciał. Miał wszelkie cechy socjopaty, człowieka wyzutego z sumienia, a do tego był bezsprzecznie inteligentny.

— A skoro już o tym mówimy, to gdzie spędził pan wczorajszy dzień? — spytał Ted z wyszukaną grzecznością, ignorując lodowate spojrzenie Watersa.

— W okolicy. Pojechałem autobusem do krewnych, a ponieważ nie było ich w domu, posiedziałem chwilę na ganku, a potem wróciłem i wieczór upłynął mi w towarzystwie tych oto dżentelmenów — odszczeknął się zjadliwie Waters.

Ponieważ nieobecna rodzina nie mogła tego potwierdzić, Ted nawet nie pytał o nazwiska.

— To miło — rzekł. — Czy ktokolwiek pana w tym czasie widział? — spytał patrząc Watersowi prosto w oczy.

— Kierowcy autobusów. Mam jeszcze bilety, jeśli chce pan zobaczyć.

— Będę uszczęśliwiony.

Widać było, że Waters gotuje się w środku ze złości, ale poszedł na górę do swojego pokoju i przyniósł odcinki biletów

podmiejskiej sieci Modesto. Były przedarte. Mógł to zrobić sam, Ted Lee uznał jednak tę hipotezę za zbyt nacięganą. Oddał bilety Watersowi, który przyjął je z niewzruszoną miną.

No cóż, panowie, starajcie się unikać kłopotów. Wpadniemy jeszcze, jeśli dojdą jakieś nowe informacje.

Policja miała prawo przesłuchiwać więźniów na zwolnieniu warunkowym, a nawet poddawać ich rewizji bez nakazu sądowego, ilekroć zechciała.

— A jak będziecie wychodzić, uważajcie, żeby nie przytrzasnąć auta w drzwiach — dodał pod nosem Jim Free, kiedy policjanci ruszyli do wyjścia. Ted i Jeff udali, że tego nie słyszą, spokojnie wsiedli do samochodu i odjechali. Waters odprowadził ich nienawistnym wzrokiem.

— Świnie — wycedził Stark.

Waters milczał. Obrócił się na pięcie i wszedł do budynku. Zastanawiał się, czy gliny z San Francisco będą go odwiedzać za każdym razem, kiedy zaświerzbą ich tyłki. Był wobec nich bezradny — jeśli zacznie się stawiać, cofną mu zwolnienie warunkowe.

— i co? — odezwał się Ted do swego partnera, gdy jechali z powrotem. — Myślisz, że jest czysty?

Sam nie wiedział, co myśleć. Wszystko było możliwe. Wgłębi serca wciąż żywił podejrzenia, z kolei rozum mówił mu, że bombę musiał podłożyć kto inny. Waters był inteligentny; niemożliwe, żeby zrobił takie głupstwo. Ale z jego oczu, z całej jego postaci emanowało zło. Bomba, groźna tylko dla pasażerów samochodu bądź ludzi znajdujących się tuż obok pojazdu, mogła stanowić preludium do czegoś znacznie gorszego.

— Nie, nie uważam, że jest czysty — odpowiedział Jeff Stone. — Ten facet to łajdak, jakich mało. Niewinny, też mi coś! Moim zdaniem ma dość odwagi i tupetu, żeby w ramach wycieczki podłożyć ładunek w samochodzie McIntyre'a i wrócić do schroniska przed ciszą nocną. Czasu też miał dość. Chociaż z drugiej strony... on nie jest głupi. Chyba rzeczywiście zrobił to kto inny. Ale nie zaufałbym Watersowi za grosz. Obawiam się, że wkrótce znów o nim usłyszymy.

Ted zgodził się z nim. Widzieli już wielu podobnych ludzi, którzy raz za razem wracali za kraty.

— Warto się przejść ze zdjęciami po tamtej dzielnicy. Tak na wszelki wypadek. Może ten mały Barnes go pozna. Nigdy nic nie wiadomo.

— Jasne, to na pewno nie zaszkodzi — kiwnął głową Jeff, rozmyślając o trójce mężczyzn, których przed chwilą pożegnali. Kidnaper, morderca i handlarz narkotyków. Szatańskie trio.

— Kiedy wrócimy, ściągnę zdjęcia. Przejdziemy się z nimi jutro lub po jutrze. Może ktoś go rozpozna.

— Byłby to cud — mruknął Ted, kiedy znaleźli się na autostradzie. W Modesto było gorąco, a podróż nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, ale i tak był zadowolony, że

pojechali. Nigdy dotąd nie zetknął się z Carlem Watersem twarzą w twarz. Ten facet przyprawił go o zimny dreszcz. Słowo „resocjalizacja” w odniesieniu do niego byłoby nonsensem. Dwadzieścia cztery lata — ponad połowę życia — spędził w szkole gladiatorów i z pewnością był teraz o wiele groźniejszy niż przed aresztowaniem. Była to przygnębiająca myśl. Ted miał tylko nadzieję, że Waters nie zabije nikogo, zanim znów go wsadzą.

Dwaj detektywi jechali przez pewien czas w posępnym milczeniu, a potem wrócili do rozmowy o prowadzonym śledztwie. Jeff zamierzał wyciągnąć z bazy danych listę wszystkich ludzi, których sędzia McIntyre skazał w ciągu minionych dwudziestu lat, i sprawdzić, kto jeszcze i od jak dawna przebywa na wolności. Rozsądek mówił, że sprawcy należy szukać wśród skazańców zwolnionych wcześniej od Watersa. Ted zakładał, że metoda stopniowej eliminacji da w końcu efekt. Carlton Waters nie został jeszcze wykluczony z kręgu podejrzanych. Nic bezpośrednio nie wskazywało na jego winę, ale też nie miał porządnego alibi. Waters to szczwany lis, nawet jeśli on to zrobił, mogą mu nigdy tego nie udowodnić. Ted postanowił mieć na niego oko. Przewidywał, że już wkrótce nazwisko Carla Watersa znów pojawi się w policyjnych aktach. To wydawało się nieuniknione. Waters nie należał do aniołów w ludzkiej skórze.

Rozdział VII

W środę o piątej po południu

zadzwęczał dzwonek u drzwi. Fernanda siedziała w kuchni, czytając list od Jacka Watermana, w którym wyliczał, co musi sprzedać i ile może za to uzyskać. Jego szacunki były ostrożne, ale oboje mieli nadzieję, że spieniężywszy wszystko — w tym biżuterię, którą hojnie obdarowywał ją Allan — Fernanda zdoła zacząć nowe życie od zera, a nie z poziomu znacznie niższego niż zero, czego najbardziej się obawiała. Oczywiście nadal nie miała pojęcia, z czego utrzyma dzieci przez najbliższe kilka lat, nie mówiąc już o pieniądzach na college. Żywiła nadzieję, że w odpowiedniej chwili wpadnie jej do głowy jakiś dobry pomysł. Na razie ograniczała się do tego, by z mozołem pokonywać każdy kolejny dzień, trzymać głowę nad wodą i nie pójść na dno.

Will siedział na górze, odrabiał lekcje albo udawał, że je odrabia; Sam bawił się w swoim pokoju, a Ashley była na próbie tańca. Próba kończyła się o siódmej, toteż kolację zamierzali dziś jeść później i Fernanda miała więcej czasu na niewesołe rozmyślanie. Słyszając dzwonek, wzdrygnęła się zaskoczona. Nie spodziewała się odwiedzin, a eksplozja sprzed dwóch dni była ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, idąc w stronę drzwi. W wizjerze zobaczyła Teda Lee. Tym razem był sam, miał na sobie białą koszulę, ciemny krawat i blezer i podobnie jak poprzednio wyglądał nad wyraz nobliwie.

Otworzyła drzwi, konstatając ze zdumieniem, że jest bardzo wysoki jak na Azjatę. Wcześniej jakoś uszło to jej uwagi. Trzymał w ręku szarą kopertę i zawahał się w progu, poprosiła więc, żeby wszedł. Miała rozpuszczone włosy, wyglądała na znużoną, a w jej oczach Ted zauważył zmartwienie. Zastanawiał się, co ją tak trapi. Wyglądała, jakby dźwigała na barkach ciężar całej kuli ziemskiej. Uśmiechnęła się jednak, starając się być miła.

— Witam, panie detektywie, jakże się pan miewa?

— Dziękuję, znakomicie. Przepraszam, że znów panią nachodzę. Wpadłem pokazać państwu zdjęcie pewnego człowieka.

Rozejrzał się, jak w niedzielę. Trudno było nie zachwycić się tym domem i jego bezcennym urządzeniem. Wyglądało tu jak w muzeum. W dzinsach i zwyczajnej trykotowej koszulce pani domu wydawała się tu trochę nie na miejscu. Powinna dostojnie omiatać schody trenem wieczorowej sukni okrytej etolą z kosztownego futra. Nie robiła co prawda wrażenia kobiety, która dobrze by się czuła w takim stroju. Ted instynktownie ją polubił. Emanujący z niej smutek nie zdołał przyćmić bezpretensjonalnej łagodności, choć Ted trafnie wyczuł, że zakochana w swoich dzieciach gotowa była ich zaciekle bronić. Znał się na ludziach i ufał swojemu osądowi także w tym przypadku.

— Złapano tego, ho wysadził samochód sędziego McIntyre'a? — spytała prowadząc detektywa do salonu, gdzie gestem zaprosiła go, by usiadł na jednej z miękkich, wygodnych sof obitych welwetem. Cały pokój urządzone był w beżowych zamszach, jedwabiach i brokatakach, a firanki pasowałyby do pałacu. (Tu Ted się wiele nie pomylił: pochodziły ze starego weneckiego pałacu; Barnesowie kupili je we Włoszech i przywieźli do domu.)

— Jeszcze nie. Na razie sprawdzamy różne tropy. Chciałem pokazać pani pewne zdjęcie, a także Samowi, jeśli zastałem go w domu. — Wciąż niepokoił go niezidentyfikowany mężczyzna, którego zauważył chłopiec. To byłoby aż nazbyt łatwe, myślał, gdyby Sam rozpoznał w nim Watersa. Co prawda i dziwniejsze rzeczy się zdarzały, ale Ted nie żywił nader wielkich nadziei.

Zwykle siły porządku nie miały aż tyle szczęścia. Śledztwo może ciągnąć się miesiącami, jeśli nie pomoże im szczęśliwy traf.

Wyjął z koperty mocno powiększone zdjęcie i podał Fernandezie. Wpatrywała się w nie przez chwilę jak zahipnotyzowana, a potem potrząsnęła głową i oddała mu fotografię.

— Nie. Wątpię, abym kiedykolwiek go widziała — odezwała się cicho.

— Ale nie jest pani pewna? — Ted obserwował każdy jej ruch, każdy grymas. Była w niej zarazem i siła, i kruchość. Jej smutek kłócił się ze wspaniałym otoczeniem, a z drugiej strony nie było w tym nic dziwnego, skoro nie tak dawno straciła męża.

— Właściwie jestem pewna — powiedziała szczerze. — Coś w tej twarzy wydaje mi się znajome, ale być może po prostu jest to tego rodzaju twarz. Czy miałam szansę go gdzieś spotkać?

— Zmarszczyła brwi, szukając w pamięci.

— Możliwe, że widziała pani jego twarz w gazecie. Właśnie wyszedł z więzienia. To była kiedyś głośna sprawa. Skazano go za zabójstwo. Przez dwadzieścia cztery lata utrzymywał, że jest niewinny, że to jego wspólnik pociągnął za spust.

— Okropne. Niezależnie od tego, kto naprawdę zabił. Sądzi pan, że faktycznie był niewinny? — Na niej zrobił wrażenie zdolnego do zbrodni.

— Nie, nie sędzę — odparł Ted bez ogródek. — Ale to inteligentny człowiek. Zresztą ho wie, może dziś już sam wierzy w swoją wersję. Nie pierwszy to taki przypadek i nie ostami. Więzienia pełne są ludzi, którzy zaklinają się, że są niewinni, a trafili za kraty przez nieudolnych sędziów albo przekupionych prawników. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

— Kogo zabił? — Fernanda wzdrygnęła się lekko. Nie były to przyjemne sprawy. — Sąsiadów, parę małżeńską. Zrabowali dwieście dolarów i trochę drobnych, które znaleźli w portfelach. Poturbowali dwoje malutkich dzieci; pozostawili je przy życiu wyłącznie dlatego, że nie było ryzyka, iż zostaną rozpoznani. Zbrodnicza, bezsensowna przemoc. Życie ludzkie niszczone dla paru dolarów, działki prochów albo dla zdobycia broni. Dlatego odszedłem z wydziału zabójstw. Pracując tam człowiek zaczyna zadawać sobie pytania odnoszące się do rodzaju ludzkiego; pytania, na które nie chce sobie odpowiadać. Ludzie, którzy popełniają takie czyny, należą do pewnego szczególnego gatunku. Trudno ich zrozumieć.

Fernanda kiwnęła głową myśląc, że prowadzona teraz przezeń sprawa wcale nie jest przyjemniejsza. Sędzia lub jego żona mogli przecież zginąć. Tyle tylko że nie było tu tej bezpośredniej brutalnej przemocy, która cechowała tamtą zbrodnię. Patrząc na zdjęcie Watersa czuła, jak krew jej stygnie. Było w nim coś lodowatego i przerażającego, co emanowało nawet z fotografii. Nie, na sto procent nie spotkała go na ulicy. Gdyby go widziała, zapamiętałaby tę twarz z pewnością.

— Jak pan sądzi, znajdziecie sprawcę? — spytała z zaciekawieniem. Zastanawiała się, jaki odsetek spraw udaje im się rozwiązać i ile sił i środków muszą w to angażować. Wyczuwała zaangażowanie Teda Lee, choć ten człowiek o miłej twarzy, łagodnych inteligentnych oczach i uprzejmym sposobie bycia nie pasował do jej wyobrażeń o policyjnych śledczych. Spodziewałaby się kogoś twardszego, wręcz obcesowego. Ted Lee wydawał się zbyt cywilizowany, za bardzo zwyczajny.

— To możliwe — odparł szczerze. — A na pewno będziemy się starać. Jeśli nie był to akt zemsty, sprawa będzie trudniejsza, bo to motyw przeważnie określa sprawcę. Jeśli zaś nie ma motywu..., cóż, to może być praktycznie każdy. Zważywszy jednak, że ofiarą miał być sędzia, osobiście podejrzewam zemstę. Ktoś poszedł do więzienia, czuł się skrzywdzony wyrokiem i chciał wziąć odwet. Jeśli tak, prawdopodobieństwo znalezienia go jest większe. Dlatego pomyślałem o Watersie, a raczej pomyślał o nim mój partner. W zeszłym tygodniu Waters po dwudziestu czterech latach wyszedł na wolność. Rozprawie przewodniczył sędzia McIntyre, który wydał wyrok skazujący. Oczywiście dwadzieścia cztery lata to kawał czasu, lecz w więzieniu łatwo pielęgnuje się urazy. Moim zdaniem jednak Waters jest za mądry, żeby się tak narażać. Cóż, jeśli to on albo ktoś z tego środowiska, wkrótce będzie o tym wiadomo. Ci ludzie mają swoje powiązania, znajomych. Rzadko kiedy potrafią zachować milczenie. Zupełnie jakby czuli podświadomy przymus, by chełpić się dokonanym czynem... na nasze zresztą szczęście. Prędzej czy później wieść dotrze do któregoś z naszych informatorów i będziemy mieli ptaszka w garści.

Fernanda słuchała zafascynowana, a równocześnie przerażona obrazem tej obcej subkultury, z którą nigdy się nie zetknęła i której z całą pewnością nie chciała poznać.

— Tymczasem sprawdzamy każdy możliwy ślad i każdą hipotezę — zakończył Lee.

— Waters był właśnie taką hipotezą; przypuszczalnie chybioną, ale wartą sprawdzenia. Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym pokazał Samowi zdjęcie?

— Oczywiście, że nie. — Fernanda też była ciekawa, czy Sam widział tego mężczyznę, ale nie chciała narażać go na ryzyko, że rozpoznany zechce się później zemścić. Zwróciła się więc do Teda z pytaniem: — A jeśli go rozpozna? Czy zachowacie jego tożsamość w tajemnicy?

— Naturalnie. Nie możemy narażać świadka, zwłaszcza gdy jest dzieckiem — odparł łagodnie. — Z zasady nie ujawniamy źródeł informacji.

Pokiwała głową z ulgą. Ted poszedł za nią schodami na piętro, do pokoju Sama, po drodze podziwiając zabytkowy kandelabr cudownej urody. Fernanda kupiła go w Wiedniu, w innym zrujnowanym pałacu. Rozebrany na pojedyncze kryształowe iskierki, z których każda została pieczołowicie otulona, przebył długą drogę do San Francisco.

Sam bawił się na dywanie.

— Dzień dobry — wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

— Więc jednak przyszedł mnie pan aresztować?

Widać było, że bynajmniej go nie przeraża ponowna wizyta policjanta. Ostatnio dzięki niemu stał się ośrodkiem zainteresowania, co sprawiło mu ogromną frajdę — w końcu nie każdy sześciolatek pomaga policji w śledztwie. Ponadto choć widział Teda tylko raz, natychmiast zapalał do niego sympatią. Dzieci bezbłędnie wyczuwają, kiedy ktoś je lubi.

— Nie, nie mam zamiaru cię aresztować. Przeciwnie, przyniosłem ci coś. — Ted sięgnął do kieszeni płaszcza. Rozmawiając w kuchni z Fernandą zapomniał ją uprzedzić, że ma dla chłopca prezent. Wręczył go Samowi, który aż jęknął. Była to lśniąca mosiężna odznaka policyjna w kształcie gwiazdy, różniąca się od prawdziwych w zasadzie tylko kolorem, policja San Francisco nosiła bowiem srebrne. — Jesteś teraz honorowym funkcjonariuszem policji San Francisco. Oznacza to, że musisz zawsze mówić prawdę, a jeśli zobaczysz włóczących się w okolicy bandytów lub inne podejrzane typy, masz obowiązek zaraz do nas zadzwonić.

Odznaka miała numer i litery SFPD — skrót od „San Francisco Police Department”.

Był to gadżet, jakie rozdawali przyjacielom wydziału. Sam miał taką minę, jak gdyby nowy znajomy wręczył mu właśnie największy brylant świata. Fernanda uśmiechnęła się z rozrzewnieniem, a potem przeniosła wzrok na Teda, dziękując mu spojrzeniem za ten miły gest.

— Imponująca. Jestem pod wrażeniem — powiedziała z powagą i znów uśmiechnęła się do synka.

Weszli do pokoju. Jak wszystkie w tym domu był urządzone z dużym smakiem. Dominował nasycony kolor niebieski z czerwonymi i żółtymi akcentami. Było tu wszystko, czego mógł zapragnąć chłopiec: duży telewizor z odtwarzaczem wideo, szafka z zabawkami, książeczkami i gramami. Na środku podłogi piętrzyła się góra klocków lego, którą Sam usiłował właśnie pokonać zdalnie sterowanym samochodzikiem. We wnęce okna było wyściełane siedzenie, skąd zapewne chłopiec wyglądał na ulicę tamtego pamiętnego dnia. Ted podał mu zdjęcie Carltona Watersa i spytał, czy już kiedyś widział tego mężczyznę.

Sam patrzył na zdjęcie równie długo jak matka. Oczy Watersa w dziwny, wręcz niesamowity sposób przykuwały wzrok. Wczoraj w Modesto Ted miał okazję się przekonać, iż w rzeczywistości robią jeszcze większe wrażenie. Stał i czekał cierpliwie, nie odzywając się, żeby nie rozpraszać chłopca. Oboje dorośli przyglądali się Samowi z napięciem. Chłopczyk wyraźnie się namyślał, szukał w pamięci; w końcu potrząsnął przecząco głową, ale wciąż zdawał się wahać. Ted to zauważył.

— Wygląda groźnie — stwierdził Sam oddając mu zdjęcie.

— Tak groźnie, że bałbyś się przyznać, iż go widziałeś?

— zapytał ostrożnie Ted, patrząc chłopcu w oczy. — Pamiętaj, jesteś teraz honorowym policjantem. Musisz z nami współpracować. Nie bój się, jeśli go rozpoznasz, on nigdy się o tym nie dowie

— dodał uspokajająco.

Sam jednak ponownie potrząsnął głową.

— Tamten też miał jasne włosy, ale wyglądał inaczej.

— A jak wyglądał? Spróbuj sobie przypomnieć.

Czasem wspomnienia nabierały ostrości dopiero po pewnym czasie. Przydarzało się to zarówno dzieciom, jak dorosłym.

— Nie dam rady — przyznał się mężnie Sam. — Ale kiedy patrzę na to zdjęcie, to wiem, że go nie widziałem. Czy to przestępca?

Nie wydawał się przestraszony. Miał przecież znajomego policjanta i mamę, która nie pozwoliłaby go skrzywdzić. Śmierć ojca była dla niego ciosem, lecz on sam nigdy nie zetknął się ze złem i ani mu przez myśl nie przeszło, że ktokolwiek mógłby mu zagrażać.

— Bardzo niebezpieczny przestępca — odpowiedział Ted.

— Morderca? — Sam traktował to jak ekscytującą fabułę filmową bez żadnych odniesień do rzeczywistości.

— Wraz ze swym współnikiem zabił dwoje ludzi.

Fernanda spłoszona zerknęła na Teda. Nie chciała, żeby wdawał się w szczegóły, a zwłaszcza mówił o pobitych dzieciach. Bała się, że Sam znów będzie miał koszmary — miewał je po śmierci ojca. Budził się ze strachem, że ona też umrze. Ted instynktownie o tym wiedział. Miał własne dzieci i nie zamierzał niepotrzebnie straszyć malca.

— Odsiedział za to wiele lat w więzieniu. — Celowo podkreślił, że zbrodnia została ukarana; że mordercy nie włóczą się po ulicach zabijając bez żadnych konsekwencji.

— Ale teraz jest wolny? — drążył Sam żywo zainteresowany.

— No tak, skoro o niego pytacie...

— Zwolniono go w zeszłym tygodniu, po dwudziestu czterech latach. Myślę, że dostał nauczkę, która odstraszy go od takich czynów w przyszłości — zapewnił go Ted.

Stąpał po cienkiej linii, zważywszy na wiek chłopca, ale jak dotąd skutkowało.

Zawsze potrafił rozmawiać z dziećmi i bardzo je lubił.

Fernanda myślała w tej chwili o tym samym. Dostrzegła obrączkę, świadczącą, że jest żonaty, i zgadła, że też musi mieć dzieci.

— Więc dlaczego pan myśli, że to on wysadził samochód?

— zapytał logicznie Sam, dowodząc swej rozwiniętej inteligencji.

— Mamy obowiązek sprawdzać wszystkie możliwości, nawet te najmniej prawdopodobne. Czasem ni stąd, ni zowąd w ten właśnie sposób znajdujemy przestępcę.

— A jak panu się wydaje? To był on czy nie on? — Malec był zafascynowany tokiem śledztwa.

— Osobiście sędzę, że nie on. Ale warto było sprawdzić. Pomyśl, co by było, gdyby to on był człowiekiem, którego szukamy, a ja nie pokazałbym jego zdjęcia głównemu świadkowi? Mogłoby mu wszystko uiść na sucho, a tego przecież nie chcemy, prawda?

Sam skwapliwie zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

Oboje dorośli uśmiechnęli się dyskretnie, by nie peszyć chłopca. Ted schował fotografię do koperty. Nie oczekiwał, że potwierdzi się wina Watersa, ale jak przed chwilą powiedział, warto było sprawdzić. Przy okazji uzyskał dodatkową informację: podejrzany miał jasne włosy. Kolejny maleński element układanki niespodziewanie trafił na swoje miejsce.

— Podoba mi się twój pokój — rzekł do Sama, chcąc mu sprawić przyjemność. — No i te zabawki. Są fantastyczne!

— Ma pan dzieci? — Chłopczyk zadari głowę, żeby na niego spojrzeć. Ścisnął swoją odznakę jak cenny skarb, którym zresztą dla niego była.

— Tak. — Ted uśmiechnął się i ojcowskim gestem poczochnął mu włosy. — Trzech synów, już dorosłych. Dwaj studiują, a trzeci pracuje w Nowym Jorku.

— Jest policjantem?

— Nie, maklerem giełdowym. Żaden z moich chłopców nie chciał zostać gliną. Z początku Ted był tym zawiedziony, ale po namyśle uznał, że tak jest lepiej. Praca w policji jest ciężka, często nużąca, a przede wszystkim niebezpieczna. Ted ją kochał; była jego żywiołem. Shirley za to zawsze wpajała chłopcom, jak wielką wartość ma wykształcenie. Najmłodszy po college'u wybierał się na prawo, a średni chodził już na kurs wstępny studiów medycznych. Ted był z nich dumny.

— A ty kim chcesz zostać, gdy dorosniesz? — zapytał z ciekawości choć wiedział, że chłopiec jest jeszcze za mały, by mieć plany na przyszłość. Podejrzewał jednak, że malec tęskni za ojcem i prawdziwa „męska” rozmowa sprawi mu przyjemność. Nie znał sytuacji Fernandy po śmierci męża, ale był w tym domu już drugi raz i za każdym razem odniósł to samo wrażenie, że jedynym mężczyzną jest tu jej starszy syn. Miała ten napięty, nerwowy, bezbronny wyraz twarzy kobiety, która sama boryka się z życiem.

— Baseballistą — oznajmił Sam. — Albo policjantem — dodał zerkając z miłością na swoją gwiazdę.

W tym momencie wszedł Will, który usłyszał głosy w przyległym pokoju i był ciekaw, kto to. Z uśmiechem powitał Teda, a Sam natychmiast pochwalił mu się, że jest funkcjonariuszem policji San Francisco.

— Kurczę, zazdroszczę ci! — Will wyszczerzył zęby i zerknął na Teda. — To była bomba, prawda?

— Niestety tak. — Detektyw pokiwał głową patrząc na tego przystojnego chłopca, serdecznego i bystrego jak jego młodszy braciszek. Pani Barnes miała naprawdę udane dzieci.

— Wiadomo już, kto to zrobił? — indagował go Will.

Ted ponownie wyjął zdjęcie.

— On? — zaintrygowany chłopiec przyglądał się przez dłuższą chwilę twarzy na zdjęciu. I znów oczy Watersa wywołały ten sam hipnotyczny efekt co przed kwadrans, gdy fotografali przypatrywali się Fernanda i Sam. Will oddał Tedowi zdjęcie i pokręcił głową.

Zatem żadne z nich nie widziało Watersa, a to już było coś. Nie wykluczało całkowicie jego winy, ale czyniło ją jeszcze mniej prawdopodobną.

— Badamy różne opcje — wyjaśnił Ted. — Na razie nic go nie łączy z tym wypadkiem. Czy widziałeś go kiedykolwiek?

— Nie. — Will ponownie pokręcił głową. — Macie kogoś jeszcze? — Policjant wywarł na nim dobre wrażenie i chętnie by mu pomógł. Emanował aurą uczciwości i rozsądku. Nie tylko Sam go polubił.

— Na tym etapie nie. Będziemy się z wami kontaktować.

— Ted zerknął na zegarek i stwierdził, że musi już iść.

Fernanda odprowadziła go na dół. Zatrzymał się w progu i spojrzał na nią. Było mu jej serdecznie żal — dziwne uczucie w odniesieniu do kogoś, kto żyje w takim dostatku.

— Ma pani przepiękny dom — zauważył i dodał ze współczuciem: — Bardzo mi przykro z powodu pani męża.

Po dwudziestu ośmiu latach z Shirley znał wartość partnerstwa. Nawet jeśli nie byli już sobie tak bliscy, to jednak nadal bardzo wiele dla siebie znaczyli. Tę kobietę zaś jak całun spowijała samotność.

— Mnie też — odpowiedziała ze smutkiem.

— Wypadek?

Fernanda zawahała się, spojrzała na niego, a straszliwy ból, który zobaczył w jej oczach, zaparł mu dech.

— Prawdopodobnie... Nie wiemy... — Znów się zawahała. Ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że może z nim rozmawiać swobodnie, otworzyć się przed nim, zaufać, choć na dobrą sprawę nie miała żadnego powodu mu ufać. — Możliwe, że to było samobójstwo—powiedziała. — Wypadł za burtę. Nocą, był sam na jachcie.

— Serdecznie pani współczuję. — Otworzył drzwi i znów odwrócił się do niej. — Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, proszę dać mi znać.

Właśnie to najbardziej lubił w swojej pracy — że poznawał ludzi, którzy nadawali jej sens. Na przykład tę rodzinę. Ujęli go za serce. Choć byli bogaci — a bez wątpienia byli — mieli też swoje smutki. Tragedia nie wybiera: bogaty czy biedny, ludzie z wszelkich środowisk cierpią przecież tak samo. W tym wielkim domu o kryształowych kandelabrach nie było nikogo, kto przytuliłby i pocieszył samotną kobietę i trójkę osieroconych dzieci. W tej samej sytuacji znalazłaby się Shirley, gdyby Ted miał mniej szczęścia. Wciąż o tym myśląc wszedł do samochodu i odjechał.

Tymczasem Fernanda cicho zamknęła drzwi i znów usiadła przy biurku. Przeczytała jeszcze raz list Jacka Watermana, po czym zadzwoniła, żeby się z nim umówić. Nie zastała go w biurze; sekretarka poinformowała ją, że wyjechał, i zapewniła, że sam skontaktuje się z nią jutro. Za kwadrans siódma pojechała po Ashley. Córka była w doskonałym nastroju; przez całą drogę gawędziły o tańcu, szkole i koleżankach. Dziewczynka dopiero wchodziła w wiek dojrzewania i wciąż łatwo znajdowała wspólny język z matką. Fernanda obawiała się, że za rok lub dwa zaczną się

nieuniknione konflikty. Na razie jednak były sobie bardzo bliskie, za co Fernanda dziękowała niebiosom.

Ashley z przejęciem mówiła o wakacjach. W lipcu miała jechać nad jezioro Tahoe i nie mogła się już doczekać zakończenia roku szkolnego. Wszyscy tęsknili do wakacji, choć Fernanda wiedziała, że kiedy dzieci wyjadą, będzie się czuła stokroć bardziej samotna. Na szczęście zostanie z nią Sam. Cieszyła się, że jest jeszcze mały i nie tak samodzielny jak starsze. Najchętniej nie odstępowałby jej na krok — zwłaszcza teraz, po śmierci Allana, choć ojciec w ostatnich latach nie poświęcał mu wiele uwagi. Zawsze był zajęty. Lepiej by zrobił, pomyślała Fernanda, spędzając więcej czasu z dziećmi, niż pracując na finansową klęskę, rujnując ich życie i swoje.

Wieczorem przy kolacji wszyscy byli zmęczeni, ale w lepszych nastrojach niż od dawna. Sam nosił na piersi swoją nową gwiazdę i z zapałem brał udział w ponownej dyskusji o wysadzeniu samochodu. Fernanda czuła się nieco lepiej, wiedząc, że była to zemsta człowieka, któremu sędzia wymierzył surową karę, nie zaś akt bezrozumnej przemocy skierowany przeciw komukolwiek. Pomimo to dręczyła ją świadomość, że istnieją ludzie gotowi ranić innych i niszczyć ich mienie. Któreś z dzieci mogło zostać ranne, gdyby w czasie wybuchu znalazło się blisko, i doprawdy sędziostwo mieli wielkie szczęście, że uszli z życiem. Trójka młodych Barnesów natomiast napawała się sensacją. Sam pomyślał, że coś tak niezwykłego mogło się przydarzyć tuż obok, na ich ulicy, wydawał się nie do uwierzenia. Fernanda też z trudem mogła w to uwierzyć. A jednak to się zdarzyło i mogło się zdarzyć ponownie. Nagle poczuła się bezbronna. Wieczorem, kiedy kładła się spać, brakowało jej Allana jeszcze bardziej niż dotąd.

Rozdział VIII

Peter

Morgan obdzwonił już wszystkich dawnych znajomych w San Francisco — bez rezultatu. Szukał pracy, a przynajmniej jakiejś propozycji, wskazówki. Miał w portfelu tylko nieco ponad trzysta dolarów i musiał wykazać się przed kuratorem chęcią podjęcia pracy. I naprawdę się starał. Ale już po tygodniu zrozumiał, że nie będzie to takie łatwe. Część ludzi pracowała obecnie gdzie indziej, nieraz w innych częściach kraju, a ci, którzy go jeszcze pamiętali, albo nie odbierali jego telefonów, albo zbywali go urażeni, że śmie ich nagabywać. Prawie wszyscy wiedzieli, że siedział w więzieniu, i nikt nie palił się do odnowienia znajomości. Pod koniec tygodnia Peter zdał sobie sprawę, że musi drastycznie obniżyć aspiracje, jeśli w ogóle chce zdobyć jakiegokolwiek zajęcie. To nic, że w więzieniu sprawował się dobrze, a jego praca była użyteczna w świecie ludzi wolnych nikt, ani w Dolinie Krzemowej, ani wśród fiksersów, nie chciał

mieć z nim do czynienia. Dzieje jego kariery obfitowały w zbyt wiele ciemnych plam; można było przypuszczać, że w ciągu czterech lat za kratami nauczył się jeszcze więcej podejrzanych szmczek. Nie wspominając o skłonności do narkotyków, która ściągnęła go na samo dno.

Pytał w restauracjach, małych biurach, sklepie z płytami, firmie przewozowej. Bez skutku. Dla nich jego kwalifikacje były za wysokie; ktoś otwarcie nazwał go mądrałą i snobem. Ale co gorsza, ciążyło na nim piętno kryminalnej przeszłości, praktycznie niwecząc wszelkie szanse. Pod koniec drugiego tygodnia miał już tylko czterdzieści dolarów i wciąż żadnych widoków. Właściciel pobliskiej knajpy oferował mu zajęcie przy zmywaniu naczyń — bez umowy, za połowę minimalnej pensji gotówką — ale Morgan nie byłby w stanie się z tego utrzymać, na więcej zaś nie mógł liczyć. Pod dostatkiem było chętnych spośród nielegalnych imigrantów, gotowych pracować za grosze. Tymczasem Peter potrzebował więcej, by przeżyć. Powoli popadał w rozpacz, wertując po raz setny stary notes adresowy, a za każdym razem gdy zaczynał od „A”, jego wzrok mimo woli zatrzymywał się w tym samym miejscu. Phillip Addison. Zdecydowanie wolałby go unikać. Addison był niebezpiecznym kontrahentem i już poprzednio wpędził Petera w kłopoty. W gruncie rzeczy Peter wciąż zadawał sobie pytanie, czy to nie on był autorem tej wpadki, przez którą trafił do więzienia. Peter był mu winien fortunę, a ilość kokainy, którą zużywał na własne potrzeby, nie rokowała szans, iż kiedykolwiek dług spłaci — czego zresztą nie zrobił. Z nieznanых powodów Addison postanowił zapomnieć o długu, przynajmniej na okres minionych czterech lat. Trudno windykować dłużnika, który siedzi. Nauczony doświadczeniem, Peter wciąż bał się go jak ognia i bynajmniej nie chciał mu o sobie przypominać.

Phillip Addison był właścicielem olbrzymiego konsorcjum, którym się szczylił, a także paru innych firm prowadzących brudne interesy, z którymi się nie afiszował. Ktoś taki bez trudu mógł znaleźć dla Petera miejsce w szarej strefie, a to oznaczało pracę i przyzwoite zarobki. Ale Peter wciąż się wahał. Już raz dał mu się omotać, a kiedy człowiek trafiał w łapy Addisona, stawał się jego własnością. Tylko że... do kogo innego miał się zwrócić? Nawet na stacji benzynowej go nie chcieli. Klienci sami tankowali paliwo, a nikt nie miał ochoty posadzić za kasą gościa, który świeżo wyszedł z mamra. Jego stopień naukowy był bezużyteczny, co się zaś tyczy listu polecającego od naczelnika więzienia, u większości rozmówców pismo to budziło śmiech. Peter nie wiedział, co robić. Nie miał przyjaciół, rodziny, nikogo, kogo by mógł poprosić o pomoc. Kurator radził mu, żeby się

pospieszył ze znalezieniem posady. Im dłużej jest bez pracy, tym ściślejszy roztoczą nad nim nadzór. Wiadomo było, że zwolnieni więźniowie bez środków do życia poddawani są rozmaitym naciskom i że w desperacji gotowi są na wszystko. Peter zaczynał wpadać w panikę. Pieniądze topniały zatrważająco szybko, lada dzień mógł zostać bez grosza, a musiał przecież jeść i płacić za dach nad głową. Dwa tygodnie po opuszczeniu Pelican Bay wpatrywał się w numer Addisona prawie pół godziny, nim w końcu ujął słuchawkę i zadzwonił. Sekretarka poinformowała go, że pan Addison jest za granicą; może zostawić wiadomość. Peter podał jej swoje nazwisko i telefon. Dwie godziny później siedział w pokoju, ponuro wpatrzony w ścianę, gdy ktoś z dołu zawołał, że dzwoni do niego gość nazwiskiem Addison. Peter popędził do telefonu czując przykre ściskanie w żołądku. Mógł to być początek

nowego życia. Albo początek jego końca. Z Addisonem jedno i drugie było równie możliwe.

— Ależ niespodzianka! — powitał go nieprzyjemny, szyderczy głos. Cóż, pomyślał Peter, najważniejsze, że oddzwonił. Na dodatek tak szybko. — Kiedy to wypłynąłeś na świat?

— Dwa tygodnie temu — odparł cicho Peter już żałując, że zadzwonił. Niestety, potrzebował pieniędzy. Jego majątek skurczył się do piętnastu dolarów, a kurator nie dawał mu spokoju. Brał nawet pod uwagę wystąpienie o zasiłek. Nim by go jednak otrzymał, przymierałby głodem albo został bez dachu nad głową. Teraz już rozumiał, jak to się zwykle dzieje. Przymus i żadnej możliwości wyboru. Dla niego w tej chwili jedyną opcją był Phillip Addison. Peter powtarzał sobie, że gdy tylko trafi mu się coś lepszego, zerwie z nim wszelkie układy. Odsuwał od siebie nieprzyjemną świadomość, że z Addisonem nie tak łatwo jest zerwać. Ten człowiek po mistrzowsku uzależniał od siebie innych nie przebierając w środkach.

— Skoro dzwonisz, to znaczy, że byłeś już wszędzie, co?

— roześmiał się cynicznie.

Doskonale znał sytuację, pracowało dla niego sporo byłych więźniów. Byli przyparci do ściany, gotowi na wszystko i bez granicznie lojalni — właśnie tak jak Peter Morgan. Addison lubił tego rodzaju pracowników.

— Dla takich jak ty nie ma miejsc pracy — rzekł otwarcie. Nie lubił owijać w bawełnę. — Co najwyżej mycie samochodów albo pastowanie butów. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w żadnej z tych ról. Cóż więc mogę dla ciebie zrobić? — spytał niemal uprzejmie.

— Muszę mieć pracę — wypalił bez ogródek Peter. Nie było sensu udawać. Pilnował się tylko, żeby powiedzieć „pracę”, a nie „pieniądze”.

— Czyli jesteś spłukany do ostatniego dolca. Zacząłeś przymierać głodem?

— Głodem? Nie, nie jestem jeszcze tak głodny, żeby robić głupstwa. Nie wrócę do więzienia, ani dla pana, ani dla nikogo innego. Zrozumiałem to i owo. Cztery lata to kawał czasu. Szukam pracy. Jeśli miałby pan dla mnie jakieś legalne zajęcie, byłbym naprawdę wdzięczny. — Peter nigdy w życiu nie czuł się tak poniżony.

Addison to wyczuł i bardzo się ucieszył. Doskonale pamiętał o długu Morgana i wiedział, że jeśli mimo wszystko Peter odważył się do niego zadzwonić, oznacza to, że jest dlań ostatnią deską ratunku.

— Zajmuję się wyłącznie legalną działalnością! — fuknął ze złością. Nigdy nie wiadomo, czy linia nie jest na podsłuchu, choć tym razem posługiwał się niewykrywalnym telefonem komórkowym. — A tak przy okazji, wciąż jesteś mi winien pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Tonąc pociągnąłeś za sobą wielu ludzi, którym musiałem wypłacić odszkodowanie. Gdybym tego nie zrobił, dopadliby cię w więzieniu i zginąłbyś marnie.

Peter wiedział, że nie ma w tym wiele przesady. Na ostatnią transakcję pożyczył od Addisona kwotę, której nie zwrócił, cały towar zaś został skonfiskowany, zanim zdążył go sprzedać. Był mu winien paręset tysięcy dolarów, czemu zresztą nie zamierzał zaprzeczać. Jak dotąd Addison czekał cierpliwie, ale dług istniał i obaj mieli tego świadomość.

— Może pan ściągać mi je z wypłaty, jeśli wola. Nie mając pracy nadal będę niewypłacalny.

Było to sensowne podejście do sprawy; Addison je uznawał, choć nie spodziewał się już odzyskać straconej sumy. Zamierzał natomiast wykorzystać to, że Peter ma wobec niego zobowiązania.

— Wpadnij pogadać — rzekł z namysłem.

— Kiedy? — Peter miał nadzieję, że nie każe mu długo czekać, nie chciał go jednak popędzać. Sekretarka mówiła, że jest za granicą, ale to przypuszczalnie była zasłona dymna.

— Dziś o piątej. — Addison nie zapytał, czy ma czas. Nie obchodziło go to. Jeśli Peter chce dla niego pracować, musi być na każde zawołanie. Dotychczas finansował jego transakcje, ale nie był jego bezpośrednim zwierzchnikiem. Teraz wszystko się zmieniło.

— Dokąd mam przyjść? — spytał martwym głosem Peter. Wciąż mógł powiedzieć „nie”, jeśli propozycja Addisona okaże się przestępcza albo zbyt upokarzająca. W duchu wszakże pogodził się już z tym, że będzie upokarzany, wyzyskiwanym niewolnikiem. Gotów był to znieść, o ile tylko nie będzie musiał łamać prawa. Tamten podał mu adres w San Ilyateo, napomniął, żeby się nie spóźnił, i odłożył słuchawkę. Oczekiwał go w biurowcu mieszczącym jego legalną firmę. Addison był inżynierem, miał też wykształcenie medyczne, a przede wszystkim specjalizował się w wykorzystaniu zaawansowanych technologii. Produkował głównie nowoczesną aparaturę chirurgiczną, podobno inwestował też w rozwój inżynierii genetycznej. Na początku odniósł fantastyczny sukces, ale potem zaczął mieć kłopoty. Z biegiem lat było raz lepiej, raz gorzej; sporo zarobił podczas boomu związanego z rozwojem Internetu. Potem kursy akcji spadły gwałtownie, jak zresztą w innych branżach. Addison w swoim czasie zyskał miano geniusza biznesu, szybko jednak okazało się, że jak wszyscy jest kolosem na glinianych nogach. Łatał swoje finanse sprowadzając narkotyki z Meksyku; w tej chwili zresztą większość jego kapitału zaangażowana była w nielegalne laboratoria ulokowane za południową granicą. Pracowały one pełną parą, a biuro pośrednictwa w obrocie gruntami na Mission stanowiło w istocie jedynie fasadę potężnego ośrodka handlu heroiną. Pośród najlepszych klientów Addisona było wielu yuppie. Rzecz jasna, nie wiedzieli, że kupują od niego. Nawet jego rodzina była przekonana, że prowadzi uczciwą działalność gospodarczą. Miał piękny dom w Ross, dzieci w prywatnych szkołach, należał do najszacowniejszych komisji dobroczynnych oraz najlepszych klubów. Uważany był za filar społeczności. Peter wiedział, że to tylko maska. Spotkali się, kiedy poprzednim razem był w kłopotach. Phillip Addison dyskretnie ofiarował mu pomoc. Początkowo nawet dostarczał mu narkotyków po zniżkowych cenach i doradzał, jak je ma sprzedawać. Gdyby własny nałóg Petera nie wymknął się spod kontroli, a wraz z nim jego zdolność osądu, nigdy nie trafiłyby do więzienia.

Phillip Addison był znacznie od niego mądrzejszy. Nie sposób było znaleźć na niego haka i jeszcze nikomu się to nie udało. Był poza wszelkimi podejrzeniami. Nigdy nie tykał sprzedawanych przez siebie prochów. Zręcznie zarządzał swym podziemnym imperium i na ogół trafnie oceniał ludzi. Co do Morgana jednak się pomylił — myślał, że jest ambitniejszy i pozbawiony aż tylu skrupułów. Tymczasem w przeciwieństwie do Addisona, który był złoczyńcą z powołania, Petera na drogę przestępstwa popchnęły okoliczności, błędne decyzje, a w końcu nałóg. W gruncie rzeczy był zwykłym poczciwym facetem, któremu się zdawało, że w życiu wystarczą dobre

chęci. Taki człowiek mógł stanowić dla Phillipa zagrożenie, ponieważ wykazywał niewłaściwe odruchy. Ale mógł też być użyteczny. Na jego korzyść świadczyły inteligencja, wykształcenie (harwardzki dyplom to atut nie do pogardzenia), dobra prezencja i odpowiednie znajomości. Rzecz jasna te ostatnie diabli wzięli, ale z pomocą Addisona Morgan mógł znów stanąć na nogi i można go było znowu wykorzystać — tym bardziej że w ciągu czterech lat więzienia zapewne nauczył się tego i owego. Przedtem był amatorem, harcerzykiem, któremu powinęła się noga. Jeśli stał się zawodowcem, Addison z przyjemnością go zatrudni, oceniwszy wpierw, czego Peter się nauczył, do czego jest skłonny się posunąć, a przede wszystkim — jak mocno jest przyciśnięty do muru. Zastrzeżenia, że w grę wchodzi wyłącznie uczciwa praca, Phillip Addison puścił mimo uszu. Nieważne, co Peter mówi. Ważne, co robi. Ciążący na nim dług dawał Phillipowi miazdzącą przewagę. Addison nie przeoczył faktu, że w trakcie śledztwa i procesu Morgan ani razu nie wymienił jego nazwiska. Nie wsypał nikogo. To dowodziło, że można mu zaufać. I tylko dlatego Addison nie nasłał na niego zabójców. Peter Morgan był człowiekiem honoru. Złodziejskiego honoru, ale jednak.

Peter pojechał autobusem do San Mateo w jedynym przyodziewku, jaki teraz posiadał — dzinsach, bawełnianej koszuli i tenisówkach, które dostał w więzieniu. Wyglądał czysto i schludnie, poszedł się nawet ostrzyć, lecz do takiej rozmowy powinien mieć garnitur, a nie było go stać na kupno ubrania. Idąc pod wskazany adres, drżał z niepokoju.

Addison siedział w swoim gabinecie, przeglądając gruby plik dokumentów. Teczka, która ponad rok spoczywała w zamkniętej na klucz szufladzie, zawierała wymarzony od dawna projekt. Operacja wymagała ogromnej precyzji; Addison porównywał ją w myśli do zabiegów na otwartym sercu, dokonywanych produkowanymi przez niego laserami. Tu nie było miejsca na pomyłki. Zatrudnieni ludzie musieli być zgrani niczym balet Teatru Wielkiego w Moskwie. Peter Morgan idealnie nadawał się do roli koordynatora tego przedsięwzięcia i nie miało znaczenia, czy robi to chętnie czy też nie. Ważniejsze było, czy robi to bezbłędnie. Addison pomyślał o nim natychmiast, gdy otrzymał wiadomość.

Sekretarka powiadomiła go, że Morgan czeka. Addison włożył teczkę do biurka, przekręcił klucz i wstał na powitanie.

Wchodząc do gabinetu Peter ujrzał wysokiego, dobrze ostrzyżonego mężczyznę przed sześćdziesiątką w szytym na miarę angielskim garniturze, pięknym krawacie i koszuli sprowadzonej z Paryża. Nawet buty — widoczne, kiedy obszedł biurko, aby uścisnąć Peterowi dłoń — wypolerowane były na lustrzany połysk. Peter boleśnie zdawał sobie sprawę, że nawet ogrodnik Addisona ubrany jest przy pracy znacznie lepiej niż on w tej chwili. Addison jednak udał, że tego nie widzi. Jego serdeczny, przyjacielski ton sprawiał, że Peter czuł się nieswojo. Czyżby ciężący na nim dług miał pójść w zapomnienie?

Gawędzili przez chwilę o wszystkim i o niczym, aż wreszcie Addison łaskawie spytał, jakiej pracy szuka. Peter odparł, że interesuje go marketing, finanse, nowe inwestycje, nowe technologie i w ogóle szeroko pojęta przedsiębiorczość, co zaś do konkretów — to od jego rozmówcy zależy, w jakiej roli najchętniej by go widział. Potem westchnął i spojrzał mu prosto w oczy. Nadszedł czas na szczerość.

— Proszę posłuchać, potrzebuję pracy. Jeśli jej nie znajdę, skończę jako żebrak na ulicy. Będę robił, cokolwiek mi pan każe, oczywiście w granicach rozsądku. Nie chcę wrócić do więzienia. To jedyny warunek. A zatem chodzi mi o pańską legalną działalność. Inna jest dla mnie za ryzykowna. Nie mogę. I nie chcę.

— Wyszlachetniałeś bardzo w ciągu tych czterech lat. Wcześniej nie miałeś tylu skrupułów.

— Przedtem byłem znacznie młodszy i znacznie głupszy. Pięćdziesiąt jeden miesięcy w Pelican Bay to dobry sposób na ustalenie hierarchii celów. Można powiedzieć, zimny prysznic. Pobudka. Nie mam zamiaru tam wrócić. Następnym razem będą musieli mnie zabić.

Masz szczęście, że nie zabili cię poprzednim razem

— rzekł otwarcie Addison. — Udało ci się wkurzyć bardzo wielu Judzi. Mnie też jesteś winien pieniądze — przypomniał. Był to tak zwany mocny wist. Ten młody człowiek musiał mieć świadomość, kto tu rządzi.

— Powiedziałem panu: będę szczęśliwy mogąc pracować i spłacić dług w ratach. Tylko to jestem w stanie zrobić.

Peter był szczery — o tyle, o ile szczerym można było być w rozmowie z człowiekiem pokroju Addisona. Uczciwość nie należała do najbardziej cenionych przezeń cnót. Ministranci byli dla niego bezużyteczni. Ale nawet Phillip Addison wiedział, że nie da się wycisnąć krwi z kamienia. Peter nie miał pieniędzy. Miał natomiast dwa inne atuty, w tej chwili całkiem wystarczające: inteligencję i silną motywację.

— Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że twoje życie nadal spoczywa w moich rękach. — Phillip zniżył głos. — Jeden z naszych wspólnych przyjaciół z Meksyku o niczym innym nie marzy, jak żeby cię wreszcie dopaść. Jeszcze bardziej zagorzałego wielbiciela masz w Kolumbii. Gotów był cię wyciągnąć z pudła wyłącznie po to) żeby z tobą pogawędzić. Poprosiłem go, żeby tego nie robił. Zawsze cię lubiłem, Morgan. Addison mówił takim tonem, jak gdyby rozmawiali o grze w golfa. Regularnie grywał w golfa z członkami najwyższych kół rządowych i przemysłowych. Miał potężne koneksje polityczne. Sam w sobie stanowił potęgę zła wyzutego z sumienia i moralności; potęgę, wobec której Peter był bezbronny jak dziecko. Pod żadnym względem nie mógł się z nim równać. Wiedział, że jeśli podejmie pracę u Addisona, stanie się pionkiem w jednej z prowadzonych przez niego gier. Ale jeśli tego nie zrobi, prędzej czy później trafi znów do Pelican Bay i będzie wypełniał papierki w więziennej kancelarii.

— Wobec tego jestem panu bardzo wdzięczny odrzekł grzecznie. Nie chciał kłamać, toteż bez odpowiedzi pozostawił deklarację sympatii. Peter jej nie odwzajemniał. Za dużo wiedział, żeby lubić Addisona. Otoczony powszechnym szacunkiem, gładki i śliski niczym kulka w łożysku, Addison w środku był przeżarty zgnilizną. Nieliczni, którzy znali jego prawdziwą twarz, a nie tylko jedną z wielu używanych przez niego masek, przyrównywali go do szatana. Peter Morgan także do nich należał.

— Byłoby marnotrawstwem zgnoić cię w więzieniu. Doszedłem do wniosku, że pewnego dnia bardziej mi się przydasz żywy — rzekł z namysłem Addison. W istocie ten dzień właśnie nadszedł. — Mam dla ciebie propozycję. Wpadła mi do głowy po naszej dzisiejszej rozmowie. Chodzi o precyzyjnie zorganizowane i zsynchronizowane wspólne przedsięwzięcie ekspertów.

— W jakiej branży? — Peter poczuł ulgę. Nareszcie przechodzą do konkretów. Wołał rozmawiać o pracy, a nie o swoich długach i potencjalnej śmierci.

— We właściwym czasie wszystko ci wyjaśnię. Trzeba zebrać jeszcze trochę informacji. Ty je zbierasz. A ja pomyślę, jak je wykorzystać. Ale najpierw chcę wiedzieć, czy się zgadzasz. Oferuję ci stanowisko koordynatora projektu. Nie sądzę, abyś dysponował dostateczną wiedzą techniczną niezbędną do jego bezpośredniego wykonania. Ja też jej nie posiadam. Do tego zatrudni się ekspertów. Jeśli dobrze wywiązesz się z zadania, dostaniesz udział w zyskach. Zauważ: proponuję ci spółkę, nie podrzędną posadę.

Peter słuchał zaintrygowany. Brzmiało to interesująco, stanowiło wyzwanie i mogło się nieźle opłacić. Właśnie tego potrzebował, żeby stanąć na nogi i poczynić inwestycje już we własnym imieniu, może nawet założyć własną firmę. Miał doskonałego nosa do inwestycji, a zanim poszedł siedzieć, sporo się nauczył. To była dla niego szansa, żeby zacząć wszystko od nowa, lepsza, niż sobie wymarzył. Addison potraktował go bardzo przyzwoicie i Peter był mu serdecznie wdzięczny.

— Czy to będzie inwestycja długoterminowa? — spytał. Jeśli tak, miałyby zapewnione utrzymanie, choć z drugiej strony byłby związany z Addisonem na dłużej, niżby chciał, może nawet kilka lat. Ale czas będzie działał na jego korzyść. Kiedy już się ustawi, wystąpi o przywrócenie praw do widywania dzieci. Wciąż o tym marzył, choć świadomie odsuwał od siebie to marzenie. Nie widział córek od pięciu lat i serce go bolało, gdy o nich myślał. Sam był sobie winny zniszczyć wszystko, w roli ojca również się nie sprawdził. Miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł je bliżej poznać. A jeśli sytuacja mu na to pozwoli, znów nawiązać przyjacielskie stosunki z Janet, mimo iż była teraz żoną innego.

— Przeciwnie — odparł Addison. — To bardzo krótkoterminowy projekt. Oczekuję, że zamknie się w dwóch, trzech miesiącach. Trzeba trochę czasu na wstępne rozeznanie, samo wykonanie potrwa miesiąc lub najwyżej dwa, no i trzeba będzie po sobie posprzątać. Nakład pracy niewielki, a zyski będą wyjątkowo wysokie. Trudno było odgadnąć, o czym właściwie mówi. Być może chodziło o nowy wynalazek, który zamierzał wprowadzić na rynek, i chciał, aby Peter przygotował kampanię marketingową. A może o nową spółkę, którą miał poprowadzić w okresie rozruchu, rozkręcić sprzedaż akcji, a potem przekazać w inne ręce? Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Addison był tajemniczy, a Peter słuchał i gubił się w domysłach.

— Mówi pan o jakimś nowym produkcie? O próbach rynkowych? — poddał.

— W pewnym sensie. — Addison kiwnął głową i umilkł.

Zastanawiał się, czy odsłonić swój plan czy jeszcze się wstrzymać.

— Przygotowywałem ten projekt od dłuższego czasu — podjął z szatańskim uśmiechem. — Twój dzisiejszy telefon był zaiste dziwnym zrzędzeniem opatrności.

Peter nigdy w życiu nie patrzył w równie zimne, przerażające oczy.

— Kiedy mam zacząć? — Pomyślał o piętnastu dolarach w portfelu. Wystarczą najwyżej na dzisiejszą kolację i jutrzejsze śniadanie, pod warunkiem że zje w McDonalddie. Jeśli nie, wyda je jeszcze dzisiaj, a jutro będzie zebrał na ulicy i jak go na tym złapią, cofną mu warunkowe zwolnienie.

Addison spojrzał mu prosto w oczy.

— Choćby dziś, jeśli chcesz. Nie ma powodu zwlekać. Projekt trzeba będzie realizować etapami. Chcę, żebyś w ciągu najbliższych czterech tygodni przeprowadził rozpoznanie i zatrudnił specjalistów.

W sercu Petera zapłonęła iskierka nadziei. To brzmiało lepiej, niż się spodziewał. Być może jego modlitwy zostały wysłuchane.

— O jakiego rodzaju specjalistach mówimy? — Wciąż nie za bardzo mógł ogarnąć zasięg, a nawet rodzaj przedsięwzięcia. Najwyraźniej wiązało się to z zaawansowaną technologią i było ściśle tajne.

— Ty ich wybierzesz. Oczywiście życzę sobie, żebyś się ze mną konsultował, ale twoje znajomości w tej branży są znacznie

szersze niż moje. — Addison wyjął z szuflady opasłą teczkę i podał Morganowi.

Ten zaś ją otworzył, przejrzał i zerknął na rozmówcę. W teczce były wycinki gazetowe i raporty, szczegółowe zapisy dosłownie każdego przedsięwzięcia, w jakim miał udział Allan Barnes w ciągu minionych czterech lat. Peter był pod wrażeniem. Oczywiście wiedział, kim jest Barnes. Zarówno finansjera, jak i ludzie ze świata komputerowych technologii uznawali go za geniusza, największego z nich wszystkich. Akta zawierały nawet kilka zdjęć Barnes'a z rodziną. Były niesłychanie dokładne.

— Myśli pan o wspólnym przedsięwzięciu wraz z nim?

— Kiedyś owszem, myślałem, dziś już nie. Najwyraźniej nie jesteś na bieżąco. Zmarł w styczniu, pozostawiając wdowę i troje dzieci.

— Co za szkoda — westchnął ze współczuciem Peter, zastanawiając się, jakim cudem mu to umknęło. Faktycznie, czasami w więzieniu nie czytał gazet. Świat za murami wydawał mu się zbyt odległy.

— Oczywiście projekt byłby znacznie bardziej interesujący, gdyby Barnes żył. Sądzę, że jego bezpośredni udział byłby dla nas korzystniejszy, ale skoro sytuacja jest taka, jaka jest, mam zamiar zawrzeć umowę z wdową — rzekł wielkodusznie Phillip.

— Umowę? — powtórzył Peter niewiele z tego rozumiejąc.

— A zatem ona zarządza teraz jego imperium? — Rzeczywiście wypadł z obiegu. Nie przypominał sobie, by cokolwiek o tym czytał.

— Zakładam, że zostawił jej całą fortunę, może z wyjątkiem legatów dla dzieci — wyjaśnił Addison. — Jeden z moich dobrze poinformowanych przyjaciół to potwierdza. I wiem, że zanim zmarł, zarobił pół miliarda dolarów. Zginął nagle, utonął podczas wyprawy na ryby do Meksyku. Odnośnie do dalszych losów firmy na razie nabrali wody w usta, ale zakładam, że decydujący głos będzie miała wdowa.

Rozmawiał już pan z nią na temat tej przyszłej inwestycji?

— Peter dotąd nie przypuszczał, że zainteresowania Barnes'a i Addisona mogą się pokrywać, ale była to ciekawa koncepcja,

a jeśli Addison miał problemy finansowe, alians z tak potężnym partnerem jak Allan Barnes lub jego spadkobiercy z pewnością mógł je rozwiązać.

Żaden z nich nie podejrzewał, że imperium runęło i to jego upadek stał się przyczyną śmierci biznesmena. Allan Barnes okazał się mistrzem kamuflażu; zacierał ślady swoich szaleńczych przedsięwzięć tak dokładnie, że do tej pory nikt, nawet z powiązaniem Addisona, nie miał pojęcia o rozmiarach kataklizmu. Żona, prawnicy i zarządy spółek wchodzących w skład konsorcjum wykonali kawał dobrej roboty dbając, by nic nie przedostało się do wiadomości publicznej. Oczywiście nie mogli tego robić wiecznie. Ale od wypadku minęły już cztery miesiące, a legenda Allana

Barnesa nie doznała uszczerbku. Fernandezie zależało na tym, aby taki stan rzeczy utrzymał się jak najdłużej.

Peter doszedł do wniosku, że Addison wpadł na genialny pomysł. Planowany alians istotnie mógł mu przynieść wymierną korzyść. Nazwisko zmarłego potentata nadal stanowiło gwarancję sukcesu przedsięwzięcia niezależnie od branży, swoistą nobilitację. A wspólne przedsięwzięcie konsorcjów Barnesa i Addisona było właśnie tym, czego potrzebował Peter, żeby znów zaistnieć w świecie. I to na dobre. Jego marzenie się spełniło. Uśmiechnął się teraz z szacunkiem do Addisona, ściskając w ręku dossier.

— Nie rozmawiałem jeszcze osobiście z panią Barnes — rzekł Addison. — Chciałbym się do tego dobrze przygotować. Także w tym celu muszę mieć ekspertów.

— Powinienem lepiej przeczytać te akta, żeby zyskać pełniej - sze rozeznanie.

— Nie sądzę, aby to było konieczne. — Addison wyciągnął rękę i odebrał mu teczkę.

— Jest tam zawarta tylko historia jego osiągnięć w porządku chronologicznym

Oczywiście ma to związek ze sprawą, ale o wszystkim już pewnie sam wiesz.

Peter był zbity z tropu. Cały projekt zdawał się owiany tajemnicą — do tego stopnia, że kazano mu zatrudniać ludzi nie precyzując wymaganych od nich kwalifikacji.

Zleceniodawca nie wyjawiał mu nawet rodzaju przedsięwzięcia ani segmentu rynku.

Jego mieszkanie było na ręce Addisonowi, który uśmiechnął się zza biurka, zamykając akta na klucz w szufladzie.

— Jak mogę szukać ekspertów, skoro nie mam pojęcia, co będziemy robić? — bąknął Peter.

— Myślę, że masz pojęcie. Nie? Muszę ci wyłożyć wszystko czarno na białym? Chcę, żebyś wynajął kilku swoich nowych znajomych.

— Jakich znajomych? — Peter zdębiał do reszty.

— W ciągu minionych czterech lat z pewnością poznałeś wielu ciekawych ludzi, przedsiębiorczych i zainteresowanych tym, by szybko zarobić dużą ilość pieniędzy, a potem cichutko zniknąć. Wybieraj starannie. Potrzebni nam najlepsi; to oni wykonają pracę, ty masz tylko nadzorować i koordynować projekt.

— Czyli co właściwie? — Peter zmarszczył brwi. Z zawodowego punktu widzenia minione cztery lata stanowiły w jego życiu białą plamę. W więzieniu spotkał tylko bandytów, gwałcicieli, morderców i złodziei. Spojrzał na Addisona i nagle krew zastygła mu w żyłach. — Co mogą mieć wspólnego pani Barnes i...?

— To bardzo proste. Po zakończeniu przygotowań zwrócimy się do pani Barnes z ofertą. Delikatny bodziec, o który zadbamy, skłoni ją do jej przyjęcia. Wyłoży tyle, ile zechcemy. O, nie mam bynajmniej wygórowanych żądań zważywszy na wielkość spadku, a co za tym idzie, wysokość podatku, który będzie musiała zapłacić. Można założyć, że w chwili śmierci Allan Barnes posiadał pół miliarda dolarów. Rząd upomni się o pięćdziesiąt parę procent. Ostrożna kalkulacja pozwala przypuszczać, że po zakończeniu wszelkich niezbędnych procedur pozostanie około dwustu milionów. Mam zamiar poprosić panią Barnes o połowę tej sumy.

— W co miałyby zainwestować? — spytał zmienionym głosem Peter, choć już odgadł odpowiedź.

— W życie i szczęśliwy powrót do domu jednego lub wszystkich swoich dzieci. Sam przyznasz, że to niewygórowana cena. Mówiąc prosto, podzieli się z nami po połowie. To chyba

uczciwa propozycja, nieprawdaż? Jestem pewien, że bardzo chętnie zapłaci. Ty byś na jej miejscu nie zapłacił? — Na wargach Addisona igrał diaboliczny uśmiech. Peter zerwał się z krzesła.

— Czy ja dobrze rozumiem? Chce pan, żebym porwał jej dzieci i zażądał stu milionów okupu?! — Patrzył na siedzącego naprzeciw mężczyznę z taką miną, jakby został ogłuszony szrapnelem. Phillip Addison niechybnie postradał zmysły. Nic podobnego. — Phillip spokojnie pokręcił głową i oparł się wygodnie w fotelu. — Chcę, żebyś wybrał i wynajął ludzi, którzy to zrobią. To muszą być zawodowcy, nie amatorzy jak ty i ja. Sam przyznaj, jesteś tylko drobnym oszustem i bardzo nieudolnym dealerem koki. W żadnym razie kidnapierem. Ja także nim nie jestem. Zresztą nie nazwałbym tego kidnappingiem. To po prostu transakcja handlowa, jakich wiele. Allan Barnes wygrał los na loterii. Wielki los; trudno mu odmówić szczęścia. Nie ma powodu, aby wszystko miała zagarnąć wdowa. Każdy z nas grał w tę samą grę. Czemuż by Allan nie miał wspomóc kolegów po fachu, choćby i zza grobu? Nie skrzywdzimy dzieci. Przetrzymamy je tylko przez krótki czas, a potem całe i zdrowe oddamy matce w zamian za kawałek odziedziczonego przez nią tortu. Trzeba się dzielić z bliźnimi. Na Boga, on nawet nie zapracował tych pieniędzy. Po prostu trafił mu się łut szczęścia. Teraz nasza kolej: niech szczęście dla odmiany uśmiechnie się do nas. — Żrenice Phillipa lśniły złowrogo, lecz na wargach wciąż miał uśmiech.

— Czy pan zwariował? — Peter stał wytrzeszczając na niego oczy. — Wie pan, jakie są wyroki za porwania? Jeśli nas złapią, dostaniemy czapę, niezależnie od tego, czy je skrzywdzimy czy nie. Za sam współudział grozi kara śmierci. I ja to mam zorganizować? Nigdy w życiu. Niech pan sobie poszuka innego frajera. — Obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

— Na twoim miejscu nie odchodziłbym jeszcze, Morgan. Masz w tym własny interes. Peter spojrział na niego tępo. Miał w nosie dług u Addisona. Wolałby już wcześniej zginąć z jego ręki, niż przez niego zostać skazanym na karę śmierci. Sam pomyśl, by żerować na cudzej żałobie i szermować życiem dzieci, nappełnił go odrazą.

— Nic podobnego — syknął. — Jaki mogę mieć interes w porwaniu cudzych dzieci? — Addison przyprawiał go o mdłości. Miał ochotę napluć mu w twarz. Ten człowiek był jeszcze gorszy, niż przypuszczał; na wskroś nieludzki i chciwy do obłędu.

Peter nie wiedział, że finansowe imperium Addisona zaczyna się chwiać i bez poważnego zastrzyku gotówki rozpadnie się jak domek z kart. Addison prał pieniądze kolumbijskich wspólników, inwestując je w rynek informatyczny, który obiecywał kolosalne zyski. Efekty rzeczywiście były fantastyczne — dopóki nie zmieniła się koniunktura. Załamanie rynku omal nie pogrążyło go całkowicie. A wiedział, że Kolumbijczycy nie będą się z nim cackać, gdy odkryją, że stracił ich forszę. Musiał coś z tym zrobić, i to szybko. Morgan spadł mu jak z nieba.

Odpowiedź na jego pytanie była prosta.

— Osobisty — rzekł ze złym uśmieszkiem. — A konkretnie: życie własnych dzieci.

— Co mają do tego moje dzieci? — warknął nerwowo Peter.

— O ile pamiętam, spłodziłeś dwie córeczki, których nie widzisz od kilku lat. Za młodu znałem twojego byłego teścia. Miły człowiek. Jestem pewien, że jego wnuczki też są urocze.

— Phillip Addison nie spuszczał z niego oczu.

Lodowaty dreszcz przepelzł Peterowi po plecach.

— I co to ma do rzeczy?

W trzewiach zagnieździł mu się paniczny strach, tym razem nie o siebie. Decydując się zadzwonić do Addisona mimo woli wciągnął córki w jego mroczną orbitę, wystawił je na strzał. W głowie mu szumiało.

— Dość łatwo będzie je zlokalizować. Sam mógłbyś to zrobić, gdyby cię to bardziej obchodziło. Jeśli będziesz się stawiał, przeszkadzał lub próbował na mnie donieść, zajmemy się twoimi córeczkami. Tylko że nie będzie żądania okupu. Po prostu cichutko znikną i już nikt ich nigdy nie zobaczy.

Peter zbladł.

Chce pan powiedzieć, że jeśli nie porwę dzieci Barnes'a, pan zabije moje? — Głos trzął mu się i łamał przy każdym słowie. Niestety, z góry znał odpowiedź.

— Właśnie to chcę ci powiedzieć. Nie masz wyboru, w każdym razie ja nie widzę dla ciebie alternatywy. Zamierzam natomiast hojnie ci to wynagrodzić. Za reżyserię tego przedstawienia dostaniesz dziesięć milionów. Dwieście tysięcy z góry, reszta na konto w szwajcarskim banku. Co więcej, anuluję dług, jaki masz wobec mnie. Daję ci wolną rękę: możesz zgarnąć całą trójkę młodych Barnesów lub tylko jedno, obojętne które. Chcę, żebyś wyszukał i wynajął do tej roboty odpowiednich ludzi. Zawodowców, nie mięczaków takich jak ty. Wszystko ma iść jak w zegarku, żadnych wpadek. Wystarczy trzech; każdy zarobi pięć milionów dolarów, płatne po dostarczeniu okupu przelewem do Szwajcarii lub Ameryki Południowej. Resztę biorę ja.

Peter dokonał szybkiej kalkulacji i wyszło mu, że ze stumilionowego okupu Addison zatrzyma siedemdziesiąt pięć milionów. On i trzech pozostałych mężczyzn podzielą się odciętym z łaski kawałkiem placka. Ale Addison bardzo jasno ustalił zasady: jeśli nie zgodzi się wziąć w tym udziału, jego córki zginą. To już nie była gra, a wojna nuklearna. Peter nie miał żadnej swobody manewru; cokolwiek zrobi, będzie źle. Zastanawiał się, czy nie ostrzec Janet, żeby zapewniła dzieciom ochronę, zanim Addison do nich dotrze, ale nie bardzo wierzył w powodzenie takich działań. Addison był zdolny do wszystkiego, teraz już o tym wiedział. A Peter nie chciał, by któremukolwiek z dzieci stała się krzywda — ani jego, ani Barnesów. Nagle oprócz jego życia na szali leżało pięć innych ludzkich istnień.

— Pan jest chory psychicznie — wyjąkał siadając z powrotem. Myślał gorączkowo, starając się znaleźć jakiegokolwiek wyjście z sytuacji. Bezskutecznie.

— Ale sprytny, sam musisz przyznać. — Addison wyszczerzył zęby. — Myślę, że ten plan jest wykonalny. Teraz musisz znaleźć właściwych ludzi. Dasz im po sto tysięcy zaliczki. Ty dostaniesz dwieście; musisz kupić sobie przyzwoite ubranie i wynająć jakieś lokum. Oprócz tego znajdziesz odpowiednie miejsce, w którym ukryjesz zakładników na czas oczekiwania na okup. Nie sądzę, aby pani Barnes zwlekała zbyt długo, zwłaszcza że dopiero co straciła męża. Życie dzieci będzie miało dla niej tym wyższą wartość. Nie zechce przecież zostać całkiem sama.

Addison słusznie zakładał, że w tej bolesnej sytuacji Fernanda Barnes będzie znacznie bardziej podatna na wywierany nacisk, chciał więc kuć żelazo, póki gorące. To było doprawdy opatrnościowe zrządzenie losu, znak, na który czekał — idealny wykonawca tego planu sam się do niego zgłosił. Z pewnością po czterech latach w Pelican Bay znał odpowiednich ludzi.

Peter znał odpowiednich ludzi, ale nie była to praca, o jakiej myślał. Miał ochotę po prostu obrócić się na pięcie i wyjść. Ale co wtedy stałoby się z dziewczynkami? Addison trzymał go w garści. Tylko tak można było na to patrzeć. A skoro w grę wchodziło życie jego dzieci, nie miał wyboru. Jak mógłby ryzykować? Wątpił, czy Janet zechce z nim rozmawiać, a zanim ją znajdzie i potem przekona, dziewczynki mogą już być martwe. Nie, nie mógł igrać z człowiekiem tak groźnym i pozbawionym skrupułów jak Phillip Addison.

— A jeśli sprawy się skomplikują? — spytał. — Na przykład któreś z dzieci zginie?
— Twoja w tym głowa, żeby tak się nie stało. Rodzice na ogół niezbyt chętnie płacą za martwe dzieci. A gliny robią się wtedy nerwowe.

— Pal licha gliny. Pięć minut po porwaniu będziemy mieli na karku FBI.

— Wybędziecie — pogodnie zaznaczył Addison. — Co do mnie, latem wyjeżdżam do Europy. Będę na południu Francji. Sprawę pozostawiam w twoich jakże kompetentnych rękach.

Oczywiście — w ten sposób unikał podejrzeń, że mógłby maczać w tym palce.

— Ponadto — ciągnął — jeśli któryś z twoich ludzi da się złapać, jestem gotów zapłacić mu połowę przyrzeczonej sumy. To powinno pokryć koszt obrońcy sądowego, a nawet starczyć na porządnie zorganizowaną ucieczkę. — Jak widać, myślał o wszy-

stkim. — A ty, mój przyjacielu, możesz zaryzykować pozostanie w kraju albo wynieść się dyskretnie do Ameryki Południowej, gdzie dziesięć milionów dolarów zapewni ci bardzo wygodne życie. Decyzja należy do ciebie. Kto wie, może w przyszłości znów zrobimy jakiś wspólny interesik?

I będzie go szantażował do śmierci, w razie nieposłuszeństwa grożąc, że wyda go FBI. Nieważne, rozstrzygał fakt, że Addison miał w ręku życie jego córek. Mimo że Peter nie widział ich od tak dawna, wciąż je kochał i wolałby umrzeć, niż je narazić. Godził się na ryzyko więzienia, nawet kary śmierci. Teraz wszakże ciążył na nim jeszcze jeden obowiązek: musiał dopilnować, żeby dzieci Barnesów nie doznały krzywdy. Wchodziło tu w grę także ich życie. Dla Petera stało się ono sprawą najwyższej wagi, nieporównanie ważniejszą niż dziesięć milionów dolarów.

— Skąd mam wiedzieć, że pan mi zapłaci? — burknął.

Addison uśmiechnął się szeroko. Już wiedział, że wygrał. Klamka zapadła.

— Dostaniesz dwieście tysięcy zaliczki — powtórzył. — Powinno ci to starczyć na bieżące wydatki. Resztę wpłacę ci na konto, gdy tylko dostaniemy okup. Dziewięć milionów osiemset tysięcy dolarów, nie licząc darowanych długów. Niezła sumka jak dla byłego więźnia, który nie ma nawet własnego nocnika, nie sądzisz?

Peter nie odpowiadał, patrzył na niego wstrząśnięty tym, co usłyszał. W ciągu dwóch godzin jego życie znów spłynęło do szamba. Nie zdoła wyjaśnić, skąd ma pieniądze; już do końca życia będzie się musiał ukrywać.

O tym jednak Addison także pomyślał.

— Jestem gotów udokumentować ci tę wypłatę formalną umową. Nikt się nigdy nie dowie.

Ale Addison będzie wiedział. I choćby bardzo zręcznie preparował swoje księgi, zawsze istniało ryzyko, że ktoś się wygada. Więzienia pełne są głupców, którzy myśleli, że Są kryci, dopóki ktoś ich nie sprzedał. A on na resztę życia stanie się niewolnikiem Addisona. Chociaż z drugiej strony, już był jego własnością. Od chwili

gdy wyłuszczył mu swój plan, nie było odwrotu. Ani dla Petera, ani dla jego dzieci, ani tym bardziej dla dzieci Barnesów.

— A jeśli ta kobieta nie zdoła zapłacić? Pomyślał pan o tym?

— zapytał przezornie. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, zwłaszcza w obecnej sytuacji gospodarczej, kiedy to na przestrzeni ostatnich kilku lat wielkie fortuny pojawiały się znikąd i równie raptownie upadały, pozostawiając za sobą Himalaje długów.

Addison zbył go śmiechem.

— Nie bądź głupi. Rok temu Barnes był wart pół miliarda dolarów. Nie zdołałby stracić takiej sumy, choćby nie wiem jak się starał. Wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. Wierz mi, nie umarł jako biedak. A wdowa zapłaci. Któż by w tych okolicznościach nie zapłacił? Pozostanie jej dość, by cieszyć się ocaleniem dzieci. O ile dzieci ocaleją. To zaś będzie zależało od ludzi, których Peter wybierze. Trzymał los młodych Barnesów w swoich rękach. Miał wrażenie, że śni jakiś nocny koszmar. Cokolwiek zrobi, straci życie, a w najlepszym razie świeżo odzyskaną wolność. Na długie lata.

Addison otworzył szufladę biurka, wyjął z niej kopertę i rzucił Peterowi. Zawierała pieniądze, które przygotował przed jego przyjściem.

— Tu jest sto tysięcy, na początek. Drugie sto zostanie ci dostarczone w przyszłym tygodniu, też gotówką, na różne drobne wydatki. To zaliczka na poczet tych dziesięciu milionów, które dostaniesz po wykonaniu roboty. Dwie godziny temu wszedłeś tu jako przymierający głodem łachmaniarz, a wychodzisz jako człowiek bogaty. Staraj się o tym pamiętać. I jeśli kiedykolwiek poczynisz choćby niewyraźną aluzję do mojego udziału w tej sprawie, w ciągu dwudziestu czterech godzin będziesz martwy. I nie tylko ty. Czy to jasne? Ilekroć obleci cię strach i będziesz miał ochotę się wycofać, pomyśl o swoich córkach.

Miał go całkowicie w swojej mocy i doskonale o tym wiedział. Peter nie widział żadnej drogi ucieczki.

— Zaczynij teraz obserwować panią Barnes. A także szukać odpowiednich ludzi. Wybierz ich starannie. I wyjaśnij im, że jeśli któremuś wpadnie do głowy zwiąć z zaliczką czy w jakikolwiek inny sposób wystawić nas do wiatru, zostaną mu dwa dni życia. To mogę zagwarantować. — W oczach Addisona dało się wyczytać, że mówi poważnie. Peter uwierzył mu bez zastrzeżeń i wiedział, że to samo dotyczy jego.

— Kiedy chce pan to zrobić? — spytał wkładając kopertę do kieszeni. Czuł się całkiem odrętwiąły, jakby dostał po głowie.

— Ustalił pan już datę operacji?

— Powinieneś zwerbować ludzi w ciągu najbliższych kilkunastu dni i już zacząć śledzić obiekt. W ciągu miesiąca zdążymy zebrać wszystkie potrzebne informacje. Myślałem o początku lipca.

Addison pierwszego lipca wyjeżdżał do Cannes. Chciał znaleźć się za granicą, zanim to zrobią. Tyle Peter był w stanie odgadnąć. Kiwnął głową ponuro. W ciągu jednego popołudnia całe jego życie przewróciło się na nice. Miał w kieszeni kopertę pełną forsy i... wolałby jej nie mieć. Osiągnął tylko ryle, że sprzedał duszę w zamian za życie córek. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, mali Barnesowie też pozostaną przy życiu. Jedynie to się liczyło, reszta nie miała znaczenia. Te dziesięć milionów dolarów cuchnęło potworną krzywdą. Był potępiony; właściwie równie dobrze mógł się

położyć i umrzeć. Odwrócił się i bez słowa skierował do drzwi. W progu dogonił go głos Addisona.

— Powodzenia. I bądź w kontakcie.

Kiwnął tylko głową, wyszedł i zjechał windą na parter. Było wpół do ósmej, wszyscy dawno poszli już do domów. Dlatego nikt nie widział, jak Peter pochylił się nad kubłem na śmieci na rogu ulicy i długo, długo wymiotował.

Rozdział IX

Leżąc wieczorem na piętrowym łóżku w schronisku, Peter nadal rozważał, czy nie powinien skontaktować się z byłą żoną, ostrzec ją, żeby pilnowała dzieci. Czuł jednak, że Janet mu nie uwierzy. Nie chciał też drażnić Addisona — mógłby porwać dziewczynki i zrobić z nich zakładniczki, dopóki Peter nie wykona zadania, którego się podjął. Addison nie był jednak w ciemę bity. Wiedział, że jeśli skrzywdzi dzieci Petera albo choćby wystawi je na ryzyko, ten nie mając już nic do stracenia wyda go bez namysłu. Jak długo więc Peter robił, co mu kazano, dziewczynki były bezpieczne. To jedyna rzecz, jaką dla nich zrobił w ciągu ostatnich pięciu lat, a właściwie kiedykolwiek

— kupił im bezpieczeństwo za cenę własnego. Wciąż nie chciało mu się wierzyć, że wszystko się uda. Może, jeśli doberze właściwych ludzi. Od tego zależy powodzenie bądź fiasko planowanej akcji. Jeśli zatrudni bandę zwykłych zbirów, mogą wpaść w panikę i zabić dzieci. Potrzebni mu byli ludzie inteligentni, o mocnych nerwach, prawdziwi zawodowcy — najlepsi w branży. Ci, których znał z więzienia, już dowiedli swej niekompetencji tym, że dali się złapać. Peter musiał przyznać, że plan Addisona był świetny. O ile tylko wdowa miała pieniądze i mogła nimi dysponować. Trudno było przypuszczać, że trzyma sto milionów w domu, w puszcze po herbatnikach.

Nazajutrz będzie musiał wynająć sobie pokój w przyzwoitym hotelu, nie nazbyt droгим ani eleganckim. Nie chciał afiszować się z pieniędzmi, których pochodzenia nie mógłby wytłumaczyć, choć Addison powiedział, że wciągnie go na listę płac jako konsultanta zatrudnionego w pewnej mniejszej filii. Firma ta, formalnie zajmująca się badaniem rynku, w rzeczywistości była fasadą jednej z jego central handlu narkotykami. Funkcjonowała już jednak od lat bez najmniejszych problemów, a co ważniejsze

— nie dało się jej powiązać z osobą Addisona.

Właśnie o tym rozmyślał, kiedy do pokoju wszedł jego współlokator.

— Jak minął dzień? — zagadnął.

Facet od rana do wieczora tyrał w barze Burger King, śmierdział sznycłami i fryturą — umiarkowana poprawa w porównaniu z zeszłym tygodniem, kiedy to pracował w smażalni ryb. Odór hamburgerów był tylko odrobinę znośniejszy.

— W porządku. Dostałem pracę. Jutro się przeprowadzam

— odpowiedział Peter martwym głosem.

— Jaką pracę? — zaciekał się tamten. Polubił Petera, który był cichy, spokojny i nie wtykał nosa w cudze sprawy. Poznać w nim było faceta z klasą, nawet gdy chodził w dżinsach i podkoszulku. Mówił też jak człowiek wykształcony. Ale nawet księżę po wyjściu z mamra lądował na tym samym wózku co wszyscy.

— Badania rynku. Nic specjalnego, ale starczy na czynsz i wyżywienie.

Peter nie potrafił udawać entuzjazmu. Wciąż czuł mdłości. Miał wrażenie, że zaraz umrze. Nieomal żałował, że nie jest w więzieniu. Przynajmniej tam życie było proste i mógł mieć nadzieję na poprawę losu. Teraz to przepadło. Był skończony. Zaprzedał duszę diabłu.

— To ekstra, chłopie. Bardzo się cieszę — rozpromienił się współlokator Petera, porządny w gruncie rzeczy facet, który odsiedział w okręgowym więzieniu wyrok za sprzedaż marihuany. Chociaż był strasznie niechlujny, Peter też go polubił.

— Masz ochotę iść gdzieś to uczcić?

— Dzięki, stary, ale nie. Głowa mi pęka. A rano muszę pędzić do pracy.

W rzeczywistości już pracował — koncepcyjnie. Myślał, kogo zatrudnić do wykonania planu Addisona. Czekало go niezmiernie delikatne zadanie: znaleźć ludzi, którzy go nie wydadzą, jeśli nie dojdzie do zawarcia umowy. Zawsze istniała możliwość, że się nie zgodzą albo on ich odrzuci, bo uzna, iż będą stwarzać za duże ryzyko. Plan ujawni dopiero, gdy ich lepiej pozna, sprawdzi i nabierze do nich zaufania. Pomimo to bardzo ryzykował; ssało go w żołądku, ilekroć się głębiej nad tym zastanowił. Jak dotąd przyszedł mu na myśl tylko jeden mężczyzna. Co prawda nie siedział za porwanie, ale Peter podejrzewał, że jest on właściwym człowiekiem do tej roboty. Wiedział z grubsza, dokąd tamten się udał po opuszczeniu więzienia.

Musiał go tylko znaleźć i zapytać. Zajmie się tym rano, po przeprowadzce do hotelu.

Nękany podobnymi myślami, przewracał się bezsennie prawie całą noc.

Nazajutrz rano znalazł sobie nowe lokum. Pojechał autobusem do miasta i po krótkich poszukiwaniach wybrał hotelik na obrzeżach Tenderloinu, u południowego podnóża Nob Hill. Hotel był mały, bezosobowy i panował w nim wystarczający ruch, aby nikt nie zwracał na niego uwagi. Zapłacił gotówką za miesiąc z góry, apotem wrócił na Mission, żeby spakować rzeczy. Wymeldował się w recepcji, zostawił współlokatorowi kartkę, w której życzył mu powodzenia, po czym wsiadł do autobusu i udał się z powrotem do centrum. Najpierw poszedł do Macy'ego kupić trochę ubrań. Odczuł spore zadowolenie mogąc to nareszcie zrobić. Zaopatrzył się w kilka par spodni i koszul, dwa krawaty, sportowe palto i skórzaną baseballową kurtkę, swetry, nową bieliznę i kilka par przyzwoitych butów. Następnie udał się do hotelu, w którym wynajął pokój. Po kąpieli, przebrany, poczuł się jak nowo narodzony. Wyszedł na ulicę, rozglądając się za miejscem, w którym mógłby coś zjeść. Po chodniku snuły się prostytutki, w bramach ślaniali się pijacy. W zaparkowanym przed hotelem samochodzie facet sprzedawał narkotyki. Poza tym pełno było turystów i

biznesmenów. Była to właśnie tego rodzaju ulica, na której nikt nie zwraca na drugiego uwagi i łatwo zgubić się w tłumie. A do tego dążył Peter. Nie miał ochoty się wyróżniać.

Po kolacji spędził godzinę przy telefonie. Wiedział, kogo szuka, i był zdziwiony, że tak łatwo udało mu się go znaleźć. Postanowił rano pojechać autobusem do Modesto. Przedtem zaś kupił telefon komórkowy. Co prawda jednym z warunków zwolnienia, standardowym w przypadku byłych handlarzy narkotyków, był zakaz posiadania telefonu komórkowego. Addison jednak kazał mu kupić telefon, a teraz Addison był szefem — to nie ulegało kwestii. Kurator i tak się o tym nie dowie. Rano poinformował go, że dostał pracę i podał nowy adres. Kurator był bardzo zadowolony. Życzył mu szczęścia. Peter zadzwonił też do biura Addisona; zostawił numer swojej komórki i telefonu hotelowego.

Dzieci coraz bardziej emocjonowały się nadchodzącymi wakacjami. Will szczególnie się cieszył na trwający trzy tygodnie obóz sportowy. Pozostała dwójka też nie mogła już usiedzieć w szkole. Nazajutrz, odwiózłszy je do tego przybytku katuszy, Fernanda wstąpiła do kancelarii Jacka Watermana. Mieli wiele do omówienia — jak zresztą przy każdym spotkaniu. Fernanda zawsze lubiła Jacka, choć w obecnych czasach odgrywał niewdzięczną rolę Kasandry. Wcześniej zajmował się nieruchomościami Barnesów, a ponadto od wielu lat był przyjacielem Allana. Pomimo to też był zaskoczony, że Allan zdołał doprowadzić swój majątek do ruiny, podejmując katastrofalne decyzje, które teraz nieodwołalnie zaważyły na przyszłości Fernandy i dzieci. Wciąż nie mógł mu tego wybaczyć. Allan powinien był lepiej zadbać o żonę, nie zasłużyła na taki los. Fernanda usiadła naprzeciw z filiżanką kawy, którą podała jej sekretarka.

— Mówiłaś już dzieciom? — spytał Jack pośpiesznie.

— O domu? — Uniosła brew. — Jeszcze nie. Na razie nie muszą wiedzieć. Dom idzie na sprzedaż dopiero w sierpniu, po co mają się niepotrzebnie martwić przez trzy miesiące. Poza tym nie wiadomo, czy sprzedamy go od razu.

Na rynku nieruchomości panował zastój, a dom był ogromny i drogi w utrzymaniu. Jack już jej powiedział, że musi absolutnie pozbyć się go jeszcze przed końcem roku. Doradził też, żeby możliwie największą część wyposażenia sprzedała oddzielnie. Przede wszystkim meble. Na urządzenie domu Bamesowie wydali ponad pięć milionów dolarów. Większość tej kwoty była nie do odzyskania, jak koszty marmurów, którym były wyłożone wszystkie łazienki, czy zabudowy kuchni. Ale wiedeński kandelabr, kupiony za czterysta tysięcy, można było wystawić na aukcji w Nowym Jorku i kto wie, - może nawet sprzedać z zyskiem.

Fernanda zdawała sobie sprawę, że kiedy zacznie odzierać dom z cenniejszych rzeczy, dzieci się zaniepokoją i chcąc nie chcąc będzie musiała wyjawić im prawdę. Bala się tej chwili. Odsunęła od siebie ponurą myśl, uśmiechając się do Jacka, który odpowiedział jej uśmiechem.

Jaka ona jest dzielna, stwierdził w duchu. Podziwiał ją. Powiedziała mu kiedyś, że Allan z pewnością nie przewidział, jakie krzywdy przyniesie jego śmierć. Znając go Jack podejrzewał, że nie poświęcił temu ani jednej myśli. Zajmowały go wyłącznie interesy i pieniądze. Rzadko dostrzegał innych ludzi, zarówno podczas swej oszałamiającej drogi do sukcesu, jak i w trakcie upadku. Był przystojny, czarujący, inteligentny

— i zakochany w sobie bez reszty. Nawet jego samobójstwo było aktem egoizmu: widział tylko własną rozpacz, nie żonę i dzieci. Jack żałował, że nie jest w stanie bardziej pomóc Fernandzie, ale w danej chwili robił wszystko, co mógł.

— Wyjeżdżasz gdzieś latem? — spytał odchylając się w krzesło.

Znali się od niepamiętnych czasów. Jack studiował ekonomię z Allanem, a potem prawo. Dostyc późno ożenił się z koleżanką, prawniczką, która zmarła na raka mózgu w wieku trzydziestu pięciu lat. Nie zdążyli nawet doczekać się dzieci. Własna tragedia uwrażliwiła go na ból Fernandy. Głęboko jej współczuł, a jedyne, czego zazdrościł, to właśnie dzieci. Martwił się zwłaszcza o to, z czego będą żyć po spłaceniu długów. Wiedział, że Fernanda myśli o podjęciu pracy. Roiała sobie, że gdyby udało jej się dostać na etat w szkole Sama i Ashley, może nie musiałaby płacić czesnego. Ale potrzeba jej było znacznie więcej. Przebywszy - drogę na szczyt i Z powrotem, znalazła się na poziomie o wiele niższym od tego, na którym niegdyś rozpoczynali życie. Niejedną rodzinę spotkał taki los, gdy załamała się rozbuchana koniunktura na rynku informatycznym, lecz historia Fernandy przybrała drastyczniejszy wymiar — z winy Allana.

— Will jedzie na obóz, a Ash do Tahoe — odparła. — Sam i ja zostajemy w mieście. Możemy chodzić na plażę.

Słuchając jej poczuł wyrzuty sumienia, że sam wybiera się w sierpniu do Włoch, i już wahał się, czyby nie zaprosić jej wraz z dziećmi, miał jednak podróżować z przyjaciółmi. W życiu Jacka obecnie nie było żadnej kobiety, a choć Fernanda od lat zajmowała w jego sercu szczególne miejsce, to jednak zdawał sobie sprawę, że jest zdecydowanie za wcześnie na jakiegokolwiek awanse. Allan nie żył dopiero od czterech miesięcy. Kiedy on sam owdowiał, nie spotykał się z nikim przez ponad rok. Ale myśl o Fernandzie zaprzętała go nie raz w ciągu tych ubiegłych paru miesięcy.

Potrzebowała kogoś, kto by się nią zajął, a Jack bardzo lubił i ją, i jej dzieci.

Oczywiście Fernanda nic miała pojęcia o jego uczuciach.

— Może po zakończeniu roku szkolnego wybierzemy się na dzień lub dwa do Napa?

— zaproponował ostrożnie.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Znali się już tak długo, że traktowała go jak brata.

Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że chętnie umówiłby się z nią na randkę, tylko czeka sposobniejszej pory. Fernanda wypadła z matrymonialnego rynku siedemnaście lat temu i nie zamierzała ponownie nań wkraczać. Miała teraz na głowie ważne sprawy, znacznie pilniejsze. Na przykład to, z czego wyżywi rodzinę.

— Dzieci będą zachwycone — odparła.

— Jeden z moich przyjaciół ma piękną żaglówkę. — Starał się ją rozerwać i zabawić dzieci, nie będąc zarazem natrętnym.

Fernanda spojrzała na niego pustym wzrokiem i nerwowo podniosła filiżankę.

— Dzieci uwielbiają morze. Allan często zabierał je na jacht. Ja... niestety, no cóż... cierpię na chorobę morską.

Nie znosiła wspaniałego jachtu Allana; dostawała mdłości, nim jeszcze weszła na pokład. A teraz na dodatek każda wzmianka o jachtach kojarzyła jej się z jego śmiercią. Nigdy więcej nie miała ochoty ich oglądać.

— A zatem pomyślimy o czymś innym — rzekł ciepło Jack.

Następne dwie godziny spędzili nad finansami. Skończyli tuż przed południem. Fernanda w lot rozumiała zawilosci prawne i podejmowała rozsądne decyzje. W żadnym razie nie była trzpiotką. Jack żałował tylko, że nie może więcej dla niej zrobić. Zaprosił ją na lunch, ale wymówiła się sprawami do załatwienia i wizytą u dentysty. W rzeczywistości czas spędzony z nim na rozmowie o jej trudnej sytuacji był tak stresujący, że po każdym spotkaniu czuła się potwornie zmęczona i chciała po prostu zostać sama. Gdyby poszli na lunch, na pewno znów rozmawialiby o jej problemach i o długach Allana. Wiedziała, że Jack jej współczuje, było to bardzo ujmujące z jego strony — ale sprawiało, że czuła się bezradna i żałosna. Z ogromną ulgą więc się z nim pożegnała i wróciła sama na Pacific Heights. Westchnęła głośno, próbując się otrząsnąć z paniki. Kiedy wychodziła z kancelarii Jacka, czuła w żołądku twarde supeł wielkości pięści i także dlatego odrzuciła zaproszenie na lunch. W zamian zapowiedział, że odwiedzi ich w przyszłym tygodniu, a wcześniej jeszcze zadzwoni. W obecności dzieci mniej przytłaczała ją groza ponurych realiów, którą owiane było każde spotkanie z Jackiem. Był pragmatykiem i zawsze mówił jej prawdę bez ogródek — czasem aż nazbyt dosadnie. Fernanda byłaby zaszokowana, gdyby ktoś jej powiedział, że Jack ma wobec niej romantyczne zamiary. Nigdy nawet nie przeszło jej to przez myśl, choć przecież spotykali się tak często. Zawsze widziała w nim wspaniałego człowieka, solidnego jak skała, i bardzo mu współczuła, że nie ożenił się ponownie. Jack stwierdził kiedyś, że po prostu nie spotkał odpowiedniej osoby. Fernanda wiedziała, jak mocno kochał żonę, a Allan ostrzegał ją kilkakrotnie, by nie próbowała go swatać ze swoimi znajomymi — wobec tego dała mu spokój. Nigdy jej nie zaświtało, że pewnego dnia to ona mogłaby dzielić z nim życie. Jej miłość do Allana przetrwała jego śmierć. Mimo wszystkich jego brzemiennych w skutki błędów uważała, że był wspaniałym mężem, i nie czuła potrzeby szukania zastępcy. Wciąż była jego żoną i pozostanie nią do końca swoich dni. Powiedziała to dzieciom. W pewnym sensie je uspokoiła, zwłaszcza Sama, choć równocześnie zrobiło im się jej żal.

Ashley kilkakrotnie poruszała ten temat w pogawędkach z Willem, kiedy matka nie mogła ich usłyszeć. Dziewczynka była urodzoną swatką — jak Fernanda, tylko jeszcze bardziej romantyczną.

— Nie chcę, żeby do końca życia była sama — mówiła.

Will niechętnie dopuszczał do siebie myśl, by matka mogła związać się z innym mężczyzną. Także i tym razem natychmiast się zdenerwował.

— Tato dopiero co umarł — burknął. — Dajże jej trochę czasu. A co, mówiła o kimś? — spytał z niepokojem.

— Zawsze powtarza, że nie chce nikogo. Chce być jego żoną aż do śmierci. To takie smutne!

Fernanda wciąż nosiła obrączkę. Nigdy już nie wychodziła wieczorem, chyba że z dziećmi do kina lub na pizzę.

— Mam nadzieję, że któregoś dnia pozna wspaniałego mężczyznę i zakocha się z wzajemnością — zakończyła patetycznie Ashley.

Will wzniosł oczy ku niebu.

— To nie nasza sprawa — powiedział surowo.

— Oczywiście, że nasza. Słuchaj, a Jack Waterman? — Ashley była bardziej spostrzegawcza od matki. — Mama mu się podoba.

— Nie bądź głupia, Ash. To tylko znajomy.

— Nigdy nie wiadomo. On też jest wdowcem. Nie ożenił się powtórnie. — Ashley nagle się stropiła. — Jak sądzisz, chyba nie jest gejem?

— Oczywiście, że nie. Ma co najmniej kilka dziewczyn.

A w ogóle to jesteś obrzydliwa. — Will z hukiem wypadł z pokoju, jak zawsze gdy jego siostra snuła akademickie skądinąd rozważania o życiu uczuciowym Fernandy. Will nie lubił myśleć o matce w tym kontekście. Dla niego była przede wszystkim matką i nie widział nic złego w tym, by pozostała samotna, skoro chce. Jemu to wystarczało. Ashley, choć młodsza, była o wiele bardziej przenikliwa.

W sobotę, gdy Fernanda oglądała kolejny młodzieżowy mecz hokeja na trawie, Peter Morgan jechał autobusem do Modesto. Miał na sobie nową odzież kupioną za pieniądze od Addisona. Wyglądał elegancko i dyskretnie. Udało mu się już za drugim razem; mężczyzna, który odebrał telefon w schronisku w Modesto, potwierdził, że Waters jest tam zameldowany. Peter nie miał pojęcia, jak zagaić rozmowę, kiedy już dotrze na miejsce. Musiał się zorientować w sytuacji Watersa i jego nastawieniu. Jeśli nawet nie zechce podjąć się tej roboty, to po prawie ćwierćwieczu odsiadki z wyrokiem za morderstwo powinien znać odpowiednich ludzi. Jak Peter uzyska od niego ich nazwiska, to inna sprawa, zwłaszcza jeśli Waters obrazi się za sarną propozycję. „Rozeznanie”, o którym mówił Addison, nie było takie łatwe, na jakie wyglądało. Siedząc w autobusie Peter w myśli układał swą przemowę.

Jak się okazało, schronisko oddalone było tylko o parę przecznic od dworca autobusowego. Peter zdjął skórzaną kurtkę, podwinął rękawy i przebył ten dystans pieszo w późnowiosennym upale. Zanim dotarł pod wskazany adres, jego nowe buty już były pokryte kurzem. Mimo to nadal wyglądał jak zamożny biznesmen.

Wkroczywszy do schroniska, zbliżył się do biurka stojącego w holu i zapytał o Watersa. Dowiedział się, że wyszedł i nie wiadomo, kiedy wróci. Miał w okolicy rodzinę; mógł pojechać do krewnych albo wyjść gdziekolwiek z kolegami. Dyżurny potwierdził tylko, że przed dziewiątą wieczorem wszyscy mieszkańcy muszą być z powrotem w budynku.

Peter postanowił zaczekać. Wyszedłszy na zewnątrz, usiadł na werandzie i tkwił tam dość długo, aż wreszcie o piątej, kiedy właśnie zamierzał pójść coś zjeść, zobaczył znajomą postać zbliżającą się ulicą w towarzystwie dwóch innych mężczyzn.

Waters robił wrażenie samą posturą. Wyglądał jak zawodowy koszykarz, wysoki i mocno zbudowany, szeroki w barach, a do tego umięśniony—przez wiele lat w więzieniu ćwiczył na siłowni z imponującymi rezultatami. W innym miejscu i czasie mógł być bardzo groźny. Peter pocieszył się myślą, że w ciągu całych dwudziestu czterech lat więzienia Waters nie miał na koncie ani jednego incydentu z użyciem przemocy. Oczywiście istniała spora szansa, że oferta, jaką za chwilę zamierzał mu złożyć, rozwścieczy go do tego stopnia, że wpadnie w furję i rozsmaruje Petera na ścianie. Ten zaś miernie oceniał swoje możliwości w sparingu z Watersem.

Przechodząc przez ulicę, Waters patrzył wprost na niego. Poznali się natychmiast, choć nigdy się nie przyjaźnili. Waters był tym, kogo szukał Addison — profesjonalistą w przeciwieństwie do lichych amatorów w rodzaju Petera. Co prawda teraz dzięki Addisonowi Peter również grał w pierwszej lidze, lecz bynajmniej nie był z tego dumny. Szczerze mówiąc, czuł do siebie odrazę, ale nie miał wyboru.

Wstał czekając, aż Waters wejdzie na werandę. Wrogie spojrzenie człowieka skazanego za morderstwo nie poprawiło mu samopoczucia.

— Szukasz kogoś? — usłyszał.

Kiwnął głową.

— Jak się masz? — spytał tylko. Stali naprzeciw siebie czujnie niczym dwa bulteriery; Peter bał się, że Waters zaatakuje. Tamci dwaj, Malcolm Stark i Sim Free, pozostali nieco z tyłu, czekając na rozwój wydarzeń.

— Niekiepsko. A ty?

Ponownie kiwnął głową w odpowiedzi. Nie spuszczała z siebie wzroku, ich spojrzenia przywarły do siebie jak namagnetyzowane. Peter nie był pewien, od czego zacząć, ale Waters chyba się domyślił, że chodzi o niego, bo odwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział:

— Za chwilę do was przyjdę.

Zmierzyli Petera wzrokiem i weszli do budynku zatraskując za sobą siatkowe drzwi. Waters spojrział na niego pytająco.

— Masz do mnie interes?

Peter znów kiwnął głową i westchnął. To było trudniejsze, niż myślał, i bał się o wiele bardziej. Ale z drugiej strony w grę wchodziła masa szmalu. Ciężko było przewidzieć, jak Waters zareaguje i co powie. Nie była to jednak odpowiednia sceneria do poufnych narad.

— Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

— Park, kawałek dalej.

Waters trafnie odgadł, iż Peter nie chce iść do żadnego baru ani schroniskowej świetlicy, gdzie ktoś mógłby ich podsłuchać.

Wyczuł bez trudu, że chodzi o ważną sprawę. Musiała być ważna

— w więzieniu nie zamienili ze sobą w sumie dziesięciu słów, a nagle Morgan przyjeżdża specjalnie do niego aż z odległego o trzy godziny drogi San Francisco. Był ciekaw, co tamten ma mu do powiedzenia.

— Może być — mruknął sucho Peter i zszedł za Watersem ze schodków werandy. Był głodny i zdenerwowany, w żołądku czuł kamienny ucisk.

Ruszyli ulicą nie mówiąc do siebie ani słowa. Przebycie tego „kawałka” zajęło im ponad dziesięć minut. Peter opadł na ławkę; Waters po krótkim wahaniu usiadł obok i wyjął z kieszeni kawałek tytoniu do żucia — był to nawyk, którego nabrał w więzieniu. Nie poczęstował Petera. Milczał, po chwili zaś obrzucił go wzrokiem, w którym irytacja mieszała się z zaciekawieniem.

Peter Morgan należał do tej kategorii więźniów, którą Waters na ogół lekceważył. Bogacz trafił do pierdła przez własną głupotę, a potem podlizywał się naczelnikowi, żeby dostać pracę w biurze. Waters nie miał tak lekko, sporo czasu spędził w pojedynczej celi, stykał się z mordercami, gwałcicielami i kidnaperami, na których ciążyły wieloletnie wyroki. W porównaniu z nimi marne cztery latka Morgana nie znaczyły nic. Waters co prawda zawsze twierdził, że jest niewinny, więzienie jednak go ukształtowało, odcisnęło na nim niezmywalne piętno. Nie interesowali go ludzie tacy jak Peter Morgan. Ale skoro facet przyjechał aż z San Francisco, żeby się z nim zobaczyć, był gotów go wysłuchać

— i nic poza tym. Wszystkie te refleksje wypisane były na jego twarzy, kiedy z rozmachem wypluł przeżuty tytoń i obrócił się do Petera. Wyraz jego oczu przyprawił tamtego o dreszcz, tak jak parokrotnie wcześniej w kancelarii. Waters czekał. Pora była przejść do rzeczy. Peter nie wiedział tylko jak.

Waters znów splunął.

— Dobra, mów, co masz na języku. — Spojrzał mu prosto w oczy i siła tego spojrzenia zapała Peterowi dech. Teraz nie mógł się już cofnąć.

— Ktoś zaproponował mi interes — zaczął.

Waters przyglądał mu się bacznie. Zauważył, że ręce Petera drżą i że ma na sobie całkiem nowe ubranie. Marynarka wyglądała na drogą, podobnie buty. Najwyraźniej dobrze mu się powodziło. Waters ładował skrzynki z pomidorami za minimalną pensję. Starał się o pracę w biurze, ale powiedziano mu, że jeszcze na to za wcześnie.

— Nie wiem, czy będziesz zainteresowany, ale chciałem z tobą pogadać. Potrzebna mi twoja rada — ciągnął Morgan.

Słyszac to, Waters już wiedział, że nie chodzi o legalny interes. Oparł się wygodniej i zmarszczył czoło.

— A skąd myśl, że mnie to zainteresuje i będę miał ochotę ci pomóc? — spytał ostrożnie.

— Tego nie wiem. I nie zakładałem tego z góry. — Peter zdecydował się na całkowitą szczerość; był to chyba najlepszy ton w rozmowie z kimś tak niebezpiecznym jak Waters. — Po prostu nie mam wyjścia. Byłem komuś winien kasę, zanim mnie aresztowano, dwieście tysięcy dolarów, no i teraz facet ma mnie w garści. Twierdzi, że w każdej chwili może kazać mnie sprzątnąć, i pewnie tak właśnie jest, chociaż do tej pory tego nie zrobił. Zamiast tego złożył mi propozycję. Jeśli jej nie przyjmę, zabije moje dzieci. Myślę, że jest do tego zdolny.

— Z przyjemniaczkami się zadajesz — zauważył ironicznie Waters. Wyciągnął przed siebie nogi i przyjrzał się swoim zakurzonym kowbojskim butom. Zrobiło mu się trochę żal Morgana. — Naprawdę by to zrobił?

— Owszem. Myślę, że nie miałby skrupułów. Tak więc siedzę w tym po uszy. Facet chce, żebym wykonał dla niego pewne zlecenie.

— Jakie? — spytał obojętnie Waters, nadal oglądając swoje buty.

— Spore. W grę wchodzi masa pieniędzy. Dla ciebie, jeśli się zgodzisz, pięć milionów dolców. Sto tysięcy gotówką z góry, reszta po wykonaniu roboty. — Mówiąc to, Peter uznał, że może propozycja nie jest aż tak obraźliwa, jak mu się z początku wydawało. Nawet jeśli Waters się nie zgodzi, oferta była nie do pogardzenia. Dla żadnego z nich. Waters kiwnął głową. On też już to w duchu przeliczył, ale nie dał po sobie poznać, że jest pod wrażeniem. Umiał panować nad twarzą.

— A ile ty dostaniesz?

Szczerość. Tylko szczerość. To jedyna droga. Złodziejski honor.

— Dziesięć, z czego dwieście tysięcy z góry. Chce, żebym wszystko zorganizował i wynajął ludzi.

— Ilu?

— Trzech, wliczając ciebie. Jeśli przyjmiesz ofertę.

— Narkotyki? — Waters nie potrafił sobie wyobrazić góry heroiny albo kokainy, która wchodziła w grę. Nic innego nie dałoby takiego zysku. Nawet jak na transakcję narkotykową suma wydawała się gigantyczna, chyba że ryzyko było szczególnie

wysokie. Musiało być, skoro ktoś chciał płacić aż tyle. Spojrzał na Petera, ale ten potrząsnął głową.

— Gorzej. Albo lepiej, zależy jak na to patrzysz. Teoretycznie robota jest czysta, łatwa i przyjemna. Mamy kogoś porwać, przetrzymać ze dwa tygodnie, a potem zgarnąć okup, wypuścić zakładników i prysnąć. Przy pewnej dozie szczęścia nikomu nie stanie się krzywda.

— Kto to ma być, u diabła? — wybuchnął Waters. — Prezydent?

Peter omal się nie uśmiechnął. Sprawa była jednak zbyt poważna.

— Trójka dzieci. Albo tyle, ile uda się złapać. Wystarczy nawet jedno.

— Facet zwariował? Chce nam zapłacić w sumie dwadzieścia pięć milionów za porwanie trójki szczyli? Zaraz, zaraz. Ile ma wynieść okup?

— Sto milionów. — Peter denerwował się coraz bardziej. Musiał jednak podać Watersowi dość informacji, żeby go zainteresować. — Zostanie mu siedemdziesiąt pięć. Cóż, to on jest pomysłodawcą.

Waters gwizdnął przez zęby i patrzył na niego przez długą chwilę. Potem bez ostrzeżenia błyskawicznym nutem ręki złapał go za gardło tak mocno, że omal nie udusił. Peter dosłownie czuł, jak jego naczynia krwionośne jedno po drugim miażdży żelazny ucisk. Waters nachylił się nad nim tak, że jego twarz znalazła się o cal od twarzy Petera.

— Jeśli chcesz mnie zrobić, zabiję cię, wiesz o tym, prawda?

— Wolną ręką rozdarł mu koszulę, szukając przyczepionych na ciele mikrofonów.

— Mówię prawdę! — wycharczał Peter resztką tchu. Przed oczami wirowały mu wszystkie gwiazdy.

Waters przytrzymał go jeszcze przez chwilę, aż gwiazdy zaczęła spowijać ciemność, po czym puścił i znów rozparł się na ławce z niewzruszonym wyrazem twarzy.

— Kim jest ten gość?

— Nie mogę ci powiedzieć — wyszeptał Peter rozcierając szyję. Wciąż czuł na niej ucisk. — To część umowy.

Waters kiwnął głową. Uznawał ten argument.

— A dzieciaki? Czyje?

— Tego też na razie nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie dowiem się, że w to wchodzisz. Jeśli tak, wkrótce podam ci wszystkie dane. Zleceniodawca chce, żebyśmy poobserwowali ich przez parę tygodni, poznali ich rozkład dnia i wchodzili na pewniaka. Tymczasem muszę przygotować dla nas kryjówkę.

— Nie mogę ich śledzić. Pracuję — stwierdził rzeczowo Waters, jakby układał grafik dyżurów. — Co najwyżej w weekendy. Gdzie to jest, w San Francisco?

Peter skinął głową.

— W tygodniu ja mogę się tym zająć—powiedział. — Nawet lepiej, jeśli będziemy się zmieniać, mniejsze ryzyko, że ktoś zauważy.

— Naprawdę są aż tak bogaci czy ten gość ma zwidy?

— Rok temu byli warci pół miliarda dolarów. Raczej trudno przez rok wydać taką sumę. Facet zmarł, po okup zwrócimy się do wdowy. Zapłaci, byle tylko odzyskać dzieci.

Waters przytaknął ruchem głowy. Brzmiało to logicznie.

— Zdajesz sobie sprawę, że możemy dostać czapę, jeśli nas złapią? — wycedził chłodno. — Kto zaręczy, że twój znajomy po skończonej robocie nie wyda nas glinom? Nie ufam ludziom, których nie znam.

Peterowi mimo wszystko ufał (nie powiedział tego na głos), choć uważał go za naiwniaka. W więzieniu nie raz słyszał, że Peter jest okej. Nie był twardzielem, ale odsiedział swoje i zawsze był w porządku. A to wiele znaczyło w tym świecie.

— Myślę, że trzeba będzie wiać za granicę. Po wykonaniu zadania mamy wolną rękę. Jeśli ktokolwiek puści farbę, wszyscy będziemy ugotowani — rzekł cicho Peter.

— On też. W sumie trzymasz go w garści. Musi ci ufać.

— Możliwe. To zachłanny drań. A ja nie mam wyboru. Nie mogę ryzykować życia córek.

Waters kiwnął głową. Rozumiał go, chociaż nie miał własnych dzieci.

— Z kim jeszcze o tym mówiłeś?

— Z nikim. Zacząłem od ciebie. Doszedłem do wniosku, że jeśli sam nie zechcesz, może poddasz mi jakiś pomysł. Albo dasz w mordę i każesz spieprzać — dokończył z uśmiechem.

Waters się roześmiał.

— Odważny jesteś, że przyszedłeś do mnie z czymś takim. Naprawdę mogłem zetrzeć cię na miazgę.

— Ewentualnie udusić — zażartował Peter. Waters znów parsknął głębokim, gardłowym śmiechem, który pasował do jego postury. — I cóż o tym myślisz?

— Myślę, że ten gość jest niespełna rozumu albo ma bardzo bogatych przyjaciół.

Znasz tych ludzi?

— Wiem, kim są.

— Naprawdę mają taką masę szmalu?

— Jeszcze większą — zapewnił go Peter.

W spojrzeniu Watersa pojawiło się coś na kształt podziwu. Nigdy nie słyszał o takich sumach poza największymi transferami narkotyków, a jeśli Morgan miał rację, ta robota była o wiele mniej ryzykowna.

— Muszę jeszcze znaleźć odpowiednią kryjówkę, gdzie będziemy mogli trzymać dzieci.

— To nic trudnego — prychnął Waters. — Potrzebna ci tylko chata w górach albo wóz kempingowy zaparkowany gdzieś na pustyni. Ile one mają lat?

— Sześć, dwanaście i szesnaście.

— Psiakrew, co za rozrzut! — skrzywił się Waters. — Nic to, za pięć milionów dolców mogę niańczyć nawet bandę młodych wampirów.

— Pamiętaj tylko, że nie można ich skrzywdzić. Muszą wrócić do matki całe i zdrowe. Taka jest umowa — przypomniał mu Peter.

— Przecież wiem — zirytował się Waters. Było to dla niego jasne. — Nikt nie zapłaci stu baniek za ciało.

— Można założyć, że matka nie będzie zwlekać. Straciła męża, nie zechce stracić i dzieci. Zebranie gotówki może zająć jej tydzień lub dwa, ale nie dłużej.

— Podoba mi się to, że będziemy mieć do czynienia z kobietą

— przyświadczył z namysłem Waters. — Nie każe nam się pocić przez pół roku. Dla dzieci zrobi wszystko. — Wstał i spojrzał

z góry na siedzącego Petera. Usłyszał już dość, teraz miał sporo

do przemyślenia. —Zastanowię się nad tymi dam ci znać. Jak cię znaleźć?

Peter podał mu kartkę z numerem komórki, który zapisał, czekając na Watersa na werandzie.

— Jeśli przyjmiesz robotę, zwerbujesz pozostałych? — spytał wstając.

— Tak. To muszą być ludzie, którym mogę zaufać. Porwać kogoś to nie sztuka; chodzi o to, żeby później nie puścili pary z gęby. Tu chodzi o naszą skórę. Wolałbym się upewnić, że moja nie zgnije w mamrze.

Peter zgadzał się z nim w całej rozciągłości.

— Zleceniodawca chce, żebyśmy akcję przeprowadzili w lipcu. Nie będzie go wtedy w kraju. Planuje to tak, żeby było po wszystkim, zanim wróci. — Mieli nieco ponad miesiąc na dogranie szczegółów, znalezienie ludzi, obserwację i wreszcie samo porwanie.

— Nie powinno być z tym problemu.

Szli z powrotem w milczeniu. Peter zachodził w głowę, co Waters teraz myśli i kiedy da mu znać o swojej decyzji. Kiedy dotarli do schroniska, nawet na niego nie spojrzął, ruszył prosto do wejścia i dopiero wtedy się obrócił. Ledwie słyszalnym szeptem oznajmił:

— Wchodzę w to.

Potem zniknął w budynku, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Peter w zadumie odprowadził go wzrokiem. Dwadzieścia minut później wracał już autobusem do San Francisco.

Rozdział X

Po kilku dniach Carlton

Waters skontaktował się z nim telefonicznie. Miał dwóch potrzebnych ludzi; nazywali się Malcolm Stark i Jim Free. Stwierdził, że za nich ręczy: zrobią co trzeba i będą milczeć jak grób. Wszyscy trzej zamierzali po skończonej robocie uciec do Ameryki Południowej. Waters znał ludzi, którzy zaopatrzą ich w paszporty i przeprowadzą do Meksyku, stamtąd zaś mogli jechać gdzie dusza zapagnie. Pomiedzy sobą rozmawiali już o wejściu w branżę narkotykową, ale na decyzje mieli jeszcze sporo czasu.

Najpierw trzeba było wykonać zlecenie, zgarnąć forszę i prysnąć. Nic nie trzymało ich w Stanach, nie mieli żon ani bliskich rodzin. Jimowi Free nie udało się poderwać dziewczyny z bistra. Okazało się, że ma chłopaka, a Jim wcale jej nie interesuje — flirtowała z nim tylko tak, dla sportu. W Ameryce Południowej czekało ich nowe życie.

Teraz musieli znaleźć miejsce, gdzie można będzie ukryć dzieci Barnesów na czas oczekiwania na okup. Peter obiecał, że się tym zajmie, Waters zaś podjął się obserwacji w dni wolne od pracy. Potrzebny im był samochód. Peter zamierzał kupić jakieś zwykłe osobowe auto, które nie będzie przyciągać uwagi, na potrzeby skoku zaś

furgonetkę. Waters umówił się z nim na sobotę w hotelu. Miał śledzić Fernandę od dziewiątej do szóstej, podobnie w niedzielę. Peterowi zostawały dni powszednie i wieczory. Nie zanosilo się na wyczerpującą pracę; podejrzewał, że będąc sama z trójką dzieci, pani Barnes nie prowadzi zbyt urozmaiconego życia. Zresztą za dziesięć milionów dolarów mógł spędzać w samochodzie zarówno dni, jak noce. Zameldował Addisonowi, że ma już ludzi. Addison był zadowolony, powiedział, że zapłaci za oba samochody, które po porwaniu koniecznie muszą gdzieś porzucić. Tegoż popołudnia Peter kupił pięcioletniego forda combi. Samochód miał spory przebieg, ale był sprawny i nie rzucał się w oczy. Nazajutrz w innym komisie nabył starą furgonetkę i wynajął dla niej miejsce na parking strzeżonym. O szóstej po południu siedział już w samochodzie pod domem Fernandy. Znał ją i dzieci z fotografii, ich imiona zaś miał wyryte w mózgu.

Zobaczył, że Fernanda wchodzi do domu z Ashley i wnet znów wychodzi. Wsiadła do auta. Peter przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w ślad za nią. Prowadziła niepewnie, przejechała dwa czerwone światła. Zastanawiał się, czy nie jest pijana. Zaparkował trzy samochody za nią pod stadionem Presidio. Cały mecz przesiedziała na trybunach, obserwując grę. Potem starszy chłopiec wrócił z nią do samochodu. Obejmowali się zawarta w tym geście czułość przyprawiła Petera o ból serca, choć niezupełnie wiedział dlaczego. Chłopiec się śmiał — na wyrażniej wygrali mecz. Po powrocie na Pacific Heights Peter patrzył, jak matka i syn wchodzi do domu trzymając się za ręce. Poczul ochotę, aby znaleźć się tam z nimi, i kiedy znikli za drzwiami, pozostał dziwnie osamotniony. Spojrzał w okno, żeby sprawdzić, czy włącza alarm, bo to była ważna informacja. Nie zrobiła tego, poszła prosto do kuchni, zapaliła światło i choć tego nie widział, domyślił się, że przygotowuje kolację. Później, już w nocy, zobaczył ją w oknie sypialni. Podniósł lornetkę i spostrzegł, że płacze. Stała w nocnej koszuli, łzy ściekały jej po policzkach, potem odwróciła się i znikła mu z oczu. Miał dziwne uczucie, podglądając tę kobietę. Kolekcjonował okruchy jej życia: nocne łzy, dziewczynkę w baletowym trykocie, chłopca, którego ścisłała po wygranym meczu... Nie widział jeszcze Sama, którego pamiętał z fotografii jako małego rudowłosego chłopczyka. Była druga nad ranem, gdy w końcu odjechał. Od trzech godzin nie paliło się już żadne światło. Podejrzewał, że nie musi warować tak długo. Wkrótce się o tym przekona.

Wrócił rano o siódmej. Prawie do ósmej nic się nie działo. Nie widział wnętrza kuchni, bo ta ściana domu oświetlona była porannym słońcem, które odbijało się w szybach. Za dziesięć ósma Fernanda pospiesznie wyszła z domu. Odwróciła się mówiąc coś do kogoś, kto został w holu, i po chwili wybiegła za nią baletnica, taszcząc ciężką torbę. Starszy brat dogonił ją i pomógł jej zapakować torbę do samochodu, a potem poszedł do garażu po własny wóz. Drzwi domu wciąż były otwarte, Fernanda wpatrywała się w nie niecierpliwie, i w końcu pojawił się najmłodszy. Na jego widok Peter nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Malec, ubrany w jaskrawoczerwoną koszulkę z wozem strażackim wymalowanym na plecach, granatowe sztruksowe spodenki i czerwone trampki, poruszał się podskokami, śpiewając na całe gardło, choć matka ponaglała go ze śmiechem. Wgramolił się na tylne siedzenie — przednie zajęte już było przez siostrę. Kiedy zatrzymali się przed

szkołą, Fernanda pomogła jej wyjąć torbę. Patrząc, jak dziewczynka wlecze ją po schodach, Peter zachodził w głowę, co też w niej może być. Sam popędził za siostrą w podskokach jak szczenię, w połowie drogi obrócił się, żeby pomachać mamie, a ona posłała mu w powietrzu buziaka i wsiadła do auta. Odczekała jeszcze, aż chłopiec wejdzie do środka, i dopiero wtedy odjechała. Zatrzymała się przed sklepem spożywczym w Laurel Village i przez dłuższy czas krążyła między regałami, studiując uważnie każdą etykietę, nim włożyła coś do wózka. Kupiła sporo łakoci dla dzieci, płatki, ciasteczka, chrupki, do tego pół tuzina steków. Przy stoisku z kwiatami zatrzymała się na chwilę, spojrzała na nie tęsknie, po czym posmutniała ruszyła dalej. Peter mógł oczywiście zostać w samochodzie, ale postanowił iść za nią, żeby lepiej się zorientować, jakiego rodzaju jest osobą. I kiedy tak jej się przyglądał, był nią coraz bardziej zafascynowany. W jego oczach urastała do ideału matki. Wszystkie jej czyny i myśli zogniskowane były wokół dzieci. Stał za nią w kolejce do kasy. Wzięła ze stojaka gazetę, zerknęła na nią i odłożyła z powrotem. Był zaskoczony, że jest tak skromnie ubrana. Nikt by nie pomyślał, że mąż zostawił jej w spadku pół miliarda dolarów. Miała na sobie różową trykotową koszulkę, w której sama wyglądała jak dziecko, dzinsy i drewniaki. Obejrzała się i nieoczekiwanie uśmiechnęła do niego. W nowej błękitnej koszuli, spodniach khaki i zamszowych mokasynach Peter wyglądał jak mężczyźni z jej sfery. Był wysoki, przystojny i tylko pół roku od niej młodszy. Wyczytał to w jej danych, które dostał od Addisona. Oboje chodzili do dobrych college'ów — ona do Stanfordu, on do Duke. Potem on uzyskał tytuł naukowy, a ona wyszła za mąż i poświęciła się rodzinie. Dzieci też mieli prawie w tym samym wieku. Sam miał sześć lat, a Isabelle i Heather — osiem i dziewięć. Fernanda, drobniutka i płowa, była troszkę podobna do Janet, lecz ładniejsza, a on sam — z czego nie do końca zdawał sobie sprawę — przypominał nieco Allana Barnes, tylko włosy miał znacznie jaśniejsze. Zauważyła to biorąc gazetę i dlatego przyjrzała mu się bliżej. Wykładając zakupy na taśmę upuściła rolkę papierowych ręczników. Peter schylił się, podniósł je i podał.

— Dziękuję — powiedziała z wdzięcznością i wtedy zauważył, że wciąż nosi obrączkę. Wzruszył go ten dowód wierności. W ogóle znajdował w niej same zalety. Z przyjemnością przysłuchiwał się jej rozmowie z kasjerem, który najwyraźniej dobrze ją znał. Opowiadała, że dzieci są zdrowe, a Will jedzie na obóz sportowy wraz ze swą drużyną hokeja na trawie. Peter nagle przypomniał sobie, po co tu jest, i nastawił uszu, ciekaw, kiedy ma być ten obóz. Jeśli w lipcu, to Waters i jego kumple zgarną tylko dwoje dzieci. Zrobiło mu się niedobrze. Ta kobieta była w tak oczywisty sposób przyzwyczajona, lojalna wobec męża i oddana dzieciom, że to, co zamierzali jej uczynić, bardziej niż kiedykolwiek wydało mu się cyniczną, niewybaczalną zbrodnią. Chcieli zrabować jej sto milionów dolarów pod groźbą utraty wszystkiego, co jej pozostało. Ta świadomość ciążyła mu na sumieniu, kiedy patrzył, jak w drodze do domu przejeżdża kolejne czerwone światło i znak stopu na California Street. Zastanawiał się, co za myśli tak ją zaprzętają, że zupełnie nie zważa na drogę.

Przed domem czekała go kolejna niespodzianka. Spodziewał się, że wyjdzie jej na powitanie przynajmniej gospoś, jeśli już nie horda służby. Tymczasem sama wypakowała torby z zakupami z samochodu i kolejno nosiła je do kuchni. Peter doszedł do wniosku, że służąca ma wychodne. Potem nie widział Fernandy aż do południa. Wyszła po coś, co zostawiła w samochodzie, i znów upuściła rolkę

ręczników, ale tym razem nie podskoczył, żeby je podnieść. Nie mógł dopuścić, żeby go zobaczyła, siedział więc tylko i patrzył.

O trzeciej w pośpiechu opuściła dom, poprawiając w biegu włosy. Wskoczyła do samochodu i z piskiem opon ruszyła w stronę szkoły, omal nie taranując autobusu. Obserwował ją dopiero drugi dzień, a już widział, że powinno się jej odebrać prawo jazdy. Jeździła za szybko, ignorowała sygnalizację świetlną, zmieniała pasy bez kierunkowskazu i dwukrotnie rozpedziła pieszych na przejściu. Widać było, że nie potrafi się skupić. Przed szkołą zahamowała gwałtownie, przez co jadący za nią samochód cudem uniknął zderzenia. Ta kobieta stwarzała poważne zagrożenie na jezdni.

Ashley czekała na nią na chodniku, rozmawiając wesoło z koleżanką, a pięć minut później nadszedł Sam taszcząc olbrzymi model samolotu z papieru i z radosnym uśmiechem rzucił się matce w objęcia.

Peter poczuł, że łzy kręcą mu się pod powiekami. Nagle uświadomił sobie, co go ominęło — jak mogło wyglądać jego życie, gdyby wszystkiego nie popsuł. Wciąż miałby kochającą żonę podobną do tej ładnej blondynki i dzieci, które rzucałyby mu się na szyję. Myśląc o tym, poczuł się jeszcze bardziej samotny niż zwykle.

W drodze powrotnej zatrzymali się koło sklepu przemysłowego, gdzie kupili żarówki, nową miotłę i pojemnik na lunch. Potem Fernanda zawiozła malca do domu, powiedziała coś Willowi, kiedy wyszedł po brata, i pojechała dalej z Ashley do szkoły baletowej. Później po południu przywiozła Ashley i pojechała z Willem na mecz. Całe jej życie wydawało się obracać wokół dzieci. Do końca tygodnia Peter obserwował, jak wozi je do szkoły i ze szkoły, na lekcje tańca) na mecze. Nie robiła nic innego. W rozmowie z Addisonem napomknął, że w domu nie ma żadnej służby, co wydaje mu się dziwne u ludzi tak zamożnych.

— A co za różnica? — burknął Addison. — Może jest skąpa.

— A może splukana — odparował Peter. Ta kobieta coraz bardziej go intrygowała. Wyglądała na poważną osobę i kiedy była sarna, emanował z niej smutek. W towarzystwie dzieci uśmiechała się, nawet śmiała, i często tuliła je do siebie. A każdego wieczoru płakała w oknie sypialni. Miał ochotę ją przytulić, pogłaskać, pocieszyć. Nie miała nikogo, kto by to dla niej zrobił.

— Nikt nie da rady wydać pół miliarda w ciągu roku.

— Phillip niezbyt się przejął jego obawami.

— Ale utopić taką i nawet znacznie większą sumę w chybionych inwestycjach jest bardzo łatwo — wytknął Peter — zwłaszcza kiedy rynek zapada się tak głęboko, jak to było w zeszłym roku.

Przerobił to na własnej skórze, choć jego straty w porównaniu z majątkiem Allana Barnes'a nie znaczyłyby więcej niż kropla w morzu.

— Nigdzie nie czytałem, aby Barnes stracił choć dolara. Uwierz mi, Morgan, ona ma te pieniądze. Może po prostu nie lubi ich wydawać. Pilnujesz jej?

Addison był zadowolony z rozwoju sytuacji. Peter błyskawicznie zmontował ekipę, a w ten weekend wybierał się do Tahoe szukać odpowiedniej kryjówki. Chciał znaleźć oddaloną od innych chatę w mało uczęszczanej okolicy, gdzie mogliby przetrzymać dzieci tak długo, jak długo zajmie matce zgromadzenie okupu. Z punktu widzenia Phillipa Addisona to był tylko interes. Peter zaangażował się o wiele głębiej, całym

sobą przeżywał najdrobniejsze emocje malujące się na twarzy śledzonej kobiety, nie mówiąc już o jej nocnych łzach w oknie sypialni.

— Tak, pilnuję — odparł sucho. — Zajmuje się wyłącznie wożeniem dzieci tam i z powrotem z całkowitym lekceważeniem sygnalizacji świetlnej.

— No to ładnie. Mam nadzieję, że ich nie pozabija, zanim wpadną w nasze ręce. Pije?

— Nie wiem. Nie wygląda na to. Może jest nerwowa albo wciąż jeszcze nie potrafi się pozbierać.

Dzień wcześniej omal nie potrafiła kobiety na przejściu dla pieszych. Inni kierowcy zaczęli na nią trąbić, a kiedy wyskoczyła z samochodu, by przeprosić, Peter spostrzegł, że płacze. Chyba wpadał w obsesję. Myślał wyłącznie o niej, nie tylko dlatego że już wkrótce miał ją straszliwie skrzywdzić, ale przede wszystkim dlatego że tyle było słów, które chciałby jej powiedzieć, tyle czasu pragnąłby z nią spędzić, gdyby okoliczności były inne. Stawała się dla niego symbolem idealnej kobiety. Podziwiał ją, uwielbiał na nią patrzeć, a gdy wyobrażał ją sobie za miodu — wtedy gdy brała ślub z Allanem Barnesem — miał uczucie, że traci zmysły.

Dlaczego nie spotkali się wcześniej? Dlaczego los jest tak okrutny? Podczas gdy on zawzięcie niszczył życie sobie i Janet, Fernazida wyszła za mężczyznę, któremu los bardziej sprzyjał, i wraz z nim stworzyła szczęśliwą rodzinę. Mały Sam podbił jego serce w chwili, gdy go zobaczył. Will wyglądał na chłopca, z którego każdy ojciec byłby dumny. Ashley zaś była pięknocią

— jak matka. Spośród wszystkich dokonań Aliatia Barnes'a to było dla Petera najważniejsze, najbardziej imponujące. Śledząc Ferriandę czuł się jak zboczeniec, a kiedy wracał na noc do hotelu, śnił o niej. Nie mógł się doczekać rana, kiedy znów ją zobaczy. Myśl o niej prześladowała go nieustannie. Była diań niczym dawna przyjaciółka albo utracona ukochana. Ucieleśniała świat, który był ongiś w zasięgu jego ręki, lecz został przed nim raz na zawsze zamknięty. Jej widok przywołał bolesne wspomnienia; symbolizował to wszystko, czego pragnął, a co bezpowrotnie wymknęło mu się z rąk.

Wcale nie miał ochoty przekazywać pałeczki Watersowi

W sobotę. Dal mu swój samochód, a sam wsiadł do furgonetki

i pojechał do Tahoe. Miał ze sobą listę domów do wynajęcia

ściągniętą z Internetu. Nie chciał chodzić po agencjach, choć

śmiało mógł to zrobić — dotąd wszak nikt nie kojarzył z nim

Carla i jego chłopaków. W razie czego zawsze mógł powiedzieć,

że ci obcy mężczyźni włamali się do domu pod jego nieobecność. Dokładali

pieczołowitych starań, aby poszczególne elementy planu nie łączyły się ze sobą. I jak

dotąd im się udawało. Oprócz Malcolma Starka i Jima Free nikt w Modesto nie

wiedział, że Waters jest w San Francisco. Zdaży wrócić na czas przed ciszą nocną.

Od szóstej do dziesiątej, na którą Peter planował powrót

z Tahoe, Fernanda pozostanie bez nadzoru, ale wiedział, że jeśli

nie zajdzie nic nieoczekiwane, znacznie wcześniej będzie już

w domu z dziećmi. Wieczorem wychodziła tylko wtedy, gdy

woziła je na prywatki lub do kina. Nie chciała, by Will prowadził

w nocy, choć powtarzał jej nie bez racji, że jest znacznie lepszym

kierowcą niż ona.

— Co nas dzisiaj czeka? — spytał Carl odbierając od Petera kluczyki. Miał na sobie baseballową czapkę, która zasłaniała mu część twarzy, oraz ciemne okulary. Peter nie starał się zmieniać wyglądu, a jeżeli na ulicy było za dużo ludzi, po prostu odjeżdżał, robił kilka okrążeń i znów wracał. Jak dotąd nikt nie zwrócił na niego uwagi, a już najmniej Fernanda.

— Pewnie zawiezie starszego na mecz, albo dziewczynkę na balet. Najmłodszy raczej trzyma się jej spódnicy. Skorzystaj z okazji, żeby przyjrzeć się dzieciakom. Nie prowadzą zbyt ożywionego życia towarzyskiego, nawet w weekendy. — Pogoda była śliczna, lecz Fernanda w ogóle nie ruszała się z miasta.

Waters kiwnął głową. Nie zamierzał się z nimi zaprzyjaźniać, to był dla niego rekonesans, nic więcej. Interes. (U Petera stawało się to obsesją, ale Carl o tym nie wiedział.) Wziął kluczyki, wsiadł do samochodu i pojechał pod podany adres, Peter zaś wyruszył do Tahoe. Była dziesiąta rano w pogodną majową sobotę.

Peter przez całą drogę myślał o Fernandzie, zastanawiając się, co by było, gdyby się teraz wycofał. Nietrudno przewidzieć:

Addison zabiłby jego córki, a wkrótce potem samego Petera. Gdyby zaś powiadomił o wszystkim policję i cofnięto by mu zwolnienie warunkowe, scenariusz byłby podobny z tą różnicą, że Addison dopadłby go w więzieniu. To wszystko było aż tak proste. Nie miał odwrotu. Lawina ruszyła i nic nie było w stanie jej zatrzymać.

Kiedy Peter mijał Truckee, Waters jechał za Fernandą na stadion w Marinie. Widział już całą trójkę dzieci, a także ich matkę. Wyglądała tak, jak się spodziewał — typowa nie pracująca mężatka z podmiejskiej dzielnicy. Zresztą nie interesowała go jako kobieta. Była ofiarą i to potencjalnie zyskowną, niczym więcej. Podobały mu się kobiety znacznie bardziej seksowne niż Fernanda — owszem, ładna, ale pospolita. Zauważył, że się nie maluje. Istotnie, Fernanda nie nałożyła makijażu od czterech miesięcy. Takie rzeczy straciły dla niej znaczenie — podobnie jak eleganckie suknie, wysokie obcasy i biżuteria, której tyle dostała od Allana. Zresztą pozbyła się już prawie wszystkiej; resztką od stycznia leżała nietknięta w bankowej skrytce. W życiu, jakie prowadziła teraz, niepotrzebna jej była biżuteria.

Peter pojechał pod pierwszy adres z listy, gdzie się okazało, że na ich potrzeby budynek się zupełnie nie nadaje — z trzech stron niemal przylegały do niego inne domy. Ten sam problem był z następnymi czterema. Szósty był obłąkańczo drogi. Następne cztery też do kitu. Kamień spadł mu z serca, gdy zobaczył ostami dom z listy. To było właśnie to. Nadawał się idealnie. Miał długi, wyboisty, zakręcony i porośnięty zielskiem podjazd; sam budynek także nie był w najlepszym stanie, a wybujale kolczaste chaszczce sprawiały, że trudno było nawet zajrzeć do okien. Szczelnie zakrywały je zresztą okiennice, co bez wątpienia stanowiło dodatkową zaletę. Wewnątrz były cztery sypialnie, kuchnia, która okres świetności miała już za sobą, ale wciąż nadawała się do użytku, oraz przestronny salon z kominkiem, w którym Peter zmieściłby się na stojąco. Za domem wznosiło się niemal całkiem gładkie urwisko. Właściciel, który go oprowadzał, powiedział, że kiedyś spędzali tu wakacje jego synowie, ale ci już dawno przeprowadzili się do Arizony, a on sam lato spędza w Kolorado u córki. Wynajmuje dom, bo nie chce się go całkiem pozbyć. Peter zapytał, czy nie ma nic przeciwko temu, żeby nieco uporządkował posesję i poprawił podjazd, zamierza tu bowiem zapraszać swoich klientów. Właściciel nie posiadał się z zadowolenia. Nie mógł uwierzyć, że trafił mu się taki dobry najemca. Peter nawet nie

targował się cenę. Podpisał umowę na pół roku, zapłacił czynsz za kwartał z góry i kaucję w gotówce i o czwartej był z powrotem na autostradzie, kiedy zadzwonił Waters.

— Co się stało? — Peter przestraszył się, że Waters dał się nakryć.

— Nic, w porządku. Są na przyjęciu dla dzieci. Babka rzeczywiście nie jest rozrywkowa. Chodzi tylko za nimi jak kwoka.

Mogło to nieco skomplikować sprawy, choć nie tak znów bardzo. Drobną, kruchą kobietą nie sprawi przecież takim osiłkom najmniejszego kłopotu.

— Myślałem o czymś innym — podjął Waters. — Kto załatwi broń?

Zaskoczony tym pytaniem Peter zastanowił się przez chwilę.

ale zakończywszy rozmowę Peter znów poczuł znajomy ból w żołądku. Zaczynał podejrzewać, że to gryzie go sumienie. Jeździć za Femandą od szkoły do szkoły i na mecze to jedno. Ale zabrać jej dzieci posiłkując się karabinem maszynowym i zażądać stu milionów dolarów okupu — to już zupełnie inna historia. Peter doskonale zdawał sobie sprawę, na czym polega różnica.

— Chyba ty. Mogę zapytać, ale zleceniodawca na pewno nie zechce dostarczyć nam niczego, co mogłoby głiny naprowadzić na jego ślad. Będziesz mógł się tym zająć? — Addison miał dostateczne możliwości, by wyposażyć armię, ale nie chciał być łączony z tą sprawą.

— Raczej tak. Chcę mieć automaty — zastrzegł się Waters.

— To znaczy broń maszynową? — upewnił się Peter. — Po co? — Wydało mu się to przesadą. Dzieci nie będą uzbrojone. Ich matka też. No tak, ale jeśli dojdzie do jakiegokolwiek konfrontacji, policja na pewno użyje broni.

— Bo to wiele upraszcza — odparł krótko Waters.

Peter pokiwał głową. Ten człowiek był profesjonalistą w każdym calu — właśnie takim, jakich życzył sobie mieć Addison.

— Dobra, zajmij się tym — powiedział, ukrywając niepokój.

Potem opisał Carlowi lokalizację kryjówki i ten się z nim zgodził. Miejsce wyglądało na idealne. A zatem wszystko było gotowe, wystarczyło wybrać jakąś lipcową datę i zrobić wreszcie to, do czego ich wynajęto. Zadanie wydawało się bardzo proste, ale zakończywszy rozmowę Peter znów poczuł znajomy ból w żołądku. Zaczynał podejrzewać, że to gryzie go sumienie. Jeździć za Femandą od szkoły do szkoły i na mecze to jedno. Ale zabrać jej dzieci posiłkując się karabinem maszynowym i zażądać stu milionów dolarów okupu — to już zupełnie inna historia. Peter doskonale zdawał sobie sprawę, na czym polega różnica.

Rozdział XI

W pierwszym tygodniu

czerwca kończył się rok szkolny

i Fernanda miała pełne ręce roboty. W ostatnim dniu zarówno Sam, jak Ashley brali udział w szkolnych przedstawieniach. Musiała też zwieźć do domu ich prace i książki.

Will grał w play

-offach szkolnej ligi baseballowej, a wieczorem miał jeszcze mecz hokeja na trawie.

Tym razem Fernanda nie mogła mu kibicować, bo o tej samej godzinie był występ Ashley. Miotając się przez cały dzień tam i z powrotem, czuła się jak sznur w laboratorium. Nie miała nikogo do pomocy. Oczywiście Allan też by jej nie pomógł, gdyby żył. Ale w zeszłym roku w wielu zwykłych sprawach wyręczała ją niania. Teraz była sama. Nie miała rodziny, z rozmaitych powodów straciła kontakt nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiała sobie, jak całkowicie zależna była od Allana. Kiedy odszedł, pozostały jej już tylko dzieci. Okoliczności były zbyt krępujące, aby odnawiać teraz znajomości. Równie dobrze mogłaby mieszkać na bezludnej wyspie. Czuła się kompletnie wyalienowana.

Peter zetknął się z nią dwa razy, raz wtedy w supermarkecie,

a innym razem w księgarni, gdzie zerknęła na niego myśląc, że

wydaje jej się mgliście znajomy. Upuściła książkę, którą miała w ręku, a on podniósł ją i wręczył jej z serdecznym uśmiechem.

Potem obserwował ją z oddalenia. Był na jednym z meczów Willa

w Presidio, ale siedział daleko za jej plecami i Fernanda go nie

widziała. Za to on nie odrywał od niej oczu.

Zauważył, że przestała płakać w sypialni. Czasem stała przy oknie, patrząc w głąb ulicy, jakby na kogoś czekała. W takich razach miał wrażenie, że zagląda w głąb jej duszy. Nieomal czytał w jej myślach. Z całą pewnością tęskniła za mężem. Facet był szczęściarzem mając taką żonę; Peter nieraz zastanawiał się, czy tamten zdawał sobie z tego sprawę. Czasem ludzie nie zauważają tego, co mają tuż przed nosem. Peter doceniał każdy jej uczynek, każdy serdeczny gest wobec dzieci. Załował, że sam nie miał takiej matki zamiast alkoholiczki, która w końcu o nim zapomniała. Nawet ojczym, któremu podrzuciła go „w spadku”, też zostawił go na lodzie. Dzieci Fernandy z pewnością czuły, że są kochane.

Peter prawie im zazdrościł. Ilekroć widział Fernandę, serce wrywało mu się z piersi — do niej. Skazany był jednak na obserwowanie jej z oddali i zamiast pomóc, pocieszyć, miał jej przysporzyć jeszcze więcej bólu. Co za przewrotna ironia! żeby ratować własne dzieci, musiał narazić inne; musiał z całym rozmysłem zadać cierpienie kobiecie, którą bezgranicznie podziwiał i wielbił. Fernanda budziła w jego sercu lawinę potężnych emocji, spośród których jedne zbijaly go z tropu, drugie dawały nadzieję, wszystkie zaś miały gorzko-słodki posmak.

Wieczorem pojechał za nią do szkoły baletowej. Po drodze zatrzymała się przed kwiaciarnią, gdzie kupiła bukiet smukłych jasnych róż na długich łodyżkach oraz jedną osobno, dla nauczycielki. Ashley była już w szkole, a Sam (który po południu

oznajmił, że nie pójdzie na występ, bo balet jest dla bab) pod opieką matki jednego z kolegów Willa, która też miała młodszego synka w zbliżonym wieku i zaofiarowała się, że weźmie obu na mecz. Obserwując ich, gdy wychodzili, Peter uświadomił sobie, że gdyby atak miał nastąpić dziś, nie udałoby im się schwytać całej trójki.

Waters nabył już broń maszynową za pośrednictwem jednego ze znajomków Jima Free. Kurier przywiózł ją z Los Angeles pasażerskim autobusem linii Greyhound, zapakowaną w torbę na kije golfowe. Peter trząśł się od stóp do głów, kiedy jechał odebrać przesyłkę. Zostawił ją w bagażniku; nie chciał wnosić broni ze sobą do hotelu. Jako zwolnionego warunkowo mogli go kontrolować bez specjalnego nakazu, ilekroć kurator uznałby to za stosowne. Dotychczas nic takiego się jeszcze nie zdarzyło.

Kurator przestał się o niego martwić z chwilą, gdy Peter formalnie znalazł pracę. Ale nie było sensu ryzykować. Jak dotąd wszystko przebiegało bez zakłóceń.

Peter czekał pod szkołą. Ashley wyszła rozpromieniona, tuląc do siebie bukiet białych róż. Za nią kroczyła Fernanda, ogromnie dumna z córki. Spotkały się z chłopcami na uroczystej kolacji w Mels Diner przy Lombard Street. Kiedy rodzina Barnesów zajmowała miejsca, Peter wśliznął się dyskretnie do sąsiedniej niszy i zamówił kawę. Czuł zapach perfum Femandy. Był tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Ubrana była w spódnicę koloru khaki, biały kaszmirowy sweterek z wycięciem w szpic i — po raz pierwszy) odkąd ją obserwował — czółenka na wysokich, obcasach. Rozpuściła włosy) lekko podmalowała usta, wyglądała radośnie i jeszcze ładniej niż zwykle.

Ashley wciąż miała na sobie kostium i sceniczny makijaż, Will był w sportowym stroju. Z barwnej relacji Sama Peter dowiedział się, że drużyna Willa wygrała mecz hokeja na trawie, a wcześniej tego samego dnia jego starszy brat grał w baseball i też wygrał. Peter siedział obok smutny i samotny. Serce pękało mu ze współczucia.

Wiedział, co przyniosą im najbliższe dni. Czuł się jak niemy duch, który zna tragiczną przyszłość, ale nie może zrobić nic, by ostrzec żywych ludzi. Musiał uciszyć swój głos i sumienie dla dobra własnych dzieci.

Końcówkę czerwca dzieci spędziły w domu, odwiedzane przez kolegów i koleżanki.

Fernanda pojechała z Ashley na zakupy przed wyjazdem do Tahoe. Sobie sprawiła tylko parę sandałów — obiecała Jackowi, że drastycznie ograniczy wydatki. Zaprosił ją wraz z dziećmi do Napa na weekend, ale Will znów miał mecz, wobec czego umówili się na czwartego lipca, kiedy Will będzie na obozie, a Ashley w Tahoe.

Fernanda zapewniła, że przyjadą z Samem. Jack miał ich zabrać na świąteczny piknik do swoich przyjaciół. Sam nie mógł się wprost doczekać. Jack także cieszył się na ten dzień bardziej, niż Fernanda sobie wyobrażała. Ich przyjaźń zawsze wydawała się niewinna i istotnie dotąd taka była. Ale z punktu widzenia Jacka ostatnio wiele się zmieniło. Przede wszystkim Fernanda nie była już mężatką.

Na wieść o pikniku Ashley natychmiast wyraziła opinię, że Jack Waterman ma wobec matki niedwuznaczne zamiary.

— Nie bądź głupia, Ash. Jack jest naszym starym przyjacielem. To, co mówisz, jest niesmaczne — zdenerwowała się Fernanda usłyszawszy, że Jack się do niej „podwala”.

— Naprawdę się do ciebie podwala, mamó? — Sam z zaciekawieniem oderwał się od sterty naleśników.

— Oczywiście, że nie! To przecież przyjaciel waszego ojca.

— No i co z tego? Czy to cokolwiek zmienia? — zauważyła rozsądnie Ashley, porywając Samowi z talerza naleśnik i broniąc się, gdy trzepnął ją ściereczką.

— Wyjdiesz za niego, mamusiu? — Sam spojrział na matkę ze smutkiem. Chciał ją mieć tylko dla siebie. Wciąż bardzo często przychodził do niej spać. Tęsknił za tatą, ale przez to jeszcze bardziej zbliżył się do matki i nie chciał, by ktokolwiek mu ją odebrał.

— Broń Boże! — wykrzyknęła zażenowana Fernanda. — Nie mam zamiaru za nikogo wychodzić. Nadal kocham waszego tatę.

— To dobrze — uspokojony malec wepchnął do buzi naleśnik, plamiąc syropem koszulkę.

W ostatnim tygodniu czerwca Fernanda prawie wcale nie wychodziła z domu. Miała pełne ręce roboty przy pakowaniu dzieci. Musiała przygotować cały sprzęt sportowy Willa, a także wszystko, co Ashley weźmie do Tahoe. Była to istna syzyfowa praca. Fernanda odnosiła wrażenie, że ilekroć schowa czystą rzecz do torby, którejś z dzieci natychmiast ją wyjmie i włoży. Pod koniec tygodnia wszystko było znów brudne i musiała zaczynać od nowa. Ashley powyciągała z szaf masę jej ubrań i pożyczyła połowę. A Sam nagle oznajmił, że nie chce chodzić na półkolonie.

— Nie marudź, Sam, na pewno ci się spodoba — zachęcała go, ładując do pralki kolejną porcję odzieży.

Ashley sunęła przez pralnię w matczynym swetrze i butach na wysokich obcasach.

— Zaraz mi to zdejmij! — krzyknęła za nią matka.

W tejże chwili wszedł Will pytając, gdzie są jego kije, bo chce trochę poćwiczyć.

— Jeśli którekolwiek tknie spakowaną już torbę, ostrzegam, że uduszę was własnymi rękoma!

Ashley spojrzała na nią urażona, a Will wrócił na górę — tym razem szukać butów. Matka przez cały dzień była zła jak osa. Prawdę mówiąc, było jej ogromnie smutno, że oboje wyjeżdżają. Stanowili teraz całą jej pociechę i towarzystwo. Będzie się czuła osamotniona, spędzając czas w domu tylko z Samem. Podejrzewała, że Sam ma podobne odczucia i dlatego boczy się z powodu półkolonii. Przypomniała mu o świątecznym pikniku w Napa, sądząc, że go ucieszy, lecz nadal był osowiały. Will wyjeżdżał na trzy tygodnie, Ashley na dwa — Samowi i Fernandzie wydawało się to wiecznością.

— Wróć, zanim się obejrzysz — pocieszyła malca, a pośrednio również siebie samą.

Peter także pogrążony był w niewesołych rozmyśleniach. Za sześć dni nastąpi atak i ten etap jego życia dobiegnie końca. Może kiedyś przypadkiem znów spotka Fernandę... Jeśli dopisze im szczęście, nie będzie wiedziała o roli, jaką odegrał w jej tragedii. Wyobrażał sobie, że znów będzie ją śledził po to tylko, żeby ją widywać. Już ponad miesiąc nie odstępował jej na krok, chodził za nią jak cień. Nie wiedziała o tym, nigdy tego nie wyczuła. Peter postępował ostrożnie i rozważnie, tak samo Waters w weekendy. W przeciwieństwie do niego Waters uważał, że życie Fernandy Bames jest niewiarygodnie płytkie i nudne. Zastanawiał się, jak ona może je znieść. Prawie w ogóle nie wychodziła, a jeśli już, to z dziećmi.

— Ta kobieta powinna być nam wdzięczna, że zdejmujemy jej smarkaczy z głowy na tydzień lub dwa — stwierdził w pewną sobotę. — Chryste, ona nigdzie się bez nich nie niska!

— Prawdziwa matka — rzekł cicho Peter. Miał na ten temat całkiem inne zdanie. Właśnie za to ją podziwiał.

— Nic dziwnego, że jej mąż umarł. Pewnie z nudów, biedaczysko — mruknął Carl. Śledzenie Fernandy uważał za najprzykrzejszą czynność wchodzącą w zakres zlecenia.

— Może we dwoje prowadzili inny tryb życia — zauważył Peter, na co Carl wzruszył tylko ramionami. Oddał mu kluczyki i ruszył na dworzec autobusowy, skąd miał wrócić do Modesto. Był rad, że inwigilacja dobiega końca i będą mogli przejść do właściwego zadania. Pilno mu było położyć rękę na pieniądzach. Addison jak dotąd dotrzymał słowa. On, Stark i Free otrzymali po sto tysięcy dolarów. Pieniądze spoczywały teraz w zamkniętych walizkach w przechowalni bagażu na dworcu w Modesto, gdzie były o wiele bezpieczniejsze niż w schronisku. Zabiorą je ze sobą, kiedy ruszą do Tahoe. Scenariusz zdarzeń był gotowy, harmonogram dopięty na ostami guzik. Zegar już tykał.

Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Peter zapewnił Addisona, że tak będzie i dalej. Nie spodziewał się żadnych trudności.

Pierwszy problem wynikł nieoczekiwanie po stronie Addisona. Pewnego dnia dyktował właśnie pisma, kiedy weszli dwaj mężczyźni, pokazali mu odznaki i poinformowali, że jest aresztowany. Sekretarka ze łzami wybiegła z gabinetu; nikt jej nie zatrzymywał. Phillip bez zmruczenia powiek spojrział na nieproszonych gości.

— To najgłupszy dowcip, jaki w życiu słyszałem — rzekł spokojnie, krzywiąc się z lekkim niesmakiem. Żywił nadzieję, że ich wizyta nie ma związku z siecią nielegalnych laboratoriów. Jeśli tak, to po raz pierwszy jego podziemna działalność skrzyżowała się z legalną. Agenci FBI wbrew swym zwyczajom mieli na sobie dzinsy i kraciaste koszule. Jeden był Latynosem, drugi Murzynem. Addison nie miał pojęcia, czego chcą. Był przekonany, że narkotykowy biznes kręci się bez tarć. Zarządzający nim ludzie byli wysokiej klasy profesjonalistami.

— Jest pan aresztowany — powtórzył Latynos.

Addison zaczął się śmiać. Nie wydawał się zaniepokojony.

— Chyba pan żartuje. Za co, na miłość boską?

— Transferuje pan duże sumy poza granice stanu. Wszystko wskazuje na pranie brudnych pieniędzy — wyjaśnił agent, sam czując się trochę głupio. Rano wraz z partnerem pracowali incognito nad inną sprawą i nie zdążyli się przebrać, zanim wysłano ich do Addisona. Zważywszy, jak lekceważąco ich potraktował, obaj mieli uczucie, że powinni wyglądać ciut bardziej oficjalnie, aby go zastraszyć, a przynajmniej wyrzeć na nim wrażenie. Aresztowany siedział rozparty za biurkiem i uśmiechał się do nich, jakby byli dwójką krnąbrnych dzieciaków.

— Jestem pewien, że moi radcy udzielą panom wszelkich wyjaśnień i obejdzie się bez nieprzemyślanych kroków. Może kawy?

— Nie, dziękujemy — odparł grzecznie Murzyn.

Oficer prowadzący śledztwo ostrzegł ich, by nie lekceważyli Addisona — jest sprytniejszy, niż się wydaje. Obaj młodzi agenci założyli, iż oznacza to, że może mieć broń i jej użyć, choć na razie nic na to nie wskazywało.

Młody Latynos odczytał mu jego prawa. Phillip uświadomił sobie z opóźnieniem, że z FBI nie pójdzie mu tak łatwo, jak myślał. Zaniepokoił się troszkę bardziej, choć nie dał tego po sobie poznać.

W rzeczywistości aresztowano go nieco na wyrost; FBI miało nadzieję, że uda się w ten sposób przyspieszyć rozwój śledztwa. Od dawna nie spuszczała Addisona z oka. Wiedzieli, że coś śmierdzi, ale nie byli do końca pewni co i musiały im wystarczyć te karty, które mieli w ręku.

— Jestem pewien, że zaszła jakaś pomyłka, panie inspektorze... to jest, agencje specjalny... — Sam ten tytuł brzmiał idiotycznie, jak z marnego filmu kryminalnego.
— Możliwe, ale dostaliśmy rozkaz doprowadzenia pana do aresztu. Mamy pana zakuć czy pójdzie pan sam?

Addison nie chciał, żeby widziano go wywlekanego z gabinetu w kajdankach, wstał więc z wściekłą miną. Już nie było mu do śmiechu. Młodzi agenci wyglądali jak smarkacze, ale najwy-

rażniej traktowali swoją pracę poważnie i byli zdecydowani wykonać rozkaz.

— Czy zdajecie sobie sprawę, co robicie? Wytoczę wam pokazowy proces za bezprawne aresztowanie i skalenie dobrego imienia! — Phillip z trudem panował nad sobą. Nie mieli prawa go nękać. Powód może by się znalazł, ale oni przecież nie mogli o nim wiedzieć.

— Robimy tylko to, co do nas należy, proszę pana — odrzekł grzecznie agent Price, ten czarny. — Czy możemy już iść?

— Najpierw chcę zadzwonić do adwokata. — Addison wykręcił numer pod czujnym wzrokiem pilnujących go agentów. Opowiedział swemu radcy, co go spotkało, i umówił się z nim za pół godziny w biurze FBI. Adwokat zalecił mu, by nie stawiał oporu. Zanim dojadą San Mateo do centrum, będzie już na nich czekał. Nakaz aresztowania wydany przez prokuraturę federalną wzmiankował o uchylaniu się od zobowiązań podatkowych, określonych na jakąś śmiesznie małą sumę. Była to ostatnia rzecz, jakiej Phillip by sobie teraz życzył

— Za trzy dni wyjeżdżam do Europy! — wykrzyknął z oburzeniem, gdy eskortowali go do drzwi. Sekretarka znikła, ale sądząc po spojrzeniach ludzi mijanych w korytarzu, wszyscy wiedzieli już, co zaszło. Addison był siny ze złości.

W biurze FBI, gdzie powitał go prowadzący sprawę agent Holmquist, humor Addisona bynajmniej się nie poprawił. Toczyło się przeciw niemu postępowanie o oszustwo skarbowe, uchylanie się od zapłaty należnych podatków i nielegalny transfer pieniędzy przez granice stanu. Nie były to błahe zarzuty i FBI nie miało zamiaru ich lekko traktować. Adwokat po przyjeździe doradził mu pełną współpracę. Wszedł wraz z nim i Holmquistem do zamykanego na klucz pomieszczenia. Oficer nie wyglądał na rozbawionego ani onieśmiałego wielkopańską pozą Addisona. Deklaracje skrzywdzonej niewinności też nie wywarły na nim wrażenia. W istocie żadnej cechy zatrzymanego potentata nie oceniał pozytywnie, a już najmniej lekceważenia, z jakim potraktował jego agentów

Holmquist zezwolił mu na naradę w cztery oczy z adwokatem, a potem przesłuchiwał go bite trzy godziny. Odpowiedzi Phillipa nie zadowolili go w najmniejszym stopniu. Już wcześniej podpisał kontrasygnowany przez sędziego federalnego nakaz rewizji pomieszczeń biurowych firmy Addisona i w czasie gdy rozmawiali, przeszukanie trwało. Legalność interesów Addisona budziła poważne zastrzeżenia. FBI podejrzewało, że pierze grube sumy, sięgające nawet milionów dolarów. Jak zwykle cynk dał im płatny informator — ten jednak zajmował wysokie stanowisko w firmie.

Phillip Addison omal nie dostał apopleksji, kiedy się dowiedział, że w tej chwili pół tuzina agentów FBI przeszukuje jego biuro.

— To oburzające! Nie może pan czegoś z tym zrobić?

— wrzeszczał do swojego radcy, który kręcił głową i tłumaczył mu, że jeżeli nakaz rewizji jest w porządku, a ten najwyraźniej był, nie jest w stanie jej powstrzymać. — W piątek udaję się do Europy! — oznajmił takim tonem, jakby się spodziewał, że śledztwo zostanie zawieszono na czas jego wakacji.

— To się dopiero okaże, panie Addison — odparł uprzejmie Holmquist. Miewał już do czynienia z tego rodzaju ludźmi. Zawsze wywierali na nim skrajnie nieprzyjemne wrażenie. Prawdę mówiąc, lubił im dokuczać, ilekroć trafiła się po temu okazja. Teraz zaś miał okazję i szczerzy zamiar podręczyć nieco Phillipa Addisona. Wiedział, że dla człowieka o tak wielkim majątku wysokość kaucji nie ma znaczenia — wyjdzie na wolność w ciągu paru minut. Ale dopóki kaucja nie została jeszcze ustalona, miał czas na drobiazgowe przesłuchanie.

Na tej to czynności spędził resztę popołudnia. Potem Addison został formalnie osadzony w areszcie i poinformowany, że pora jest za późna, aby sędzia federalny mógł wyznaczyć kaucję, żadnego bowiem nie ma już w pracy. Będzie musiał ochłonać za kratkami do rana. Posiedzenie w sprawie kaucji odbędzie się jutro o dziewiątej. Przemysłowiec wpadł w furię, ale jego adwokat był bezsilny.

Addison wciąż nie miał pewności, co mu zarzuca FBI. Sprawa zdawała się dotyczyć nieregularnych obciążeń i wpływów oraz sum znikających za granicą stanu, a konkretnie płynących na rachunek, który Addison pod innym nazwiskiem miał w Neyadzie. Wiedział już, że śledztwo nie dotyczy produkcji narkotyków. Ta finansowana była z pieniędzy trzymany w Meksyku, zyski zaś odprowadzano na kilka różnych kont w Szwajcarii. Bieżącą sytuację zdawał się rzeczywiście zawdzięczać niezapłaconym podatkom. Agent Holmquist oznajmił, że przez konto w Neyadzie w ostatnim miesiącu przepłynęło jedenaście milionów dolarów i o ile im wiadomo, Addison nie zapłacił nawet centa podatku ani od tych sum, ani od uzyskanych z nich odsetek. Phillip starał się zachować pokerową twarz, lecz odprowadzany do celi zmierzył wściekłym spojrzeniem zarówno Holmquista, jak i swego adwokata.

Przeszukanie w firmie Addisona nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

Przetrząsnęto wszystkie akta; do biura FBI zniesiono liczne kartony pełne papierysk i elektronicznych nośników informacji, stanowiących materiał dowodowy. W otwartym za pomocą wytrycha biurku znaleźli naładowany pistolet, pewną liczbę akt osobowych oraz czterysta tysięcy dolarów w gotówce. Holmquist uznał to za interesujące. Przeciętny biznesmen nie trzyma takich sum w szufladzie. Poza tym okazało się, że Addison nie ma zezwolenia na broń. Zawartość biurka zajęła dwa pudła, które wręczył mu jeden z agentów.

— Co ja mam z tym zrobić? — Rick spojrział na niego pytająco, na co agent odparł, że jego zdaniem powinien to przejrzeć. Rick już miał mu kazać dołączyć te kartony do reszty dowodów, ale w ostatniej chwili się rozmyślił i wtaszczył je do swojego pokoju. W pierwszym kartonie był między innymi pistolet zapakowany w plastikową torebkę na dowody rzeczowe, a także kilka przezroczystych foliowych kopert z karteluzkami znalezionymi w biurku. Bez żadnego szczególnego powodu Rick zaczął je przeglądać.

Były to przeważnie notatki z nazwiskami i numerami telefonów. Na dwóch widniało to samo nazwisko: Peter Morgan, ale numery były różne. W drugim kartonie znalazł grubą jak książka adresowa San Francisco teczkę, zawierającą szczegółową historię kariery znanego bogacza Allana Barnes'a. Wydało mu się dziwne, że Addison trzyma coś takiego w biurku, odłożył więc teczkę na bok. Znajdowały się w niej wycinki prasowe, analizy, wycięte z gazet fotografie Barnes'a, a nawet zdjęcie jego żony i dzieci. Być może Addison był o niego zazdrosny, miał na jego punkcie niezdrową obsesję. Tak czy owak Rick zamierzał mu zadać jeszcze kilka pytań. Reszta znalezisk wydawała się nieważna — być może prokuratura znajdzie w nich coś dla siebie. Agent, który przeszukiwał biurko Addisona, zapewnił Ricka, że niczego nie przeoczyli, przynieśli wszystko, nawet jego telefon komórkowy, który Addison zapomniał zabrać ze sobą.

— Jeśli jest w nim książka telefoniczna, spiszcie numery przypomnieli im Rick.

— Już spisane — uśmiechnął się agent. Coś ciekawego?

— Te same co w notesie. W trakcie rewizji zadzwonił jakiś facet nazwiskiem Morgan, ale kiedy powiedziałem, że jesteśmy z FBI, momentalnie się rozłączył — zaśmiał się agent.

— No, myślę! — zawtórował mu Rick. Nazwisko jednak było znajome: to samo, na które wcześniej się już natknął przeglądając zawartość szuflad Addisona.

Najwidoczniej kontaktowali się ze sobą regularnie. Właściwie nie było w tym nic podejrzanego, ale Ricka coś tknęło — instynkt, który odzywał się w nim czasem i nie dawał mu spokoju. Miał przeczucie, że to nazwisko może okazać się ważne.

Było już po siódmej, kiedy wyszedł z pracy. Phillip Addison pozostał na noc w areszcie. Jego adwokat po długich usilowaniach, by skłonić ich do zrobienia wyjątku, dał wreszcie za wygraną i pojechał do domu. Większość agentów też już wyszła.

Dziewczyny Ricka nie było w mieście, po drodze więc postanowił zadzwonić do Teda Lee.

Zaprzyjaźnili się już w szkole policyjnej, a potem byli partnerami przez piętnaście lat. Rick zawsze marzył o FBI i dosłownie w ostatniej chwili mu się udało — przyjmowali ludzi przed trzydziestym piątym rokiem życia, a on miał trzydzieści trzy. Teraz już od czternastu lat był agentem federalnym. Jeszcze sześć i będzie miał prawo do emerytury. Ted lubił mu przypominać, że jemu samemu wystarczy tylko rok, by przejść na emeryturę ze znacznie dłuższym, bo trzydziestoletnim stażem. Fakt, że ani jednemu, ani drugiemu zbytnio się do tego nie spieszyło. Obaj lubili swoją pracę. Niektóre zadania FBI były co prawda nużące, a stosy papierów czasem doprowadzały Ricka do rozpacz. Żałował wtedy, że nie pracuje już z Tedem w miejskiej policji. Nienawidził takich ludzi jak Addison. Marnowali jego czas opowiadając grubymi nićmi szyte łągarstwa, a ich postawa budziła w nim najwyższy niesmak.

Ted odebrał telefon po pierwszym dzwonku i uśmiechnął się słysząc głos przyjaciela.

Raz w tygodniu jadali razem obiad

— stało się to uświęconym zwyczajem, skrupulatnie przestrzegany od czternastu lat, i zarazem świetnym sposobem, by kontakt się nie urwał.

— Co słyszać? Pewnie konasz z nudów, skoro odebrałaś tak szybko — zażartował Rick. — Miasto musi być dziś jak wymarłe.

— Faktycznie, jest spokojnie — przyznał Ted. Czasem i to było miłe. Jeff Stone, jego partner, leżał w domu chory, a Ted siedział z nogami na biurku, zestawiając raport

dotyczący zuchwałego rabunku, którego poprzedniego dnia dopuściła się banda wyrostków. Ale poza tym Rick miał rację. Nudził się jak mops. — A co tam u ciebie? — Straszny młyn. W takich chwilach zawsze nie mogę się nadziwić, po kiego diabła wyniosłem się z policji. Dopiero wychodzę z biura. Przewaliłem dziś więcej papieru niż prasa drukarska. Przymknęliśmy jednego sukinsyna za oszustwa podatkowe i pranie pieniędzy. Niewiarygodnie bezczelny bufon.

— Ktoś, kogo znam? Mamy tu też parę teczek takich ptaszków.

— Nie takich. Po stokroć wolałbym mieć do czynienia z rabusiem czy kieszonkowcem. Pewnie o nim słyszałeś. Phillip Addison, głowa kilku konsorcjów i ozdoba śmietanki towarzyskiej. Jest właścicielem około dwustu firm, z których większość, jeśli nie wszystkie, służą do wymigiwania się od podatków.

— Gruba ryba — stwierdził Ted. Zawsze wydawało mu się dziwne, kiedy tacy ludzie trafiali do aresztu. Niemniej czasem się to zdarzało nawet grubym rybom. — Co z nim zrobicie? Wypuścicie za kaucją? — zażartował. Bogacze mieli zwykle na usługi batalion prawników, z których co najmniej jeden był asem w swoim fachu. Tylko niewielka część aresztowanych przez FBI stwarzała ryzyko ucieczki. Nie należeli do nich oczywiście przemytnicy broni i narkotyków. Ale aferzyści i oszuści podatkowi zawsze wychodzili za kaucją.

— Dzisiejszej nocy ostudzi sobie piętę w areszcie. Zanim przestał się pienić, nie dało się już złapać żadnego sędziego, który by wyznaczył kaucję — zaśmiał się Rick. Ted również się uśmiechnął. Wizja potentata takiego jak Addison na więziennej pryczy ubawiła ich obu.

— Peg jest w Nowym Jorku u siostry — zaczął Rick z innej beczki. — Może byśmy poszli coś przekąsić na mieście? Jestem trochę zmęczony, nie chce mi się pichcić — westchnął ciężko.

Ted zerknął na zegarek. Było jeszcze wcześniej, a poza raportem w sprawie o rabunek nie miał nic do roboty. Z ochotą przystał więc na wspólny obiad. Weźmie ze sobą pager, telefon komórkowy i krótkofalówkę; jeśli będzie potrzebny, łatwo go znajdą i w minutę stawi się na posterunku. Nie ma powodu, aby musiał siedzieć w biurze.

— Spotkajmy się za dziesięć minut u Harry”ego — zaproponował stary bar, do którego chadzali od lat. Mieli tam zapewniony spokojny stolik na tyłach sali, gdzie będą mogli swobodnie pogadać. O tej porze zresztą większość klientów tłoczyła się przy barze.

Kiedy dotarł do Harry”ego, Rick już tam był, relaksował się po pracy kufelkiem piwa. Ted nie mógł sobie na to pozwolić. Do końca zmiany musiał mieć sprawny umysł.

— Wyglądasz fatalnie — zakpił na widok przyjaciela. W istocie Rick wcale nie wyglądał źle, był tylko zmęczony. Miał za sobą długi dzień; Ted dopiero zaczynał dyżur.

— Dziękuję, nawzajem — odgryzł się Rick.

Usiedli w kącie i zamówili dwa steki. Dochodziła ósma. Ted miał służbę do północy. Zjedli, a następnie do wpół do dziesiątej rozmawiali o sprawach zawodowych. Wtem Rick o czymś sobie przypomniał.

— Słuchaj, zrób coś dla mnie. To pewnie ślepy trop, ale dzisiaj mnie coś tknęło. Wiesz, czasem tak człowieka tyka, z reguły bez sensu, ale raz na jakiś czas opłaca się sprawdzić.

W biurku tego gościa były dwa świstki z pewnym nazwiskiem.

Nagle poczułem, że to musi coś znaczyć.

Już to, że nazwisko pojawiło się dwukrotnie, przykuło jego uwagę.

— Nie odgrywaj mi tu „Strefy zmierzchu”! — Ted wznosił oczy ku niebu. Rick głęboko wierzył w swoją intuicję i nieraz miał rację. Nie dość często, by Ted ufał jej całkowicie, alei tak nie miał nic lepszego do roboty. — Co to za nazwisko? Sprawdzę po powrocie do biura. A właściwie możesz iść ze mną, jeśli chcesz.

— Mogli na poczekaniu sprawdzić, czy człowiek o tym nazwisku był notowany lub karany na obszarze stanu.

— Może rzeczywiście się z tobą przejdę. Nie lubię siedzieć sam w domu, kiedy nie ma Peg. Powiadam ci, stary, nie jest dobrze! Chyba do niej przywykłem — oświadczył Rick ze zmartwioną miną. Przez wiele lat po rozwodzie zachował niezależność, którą sobie bardzo cenił. Ale ta dziewczyna była inna. Rick sam często to stwierdzał, zaczynał już nawet myśleć o małżeństwie.

— Przepowiadałem ci, że w końcu się z nią ożenisz. I całe szczęście. To dobra dziewczyna. Mógłbyś trafić o wiele gorzej.

W życiu Ricka nieraz już tak bywało. Miał niewytłumaczalną słabość do rozpustnic. Peg jednak rzeczywiście ulepiona była z innej gliny.

— Ona też to powtarza. — Uśmiechnął się szeroko i zapłacił za obiad, bo tym razem wypadła jego kolej. Potem obaj przeszli pieszo na posterunek. Rick podał Tedowi kartkę z nazwiskiem i numerami telefonów. Sprawdzał już w kartotekach FBI, ale nic nie znalazł. Czasami jednak to, czego nie mieli federalni, można było znaleźć u policji stanowej.

Ted wklepał nazwisko do komputera i zaparzył kawę. Tymczasem Rick opowiadał mu o swojej pani. Najwyraźniej stracił dla niej głowę. Ted słuchał, z zadowoleniem konstatując, że Rick ma wobec Peg bardzo poważne zamiary. Sam był żonaty i uważał taki styl życia za najlepszy. A jego przyjaciół przez lata się od tego migał.

Nie dopili jeszcze kawy, gdy komputer wypuł odpowiedź. Ted zerknął na wydruk, uniósł brwi i wręczył go Rickowi.

— Twój przestępca podatkowy ma interesujących znajomków. Niejaki Peter Morgan, sześć tygodni temu zwolniony warunkowo z więzienia Pelican Bay. Przebywa w San Francisco.

— Za co siedział? — Rick sięgnął po wydruk i zaczął go uważnie czytać. Były tam wyszczególnione wszystkie zarzuty postawione Morganowi, a także nazwisko jego kuratora i adres schroniska na Mission. — Ciekawe, co też może łączyć filar społeczeństwa z tego rodzaju typkiem? — zastanawiał się na głos. Oto pojawił się całkiem nowy fragment układanki.

— Trudno powiedzieć. Nie przewidzisz, co sprawi, że ludzkie drogi się skrzyżują. Może znali się przed aresztowaniem tamtego i Morgan zadzwonił do Addisona, kiedy wyszedł. Mogli być przyjaciółmi — podsunął Ted dolewając kawy.

— Może. — W mózgu Ricka coś dzwoniło, ale nie wiedział co. Spojrzał na Teda. — Miał w biurku mnóstwo dziwnych rzeczy. Naładowaną broń, czterysta tysięcy dolarów w gotówce; pewnie na dropsy. I dziesięciocentymetrowej grubości teczkę pełną danych o facecie nazwiskiem Allan Barnes. Było w niej nawet zdjęcie jego żony i dzieci.

Tym razem Ted dziwnie na niego spojrział. Nazwisko nie było mu obce.

— Niesamowite — mruknął. — Poznałem ich jakiś miesiąc temu. Uroczę dzieci.

— Nie wciskaj mi kitu, dobrze? To ona jest urocza. Ciekaw jestem, jaką sprawę do niej miałeś?

Rick doskonale wiedział, kim byli ci ludzie. Nazwisko Allana Barnes'a, owiane sławą błyskawicznej kariery, często pojawiała

się na łamach gazet. Barnes nie był podobny do Addisona, który chełpił się w kronice towarzyskiej, że zaszczycił swoją obecnością ten czy tamten koncert. Reprezentował całkiem inną klasę i nigdy nie ciążyło na nim podejrzenie o nieczyste interesy.

Wszystko wskazywało na to, że był uczciwy do samego końca. W każdym razie Rick nigdy nie zetknął się z odmienną opinią, toteż był zaskoczony słysząc, że- Ted miał do czynienia z panią Barnes. Sprawy jego przyjaciela zwykle nie rozgrywały się w tak wysokich sferach.

— Ktoś wysadził samochód ich sąsiadów — wyjaśnił Ted.

— Gdzie oni mieszkają? Na Hunters Point? — zażartował Rick.

— Nie bądź taki dowcipny. Na Pacific Heights. Wóz starego sędziego McIntyre'a wyleciał w powietrze cztery dni po tym, jak więzienie opuścił niejaki Cariton Waters...

— Ted spojrzał na przyjaciela i twarz mu się zmieniła. Jemu także coś kliknęło w mózgu. — Daj no ten wydruk.

Rick podał mu kartkę. Ted przeczytał ją jeszcze raz i wpisał coś do komputera. Po chwili pojawiła się odpowiedź.

— Waters i Morgan opuścili Peli can Bay w tym samym dniu

— rzeki powoli. — „Strefa zmierzchu”, jak rany, ciarki chodzą po grzbiecie. Nie znalazłeś czasem nazwiska Watersa w biurku tego gościa?

Rick potrząsnął głową.

— Przykro mi to mówić — westchnął — ale to najprawdopodobniej czysty zbieg okoliczności.

Rad nierad Ted musiał podzielić jego zdanie. W pracy policyjnej nie wolno było dać się zwieść pozorom. Raz na jakiś czas okazywały się znaczące, ale przeważnie prowadziły donikąd.

— No i co się okazało w sprawie tego samochodu? — zagadnął go Rick.

— Nic. Nadal nic nie mamy. Pojechałem do Modesto zobaczyć się z Watersem. Ot tak, z ciekawości i żeby dać mu do zrozumienia, że mamy go na oku. Nie sądzę, by coś go wiązało z tą sprawą. Nie jest aż tak głupi.

— Nigdy nie wiadomo. Dziwniejsze rzeczy się zdarzają. Pewnie sprawdziłeś, jacy inni wielbiciel sędziego wyszli ostatnio z paki?

Pytanie było retoryczne, Rick bowiem niewielu znał ludzi równie dociekliwych i systematycznych jak Ted Lec. Często żałował, że nie udało mu się go ściągnąć do FBI. Niektórzy spośród jego obecnych współpracowników doprowadzali go do szafu. Z Tedem rozumieli się prawie bez słów. Do dziś wymieniali między sobą informacje i nieraz dyskutowali o swoich sprawach. Zdarzało się, że z takiej rozmowy wyłaniało się rozwiązanie problemu, nad którym każdy z nich pracował osobno w swoim pionie. Nawet gdy chcieli się tylko wygadać, tak jak dzisiaj, to pomagało.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, co szanowna pani Barnes ma wspólnego z tym wybuchem. Zgaduję, że nie jest podejrzana o jego spowodowanie?

Ted potrząsnął głową ubawiony.

— Mieszka na tej samej ulicy. Jeden z jej synów wyglądał właśnie przez okno. Pokazałem mu nazajutrz zdjęcia Watersa, nie poznał go. I na tym trop się urwał. Zero efektów.

— Rozumiem, że skarżąc się na brak efektów masz na myśli znajomość z tą uroczą damą? — zażartował Rick. Uwielbiał kpić z Teda w sprawach damsko-męskich, a Ted nie pozostawał mu dłużny. Zwłaszcza odkąd Rick związał się z Peg. Była to jego pierwsza miłość od lat, może nawet pierwsza w całym jego życiu. Ted nie znał się wiele na romansach, od dzieciństwa był wciąż wiemy Shirley, co Rick zawsze określał jako anomalie. Mimo to podziwiał Teda, choć z tego, co Ted mówił, a jeszcze bardziej z tego, o czym nie mówił, Rick domyślał się, że ich małżeństwo nie jest już tym czym niegdyś. Cóż, przynajmniej byli razem i na swój sposób nadal się kochali. Trudno oczekiwać fajerwerków namiętności po prawie trzydziestu latach. W małżeństwie Teda także już wygasły.

— Nie mówiłem nic o niej — zastrzegł się Ted. — Powiedziałem tylko, że ma miłe dzieci.

— Zatem chcesz powiedzieć, że nie masz żadnego podejrzanego o ten zamach. Potrząsnął głową.

— Ani podejrzanego, ani poszlak, dosłownie nic. Ale spotkanie z Watersem było bardzo ciekawe. To twardy gość. Zdaje się, że zamierza uniknąć kłopotów, przynajmniej na razie. Nie był zbyt uszczęśliwiony moją wizytą.

— Tacy są najgorsi — mruknął Rick. — Ale mnie on na nic.

— Wiedział, kim jest Waters, czytał o nim i to, co przeczytał, bardzo mu się nie spodobało. Mimo wszystko nie sądził, aby człowiek tego pokroju mógł mieć związek z jego sprawą.

— Doszedłem do tego samego wniosku — odmruknął Ted. Rick popatrzył na niego. Coś chodziło mu głowie. Nie potrafił odgadnąć natury związku łączącego Morgana i Addisona

— i to go trapiło. Fakt, że Cariton Waters wyszedł z więzienia tego samego dnia co Morgan, prawdopodobnie nie oznaczał nic. Ale przyszło mu na myśl, że nie zaszkodzi sprawdzić. Jako zwolniony warunkowo Morgan znajdował się pod jurysdykcją Teda.

— Zrobisz coś dla mnie? Nie dam rady uzasadnić posłania tam kogoś z naszych. Czy mógłbyś jutro pchnąć kogoś ze swoich chłopców na kwaterę Morgana? Ma warunek, więc nie potrzebujecie nakazu, żeby przeszukać jego rzeczy. Nie musicie nawet uzgadniać tego z kuratorem. Szukam czegoś, co łączyłoby go z Addisonem. A może znajdzie się jeszcze coś interesującego. Nie wiem dlaczego, ale ciągnie mnie do niego jak pszczołę do miodu.

— Chryste, tylko mi nie mów, że w tym FBI zrobili z ciebie pedała! — Ted parsknął śmiechem, ale zgodził się jechać. Miał sporo szacunku dla instynktu agenta. Już nieraz obaj z Rickiem na nim skorzystali. — Sam tam pojedę, jutro rano. Jeśli znajdę cokolwiek, dam ci znać. — Rano nie miał nic innego do roboty, a przy pewnej dozie szczęścia Morgana nie będzie w domu, co ułatwi przeszukanie. Będzie mógł się swobodnie rozejrzeć.

— Dzięki! — ucieszył się Rick. Wziął wydruk z danymi Morgana, złożył go i wetknął do kieszeni. Mogły mu się jeszcze przydać, zwłaszcza jeśli Ted coś znajdzie.

W schronisku Ted dowiedział się, że Morgan już tam nie mieszka. Dyżurny podał mu nowy adres. Najwyraźniej kurator nie uaktualnił danych; to było zaniedbanie, ale z

drugiej strony mieli mnóstwo pracy. Ted zerknął na kartkę z nazwą hotelu w dzielnicy Tenderloin. Chcąc spełnić obietnicę daną Rićkowi, pojechał tam od razu. W recepcji powiedziano mu, że Morgan wyszedł. Ted pokazał swoją odznakę i poprosił o klucz, wyjaśniając spłoszonemu mężczyźnie, że jest to rutynowa kontrola przebywającego na zwolnieniu warunkowym. Recepcjonista uspokoił się, mieli już wcześniej takich lokatorów. Wzruszył ramionami i podał mu klucz.

Pokój Morgana był obszerny i schludny. Ubrania w szafie wyglądały na nowe. Na biurku leżał równy stosik papierów. Nie było tu nic droższego, ani narkotyków, ani broni czy przemycanych towarów, nawet papierosów — widać Morgan nie palił. Ted wziął do ręki gruby notes z adresami, ściągnięty gumką. Od razu pod „A” znalazł nazwisko i numer telefonu Addisona. Przejrzał zawartość szuflad i znalazł w nich dwie kartki, które przykuły jego wzrok. Na jednej był zapisany numer telefonu kwatery Watersa w Modesto. Na widok drugiej drgnął. Widniał na niej adres Fernandy Barnes. Bez nazwiska, sam adres, ale poznał go od razu. Ted zamknął szufladę, ściągnął gumką notes i odłożył go na miejsce. Ostatni raz rozejrzał się po pokoju, po czym wyszedł. Gdy tylko znalazł się znów w samochodzie, zadzwonił do Ricka.

— Coś tu trąci. Powiedziałbym nawet, że śmierdzi jak lichy. Nie jestem tylko pewien, co to jest.

Był zmartwiony. Dlaczego człowiek pokroju Morgana miał adres Barnesów? Co łączyło go z Watersem? Czy tylko to, że poznali się w więzieniu? Ale jeżeli tak, na co mu był jego numer w Modesto? I telefon Addisona? A Addisonowi jego? Dlaczego Addison miał opasłe dossier Allana Barnes, a w nim zdjęcia jego żony i dzieci? Nagle stłoczyło się zbyt wiele pytań, a za mało odpowiedzi. Dwaj więźniowie, z których jeden został skazany za morderstwo, opuścili więzienie tego samego dnia. Nasylenie zbiegów okoliczności osiągnęło stan krytyczny.

Rick pochwycił w jego głosie coś, czego nie słyszał w nim od lat: panikę. Był ciekaw, co jest jej powodem.

— Właśnie obejrzałem sobie pokój Morgana — wyjaśnił Ted. — Nie mieszka już w schronisku. Przeprowadził się do hotelu na Tenderloinie i ma szafę pełną nowych ciuchów. Zaraz zadzwonię do jego kuratora, sprawdzę, czy pracuje.

— Jak sądzisz, skąd może znać Addisona? — dopytywał się Rick.

Właśnie wrócił z rozprawy, na której ustalono kaucję. Addison wykpił się tanim kosztem; sędzia kazał mu wpłacić dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów (więcej miał w szufladzie) i pozwolił opuścić kraj. Dochodzenie trwało dalej, lecz adwokat Addisona wykazał, że spokojnie może się ono toczyć pod jego nieobecność — to już problem FBI, nie ich. Sędzia się zgodził: nie mieli powodu wątpić, że za cztery tygodnie Addison wróci. Posiadał tu imperium, którym musiał zarządzać. Rick zobaczył więc, jak podejrzany odjeżdża w siną dal. Tym bardziej ciekawiło go, co Ted znalazł u Morgana.

— Może z dawnych czasów. Ma jego numer, atrament wygląda na stary.

— Ale po co mu on? — Rick wypowiedział na głos jego myśli.

— Właśnie, dobre pytanie. Nie podoba mi się to wszystko, anie jestem nawet pewien dlaczego. Bez dwóch zdań jednak coś się święci. — Przyszła mu do głowy pewna myśl. — Mogę wpaść do ciebie i przejrzeć tę teczkę Barnes, którą miał Addison? Może coś da się z niej wywnioskować. I zrób dla mnie jeszcze jedno

— rzekł przekręcając kluczyk w stacyjce. Jechał prosto do Ricka, zamierzał przestudiować wszystkie materiały w dochodzeniu przeciwko Addisonowi. Zaintrygowało go. Nie potrafił postawić żadnej hipotezy, co też Fernanda Barnes może mieć z nim wspólnego, ale coś mu mówiło, że to ona jest osią całej sprawy. Ted gubił się w domysłach. Może odpowiedź zawarta była w teczce.

— Co mam dla ciebie zrobić? — przypomniał mu Rick. Ted był wyraźnie rozproszony. Istotnie, starał się powiązać ze sobą fakty, a na razie nic nie pasowało. W powietrzu fruwały pojedyncze elementy układanki. Morgan. Waters. Addison. Fernanda. Wysadzony samochód. Na pozór nic ich ze sobą nie łączyło. Na razie.

— Zbadaj, proszę, stan finansów Addisona. Najdokładniej, jak możesz. — Ruszył. Wiedział, że Rick i tak miał się tym zająć, ale chciał otrzymać te dane szybko, najlepiej zaraz gdy dojedzie na miejsce.

— Sprawdziliśmy go już, w każdym razie powierzchownie. Dlatego wczoraj został aresztowany. Jakaś firma widmo w Neyadzie, trochę nie zapłaconych podatków. I góry pieniędzy transferowane tam i z powrotem przez granice stanu. W Neyadzie nie wprowadzono podatków stanowych, toteż była to wymarzona przystań dla ludzi w rodzaju Addisona z nielegalnymi pieniędzmi w rękach.

— W sumie to groszowe sprawy — ciągnął Rick. — Najgorsze, co go może spotkać, to grzywna. Wątpię, żeby dało się go za to wsadzić. Ma dobrych prawników — dodał z wyraźnym żalem.

— Nadal go sprawdzamy. — Obaj wiedzieli, że na to trzeba czasu.

— Sprawdźcie go dokumentnie. Zajrzyjcie wszędzie, nawet pod dywan.

— Dosłownie? — zdumiał się Rick. Nie bardzo sobie wyobrażał, czego ma szukać. Na razie Ted także tego nie wiedział. Ale miał silne przeczucie, że jeśli dobrze poszukać, coś się znajdzie.

— Nie, nie dosłownie. Chodziło mi o to, żebyście dokładnie go prześwietlili. Na wylot. Chcę wiedzieć co do grosza, ile ma pieniędzy, a ile długów. Wsadźcie go pod mikroskop. I nie za dwa miesiące, ale już, tak szybko, jak tylko zdołacie. Wiedział, jak długo trwają śledztwa FBI, zwłaszcza gdy chodziło jedynie o pieniądze i nie było zagrożone niczyje życie. Ale być może właśnie tu szło o życie. Może Addison knuł coś groźniejszego.

— Pociągnij za wszystkie sznurki. Będę u ciebie za dziesięć minut. — Ted dodał gazu.

— Może mi to zająć trochę więcej czasu — rzekł przepraszająco Rick.

— Ile? — Ted był zdenerwowany, sam nie wiedział dlaczego.

— Parę godzin. Dzień lub dwa. Postaramy się dać z siebie wszystko. — Jego agenci musieli się skontaktować z grupą analityków w Waszyngtonie, a także z tajnymi informatorami w podziemnej sieci finansowej. I na to wszystko trzeba było czasu.

— Chryste, ależ wy się guzdrzecie! Dobra, rób, co możesz. Jestem już w połowie drogi, zaraz tam będę.

— W tej chwili biorę się do roboty. Przejrzysz sobie teczkę Barnes'a, a my tymczasem wykopiemy dla ciebie, co tylko się da.

— Po tych słowach Rick się rozłączył. Zanim Ted wszedł do jego biura, teczka leżała już przygotowana, a trzech agentów non stop klepało w klawiatury komputerów, wydzwaniając jednocześnie do pokrewnych agencji oraz wybranych informatorów. I tak mieli to w planach, Ted tylko znacznie przyspieszył tok sprawy. Tymczasem zabrał się do teczki, w której nie było

nic prócz szczegółowego zapisu osiągnięć Miana Barnes'a. Mimo to dokładnie ją przestudiował, a trzy godziny później, kiedy dyskutował z Rickiem, pokrzepiając się kanapkami, okazało się, że warto było czekać. Trzej agenci równocześnie weszli do pokoju; jeden z nich podał Rickowi stos papierów.

— Wnioski? — spytał krótko Rick.

— Addison ma trzydzieści milionów długu. Titanic idzie na dno — oznajmił triumfalnie agent. — Jeden z naszych tajnych współpracowników okazał się kopalnią cennych informacji.

— Fiu, fiu! — Rick zerknął na Teda. — To sporo.

— Jego holding ma poważne kłopoty — wyjaśnił agent.

— Dotąd udawało mu się to ukrywać, ale taki stan rzeczy nie będzie trwać wiecznie. Chociaż facet ma prawdziwy talent do żonglerki; doprawdy powinien się zatrudnić w cyrku. Inwestował w jakieś południowoamerykańskie fundusze, no i część z tych inwestycji mu nie wyszła. Pożyczał od innych, żeby pokryć tamto, i ma teraz masę przeterminowanych długów. Jakieś drobne fałszerstwo karty kredytowej, ale to przyszcz. Kiedy poskrobać głębiej, ukazuje się takie bagno, że człowiek zachodzi w głowę, jakim cudem facet wpłacił kaucję. Potrzebuje potężnego zastrzyku środków, żeby się z tego wygrzebać, a nie bardzo ma skąd je wziąć. Ponadto od lat pierze forszę. Stąd ta cała historia w Neyadzie; niestety, nadal jeszcze nie udało nam się jej do końca wyjaśnić. Słowem, jeśli chcieliście panowie wiedzieć, czy ma kłopoty, odpowiedź brzmi: tak. Bardzo, bardzo poważne kłopoty. Siedzi w nich po uszy. Jeśli chcecie usłyszeć dlaczego i jakie, i czyje pieniądze inwestował, to będzie musiało potrwać. Potrzeba nam trochę czasu. I mnóstwa ludzi. To tylko ogólny zarys. Musimy jeszcze bardzo wiele sprawdzić. Ale koleś nie wygląda najlepiej.

— Myślę, że na razie to wystarczy — rzekł cicho Rick i podziękował wszystkim trzem za błyskawiczne efekty, co zwłaszcza w przypadku kontaktu z informatorami bywało trudne do osiągnięcia.

Kiedy tylko wyszli, odwrócił się do Teda.

— No i co o tym myślisz? — spytał. Nieomal widział, jak mózg przyjaciela pracuje na pełnych obrotach.

— Myślę, że oto mamy delikwenta, o którym wiemy, że narobił sobie długów na co najmniej trzydzieści milionów, może więcej. Oraz kobietę, której mąż zostawił w spadku około pół miliarda dolarów, jeśli wierzyć w to, co wypisuje prasa, choć osobiście byłbym bardzo ostrożny. Ale nawet jeśli okroimy kwotę do połowy, wdowa stanowi kuszący łup. Mamy też dwóch kryminalistów, którzy półtora miesiąca temu wyszli z pierdła i kręcą się po okolicy. Obaj związani są zarówno z Addisonem, jak i ze sobą nawzajem. I mamy jeszcze bombę w samochodzie o dwa domy od naszej wdówki. Jeśli pytasz mnie o zdanie, uważam, że Fernanda Bamnes jest potencjalną ofiarą. Wiesz, co myślę? że Addison chce ją wydoić i poto mu była ta teczka. Jak na razie nie mamy nic, co można by mu formalnie zarzucić, ale gdybym miał puścić wodze wyobraźni, to powiedziałbym, że wykorzystał Morgana, żeby się skontaktować z Watersem. Waters ją obserwował, a niejako przy okazji podłożył bombę sędziemu. Bo teraz jestem prawie pewien, że to jego robota. Przypadkiem mieszkają na jednej ulicy. Był tam i postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Czemu nie? Szkoda, że mały Barnes go nie rozpoznał, ale nie można mieć wszystkiego. Moim zdaniem tu się święci spisek wymierzony w Fernandę Bamnes.

To, co mówił Ted, miało sens. Za długo był gliną, aby mógł się znacząco mylić. Świat przestępczy myśli tymi kategoriami i rządzi nim takie właśnie mechanizmy. Z biegiem lat policjant uczy się je rozpoznawać i stąd biorą się przeczucia, własne albo cudze, którym można zaufać. Rick Holmquist uwierzył w to, co usłyszał od Teda. Ale pomiędzy wiarą, a nawet wiedzą, a możliwością udowodnienia hipotezy ziele głęboka przepaść i aby ją wypełnić, trzeba wiele czasu. Zdarzało się, że czas co prawda dowodził słuszności teorii, ale był to dowód okupiony ceną ludzkiego życia. Jeśli Ted miał rację, tak mogło być i w tym przypadku. Nie mieli w garści nic oprócz hipotez i nie byli w stanie zapewnić Barnesom ochrony, dopóki ktoś nie spróbuje się do nich dostać.

— Jakiego rodzaju spisek? — spytał Rick z powagą. — Chcą ją naciągnąć na wyłożenie pieniędzy? Jakaś inwestycję?

Ted pokręcił głową.

— Do tego niepotrzebny byłby Waters. Nie mówimy oprze-kręcie w jedwabnych rękawiczkach. Moim zdaniem to gotowa kandydatka do porwania, ona albo co jeszcze bardziej prawdopodobne, któreś z dzieci. Addison potrzebuje trzydziestu milionów dolarów, i to szybko. Wdowa ma znacznie więcej. Te dwa fakty razem wiele by mogły tłumaczyć i właśnie to najmocniej mnie martwi. Nie podoba mi się też, że na scenie kręci się Carl Waters. A nawet jeśli nie ma on bezpośredniego związku z tą sprawą, pozostaje jeszcze jedno: że Addison trzymał w biurku opasłe dossier Allana Barnes'a. Oraz fotografię jego żony i dzieci.

Rickowi też się to nie podobało, ale właśnie sobie coś przypomniał.

— Za dwa dni Addison wyjeżdża do Europy. Po co i za co, skoro jest bankrutem?

— Oprócz niego mało kto o tym wie. A w naszej sprawie to niczego nie zmienia. Nie robiłby tego własnymi rękami. Wynająłby ludzi. Będąc za granicą, kiedy coś się stanie, ma murowane alibi. A przynajmniej on tak uważa. Pytanie brzmi: kto ma to zrobić i kiedy, jeśli oczywiście moje domysły są słuszne.

Nie byli nawet pewni, czym „to” ma być. Ale obaj się zgadzali, że zanoszą się na coś niedobrego.

— Zamierzasz przycisnąć Morgana? — zainteresował się Rick. — Albo Watersa?

Ted potrząsnął głową.

— Nie chcę ich spłoszyć. Wolałbym zaczekać i zobaczyć, co zrobią. Ale mam zamiar ostrzec panią Barnes. Ma do tego prawo.

— Dasz radę załatwić jej ochronę?

— Możliwe. Jeszcze dziś pogadam o tym z kapitanem. Ale najpierw chcę pomówić z nią. Może zauważyła albo wie coś, o czym my nie wiemy, a czego nawet może nie być świadoma.

— Znali już obaj takie sytuacje. Jedna z pozorów błaha informacja sprawiała, że cały obraz stawał się wyrazisty.

Ted trochę się obawiał, że kapitan posądzi go o pomieszanie zmysłów. Jak dotąd często dawał mu wolną rękę i nieraz im się to opłaciło. Ted zyskał w ten sposób kredyt zaufania, który zamierzał teraz wykorzystać. Był absolutnie pewien, że się nie myli.

Rick podzielał jego zdanie. Chętnie zaofiarowałby pomoc, ale za mało było dowodów, aby zdołał to przeprowadzić. Na razie sprawa leżała w gestii policji San Francisco. Co prawda Addison był „klientem” FBI, wątpliwe jednak, by prokurator federalny przydzielił środki na zapewnienie ochrony Fernandzie Barnes. Rick i tak zamierzał go

o wszystkim powiadomić. Na razie nie miał dowodów, by oskarżyć Addisona o usiłowanie porwania w celu wymuszenia okupu. Na razie. Sprawa się rozwijała. Ted wstał ze strapioną miną. Nie znosił takich spraw. Zwykle padały w nich ofiary. Chyba że uda im się w porę przeciwdziałać, ale tego wcale nie był taki pewien. Teraz musiał porozmawiać z kapitanem — a jeszcze wcześniej z Fernandą Barnes.

— Masz ochotę się ze mną przejechać? — spytał Ricka.

— Chętnie wysłucham potem twego zdania.

Rick skinął głową i ruszył z nim do wyjścia. Od dwóch dni jego biuro pracowało bez wytchnienia, a cały ten kołowrót

rozkręciły zwykły świstek papieru z zapisanym nazwiskiem i anormalnie gruba teczka zamknięta w biurku. Wtedy nie miało to żadnego sensu. Ale teraz sens powoli zaczynał się wyłaniać. Ted i Rick byli starymi wyjadaczami w tym zawodzie.

Wiedzieli, jak pracuje mózg przestępcy. Sztuka polegała na tym, żeby zacząć myśleć w ten sam sposób — w ten sam chory, patologiczny sposób. Wtedy istniał cień szansy, że uda się wyprzedzić przeciwnika o jeden krok. Obaj mieli nadzieję, że zdołają tę szansę wykorzystać.

Rick zostawił wiadomość, że wróci za dwie godziny. Prawie się cieszył, że znów ma okazję współpracować z Tedem. Nie odważył się jednak powiedzieć tego na głos.

Przyjaciel był w tej chwili zbyt zmartwiony, żeby się cieszyć. Już z samochodu zadzwonił do Fernandy Barnes. Zastał ją w domu, odebrała telefon trochę zadyszana.

Wspomniała, że pakuje rzeczy syna, który wyjeżdża na obóz.

— Chodzi o ten wybuch, tak? — spytała z roztargnieniem.

W tle było słycać głośną muzykę, świadczącą, że przynajmniej jedno z dzieci jest w domu. Ted miał nadzieję, że zastanie

wszystkie. Chciał powiedzieć Fernandzie o swych przemyśleniach. Lepiej nawet niepotrzebnie ją wystraszyć, niż pozostawić w nieświadomości.

— Niezupełnie — odparł wymijająco. Ma to pewien, może nie bezpośredni, związek z inną sprawą.

Odpowiedziała, że czeka, i na tym zakończyli rozmowę.

Ted jawnie zaparkował na podjeździe i wysiadając rozejrzał się dyskretnie. Ciekaw był, czy ktoś ich w tej chwili obserwuje. Pomimo że istniała taka możliwość, zdecydował się nie ukrywać. Morgan go nie znał, a nawet gdyby mieli do czynienia z Watersem, który mógł go rozpoznać, Ted zawsze był zwolennikiem teorii, że widoczna obecność policji jest czynnikiem hamującym działania przestępcze. FBI często wołało działać z ukrycia. Ted osobiście tego nie pochwalał, zawsze miał wrażenie, że ofiary pełnią wtedy rolę żywej przynęty.

Peter Morgan widział, jak wchodzili do domu. „Wyglądają jak gliny”, pomyślał, ale zaraz uznał, że wpada w paranoję. Nie było powodu, aby Fernandę Barnes odwiedzała policja. Robił się nerwowy, bo wiedział, że dzień skoku się zbliża. Wiedział też, że Addison został dzień wcześniej aresztowany przez FBI. Sam Addison twierdził co prawda, że zarzuty są śmieszne, a FBI może mu skoczyć. Wybierał się do Europy zgodnie z planem i ich plan także nie uległ zmianie. Wszystko było w porządku, a kimkolwiek byli goście Fernandy Barnes, najwyraźniej ich znała. Uśmiechnęła się szeroko do Azjaty, który nacisnął dzwonek. Peter doszedł do wniosku, że to pewnie maklerzy, prawnicy albo w każdym razie ludzie, którzy opiekują się jej pieniędzmi.

Finansiści przypominają czasem policjantów. Zdecydował się więc nie dzwonić w tej sprawie do Addisona, zwłaszcza że ten ostatnio kazał mu ograniczyć kontakty do spraw naprawdę ważnych. Co prawda jego telefonu nie dało się namierzyć i podsłuchać, ale telefon Petera tak. Nie miał czasu kupić sobie innego. Zamierzał zrobić to w przyszłym tygodniu.

Kiedy tak rozmyślał siedząc w aucie, Ted Lee usiadł w wytwornym salonie Barnesów. Fernanda nie знаła powodu tej wizyty. Nie wiedziała też, że w ciągu najbliższych minut usłyszy coś, co odmieni jej życie raz na zawsze.

Rozdział XII

Ujrzawszy w progu Teda, Fernanda z uśmiechem zaprosiła ich do środka. Nie uszło jej uwagi, że tym razem Tedowi towarzyszy inny partner, z którym łączy go niemal namacalna serdeczna więź. Więź ta zdawała się rozciągać i na nią. Spostrzegła też od razu, że Ted jest czymś zmartwiony.

— Czy dzieci są w domu? — spytał.

— Zwykle nie słucham tego rodzaju muzyki! — Fernanda parsknęła śmiechem. Z głośników na piętrze dobiegał ryk, od którego trzęsły się żyrandole.

Przyglądając się towarzyszowi Teda wyczuła w nim aurę człowieka przywykłego do wydawania rozkazów i zastanawiała się, czy jest to jego zwierzchnik czy po prostu inny policjant w zastępstwie tego, który był z nim wcześniej. Ted pochwycił jej spojrzenie.

— To jest Rick Holmquist — rzekł — agent specjalny FBI, a zarazem mój serdeczny przyjaciel.

Fernanda była zaintrygowana. Nie potrafiła dociec, co też sprowadza do jej domu FBI.

— Will wyjeżdża jutro na obóz sportowy — wyjaśniła — o ile zdołam go wreszcie spakować, a następnie związać, żeby nie grzebał w bagażu, i tak wypchnąć z domu. Miała wrażenie, że pakuje ekipę olimpijską. Nigdy nie przypuszczała, że jeden nastoletni gracz może mieć aż tyle sprzętu.

— Ashley pojutrze jedzie do znajomych do Tahoc — dodała z rozpędu. — A my z Samem będziemy czekać na nich tutaj.

Już tęskniła, choć jeszcze nie wyjechali. Po raz pierwszy od śmierci Allana miała się z nimi rozstać na dłużej, a w tym stanic ducha rozłąka była dla niej znacznie trudniejsza do zniesienia niż kiedykolwiek przedtem.

Wprowadziła obu mężczyzn do salonu i zaproponowała im coś do picia, lecz odmówili. Usiadła więc na sofie, patrząc na nich wyczekująco i zastanawiając się, po co przyszli.

— Pani Barnes, jesteśmy ni w pewnej szczególnej sprawie

— zaczął ostrożnie Ted. — Właściwie to tylko podejrzenie. Zawodowa intuicja starego gliny. Nie mamy jeszcze żadnych konkretów. Ale sprawa może okazać się poważna.

— Brzmi to bardzo groźnie. — Fernanda zmarszczyła brwi, powoli przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

— Praca policyjna przypomina kompletowanie układanki, wie pani, takiej, gdzie z tysiąca elementów osiemset to niebo, a reszta — woda. Przez dłuższy czas wszystkie wyglądają tak samo, a potem, po troszeczkę, składa się fragment nieba, potem fragment morza... krok po kroku elementy zaczynają do siebie pasować i w końcu widzi się cały obraz. W tej chwili mamy w ręku tylko maleńki wycinek nieba, ale bardzo mi się on nie podoba.

Fernanda odniosła wrażenie, że detektyw Lee mówi od rzeczy. Czy to możliwe, żeby któreś z dzieci coś zbroiło? Nie, wykluczone, znała je przecież tak dobrze jak siebie samą. Pomimo to boleśnie ścisnęło ją w dołku. Spojrzała na policjanta. Jego niepokój z pewnością był szczery. Ten drugi, Rick, przyglądał jej się z powagą.

— Czy któreś z nas popełniło jakieś wykroczenie? — spytała wprost.

Ted potrząsnął głową.

— Przeciwnie. Obawiamy się, że to państwo mogą paść ofiarą przestępstwa. Innymi słowy, że ktoś zamierza zrobić wam krzywdę. Powtarzam: to tylko przeczucie, ale martwi mnie ono na tyle, że zdecydowałem się panią niepokoić.

Fernanda wyprostowała się odruchowo, sprężona i zaalarmowana. O to właśnie chodziło Tedowi: chciał pozyskać jej uwagę.

— Dlaczego ktoś miałby chcieć nas skrzywdzić? — szepnęła nieco zbity z tropu.

Ted nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest naiwna. Od lat żyła pod kloszem, w jej świecie ludzie nie stosowali przemocy, w każdym razie nie takiej, z jaką wciąż mieli do czynienia Ted i Rick. Nigdy nie zetknęła się ze światem przestępczym. Cóż z tego, skoro świat przestępczy o niej wiedział i już miał ją na celowniku.

Pani mąż zdobył wielki majątek. Taka fortuna przyciąga uwagę i budzi chciwość. Na świecie jest wielu ludzi pozbawionych skrupułów i elementarnej moralności. Mają mentalność drapieżników, dzikich zwierząt, a ludzie tacy jak pani padają ich ofiarą. I są groźni; groźniejsi, niż potrafi to sobie pani wyobrazić. Obawiam się, że tym razem to wy możecie stać się ich łupem. Niewykluczone, że już jest pani obserwowana; nie wiemy, czy mają konkretny plan, a jeśli tak, to czy zaczęli go wprowadzać w życie. Niczego nie jestem w stanie stwierdzić na sto procent. Jednakże od paru godzin z rozsypanych elementów układanki zaczyna się wyłaniać pewien obraz, na razie jeszcze nie do końca jasny. I o tym właśnie chcę z panią porozmawiać. Na początek powiem pani, co wiemy i do jakich wniosków nas to doprowadziło.

Przysłuchując się swojemu dawnemu partnerowi, Rick znów podziwiał jego życzliwość i takt. Ted potrafił mówić otwarcie, nie stwarzając zarazem atmosfery paniki. Rick wiedział, że powie tej kobiecie całą prawdę, tak jak ją w tej chwili widzi. Zawsze był szczery. Uważał, że potencjalne ofiary należy informować o zagrożeniu, a potem czynić wszystko co w ludzkiej mocy, żeby zapewnić im ochronę. Ted bez wątpienia był człowiekiem prawnym i za to Rick go szanował.

— Pan mnie przeraża — powiedziała cicho Fernanda, z napięciem wpatrując się Tedowi w oczy. Nie spodobało jej się to, co w nich zobaczyła.

— Wiem. I naprawdę bardzo mi przykro — odparł łagodnie. Miał przelotną ochotę pogłaskać ją po dłoni, ale się powstrzymał. — Agent Holmquist aresztował wczoraj pewnego biznesmena... — rzucił okiem na Ricka, który potwierdził skinieniem głowy.

— Jest to potentat przemysłowy, mężczyzna znany i szanowany, który w oczach świata ma opinię człowieka sukcesu. Wiele jego działań wszakże wygiada podejrzenie. W grę wchodzi oszustwa podatkowe oraz proceder tak zwanego prania pieniędzy pochodzących z nielegalnej działalności. Z pewnością nie znamy jeszcze całej prawdy o nim, na razie jest bacznie obserwowany.

Fernanda przytaknęła bez słowa, przysłuchując się uważnie.

— Dziś nieco dokładniej przyjrzelśmy się jego finansom i okazało się, że nie wszystko złoto, co się świeci. Ten pan jest zadłużony na trzydzieści milionów dolarów. Najprawdopodobniej sprzeniewierzył cudze pieniądze. Mamy powody przypuszczać, iż jego wierzyciele nie są bogobojnymi obywatelami, zajmującymi się legalną działalnością gospodarczą. Będą go naciskać, uciekając się przy tym do drastycznych środków. Nasz bogacz stoi pod ścianą. Czas go goni.

— Ale przecież mówił pan, że jest w więzieniu? — przypomniała sobie Fernanda.

— Wyszedł za kaucją. Obawiam się, że postawienie go przed sądem zajmie nam jeszcze wiele czasu. Ma dobrych prawników, silne powiązania, wysoko postawionych znajomych, a przy tym jest nadzwyczaj przebiegły. Ale pod pozłotką uczciwie przezeń prowadzonych i zyskownych interesów panuje straszliwy zamęt. Przypuszczalnie większy, niż podejrzewamy. Na gwałt potrzebuje pieniędzy, by uchronić się przed bankructwem lub nawet pozostać przy życiu. Tego rodzaju desperacja popycha ludzi do szaleńczych czynów.

— Ale co to ma wspólnego ze mną?

— Zaraz do tego przejdę. Ten człowiek nazywa się Phillip Addison. Czy jego nazwisko coś pani mówi? — Ted wpatrzył się w nią bacznie, ale Fernanda potrząsnęła głową.

— Możliwe, że widziałam je w gazecie. Na pewno nigdy nie spotkałam się z nim osobiście. Może Allan go znał albo wiedział, kim jest. Znał mnóstwo ludzi.

Ted z namysłem pokiwał głową, po czym podjął:

— Addison miał w biurku teczkę. Opasłą teczkę grubą na cztery cale, pełną wycinków prasowych dotyczących pani męża. Wygląda to prawie na obsesję. Może zazdrościł mu majątku, a może podziwiał, uważał za wzorzec do naśladowania. Podejrzewam, że śledził każdy jego krok.

— Allan często był tak postrzegany — wtrąciła Fernanda ze smutnym uśmiechem. — Osiągnął coś, co dla wielu ludzi stanowi ukoronowanie wszystkich marzeń. Niektórzy twierdzą, że po prostu mu się poszczęściło. Rzeczywiście, miał dużo szczęścia, ale włożył w to równie dużo pracy i umiejętności. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Allan miał niesamowite wyczucie rynku. Często bardzo ryzykował — westchnęła — ale większość ludzi widzi tylko końcowy sukces.

Nie chciała być niełojalna wobec męża wyjawiając jego porażki, które w efekcie przewyższyły osiągnięcia. Faktem było, że dla przeciętnego czytelnika prasy Allan Barnes symbolizował karierę w prawdziwie amerykańskim stylu.

— Nie jestem pewien, dlaczego Addison trzymał tę teczkę

—ciągnął Ted. —Dossier sięga co najmniej kilku lat wstecz. Jest bardzo szczegółowe. Zbyt szczegółowe. Zawiera wycięte z czasopism zdjęcia pani męża, a nawet zdjęcie pani i dzieci. Może nie ma w tym nic złego, ale...

— To dlatego pan się martwi?

— Między innymi. To na razie drobna cząstka układanki, dwa zazębiające się elementy z rozmytym kawałkiem nieba. Agent Holmquist znalazł w biurku Addisona kartkę z nazwiskiem. Widzi pani, starzy policjanci mają instynkt, z reguły niezawodny, choć trudno to wytłumaczyć. Patrzą na coś, co wydaje się nieważne, i nagle w mózgu odzywa się im dzwonek. Tak było iw tym przypadku. Sprawdziliśmy to nazwisko. Peter Morgan jest przestępcą, niedawno wyszedł z więzienia. To płotka, ale w sumie dość interesująca postać. Chodził do dobrych szkół, ukończył Duke College, a później zrobił magisterium na Harvardzie. — Ted wyczytał te informacje w aktach Morgana.

— Już na początku swojej kariery zawodowej, pracując w domu maklerskim, zabrnął w jakieś kłopoty, o których nie wszystko wiemy. Przeniósł się do funduszy inwestycyjnych, poślubił córkę szefa, miał z nią dwoje dzieci, a potem znów napisał sobie biedy. Zaczął brać narkotyki, później nimi handlować. Bardzo często tak się dzieje: kosztowny nałóg uzależnia człowieka od dealerów, w końcu godzi się handlować, żeby mieć czym płacić za własne prochy. Zdefraudował jakieś pieniądze, narobił głupstw, ostatecznie żona się z nim rozwiodła, stracił prawa rodzicielskie, a później nawet prawo do widywania dzieci. I brnął coraz głębiej. Aż do chwili gdy został aresztowany za handel narkotykami. Oczywiście był detalistą, rozprowadzał towar dla kogo innego, ale to on poszedł siedzieć. Zresztą w pełni zasłużenie. Robi wrażenie inteligentnego faceta, który się zmarnował. To się zdarza. Czasem ludzie, którzy mają największe możliwości, czynią wszystko co w ich mocy, żeby je zaprzepaścić. Morgan spędził ponad cztery lata w więzieniu. Naczelnik wystawił mu pozytywną opinię — ciągnął Ted niemal bez tchu, raz jeszcze wiążąc poszczególne wątki. — Wróćmy do Addisona: nie wiem, co ich łączy, ale Addison miał numer telefonu Morgana i yice yersa. Kilka tygodni temu Morgan mieszkał w schronisku dla świeżo zwolnionych więźniów i nie miał grosza przy duszy. Teraz przeniósł się do hotelu, ma nowe ubrania, samochód, płaci czynsz. Nie nazwałbym tego wygraną na loterii, ale wiecie mu się nieźle. Niby wszystko jest w porządku: pracuje i nie sprawia kłopotów. Nie zdołaliśmy rozszyfrować jego powiązań z Addisonem. Może znali się przed jego aresztowaniem i spotkali znów niedawno. Ale w tym obrazku jest jakiś fałszywy ton. Agent Holmquist ma takie samo uczucie.

Ted urwał na chwilę, po czym podjął:

— I tu dochodzimy do kolejnego niepokojącego sygnału. Podczas rewizji w hotelowym pokoju Morgana znaleziono kartkę z pani adresem. Tak więc pani rodzina pojawia się w tej sprawie

już po raz drugi. — Zawiesił głos. — Następny fakt to ten, że Morgan wyszedł z więzienia w tym samym dniu co niejaki Cariton Waters. Nie wiem, czy pamięta pani to nazwisko. Skazany za morderstwo w wieku siedemnastu lat, przesiedział dwadzieścia cztery twierdząc, że jest ofiarą pomyłki sądowej. Napisał na ten temat serię artykułów. Był osadzony w więzieniu Pelican Bay, tak jak Morgan. Nie stwierdziliśmy powiązań Addisona z Watersem, ale Morgan go znał i miał także jego

namiary. Istnieje jakaś więź między tymi ludźmi, może bardzo ulotna, ale jest. Nie możemy jej zlekceważyć.

— Mówi pan o tym człowieku, którego zdjęcie nam pan pokazywał? — Nazwisko wydało się Fernandezie znajome.

Policjant kiwnął głową.

— O tym samym. Odwiedziłem go niedawno w Modesto, gdzie teraz przebywa, i po bliższym poznaniu podoba mi się jeszcze mniej niż przedtem. Być może to, że mieszka pani na tej samej ulicy co sędzia McIntyre, nic nie znaczy, ale w tym kontekście nabiera całkiem nowego wyrazu. Dochodzę do wniosku, że sprawcą wysadzenia samochodu był jednak Waters. Nie mam jeszcze dowodów, ale coś mi podszeptuje, że to on. Dlaczego się tu znalazł? Z powodu sędziego czy też z pani powodu? Może postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Czy jest pani pewna, że nikt pani nie śledzi? Proszę się zastanowić. Nie spotkała pani kogoś nieznanego kilkukrotnie?

Fernanda zaprzeczyła. Ted zanotował w pamięci, że musi jej pokazać zdjęcie Morgana.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cała ta mglista sprawa kręci się wokół pani... Morgan ma pani adres, Addison kompletne dossier pani męża. Addison jest powiązany z Morganem, Morgan z Watersem. To są źli ludzie, pani Barnes. Waters jest zdeklarowanym zbrodniarzem. Zabił dwoje ludzi, zabił ich dla dwustu paru dolarów. Jest niebezpieczny. Addison zaś dramatycznie potrzebuje pieniędzy. Morgan to zapewne tylko drobny oszust, lecz zarazem ogniwo łączące tamtych dwóch. Kiedy słuchał sam siebie, ta naprędce skonstruowana hipoteza nawet jemu wydała się nader chwiejna. Obawiał się, że Fernanda Barnes uzna go za wariata. Ale całym swoim jestestwem czuł, że coś jest nie w porządku, bardzo nie w porządku, i że wkrótce stanie się coś złego. Chciał ją ostrzec.

— Myślę, że kluczowym elementem tej sprawy jest fakt, iż Addison potrzebuje pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy. Chodzi o kwotę rzędu trzydziestu milionów dolarów, którą musi mieć w bardzo krótkim terminie albo pójdzie na dno. Boję się, że ci ludzie nie cofną się przed niczym, by te pieniądze zdobyć. I dlatego to, że znalazła się pani w orbicie ich zainteresowania, bardzo mnie martwi.

— Dlaczego miałby się zwracać o pieniądze właśnie do mnie?

— zdziwiła się Fernanda.

Rick Holmquist uśmiechnął się pod nosem. Podobała mu się ta drobna miła kobieta, wyczuł też, że z Tedem łączy ją nic sympatii, ale rozbawiła go jej naiwność. Dotąd los ją rozpieszczał, nie miała pojęcia, w jakim może się znaleźć niebezpieczeństwie. Przekraczało to jej wyobraźnię. Nigdy w życiu nie była wydana na pastwę takich drani jak Waters.

— Bo jest pani bezbronna — odparł bez ogródek Ted — i dla ludzi pozbawionych skrupułów może pani być kopalnią złota. Mąż zostawił pani ogromny majątek, a nie ma nikogo, kto by panią chronił. Mówiąc obrazowo, jest pani zasobną skarbonką, którą wystarczy rozbić, by rozwiązać swoje kłopoty finansowe. Trzydzieści, pięćdziesiąt milionów? Jeśli dostaną w ręce pani dzieci, taka kwota nie wyda im się wygórowana. Ludzie tego rodzaju lubią snuć fantastyczne plany, a po jakimś czasie

zaczynają w nie wierzyć. Czymże innym ubarwią długie lata więzienia? Marzeniami o wielkim skoku i wielkiej forsie. Ci ludzie nie rozumują tak jak pani czy ja. Mogą uznać, że dla osoby bogatej to drobnostka i nie ma w tym nic złego. Znają tylko przemoc i używają jej, by dostać to, czego chcą. Wystarczy sam pomysł, a potem wszystkie środki są dozwolone. Addison mógł maczać w tym palce, a mógł też mimowolnie obruszyć lawinę, która gdy wymknie się spod kontroli, pociągnie za sobą ofiary. Nie potrafię pani podać konkretnych dowodów na poparcie swoich słów, ale twierdzą stanowczo, że na naszym skrawku nieba zbiera się na burzę, nawet bardzo gwałtowną. Nie podoba mi się to, co zaobserwowałem.

— Chce mi pan powiedzieć, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? — Fernandezie wydawało się to tak niewiarygodne, że potrzebowała dłuższej chwili, by oswoić się z tą myślą.

— Tak, proszę pani — wypalił Ted prosto z mostu. — Uważam, że ci ludzie mają panią na oku. W grę wchodzi zawrotne sumy. Mogą chcieć, żeby się pani z nimi podzieliła.

Fernanda zrozumiała, co miał na myśli. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ależ to absurd.

— Co? Zagrożenie? — Ręce mu opadły, uświadomił sobie bowiem, że ta kobieta mu nie wierzy. Prawdopodobnie uznała go za wariata.

— Te zawrotne sumy — stwierdziła.

— Nie rozumiem. Co chce pani przez to powiedzieć? — Widać przecież było, że jest bogata. Znacznie bogatsza niż większość ludzi. To wydawało się jasne.

— Nie mam żadnych pieniędzy. Nic. Zero. Na razie udało się zataić to przed prasą, ale w końcu i tak się dowiedzą. Mój mąż stracił wszystko, co kiedykolwiek zarobił. Stracił znacznie więcej: zostawił setki milionów długu. Odebrał sobie życie, bo nie potrafił stawić czoła porażce. Jego wypadek w Meksyku prawdopodobnie był samobójstwem. A nawet jeśli nie, czego i tak nigdy się nie dowiemy, prawda jest taka, że cały jego świat walił się właśnie w gruzy i w końcu zawałił się do reszty. Od jego śmierci wyprzedają się ze wszystkiego. Sprzedałam samolot, jacht, domy, mieszkania, biżuterię, obrazy. W sierpniu wystawiam na sprzedaż ten dom. Nie mamy już nic, nawet tyle, żeby starczyło na życie do końca roku. Możliwe, że będę musiała zabrać dzieci ze szkół — mówiła beznamiętnym tonem Fernanda. Po pięciu miesiącach koszarnej nieustannej paniki przyszło otępienie. Oto jak wyglądało teraz jej życie. Zaczynała się z tym godzić. Taki pasztet upichcił jej Allan, czy jej się to podobało, czy nie. Wolałaby, żeby wciąż żył, nawet mnąc po uszy w długach.

Tęskniła za nim, nie za jego pieniędzmi. Ale z pewnością zostawił ją w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Ted potrząsnął głową, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

— Chce mi pani powiedzieć, że jest pani bez grosza? Żadnych akcji, lokat, jakichś paru milionów na koncie w Szwajcarii?

— Wydawało mu się to tak samo niemożliwe jak kiedyś Fernandezie.

— Właśnie panu mówię, że nie stać mnie na kupno butów. Że w listopadzie zacznę mi brakować na jedzenie. Kiedy uporam się z tym bałaganem, muszę znaleźć pracę. W tej chwili praktycznie pełnoetatowo zajmuję się żonglowaniem ratami, podatkami, wezwaniami do zapłaty. W wolnych chwilach myślę, co by tu jeszcze sprzedać i ile z

tego możemy przejeść. Tak, panie detektywie Lec, chcę panu powiedzieć, że nie mamy już nic. Tylko ten dom. I jeśli uda się go bardzo korzystnie spieniężyć wraz z całą zawartością, być może starczy na pokrycie reszty osobistych długów mego męża. A ponieważ nie stać mnie już na dobrych adwokatów, prawdopodobnie jeszcze przez wiele lat będę spłacać odsetki. Co do długów ciążyących na spółkach Allana likwidatorzy wkrótce ogłoszą bankructwo, co zdejmie mi z karku jeszcze i to brzemię. Jeśli pan Addison sądzi, że wyciągnie ode mnie trzydzieści milionów albo choćby trzydzieści tysięcy, srodze się zawiedzie. Może ktoś powinien go o tym uprzedzić — oznajmiła prostując się z godnością, maleńka figurka na wielkiej sofie. Zaimponowała im. Jej historia była bajką o Kopciuszku, który poślubił księcia i po krótkim miodowym miesiącu wylądował z powrotem w ciemnej kuchni. A znosiła to z podziwu godnym opanowaniem. Mówiła prosto i szczerze, bez tragizmu i bez wstydu. Mąż zostawił jej górę problemów, lecz nie powiedziała o nim jednego złego słowa. Ta kobieta jest święta, myślał Ted, zwłaszcza jeśli mówi prawdę i rzeczywiście ledwie wiąże koniec z końcem, On i Shirley byli w znacznie lepszej kondycji finansowej. Ponadto oboje mieli pracę i siebie nawzajem. Bardziej zaniepokoiła go jednak dalsza implikacja jej słów — sytuacja Fernandy Barnes była o wiele groźniejsza, niż myślał. Świat widział w niej spadkobierczynię setek milionów dolarów, co automatycznie czyniło z niej cel równie wyraźny jak tarcza strzelnicza wymalowana czerwoną farbą na drzwiach stodoły. Tymczasem w rzeczywistości nie miała nic, a to mogło rozwścieczyć ewentualnych porywaczy, sprowokować ich do aktów bezlitosnej przemocy.

— Jeśli ktoś porwie mnie albo dzieci, nie dostanie ani centa

— stwierdziła rzeczowo. — Nie mam czym zapłacić. I nie mam nikogo, kto by mógł to zrobić. Allan i ja nie mieliśmy żadnej bliskiej rodziny, kogóż więc mogłabym prosić o pomoc? Proszę mi wierzyć, już nie raz o tym myślałam. Mogą sobie wziąć dom i na tym koniec. Zero gotówki.

W jej głosie nie było goryczy. Przysłuchując się Ted podziwiał jej godność i spokojny wdzięk.

— Jak rozumiem, oddałam własnym dzieciom i sobie niedźwiedzią przysługę ukrywając wszystko przed prasą — podjęła po chwili. — Ale uważałam, że jestem to winna Allanowi. W liście, który zostawił, było tyle rozpacz, tyle wstydu... Nie chciałam burzyć jego legendy; przeciwnie, pragnęłam podtrzymać ją tak długo, jak tylko zdołam. Oczywiście prawda wyjdzie na jaw, i to już wkrótce, jak sądzę. Po prostu nie da się jej dłużej kryć. Stracił wszystko. Ryzykował zbyt wiele i po prostu się przeliczył. Nie wiem, co się stało. Może stracił rozum albo zdolność trzeźwej oceny sytuacji, może sukces uderzył mu do głowy i myślał, że jest niezwyciężony. Ale nie był. Nikt nie jest nieomylny. On także popełnił jakiś błąd.

Było to grube niedopowiedzenie, zważywszy, iż pozostawił ją bez grosza, za to z wielomilionowym zadłużeniem. Koszty spektakularnych błędów Allana Barnes'a ponosili teraz jego najbliżsi — żona i dzieci. Minęło kilka chwil, nim Ted zdołał sobie uzmysłowić wszystkie płynące stąd konsekwencje.

— Chwileczkę... — odezwał się, dokładając starań, by w jego głosie nie było słyhać paniki. — Być może dzieci są ubezpieczone od porwania?

Ubezpieczenia takie prowadził londyński Lloyd i ludzie bogaci często z nich korzystali.

— Wszystkie nasze polisy wygasły. Nie mamy w tej chwili nawet ubezpieczenia zdrowotnego, choć mój prawnik stara się coś dla nas załatwić. Co się zaś tyczy polisy na życie Allana... No cóż, zostawił list, który brzmiał jak pożegnalny list samobójcy. Znalazła go policja. List ten potwierdził to, co i tak podejrzewaliśmy, że Allan targnął się na własne życie. W tej sytuacji nie przysługuje nam odszkodowanie. Wątpię też, czy kiedykolwiek byliśmy ubezpieczeni od porwania. Mąż chyba nie podejrzewał, że coś może nam grozić.

A powinien był, pomyśleli równocześnie Ted i Rick. Człowiek, który zdobył tak wielki majątek, który od lat nie schodził ze szpalt gazet, był zagrożony w każdej chwili dnia i nocy. Jego rodzina także. Zwłaszcza rodzina, żona i dzieci, pięta achillesowa każdego mężczyzny z pozycją Allana Barnes'a. Najwyraźniej Barnes o tym nie pomyślał. Ted był na niego wściekły, choć nie dał tego po sobie poznać.

— Pani Barnes — rzekł cicho — sprawa jest bardzo poważna. W oczach tych ludzi siedzi pani na złocie. Nikt nie ma powodu sądzić inaczej. Myślę, że im prędzej ujawni pani swoją sytuację finansową, tym dla pani lepiej. Oczywiście nie wszyscy uwierzą, bo też prawdę mówiąc trudno w to uwierzyć. Ale w tej chwili znajduje się pani w fatalnym położeniu. Stanowi pani pierwszorzędny cel, a nie ma nic na wypadek, gdyby stało się nieszczęście. Moim zdaniem zagrożenie jest bardzo realne. Ci ludzie coś knują. Nie wiem co, nie wiem, ilu bierze w tym udział. Ale wiem, że wśród tych trzech jest naprawdę groźny przestępca. Nie chcę pani straszyć, lecz powtarzam: jesteście w bardzo poważnym niebezpieczeństwie.

Przez długą chwilę Fernanda siedziała bez ruchu, nieomal bez oddechu. Patrzyła na niego usiłując być dzielna, fasada spokoju zaczęła się jednak kruszyć i oczy kobiety wypełniły się łzami.

— To co ja mam zrobić? — szepnęła. Na górze ryczała muzyka, dwaj mężczyźni spoglądali na nią speszzeni, nie wiedząc, jak jej pomóc. Była w straszliwych tarapatach, za które mogła podziękować mężowi.

— Co mam zrobić, żeby obronić moje dzieci?

Ted zaczerpnął głęboki oddech. Wiedział, że działa nieco zbyt pochopnie, nie skonsultowawszy się wpieryw ze swoim zwierzchnikiem, ale było mu jej żal, a poza tym ufał własnemu instynktowi.

— To nasze zadanie — rzekł. — Nie rozmawiałem jeszcze z szefem; Rick i ja przyjechaliśmy tu wprost z biura FBI. Być może to wszystko jest wytworem mojej wyobraźni, uważam jednak, że należy roztoczyć nad panią ochronę. Chciałbym zainstalować tu moich ludzi, zanim nie dowiemy się czegoś więcej. Zobaczę, jak się do tego ustosunkuje kapitan, ale będziemy chyba mogli oddelegować do pani dwóch funkcjonariuszy. Obawiam się, że jest pani śledzona.

Rick w milczeniu skinął głową. On też żywił takie obawy.

— A ty? — Ted zwrócił się do niego. — Addison to wasz podejrzany. Dasz radę przysłać tu choć jednego agenta, żeby pilnował domu i dzieci?

Rick zawahał się, po czym przytaknął. Śledztwo w sprawie Addisona prowadziło FBI i w tej sprawie decyzja należała do niego.

— Na tydzień lub dwa, nie dłużej — zastrzegł się. — Może w tym czasie coś się wyjaśni.

Fernanda Bames nie była ostatecznie byle kim. Jej mąż był znanym człowiekiem. A co ważniejsze, kiełkowała wreszcie szansa, że uda im się w końcu dopaść inną grubą rybę — Phillipa Addisona — i postawić go przed sądem, przynajmniej za współudział. Z czegoś takiego już się nie wywinie.

— Najpierw trzeba się upewnić, czy nikt za wami nie chodzi

— dodał.

Fernanda w oszołomieniu kiwnęła głową. Nagle jej życie zmieniło się w jeszcze gorszy koszmar niż ten, w którym żyła od śmierci Allana. Allan odszedł na zawsze, a tymczasem jacyś straszni ludzie uwzięli się na nich. Jej dzieciom groziło porwanie.

Nigdy w życiu nie czuła się tak zagubiona i bezradna. Miała przeczucie nadciągającego nieszczęścia i nie była w stanie zrobić nic, by ochronić dzieci. Mogły zostać ranne. Mogły...

Bohatersko próbowała zapanować nad sobą, ale mimo wysiłków łzy potoczyły się po jej policzkach. Ted patrzył na nią ze współczuciem.

— Co z obozem Willa? — wyjąkała. — Może jechać?

— Czy ktoś o tym wie? — spytał cicho.

— Koledzy, nauczyciel...

— A prasa?

Fernanda potrząsnęła głową. Nikt już o nich nie pisał. Fascynująca kariera Allana dobiegła końca, a ona sarna w ciągu ubiegłych miesięcy prawie nie wychodziła z domu. Ich nazwisko dawno już znikło nie tylko z pierwszych stron gazet, ale nawet z ostatnich. Fernanda była za to wdzięczna Bogu. Sława nigdy nie sprawiała jej przyjemności, a po tragedii jej uboczne skutki były jeszcze bardziej przykre. Jack Waterman już ją ostrzegł, że kiedy wyjdzie na jaw bankructwo Allana, w prasie znów rozpęta się wrzawa połączona z nagonką na ich rodzinę. Zaczęła się więc psychicznie przygotowywać do skandalu, który wybuchnie jesienią. A teraz to.

— Myślę, że może jechać — uznał Ted. — Musi pani porozmawiać z nim przed wyjazdem, ostrzec go. Trzeba będzie uprzedzić opiekunów. Jeśli ktokolwiek będzie o niego pytał albo pojawi się ktoś obcy podając się za krewnego lub znajomego Willa, mają odpowiedzieć, że nie ma go na obozie, i natychmiast nas zawiadomić.

Fernanda kiwnęła głową, wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos. Ciągle teraz nosiła przy sobie chusteczki, bo co rusz natykała się w szatkach i szufladach na jakieś pamiątki po Allanie — jego buty do gry w golfa, notes, kapelusz albo list, który dostała od niego wiele lat temu. Cały dom był pełen powodów do płaczu.

— A córka? Do kogo jedzie?

— Zaproсили ją rodzice koleżanki z klasy. Znam ich, to miii ludzie.

— Dobrze. Ochronę zapewni jej policja z Tahoe. Wystarczy któryś z funkcjonariuszy w samochodzie przed domem. Lepiej, żeby jej tu nie było. Mamy jedną potencjalną ofiarę mniej.

Fernanda skrzywiła się słysząc to słowo, a Ted przepaszająco zamachał ręką. W myślach używał już roboczych terminów; kiedy sprawa była w toku, słowa „podejrzany”, „ofiara”, „obiekt” zastępowały konkretne osoby. Rick rozumował w podobny sposób. Dla Fernandy natomiast ważne były dzieci. Bała się o nie bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Patrząc na nią Ted odgadł jej myśli.

— Kiedy wyjeżdżają? — spytał, już pospiesznie układając w duchu plan działania. Jak najszybciej wysłać kogoś na tę ulicę. Sprawdzić, czy ktoś siedzi w zaparkowanym samochodzie, a jeśli tak, to kto. — A pani i Sam? Zostajecie wmieście czy macie jakieś plany?

Tylko półkolonie. — Na nic więcej nie było ją stać. Obóz Willa poważnie nadszarpnął jej finanse, ale nie chciała mu tego odmawiać. Zadne z dzieci nie wiedziało jeszcze o bankructwie, aczkolwiek uświadamiały sobie, że nie opływają już w dostatki tak jak kiedyś. Czekala ich bardzo poważna rozmowa, z którą Fernanda zwlekała do chwili, gdy wystawi dom na sprzedaż. Potem, niestety, spadnie grom z jasnego nieba. (W istocie grom już spadł, tylko dzieci nie zdawały sobie z tego sprawy.)

— Nie jestem zachwycony tym pomysłem — nachmurzył się Ted. — No cóż, zobaczymy. Kiedy wyjeżdżają starsze dzieci?

— Will jutro, Ashley pojutrze.

— Chwała Bogu — rzekł bez ogródek. Niech jada jak najprędzej, liczba potencjalnych celów zmniejszy się o połowę. Obrócił się do Ricka: — Przyślę tu ludzi w cywilu. A może lepiej byłoby mundurowych?

Z góry wiedział, że pyta niewłaściwego człowieka. Zawsze różnili się w poglądach na ochronę potencjalnych ofiar. Policja miejska wołała, by ochrona była widoczna, co mogło odstraszyć zamachowców. FBI natomiast wołało zwabić ich w pułapkę. W tym przypadku jednak Ted również nie był pewien, co zrobią podejrzani, i był skłonny przychylić się do koncepcji Ricka. Zastanawiał się już nad tym po drodze.

— Czy to jakaś różnica? — bąknęła słabo Fernanda. W głowie jej się kręciło.

— Owszein, i to znaczna. Jeśli ochrona nie będzie widoczna, szybciej możemy spodziewać się jakiejś akcji.

— Bo nikt nie będzie wiedział, że są z policji? — domyśliła się.

Ted kiwnął głową.

— Nie chcę, żeby ktokolwiek z was wychodził z domu, zanim nie przyślę tu co najmniej dwóch ludzi. Najprawdopodobniej jeszcze dziś wieczorem. Miała pani jakieś plany na dziś wieczór?

— Wybierałam się z dziećmi na pizzę. Możemy zostać w domu.

— Bardzo mi na tym zależy — powiedział stanowczo Ted.

— Zadzwoń, jak tylko omówię rzecz z kapitanem. Przy dobrych układach ochrona pojawi się tu przed północą.

— Będą tutaj spali? — spłoszyła się Fernanda. O tym nie pomyślała.

Ted parsknął śmiechem, Rick też się uśmiechnął.

— Mam nadzieję, że nie. Przeciwnie, wolelibyśmy, żeby nie zmrúżyli oka. Mają pani pilnować, a nie spać na służbie, ryzykując, że w nocy ktoś wejdzie tu przez okno. Czy ma pani alarm? — Spodziewał się, że tak, i rzeczywiście, Fernanda potwierdziła ruchem głowy. — Proszę go włączyć. — Następnie zwrócił się do Ricka: — Co powiesz?

— Postawię tu dwóch agentów, ale najpewniej dopiero rano.

Musiał wycofać ludzi z innych zadań i znaleźć im zastępstwo, a to wymagało czasu. Uśmiechnął się do Fernandy, chcąc ją pokrzepić. Zrobiła na nim dobre wrażenie i współczuł jej tak samo jak Ted. Z doświadczenia — zdobytego i w policji, i w FBI

— wiedział, jak ryzykowna bywa ochrona świadków lub potencjalnych ofiar. Wiele rzeczy mogło wymknąć się spod kontroli

— i często się wymykało. Miał nadzieję, że tym razem los oszczędzi tę kobietę.

— To oznacza — dodał — że będzie tu pani strzegło czterech funkcjonariuszy, dwóch moich i dwóch z policji miejskiej. To powinno wystarczyć. Uważam też, że detektyw Lee ma rację co do wyjazdu dwójki starszych dzieci. Lepiej niech ich tu nie będzie.

Fernanda pokiwała głową.

— A co będzie, jeśli rzeczywiście tu przyjdą? — zadała pytanie, które dręczyło ją od godziny.

Ted westchnął. Gdybyż sam znał odpowiedź! Jedno było pewne: skoro chcą okupu, jej nie zabiją, żeby mogła zapłacić.

— Prawdopodobnie użyją siły, na przykład zatrzymają panią w samochodzie i zabiorą dziecko, jeśli będzie pani towarzyszyć. Albo włamią się do domu. To akurat jest nieco mniej ryzykowne, będzie tu z panią czterech ochroniarzy.

Jeśli jednak taki wybiorą scenariusz, pomyślał, ktoś na pewno zginie. Porywacze albo policjanci, albo jedni i drudzy. Z Bożą pomocą nie ci, których mieli chronić. Policjanci byli w pełni świadomi podejmowanego ryzyka. To był ich zawód; za to im płacono.

Rick zerknął na Teda.

— Będą nam potrzebne odciski palców i włosy.

Powiedział to tak neutralnie, jak tylko mógł, ale nie zdołał zatuszować drastycznego wydźwięku tych słów. Fernanda spojrzała na niego ze zgrozą.

— Po co? — Nim jeszcze zadała pytanie, już się domyśliła. To było oczywiste nawet dla niej.

— Potrzebujemy ich do identyfikacji, jeśli dojdzie do porwania. To samo dotyczy pani. — Rick spojrzał na nią przepaszająco.

Ted uznał za stosowne się włączyć.

— Przyślę tu kogoś później — uciął.

W głowie Fernandy kłębiły się gorączkowe myśli. To nie sen, to się dzieje naprawdę! Nie mogła uwierzyć, usiłowała zrozumieć, ale wątpiła, czy kiedykolwiek będzie to w stanie pojąć. Może im się tylko przywidziało. Może za długo pracują w policji i cierpią na manię prześladowczą. Albo — ta myśl była najgorsza — nie mylą się i w każdej chwili może stać się nieszczęście. Nie miała sposobu, by się o tym przekonać.

— Przyślę tu zaraz kogoś, żeby sprawdził numery samochodów zaparkowanych na ulicy — powiedział Ted bardziej do Ricka niż do niej. — Ciekaw jestem, czy ktoś wypłynie.

Rick skinął głową. Fernanda zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście jacyś ludzie obserwują jej dom. Musiałaby to przecież zauważyć, a choćby wyczuć!

Wkrótce potem obaj mężczyźni wstali. Spięta do ostateczności Fernanda pożegnała się z nimi apatycznie. Wyglądała jak osoba w ciężkim szoku.

— Zadzwoń do pani, powiem, co się dzieje i kogo ma pani oczekiwać. Tymczasem proszę zamknąć drzwi na klucz, włączyć alarm i nie wypuszczać dzieci na dwór. Pod żadnym pozorem.

— Ted wręczył jej swoją wizytówkę, już drugą, na wszelki wypadek. (Istotnie, tamtą Fernanda wrzuciła do szuflady i natychmiast o niej zapomniała, nie przypuszczając, że będzie jej kiedyś potrzebna.) — Jeśli wydarzy się coś, co w jakikolwiek sposób będzie

odbiegać od normy, proszę natychmiast dzwonić. Ma tu pani mój numer komórkowy i pager. Jeśli nie, wkrótce się z panią skontaktuję.

Kiwnęła głową, niezdolna wydusić słowa, i odprowadziła ich do drzwi. Uścisnęła jej rękę, bez większego powodzenia szukając w myśli słów, które mogłyby ją pocieszyć. — Wszystko będzie dobrze — szepnął Ted wychodząc.

Fernanda zamknęła drzwi na klucz i włączyła alarm.

Peter Morgan widział, że odwiedziło ją dwóch mężczyzn, ale nie przywiązał do tego wagi. Był debutantem w dziedzinie inwigilacji i mało miał w życiu do czynienia z policją, co okazało się szczęśliwym zrzędzeniem losu dla Ricka i Teda. Waters rozszyfrowałby ich w pięć sekund.

Rick wsiadł do samochodu i spojrzał na przyjaciela nieco oszołomionym wzrokiem. — Chryste, ty byś uwierzył, że można roztrwonić taką masę szmalu? W gazetach pisali, że miał pół miliarda dolarów,

a przecież to nie mogło być tak dawno temu! Rok, najwyżej dwa. Wariat?

— Tak — mruknął ponuro Ted. — A w każdym razie nieodpowiedzialny sukinsyn.

Jeśli ta kobieta mówi prawdę, a nie wygląda na osobę, która kłamie, topo same uszy tkwi w szambie. Zwłaszcza jeśli Addison i jego chłopcy chcą ją dopaść. Nigdy w życiu nie uwierzą, że babka nie ma grosza.

— I co wtedy? — Rick się zamyślił.

— Zrobi się paskudnie.

Wtedy do akcji wejdą taktycy, negocjatorzy i komandosi z oddziałów specjalnych.

Ted miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jeśli naprawdę coś się szykuje, muszą zrobić co w ludzkiej mocy, żeby do tego nie dopuścić.

— Kapitan pomyśli, żeśmy się naćpali. — Mrugnął łobuzersko. — Za każdym razem kiedy się zejdziemy, robi się z tego grubsza awantura.

— Aż mi czasem tego brakuje — smutno uśmiechnął się Rick.

Ted podziękował mu za obiecanych ludzi. Wiedział, że FBI nie będzie ich tu mogło trzymać w nieskończoność, miał jednak wrażenie, że coś się zdarzy już wkrótce.

Aresztowanie Addisona mogło ich spłoszyć lub nawet wprowadzić w panikę, a jego wyjazd z kraju mógł być sygnałem do rozpoczęcia akcji. Jeśli trafnie rozumował, w ciągu tygodnia lub dwóch sytuacja będzie jasna.

Odwiózł Ricka do jego biura i pół godziny później wszedł na posterunek.

— Jest kapitan? — zagadnął sekretarkę, ładną dziewczynę w niebieskim mundurze. Pokiwała głową.

— Owszem. Wkurzony jak diabli — szepnęła.

— To świetnie, bo ja też. — Ted wyszczerzył do niej zęby i pomaszerował do pokoju szefa.

Will zbiegł ze schodów tupiąc jak szalony i rzucił się do drzwi. Fernanda zerwała się z za biurka.

— Stój! Alarm jest włączony! — krzyknęła głośniej, niż było trzeba.

Chłopak stanął jak wryty i zerknął na nią ze zdumieniem.

— Zostawiłem nagolenniki w samochodzie — wyjaśnił.

Kombi stało zaparkowane przed domem i nie mogli się do niego dostać, dopóki nie przyjedzie ochrona.

— Nie możesz wyjść — powiedziała stanowczo.

Will spojrzał na nią dziwnie.

— Czy coś się stało, marno? — Widział, że coś się stało, bo kiwnęła głową, a jej oczy wypełniły się łzami.

— Tak... nie..., właściwie tak. Muszę z wami porozmawiać. Z tobą, Ash i Samem. Siedziała właśnie przy biurku, zastanawiając się, co im powiedzieć — i kiedy. Wciąż starała się uporać z tym, co usłyszała. Zagrożenie, jakie nad nimi zawisło, było dla niej trudne do zniesienia, a jeszcze cięższe będzie ono dla dzieci. Wiele przeszły w ciągu minionego pół roku. Popatrzyła na syna. Nie było sensu dłużej tego odkładać. Musiała im powiedzieć. I to już teraz, skoro Will i tak odkrył, że coś jest nie w porządku.

— Zawołaj ich, kochanie — poprosiła słabym głosem.

— Musimy przeprowadzić naradę rodzinną.

Ostatnie słowa uwięzły jej w gardle. Poprzednia narada rodzinna miała miejsce, kiedy musiała ich powiadomić o śmierci Allana. Will błyskawicznie to skojarzył, spojrzał na nią ze strachem i bez dalszych słów zawrócił i pognął na piętro po rodzeństwo.

Fernanda siedziała dygocząc jak liść. Teraz miało znaczenie tylko ich bezpieczeństwo. Modliła się, żeby policja i FBI zdołały im je zapewnić.

Rozdział XIII

Narada Fernandy z

dziećmi przeszła nadspodziewanie gładko, zważywszy na okoliczności. Zeszli do salonu pięć minut później — te pięć minut spędzili w pokoju Sama debatując, co mogło się stać. Wreszcie Will poprowadził ich na dół. Schodzili gęsiego, wedle starszeństwa, z nietęgimi minami. Matka czekała na nich równie zmartwiona. Zaczekała, aż Sam i Ashley usadowią się na sofie, a Will w ulubionym fotelu ojca. Instynktownie przejął to miejsce natychmiast po śmierci Allana. Teraz on był mężczyzną w rodzinie i starał się dorosnąć do tej roli.

— Co się stało, mamusiu? — spytał cicho.

Fernanda spojrzała na syna niezdecydowana, od czego zacząć. Byli tacy młodzi, powinna im zaoszczędzić złych wieści.

— Nie jesteśmy pewni — powiedziała szczerze. Zastanawiała się, ile prawdy im wyjawić. Powinni wiedzieć, co im grozi, pod tym względem Ted Lee miał rację. Jeśli nie ostrzeże ich o grożącym niebezpieczeństwie, mogą się narazić na niepotrzebne ryzyko. — Oczywiście to może być fałszywy alarm... — zaczęła powoli, nie chcąc ich wystraszyć.

Ashley zbladła jak ściana. Dzieci spojrzały po sobie przerażone, że matka może być chora. Tylko ona im teraz pozostała. W opinii Fernandy to, co im miała do powiedzenia, było o wiele gorsze.

— Możliwe, że wszystko rozejdzie się po kościach — podjęła jeszcze raz od początku

— ale przed chwilą była tutaj policja. Wczoraj aresztowali pewnego mężczyznę

podejrzanego o oszustwo. Człowiek ten miał w posiadaniu grubą teczkę, pełną danych na temat waszego ojca. Były w niej nawet nasze zdjęcia. Jak się wydaje, bardzo interesował go sukces waszego taty i...

— zawahała się — i nasze pieniądze. — Nie chciała im teraz mówić, że nie mają już pieniędzy. Stały się właśnie przed nimi ważniejsze problemy, a na tamto był jeszcze czas. — Oprócz teczki — ciągnęła — w biurku tego mężczyzny znaleźli kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu człowieka, który niedawno wyszedł z więzienia. Ani ojciec, ani ja nie znaleźliśmy tych ludzi — dodała pośpiesznie.

Dzieci słuchały zafascynowane, bez słowa komentarza. Dla nich było to coś tak egzotycznego, wręcz abstrakcyjnego, że nie były w stanie uświadomić sobie możliwych konsekwencji.

— Przeszukano pokój tego zwolnionego więźnia i wśród jego rzeczy znaleziono namiary iimego człowieka, bardzo groźnego przestępcy, który też niedawno wyszedł na wolność. Ich wzajemnych powiązań jeszcze nie ustalono. Wiadomo jednak, że mężczyzna aresztowany przez FBI jest w poważnych kłopotach i potrzebuje pieniędzy. W pokoju zaś tego drugiego oprócz danych mordercy znaleziono także i nasz adres. Policja obawia się... — Fernanda urwała i przełknęła ślinę. — Obawia się, że ci ludzie mogą chcieć porwać jedno z was, żeby zdobyć pieniądze.

Dzieci patrzyły na nią w milczeniu przez nieskończenie długą chwilę.

— To dlatego włączyłaś alarm? — odezwał się w końcu Will spoglądając na matkę z niedowierzaniem. Nawet w jej uszach cała ta opowieść brzmiała mętnie i niewiarygodnie jak scenariusz kiepskiego filmu.

— Tak. Policja postanowiła przydzielić nam ochronę. Na parę tygodni, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Być może się mylą i w rzeczywistości nikt nie zamierza nas skrzywdzić. Ale na wszelki wypadek chcą, żebyśmy byli ostrożni, i przez jakiś czas będą nam towarzyszyć.

— Tu, w domu? — przeraziła się Ashley.

Matka potakująco skinęła głową.

— Czy to znaczy, że nie będę mogła jechać do Tahoe?

Fernanda uśmiechnęła się słysząc to pytanie. Jak trafnie podejrzewała, dzieci nie zrozumiały w pełni podanych im informacji. Miało to i tę zaletę, że przynajmniej żadne nie zaczęło płakać.

— Tak, możesz jechać — odpowiedziała. — Policja uważa to nawet za bardzo dobry pomysł, żebyście opuścili miasto. Musisz tylko być ostrożna i trzymać się z dala od nieznajomych.

Wiedziała, że rodzina, która zaprosiła Ashley, będzie opiekować się jej córeczką równie troskliwie jak własną, dlatego zgodziła się na ten wyjazd. Zamierzała jeszcze zadzwonić do nich i uprzedzić, jak przedstawia się sytuacja.

— Nie jadę na obóz — oznajmił stanowczo Will, patrząc na matkę ze zmartwieniem. W przeciwieństwie do tamtych on zrozumiał. Był starszy i wobec braku ojca czuł się ich opiekunem. Fernanda nie chciała, żeby ciążyło na nim takie brzemień. Miał dopiero szesnaście lat, powinien się jeszcze nacieszyć dzieciństwem.

— Owszem, jedziesz — powiedziała twardo. — Uważam, że powinienes. Jeśli tu rzeczywiście sprawy się skomplikują, natychmiast cię zawiadomię. Na obozie będziesz bezpieczniejszy) a zniknięty w domu ze mną i Samem wkrótce dostaniesz

szau. Raczej mało prawdopodobne, żebyśmy prowadzili urozmaicony tryb życia w ciągu najbliższych tygodni. Na obozie przynajmniej będziesz miał zajęcie. Will zgarbił się w fotelu, przeżuwiąc słowa matki. Sam przypatrywał się jej uważnie.

— Boisz się, mamó? — spytał otwarcie.

— Tak — kiwnęła głową. — Troszeczkę. — „Troszeczkę” było grubym niedopowiedzeniem. — Brzmi to niepokojąco. Ale policja będzie nas pilnować, Sam. Będą ochraniać nas wszystkich. Nic się nam nie stanie. — Nie była tego tak pewna, jak mówiła, ale starała się ich pocieszyć.

— Będą mieli broń? — zaciekawiał się malec.

— Myślę, że tak. — Nie wyłuszczała im teorii stopni ryzyka w zależności od rodzaju ochrony ani nie wspomniała, że będą stanowić żywą przynętę dla porywaczy. — Pojawią się tu dziś lub jutro. Do tego czasu nie wolno nam wychodzić. Alarm ma pozostać włączony. Musimy być ostrożni.

— A czy ja będę musiał chodzić na półkolonie? — Samowi od początku nie podobał się ten projekt, a teraz o wiele bardziej pociągała go myśl, że dom pełny będzie ludzi uzbrojonych w prawdziwe pistolety. Zapowiadała się niesamowita przygoda.

— Myślę, że możesz zostać ze mną w domu. — Wolała go mieć przy sobie. Wybiorą się do zoo albo muzeum, a w ostateczności będą rysować, majsterkować lub grać w różne gry.

— Huna! — ucieszył się malec i zaczął skakać po pokoju, aż Will zgromił go wzrokiem i kazał mu usiąść.

— Nie zdajecie sobie sprawy, co to znaczy? Martwicie się tylko o wakacje. Tymczasem ktoś chce nas porwać. Nie rozumiecie, czym to grozi? — Will był poważnie zaniepokojony, a gdy rodzeństwo nieco nadąsane po tej reprimendzie wróciło na górę, zwrócił się do matki: — Nie jadę na obóz, mamó. Nie zostawię cię tu tylko po to, żeby przez trzy tygodnie grać w hokeja na trawie. Mając prawie siedemnaście lat był już dostatecznie dorosły, aby mogła z nim mówić szczerze.

— Będiesz tam bezpieczniejszy, Will — powiedziała ze łzami w oczach. — Policja chce, żebyś jechał, Ashley też. My tu z Samem będziemy mieli czterech ludzi do obrony i włos nam z głowy nie spadnie. Ja również wolę, żeby was tu nie było. Przynajmniej o was dwoje będę się mniej martwić. Oczywiście wiedziała, że i tak będzie umierać z niepokoju, ale tego nie mogła mu teraz powiedzieć. Miała nadzieję, że Will zniknie w anonimowym tłumie młodych sportowców i będzie tam bezpieczny. Ashley będzie pod czujną opieką w Tahoe. Największe ryzyko ponosił Sam.

— A ty? — Szczerze zmartwiony objął ją ramieniem, kiedy szli z powrotem po schodach na piętro. Fernandezie znów łzy zakręciły się w oczach.

— Nic mi nie będzie. Tylko mnie nic nie grozi. — Powiedziała to tak pewnie, że Will się zdumiał.

— Dlaczego?

— Muszę być wolna, jeśli mam zapłacić okup.

Zabrzmiało to cynicznie, lecz oboje wiedzieli, że taka jest prawda.

— A Sam?

— Skoro będzie go pilnować czterech policjantów, jestem o niego prawie spokojna. — Spróbowała się uśmiechnąć, z miernym powodzeniem.

— Jak mogło do tego dojść?

— Nie wiem, synku. Pech. Sukces taty posiał w głowach pewnych ludzi szalone pomysły.

— To jest chore — stwierdził Will ze zgrozą.

Serce jej krwawiło, że musi obciążać ich brzemieniem lęku, ale robiła to dla ich dobra. Nie mogła ich jeszcze bardziej narażać pozostawiając w nieświadomości. Była dumna, że przyjęli to tak dzielnie, zwłaszcza Will.

— Tak, to jest chore — przyznała. — Na świecie jest wielu nienormalnych ludzi. A niektórzy z nich są groźni. Mam tylko nadzieję, że wkrótce przestaną się nami interesować albo dojdą do wniosku, iż nie jesteśmy warci zachodu. Może policja się myli. Nie są całkowicie pewni. Na razie rzecz rozgrywa się w sferze teorii i podejrzeń, ale nie wolno nam ich lekceważyć. Nie zauważyłeś nikogo, kto by nas obserwował, prawda? — zapytała bardziej retorycznie, niż spodziewając się odpowiedzi, spostrzegła jednak ze zgrozą, że Will się waha. Po krótkim namyśle pokiwał głową.

— Chyba tak... nie jestem pewien. Parokrotnie widziałem mężczyznę w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na przestępcę. Robił nawet dość sympatyczne wrażenie. Uśmiechnął się do mnie. Zwróciłem na niego uwagę, bo... — Will zająknął się zmieszany — bo przypominał tatę.

Jakaś zapomniana myśl ożyła w mózgu Fernandy, ale nie zdołała nabrać konkretnych kształtów.

— Pamiętasz, jak wyglądał? — spytała zmartwiona. A zatem policja jednak miała rację: naprawdę ktoś ich obserwował. Wciąż usiłowała sobie wmówić, że to niemożliwe.

— Mniej więcej — bąknął Will. — Był trochę podobny do taty, tylko miał jasne włosy. Ubrany też jak tato. Raz miał na sobie błękitną koszulę, a innym razem blezer. Pomyślałem, że na kogoś czeka. Wyglądał tak jak wszyscy.

Fernanda zastanowiła się przelotnie, czy ubrał się w ten sposób celowo, żeby się nie wyróżniać spośród mieszkańców dzielnicy. Rozmawiali o tym przez chwilę, a potem Will wrócił do siebie, żeby telefonicznie pożegnać się z kolegami przed wyjazdem na obóz. Ostrzegła go, żeby nikomu nie mówił o grożącym porwaniu. To samo dotyczyło młodszych dzieci. Detektyw Lee kładł nacisk na zachowanie tajemnicy. Gdyby wieść się rozniosła i nie daj Boże dotarła do prasy, zainspirowani tym przykładem potencjalni kidnaperzy zaczęliby się mnożyć jak króliki. W całą sprawę wtajemniczona miała zostać tylko rodzina, z którą Ashley jechała do Tahoe. Fernanda natychmiast zadzwoniła do Teda chcąc mu przekazać to, czego się dowiedziała od Willa. Sekretarka poinformowała ją, że detektyw Lee rozmawia właśnie z szefem i zaraz do niej oddzwoni. Fernanda podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Czy rzeczywiście tam, na ulicy, ktoś ją obserwuje sam będąc niewidoczny? Ted i jego przełożony właściwie nic rozmawiali, tylko wrzeszczeli na siebie nawzajem. Kapitan dowodził, że sprawa należy do FBI, nie do nich — to FBI przymknęło głównego podejrzanego, postępowanie dotyczy finansów i jako takie nie wchodzi w zakres działań policji San Francisco. On sam zaś nie ma zamiaru odrywać ludzi od innych spraw po to, żeby niańczyli jakąś wdowę po milionerze z trójką dzieciaków.

— Zamknij się i wreszcie mnie wysłuchaj! — huknął w końcu Ted.

Znali się od dawna; dwa lata starszy od niego kapitan chodził wraz z nim do szkoły policyjnej, prowadzili też razem niezliczone sprawy. Ted cieszył się u dowódcy ogromnym szacunkiem, ale tym razem kapitan myślał, że jego najlepszy detektyw zwariował.

— A jeśli rzeczywiście dojdzie do porwania? — podjął Ted nieco ciszej. — Czyj to wtedy będzie paszтет? Tu się coś święci, tego jestem pewien. Zaufaj mi. Daj mi kilka dni, może tydzień, może dwa, żebym to sprawdził. Jeśli się mylę, przez rok będę ci pucował buty.

— Nie mam ochoty chodzić w glansowanych butach ani wyrzucać pieniędzy podatników w błoto. Skąd u licha pomysł, że zamieszany jest w to Cariton Waters? Nie masz żadnych dowodów.

Ted nieustraszenie wytrzymał jego wzrok.

— Dowody są tu. — Z rozmachem walnął się w pierś.

— Innych nie potrzebuję.

Wysłał już policjantkę w uniformie służby parkingowej na ulicę, przy której mieszkali Barnesowie. Nie było tam co prawda parkometrów, ale mieszkańcy musieli mieć zatknięte za przednią szybę identyfikatory uprawniające do postoju dłuższego niż dwie godziny, zatem kontrola była ze wszech miar uzasadniona i nie mogła budzić podejrzeń. Ted był ciekaw wyników. Kazał dziewczynie zwrócić uwagę, czy ktoś siedzi w zaparkowanym samochodzie, jak wygląda, a przy okazji spisać wszystkie tablice rejestracyjne w najbliższej okolicy. Właśnie kiedy wyklócał się z kapitanem, zapukała sekretarka z wieścią, iż detektyw Jamison ma coś dla niego i mówi, że to pilne. Ted poprosił, żeby przełączyła rozmowę do pokoju szefa. Podniósł słuchawkę i przez dłuższą chwilę słuchał uważnie, podczas gdy kapitan przyglądał mu się ze zbolaną miną. Ted mruknął coś niezrozumiale, podziękował i rozłączył się, patrząc na dowódcę wymownym wzrokiem.

— Pewnie zaraz mi powiesz, że Carlton Waters i klient twojego kolegi z FBI stoją pod drzwiami Fernandy Barnes z baterią haubic — warknął kapitan cierpko. Ale Ted spojrzał mu w oczy ze śmiertelną powagą.

— Nie. Powiem ci, że zwolniony warunkowo Peter Morgan, ten, w którego pokoju znaleźliśmy numer Watersa, siedzi w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko domu Barnesów. W każdym razie rysopis się zgadza, a wóz jest zarejestrowany na jego nazwisko. Jeden z sąsiadów zeznał, że widuje go tam od tygodni. Ponieważ jak stwierdził, „wygląda przyzwoicie”, nie podejrzewał go o nic złego.

— Psiakrew! — Kapitan rozgarnął dłonią włosy i spojrzał na Teda. — Jeśli porwą tę babę, prasa nas rozniesie, nie darują nam, że nie przeciwdziałaliśmy. No dobra, już dobra, miałeś rację. Kto nad tym pracuje?

— Jeszcze nikt — uśmiechnął się Ted, choć wcale nie był zachwycony tym, że jednak ma rację. Co za szczęście, że Jamison namierzyła Morgana. Musi zapowiedzieć ludziom, żeby go nie ruszali. Nie chciał go spłoszyć. Zamierzał zgarnąć ich wszystkich, całą bandę z Watersem na czele — jeśli rzecz jasna był w to zamieszany. Skoro istotnie planowali porwanie, nie byłoby mądrze złowić jedną z płotek, zostawiając na wolności krwiożercze rekiny. Sprawie należało ukręcić łeb raz na zawsze. Tylko w ten sposób mógł zapewnić Barnesom bezpieczeństwo.

— Ilu ich tam jest, tych Barnesów? — burknął kapitan.

— Kobieta i troje dzieci. Najstarszy syn wyjeżdża jutro na obóz, a dziewczynka pojutrze do Tahoe; załatwimy jej ochronę z tamtejszym szeryfem. Na miejscu zostaje matka i najmłodszy, sześciolatek.

Kapitan kiwnął głową.

— Daj jej dwóch ludzi non stop. Powinno wystarczyć. Czy twój kolega Holmquist nas wesprze?

— Tak sądzę — rzekł ostrożnie Ted. To, że rozmawiał z Rickiem, zanim udał się do kapitana, stawiało go w niezręcznej sytuacji, ale czasem taki tryb był efektywniejszy. Wymiana informacji przyspieszała rozwiązanie sprawy.

— Przekaż mu to, czego się dowiedziałeś o Morganie, i powiedz, żeby kopnął tu dwóch swoich chłopców, inaczej ja mu dokopię, kiedy go następnym razem zobaczę!

— Dzięki, szefie — rzucił Ted na odchodnym.

Poszedł do siebie i siadł przy telefonie z grafikiem służb. Musiał zapewnić Barnesom ochronę. Zanim jeszcze uzgodnił

wstępny harmonogram, powiadomił Ricka, że Morgan czatuje przed domem na Pacific Heights. Kazał też od razu wydrukować zdjęcia z kartoteki Morgana, aby mógł je pokazać Fernandzie i dzieciom. Potem wyjął z biurka teczkę i zapisał na niej numer sprawy, która od tej chwili przybrała bieg oficjalny. Poniżej drukowanymi literami dodał: USIŁOWANIE PORWANIA. Wewnątrz spisał nazwiska potencjalnych ofiar, a w rubryce „Podejrzani” — Morgana. Po namyśle dodał też dane Phillipa Addisona i krótki opis znalezionej przy nim dossier Allana Barnes’a. To był dopiero początek. Sprawa się rozwijała. Elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca. Na razie miał drobny fragment, postać opatrzoną nazwiskiem: Peter Morgan. Ale czuł przez skórę, że wkrótce na obrazie pojawią się kolejni sprawcy.

o szóstej pojechał do domu Fernandy. Tak jak poprzednio nie starał się ukrywać; po prostu zadzwonił do drzwi udając gościa. Zdjął krawat, teraz miał na sobie sportową kurtkę, a technik kryminalistyki, który mu towarzyszył, ubrany w czapkę baseballową, trykotową bluzę i dzinsy wyglądał jak jego własny syn. Na ramieniu miał sportową torbę, która doskonale pasowała do tego stroju. Gawędzili wesoło, jakby przyszli z wizytą. Wyglądali przekonująco. Młody policjant mógł uchodzić za kolegę Willa, nie był zresztą o wiele starszy.

Barnesowie jedli właśnie obiad. Słyszając dzwonek, Fernanda najpierw zerknęła w wizjer, a zobaczywszy Teda natychmiast otworzyła drzwi i poprowadziła obu mężczyzn do kuchni. Ted zapytał, czy mogą się rozpakować, i gdy młody policjant opróżnił torbę, sam zasiadł przy kuchennym stole z Fernandą i dziećmi. Miał ze sobą kolejną szarą kopertę.

— Przyniósł nam pan nowe zdjęcia? — domyślił się Sam.

— Owszem — uśmiechnął się do niego Ted.

— Dobra, dawaj, szefie! — rzekł malec tonem starego wyjadacza. Nic dziwnego; został przecież mianowany honorowym funkcjonariuszem policji San Francisco. Pomimo to dorośli nie mogli powstrzymać uśmiechu.

Po chwili jednak Fernanda spowaźniała. Ktoś śledził ich od tygodni, a ona nic nie zauważyła. Niezbyt dobrze to świadczyło o jej spostrzegawczości. Poinformowała o tym Teda, kiedy zadzwonił do niej z posterunku, on zaś uprzedził ją, że już tej nocy stawi się u nich ochrona. Sam był mocno tym podekscytowany i koniecznie chciał

wiedzieć, czy policjanci będą mieli broń. (Wcześniej zadreślał tym pytaniem matkę, ale potwierdzenie z ust Teda brzmiało o wiele bardziej oficjalnie.)

— Tak, będą uzbrojeni — odpowiedział Ted wyjmując z koperty standardowy zestaw zdjęć, który podał Willowi.

— Czy to jest mężczyzna, którego widziałeś w samochodzie?

Will rzucił okiem i potaknął ruchem głowy.

— Bez dwóch zdań — rzekł oddając policjantowi fotografię. Był nieco speszony. Nawet mu przez myśl nie przemknęło, żeby opowiedzieć w domu o mężczyźnie, który się do niego uśmiechnął. Wydało mu się czystym zbiegiem okoliczności, że widział go dwukrotnie. Wyglądał na przyzwoitego człowieka. (Jego podobieństwo do Allana Barnes'a utwierdziło chłopca w tym mniemaniu.)

Ted puścił zdjęcia w obieg naokoło stołu. Ani Sam, ani Ashley nie rozpoznali Morgana, gdy jednak pierwsza fotografia trafiła do rąk Fernandy, przyglądała jej się długo. Miała uczucie, że już gdzieś widziała tę twarz, tylko nie mogła sobie uzmysłwić gdzie. Po chwili nagle sobie przypomniała. To było w supermarkecie albo w księgarni. Upuściła coś, a on to podniósł. Tak samo jak Willa uderzyło ją, że jest podobny do Allana.

— Pamięta pani, kiedy to było? — spytał Ted, gdy o wszystkim mu opowiedziała.

Wyjaśniła, że niedawno, tydzień temu, może dwa, ale nie jest w stanie podać dokładnej daty. Potwierdzała to tezę, że już od pewnego czasu jest obserwowana.

— Ten człowiek siedzi teraz w samochodzie przed domem

— rzekł Ted niszcząc głos.

Dzieci spojrzały na niego przestraszone, a Ashley głośno wciągnęła powietrze.

— Nie będziemy interweniować — dodał. — Chcemy sprawdzić, czy ktoś go zmieni na stanowisku, a jeśli tak, to kto. Jeśli będziecie państwo wychodzić z domu, prosiłbym, abyście się nie

rozglądali i nie dali mu poznać, że wiecie o jego obecności. Nie chcemy go spłoszyć.

Proszę zachowywać się naturalnie — poinstruował ich spokojnie.

— On tam jest... teraz? — upewniła się ze strachem Ashley. Ted skinął głową.

Zauważył samochód, który znał z opisu.

— Myśli pan, że wyczuł w panu policjanta? — spytał Will.

— Mam nadzieję, że nie. Ale nigdy nie wiadomo.

Problem zacznie się wtedy, gdy będą musieli wprowadzić tu czterech ludzi. Taka grupa bez wątplenia zwróci na siebie uwagę. Jeśli nie uda im się wejść niepostrzeżenie, obudzą czujność Morgana i jego współników i policja straci przewagę zaskoczenia. Z drugiej strony, ostrzeżeni bandyci mogli zrezygnować z porwania, choć Ted uważał to za mało prawdopodobne. Cóż, nie mieli wyboru. Rodzina Barnesów potrzebowała ochrony. Kilka kobiet może spełnić rolę zasłony dymnej, ale wkrótce tożsamość czwórki dorosłych ludzi zmieniających się dwa razy dziennie i towarzyszących wszędzie Fernandezie i dzieciom przestanie być tajemnicą. Kapitan proponował, by dodatkowo umieścić przed domem nie oznakowany wóz, ale wizja przestępcy i policjanta siedzących naprzeciw w samochodach i gapiących się na siebie po namyśle wydała im się idiotyczna. Obserwacją Morgana zajmie się lokalny posterunek przy okazji rutynowych patroli. To na razie wystarczy.

Nim Ted skończył relacjonować Fernandezie stan przygotowań, miody technik rozłożył na blacie obok zlewu dwa zestawy do pobierania odcisków palców: jeden wyposażony

w poduszkę z czerwonym tuszem, drugi — z czarnym. Następnie poprosił Willa, aby podszedł.

— Dlaczego chcecie mieć nasze odciski palców? — zaciekawiał się Sam. Sięgał głową akurat tyle powyżej blatu, by zobaczyć, co robią. Policjant zręcznie tacał każdy palec z osobna najpierw po poduszce z tuszem, a potem odbijał go na przygotowanej karcie i sprawdzał, czy odcisk jest wyraźny. Zaskoczony Will przekonał się, że tusz nie pozostaje na skórze. Zrobili najpierw komplet czerwonych odcisków, potem powtórzyli to samo w czerni. Will od razu zrozumiał, czemu to ma służyć; Ashley także, ale nikt nie miał ochoty tłumaczyć małemu dziecku, że jeśli zginie, odciski przydadzą się do identyfikacji zwłok.

— Chcemy was bliżej poznać — zażartował technik. — Odciski palców to jak dokument tożsamości. Każdy ma inne, różnią się tysiącami drobnych szczegółów. Czy wiesz, że jeśli nie liczyć trwałych blizn, odciski palców człowieka nie zmieniają się przez całe życie? — Mówił ze swadą, licząc na to, że w natłoku informacji utonie ich ponury sens.

Po Willu tej samej procedurze została poddana Ashley, po niej matka, a na końcu Sam. Odciski jego małych paluszków na formularzu wyglądały dziwacznie i zarazem wzruszająco.

— Dlaczego robicie czerwone i czarne? — indagował chłopczyk, gdy policjant powtórzył operację.

— Czarne są dla nas, czerwone dla FBI — wyjaśnił technik, a Ted dodał z uśmiechem:

— FBI zawsze chce być bardziej ekstrawaganckie od zwykłej policji.

Dzieci zbiły się w kupkę wokół Fernandy, jak gdyby czerpały siłę z jej bliskości.

— Dlaczego FBI chce mieć czerwone? — spytała, żeby coś powiedzieć.

Chyba tylko dlatego, żeby się odróżniały — stwierdził pobierający je policjant. Nie istniał żaden inny powód. Wiadomo było, że czerwone odciski przekazywane są do FBI. Kiedy złożył formularze, wziął nożyczki i z nieśmiałym uśmiechem zwrócił się do Sama:

— Mogę uciąć ci kosmyk włosów?

Sam wytrzeszczył na niego oczy.

— Po co?

— Wiele da się wywnioskować z ludzkich włosów. Zawarty jest w nich kod DNA, czyli zapis genetyczny człowieka.

Była to zbyt skomplikowana i niepotrzebna lekcja, ale Sam zrozumiał z niej to co istotne.

— To na wypadek gdyby nas porwali, tak? — przestraszył się nie na żarty.

Policjant się zawahał. Fernanda wzięła sprawy w swoje ręce.

— Nie marudź, Sam, do odcisków trzeba dołączyć włosy

— wtrąciła gładko. — Daj, zrobię to tak, że nie będzie śladu.

— Wzięła nożyczki, ucięła cienki kosmyk włosów Sama, potem swoich, a następnie starszych dzieci. Zrobiła to naturalnie, jakby nigdy nic, i dzięki temu owa czynność straciła swój złowieszczy podtekst. Potem dzieci, szepcząc między sobą, wróciły na górę. Sam chciał zostać, ale Will wziął go za rękę mówiąc, że ma do niego ważną sprawę. Słusznie uznał, że matka zechce porozmawiać z policjantem a Sam nie powinien tego słuchać, bo przerazi się jeszcze bardziej. Zbyt wiele się działo; już zdarzyło się

sporo rzeczy, których nikt się nie spodziewał, a tej nocy wraz z przybyciem uzbrojonej ochrony ich życie miało ulec jeszcze dramatyczniejszej zmianie.

— Będą nam potrzebne ich zdjęcia — rzekł cicho Ted do Fernandy, kiedy dzieci wyszły z pokoju. — I dane: wzrost, waga, znaki szczególne, wszystkie informacje, jakie jest nam pani w stanie podać.

— Czy to będzie miało jakiegokolwiek znaczenie, jeśli ktoś je porwie? — Fernanda wbrew woli zmusiła się do zadania tego pytania. Nie mogła chować głowy w piasek, choć myśl, że to może się stać naprawdę, była tak przerażająca, że umysł się przed nią wzdragał.

— Może mieć ogromne znaczenie, zwłaszcza w przypadku dziecka tak małego jak Sam.

Nie chciał jej mówić, że małe dzieci często odnajdywały się

— jeśli w ogóle — po kilku lub kilkunastu latach, w innym stanie, u obcych ludzi. Odciski palców lub profil DNA pozwalały na identyfikację, żywych lub umarłych. Sytuacja Ashley i Willa była bardziej drastyczna. Porwani, mogli zostać uwolnieni po zapłaceniu okupu albo zabici — wtedy także przydadzą się odciski i włosy. Nie mieli szans na zmianę tożsamości, byli już za duzi. Ted modlił się, by żadne nie zostało ranne i żeby kidnaperzy zachowali je przy życiu. Oczywiście nie zamierzał dopuścić do porwania, ale musieli się liczyć z każdym rozwojem wypadków.

Poprosił Fernandę o spisanie potrzebnych informacji, po czym pożegnali się i wyszli. Fernanda osunęła się na krzesło w kuchni, oparła głowę na rękach i wpatrzona niewidzącym wzrokiem w puste pudło po pizzy zastanawiała się, jak mogło do tego dojść i jak długo to potrwa. Mogła co najwyżej mieć nadzieję, że spiskowcy zostaną wyłapani, zanim stanic się nieszczęście. Wciąż z uporem czepiała się swoich wątpliwości, powtarzała sobie, że policja cierpi na przerost wyobraźni i nic im nie grozi. Perspektywa była tak straszna, że gdyby pozwoliła sobie o niej myśleć jak o pewniku, wpadłaby w histerię i już nigdy nie wypuściła dzieci samych z domu. Dokładała wszelkich starań, by zachować spokój i nie ulec panice. I myślała, że jej się to udaje, dopóki nie spostrzegła, że włożyła pusty karton do lodówki, dołączyła sobie soku do kawy i wrzuciła rolkę ręczników do śmieci.

— Uspokój się — powiedziała do siebie głośno, wyjmując je z kubła. — Wszystko będzie dobrze. — Ale odkładając ręczniki na miejsce zauważyła, że ręce jej drżą. To wszystko przechodziło jej wyobrażenie. M.imo woli wracała myślą do Allana żałując, że nie ma go przy niej. Zastanawiała się, co on by zrobił w takiej sytuacji. Miała uczucie, że poradziłby sobie o wiele kompetentniej i rozsądniej niż ona.

— Dobrze się czujesz, mamó? — spytał Will, który nabrał apetytu na lody i wszedł do kuchni w chwili, gdy zamierzała udać się na górę.

— Chyba tak — bąknęła słabo. Była całkiem wyczerpana. Usiadła przy stole naprzeciw syna i westchnęła: — Nie podoba mi się to wszystko.

— Nadal chcesz, żebym jechał na obóz?

— Tak, kochanie. Musisz jechać.

Żałowała, że nie może wysłać z nim Sama. Nie chciała, żeby którekolwiek z dzieci pełniło wraz z nią rolę żywej przynęty. Ale Sam był jeszcze za mały, musiała zatrzymać go przy sobie. Ted prosił, żeby ograniczyli wyjścia z domu. Każde zatrzymanie samochodu na światłach to już ryzyko. Wynikła różnica zdań, czy ochrona ma jeździć z nią czy za nią. Ted chciał, żeby siedzieli

z nią w samochodzie, Rick i kapitan woleli, żeby jechali drugim wozem z tyłu, dzięki czemu mieliby większą swobodę manewru. W efekcie tej dyskusji Ted poprosił ją, żeby o ile to możliwe, w ogóle nigdzie nie jeździła.

Fernanda zadzwoniła do rodziny mającej gościć Ashley w Tahoe i w najściślejszej tajemnicy wyjawiała im sytuację. Nie szczędząc wyrazów współczucia zapewnili ją, że nie spuszczą dziewczynki z oka. Zgodzili się, aby ludzie szeryfa patrolowali posesję; sami będą czuli się pewniej wiedząc, że w razie czego mogą liczyć na pomoc. Ani Ted, ani Rick nie przypuszczali, by ktoś trafił za Ashley do Tahoe, ale zgadzali się, że ostrożność nie zawadzi. A Fernanda czuła ulgę na myśl, że córka będzie tam bezpieczna.

Miała zamiar zadzwonić do Jacka Watermana i poinformować go o wszystkim, ale była potwornie zmęczona, a cała ta historia robiła wrażenie majaczeń szaleńca. Co miała mu powiedzieć? Że jakiś czarny charakter zbierał dane o Allanie, a inny siedzi w samochodzie zaparkowanym naprzeciw ich domu? Idiotyzm. Czy można było wysnuć z tego wnioski, że banda złoczyńców planuje porwanie? Jak dotąd nie było namacalnych dowodów, a tylko mgliste domysły. Zresztą Jack i tak nie byłby w stanie jej pomóc. Zaczeka kilka dni, zanim go w to wciągnie. Mieli się spotkać w sobotę; zabierał ją i Sama do Napa po wyjeździe Ashley. Będzie mnóstwo czasu, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Ostatecznie zdecydowała się nie dzwonić.

Leżała już w łóżku, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Poznała Ricka Holmquista, który przyprowadził ochronę

— czterech mężczyzn, dwóch z policji San Francisco i dwóch z federalnej.

Otrzymawszy z lokalnego posterunku sygnał, że samochód Morgana odjechał, pospiesznie przemknęli się do domu. Rick zaraz pożegnał się i zniknął. Policjanci rozejrzeli się, poprosili o instruktaż obsługi alarmu i ostatecznie ulokowali się w kuchni, gdzie było jedzenie i kawa. Zaproponowała, że zrobi im kanapki, ale podziękowali mówiąc grzecznie, że na razie nie są głodni. Wzięła się zatem do parzenia kawy. Mężczyźni gawędzili przyciszonym głosem. Dwóch zdjęło marynarki i zobaczyła, że mają broń w kaburach pod pachami, a także przy pasach. Na widok całej tej artylerii poczuła się zarazem bezbronna i bezpieczna. W kuchni zapanowała atmosfera „skrzynki kontaktowej” z filmu o ruchu oporu, w którym ona sama grała rolę bojowniczkę otoczonej przez partyzantów. Chociaż zachowywali się bardzo serdecznie, sama ich obecność wydawała się złowieszczą. Właśnie kiedy miała udać się na spoczynek, znów zadzwieczał dzwonek. Dwaj ochroniarze zerwali się z miejsc i pobiegli do holu. Ku swemu zdumieniu w chwilę później ujrzała Teda.

— Czy coś się stało? — spytała z bijącym sercem. Może przyniósł nareszcie jakąś dobrą wieść?... W tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że gdyby miał dobre wieści, po prostu by zadzwonił.

— Nie, wszystko w porządku. Jechałem właśnie po służbie do domu i pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, co słychać.

Ochroniarze dyskretnie wrócili do kuchni. W południe miała ich zastąpić kolejna zmiana. Oczywiście wyobraźni Fernanda ujrzała absurdalną scenę: w słoneczny letni poranek jej dzieci pałaszują śniadanie w towarzystwie uzbrojonych po zęby mężczyzn. Problem polegał tylko na tym, że to było jej życie, nie film. A film byłby doprawdy bardzo kiepski.

Wyglądała na tak wyczerpaną, że Ted przez moment miał ochotę ją przytulić.

— Jak się sprawują moi chłopcy? — zażartował.

— Są przemili — powiedziała cichym, schrypniętym głosem. Zastanawiał się, czy płakała. Bała się, to było widać, choć w obecności dzieci zaimponowała mu opanowaniem.

— To ich święty obowiązek — uśmiechnął się. — Nie będę przeszkadzał. Na pewno jest pani bardzo zmęczona. Chciałem im tylko przypomnieć, że są na służbie. Wie pani, miódzież powinna czuć nieco nadzoru.

Mówił o tych wyszkolonych groźnych zabijakach jak o dzieciach i w pewnym sensie traktował ich jak synów. Prosił już, żeby przydzielono do ochrony kilka kobiet. W ich towarzystwie zarówno Fernanda, jak i dzieci czułyby się swobodniej. Pierwsza zmiana jednak składała się z samych mężczyzn, którzy w tej chwili gawędzili cicho w kuchni, podczas gdy Fernanda i Ted rozmawiali w holu.

— Jak się pani trzyma?

— Tak sobie. — Z trudem znosiła stres czekania, aż coś się zdarzy.

— Mam nadzieję, że wkrótce będzie po strachu. Być może przyłapiemy ich na czymś innym. Często tak się dzieje. Napięcie przed dużym skokiem prowokuje do brawury i wtedy robią głupstwa, na przykład napadają na sklep monopolowy. Proszę pamiętać, że wszyscy siedzieli już w więzieniu, co oznacza, że popełnili błąd, który pozwolił ich schwycić. Liczymy, że ten czynnik i teraz może nam pomóc. Niektórzy, bardziej lub mniej świadomie, pragną wrócić za kraty. Uczciwe życie wymaga ciężkiej pracy, a tam mają dach nad głową i trzy posiłki dziennie na koszt podatnika. Nie pozwolimy, żeby coś się stało dzieciom albo pani, Fernando. — Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Jego spokój był krzepiący.

— Tak bardzo się boję. Przeraza mnie myśl, że ci ludzie naprawdę chcą nas skrzywdzić. Dziękuję za wszystko, co pan dla nas robi — powiedziała z głębi serca.

— Ma pani rację, to jest straszne. I nie musi mi pani dziękować. To moja praca. Za to mi płacą.

Domyślała się, że jest dobry w swojej pracy. Zaimponował jej również Rick Holniquist, a nawet miody technik, który tak sprawnie pobierał odciski palców. Uzbrojoną czwórkę w kuchni otaczała podobna aura zawodowej kompetencji i spokoju.

— Zupełnie jak w filmie — uśmiechnęła się smętnie, siadając na schodach pod wiedeńskim kandelabrem. Znużony po służbie Ted poszedł za jej przykładem. Siedzieli więc obok siebie, szepcząc w półmroku jak dwoje dzieci, które nie chcą jeszcze spać. — Cieszę się, że Will jutro wyjeżdża. Chętnie wyprawiłabym stąd również Sama. To dla niego za duży stres.

Dla niej także, pomyślał, po czym odezwał się półgłosem:

— Tak mi wpadło do głowy... Czy ma pani jakiś bezpieczny dom? Jakies miejsce, gdzie moglibyście wyjechać z Samem na kilka dni. Niekoniecznie teraz. Tu wszystko jest już dopięte na ostatni guzik. Ale na przykład gdybyśmy otrzymali informację, że spisek eskaluje i może się wymknąć spod kontroli, dobrze byłoby móc ukryć was gdzieś, gdzie nikt by was nie szukał.

Pod pewnymi względami ukrycie jej byłoby łatwiejsze niż chronienie w mieście, chociaż ogromną zaletą tej drugiej opcji była możliwość udzielenia wsparcia jej ochronie w ciągu paru minut. W razie ataku policja natychmiast wysłałaby tam ludzi z

najbliższych posterunków. Był to ważny czynnik, ale Ted zawsze lubił mieć plan awaryjny. Fernanda jednak potrząsnęła głową.

— Sprzedałam wszystkie pozostałe domy.

Pamiętał niewiarygodną wręcz opowieść, którą usłyszał od niej po południu — że Allan Barnes zaprzepścił cały majątek. Wciąż trudno mu było pojąć, jak ktoś mógł być tak głupi i nierozważny, by stracić pół miliarda dolarów. Najwyraźniej Barnesowi się to udało. Jego żona i dzieci zostały bez grosza.

— Myślałem raczej o krewnych lub znajomych, u których mogłaby się pani zatrzymać.

Fernanda znów potrząsnęła głową. Nikt taki nie przychodził jej do głowy. Nie miała już nikogo z bliskich ani żadnych przyjaciół, którym ośmieliłaby się zwalić na głowę taki pasztet.

— Nie mogłabym kogoś narażać — powiedziała z namysłem. Nie było się zresztą nad czym zastanawiać: krąg jej znajomych skurczył się prawie do zera i nie było w nim nikogo, komu chciałaby się przyznać do swojej dramatycznie trudnej sytuacji.

Ostentacyjną manifestacją bogactwa Allanowi udało się odstręczyć wszystkich przyjaciół; nawet najbliżsi czuli się niezręcznie i w końcu zaczęli ich unikać. Spadając zaś ze swej wysokiej wieży tym bardziej nie pragnął towarzystwa. Teraz, po jego śmierci, zostali jej tylko prawie obcy ludzie, którym nie miała ochoty się zwierzać, oraz Jack Waterman, stary przyjaciel i adwokat. W weekend zamierzała wtajemniczyć go w tę sprawę,

ale on też nie mógł jej zapewnić bezpiecznego domu. Miał małą garsonierę w mieście, a wakacje spędzał w hotelach.

— Szkoda. W razie czego można byłoby was stąd wywieźć

— rzekł Ted w zadumie.

— Na przyszły weekend jesteśmy z Samem zaproszeni do Napa, ale...

Od czasu zaproszenia sytuacja się skomplikowała; Fernanda mocno wątpiła, by świąteczny piknik w towarzystwie oddziału policji sprawił wielką przyjemność Jackowi lub nawet Samowi.

— Zobaczmy, jak się sprawy rozwiną — uciał Ted podnosząc się z miejsca.

Zajrzał do kuchni, gdzie zamienił kilka zdań ze swymi ludźmi, i o pierwszej wyszedł. Fernanda powlokła się do sypialni. Miała za sobą bardzo wyczerpujący dzień. Wzięła długą gorącą kąpiel i kiedy już kładła się obok Sama, zobaczyła nagle cień za uchylonymi drzwiami. Zerwała się na równe nogi. Mężczyzna zajrzał do pokoju.

— Uff, to pan, dzięki Bogu — odetchnęła z ulgą, rozpoznawszy w nim jednego z ochroniarzy. Stał w progu, trzymając w ręku pistolet.

— Robię obchód — wyjaśnił zniżonym głosem. — Wszystko w porządku?

— Tak. Dziękuję — wyszeptwała. Kiwnął głową i szedł na parter, a ona klapnęła na łóżko wciąż trzęsąc się na całym ciele. Kiedy w końcu zasnęła, przyśniła jej się oniryczna wersja „Ojca chrzestnego”. Występowali w nim Marlon Brando, Al Pacino, Ted i jej dzieci. Biegali po domu celując do siebie z rewolwerów. Kiedy zaś głębiej zapadła w sen, zobaczyła Allana, który szedł do niej. Był to jeden z bardzo niewielu razy, kiedy ukazał jej się we śnie, i rano wciąż miała go przed oczami.

Rozdział XIV

Kiedy

nazajutrz Will i Sam zeszli na śniadanie, Fernanda smażyła jajka na bekonie dla czterech policjantów, którzy obsiedli wokół kuchenny stół. Przed każdym czekał pusty talerz. Chłopcy dołączyli do nich ochoczo. Sam z zainteresowaniem oglądał zawartość kabur.

— Są nabite? — spytał jednego z policjantów, który uśmiechnął się i potwierdzająco skinął głową. Tymczasem Fernanda nałożyła im porcje i wyjęła z lodówki resztę jajek. Obraz obwieszonych bronią mężczyzn pałaszujących jajecznicę wraz z jej dziećmi miał w sobie coś surrealistycznego. Czuła się jak markietanka.

Sam chciał naleśniki, Will jajka jak tamci, zrobiła więc jedno i drugie. Było dosyć wcześnie; Ashley jeszcze spała. Autobus Willa odjeżdżał o dziesiątej. Fernanda zdążyła się już naradzić z ochroną, czy powinna go odprowadzić czy nie. Byli temu stanowczo przeciwni. Nie należało zwracać uwagi na jego wyjazd. Lepiej, jeśli matka zostanie w domu z pozostałymi dziećmi. Jeden z policjantów odwiezie Willa na miejsce zbiórki. Ustalono) że chłopiec wsiądzie do samochodu w garażu i położy się na tylnym siedzeniu tak, żeby go nie było widać. Fernanda sądziła, że dmuchają na zimne, ale uznała sens argumentacji. Tak więc o dziewiątej trzydzieści ucałowała Willa na pożegnanie i w chwilę później prowadzone przez ochroniarza bmw wyjechało z garażu, na pozór puste. Kierowca minął kilkanaście przecznic, nim wreszcie pozwolił Willowi usiąść. Po drodze zdążyli się zaprzyjaźnić, dzięki czemu policjant ze szczerą chęcią asystował chłopcu, odnosząc się do niego wyjątkowo serdecznie: pomógł mu zapakować bagaże, zaczekał aż do odjazdu i machał mu tak, jakby Will był jego rodzonym synem lub młodszym bratem. Godzinę później mężczyzna był już z powrotem w domu.

Peter Morgan nie widział przybycia ochrony, odjechał bowiem wcześniej. Zwykle schodził z posterunku około wpół do dziesiątej, czasami później, gdy Fernanda była z dziećmi w kinie. Tego dnia całe popołudnie i wieczór Barnesowie spędzili w domu. Peter wiedział z doświadczenia, że nigdzie już nie wyjdą. Żałował w duchu, że na dziś to koniec. Żył się z nimi, polubił tę poufałą bliskość, którą czuł, kiedy ich obserwował.

Był nieco zaszokowany widząc rano w domu Fernandy mężczyznę, czego nigdy dotąd nie był świadkiem. Zaskoczyła go własna reakcja, zbyt ostra. Czuł irytację, zgorznienie i zazdrość, którą uznał za irracjonalną. Na pozór nic się nie zmieniło, nie widać było znamion niepokoju, toteż Peterowi nawet przez myśl nie przeszło, że człowiek, którego obserwuje, jest z policji. Wytłumaczył sobie, że obcy mężczyzna przyszedł pomóc — może odstawić wóz do warsztatu? Około południa wyszedł najspokojniej w

świecie. Sam machał mu na pożegnanie, co utwierdziło Petera w przekonaniu, że to ktoś ze znajomych.

Pozostałych trzech mężczyzn opuściło dom nieco później. Wymknęli się tyłem, przez sąsiedni ogród, i nikt ich nie zauważył. Nowa zmiana przybyła po południu, składała się z dwóch par (agentom FBI towarzyszyły dwie policjantki) i również nie budziła podejrzeń. Przyjechali razem jednym samochodem, roześmiani i serdeczni. Ted poinstruował ich, w co się mają ubrać, żeby wyglądali na ludzi z właściwej sfery. I choć Peter nigdy dotąd nie widział, by Fernanda przyjmowała gości, wydawała się tak szczęśliwa, gdy ich witała, że musieli to być dawno oczekiwani przyjaciele lub krewni.

Wieczorem nie czekał, aż goście wyjdą. Zasiadzieli się do późna, a nie widział powodu, by dalej tam tkwić. Wiedzieli WSZYStKO, CO trzeba. Alarm prawie na pewno nigdy nie był włączany. Na wszelki wypadek Waters przetnie przewody, zanim wejdą do środka. Właściwie na tym etapie Peter obserwował Fernandę bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Znał ją już na wylot; wiedział, co robi, dokąd chodzi, z kim i kiedy. Przyjeżdżał tu nadal, bo obiecał to Addisonowi — i dla własnej przyjemności. Lubił być blisko, obserwować ją z dziećmi, wyobrazić sobie, co robią, gdy od czasu do czasu mignęli mu w oknie. Dalsze czekanie wydało mu się jednak bezcelowe, skoro i tak wiadomo było, że wieczór spędzą w domu z gośćmi. Raz dostrzegł przez okno Sama, innym razem Fernandę z tacą pełną naczyń. Nic nie wskazywało, iż atmosfera się zmieniła. Przeciwnie, Peter czuł się na tyle spokojny, że z czystym sumieniem pojechał do hotelu. Był zmęczony, a tu już nic ciekawego nie było do obejrzenia.

Następny dzień miał być ostatnim. Waters, Stark i Free zamierzali nocować u niego; rano musiał jeszcze kupić im parę rzeczy, toteż dotarł przed dom Fernandy później niż zwykle

—Ashley wyjechała już do Tahoc, a ochrona zdążyła się zmienić. Ponownie więc czysty przypadek sprawił, iż odjeżdżając o dziesiątej wieczorem Peter nie miał pojęcia, że w domu jest ktoś obcy.

Fernanda na noc zaciągnęła zasłony, a przez cały dzień nie widział ani jej, ani dzieci. Zastanawiał się, czy odsypia wczorajszą wizytę czy jest po prostu zajęta. Dzieci miały już wakacje

— podejrzewał, że po prostu lenią się przed telewizorami. Czuł się tak, jakby go oszukano, odebrano możliwość pożegnania z bliskimi, z którymi rozstawał się na zawsze. To bolało. Roił sobie, że może pewnego dnia ich ścieżki znów się skrzyżują. Nie wyobrażał już sobie życia bez Fernandy. Jego smutek potęgowała świadomość, że sam przykładą rękę do jej krzywdy. Czuł, że jeśli dalej będzie o tym myśleć, nie zdoła wykonać zadania. Siłą zmusił się do odjazdu, pogrążony w posepnych refleksjach i ślepy na wszystko wokół.

Tamci już czekali na niego w hotelu, głodni i zniecierpliwieni. Nie zwierzał im się ze swoich przemyśleń — nie zrozumieliby. Żadnemu z nich nie przysłoby do głowy, iż można tak bardzo

zżyć się ze śledzoną ofiarą, że rozstanie z nią sprawia ból — nawet jeśli oznacza tylko opuszczenie kawałka jezdni, na którym parkował samochód.

Poszli na kolację do meksykańskiej knajpki, gdzie serwowano tacos. Wszyscy czterej poprzedniego dnia odbębnili wizyty u kuratorów, a ponieważ mieli się meldować w

odstępach dwutygodniowych, istniała szansa, że nim ktoś zauważy ich zniknięcie, będą już za granicą. Peter przekazał im zapewnienie Addisona, że mając na względzie dobro dzieci Fernanda nie będzie się ociążać z zapłatą. Najpewniej uwinie się w parę dni. Mówiąc to, Peter prawie ich nienawidził: zależało im tylko na forsie, w nosie mieli Fernandę i jej dzieci, było im obojętne, kogo porwą lub dlaczego, o ile im się to opłaci. Na razie dostali po sto tysięcy; reszta miała pochodzić z okupu. Peter otrzymał od Addisona szczegółowe instrukcje dotyczące sposobu przekazania pieniędzy. Cała kwota miała być przelana telegraficznie na pięć tajnych kont na Kajmanach, stamtąd zaś do Szwajcarii dla Phillipa i Petera, dla pozostałych zaś — do Kostaryki. Dzieci będą przetrzymywane do chwili, gdy nadejdzie potwierdzenie wpłaty. Waters miał ostrzec matkę, że jeżeli powiadomi policję, dzieci zginą, a później zadzwonić do niej z ułożonym zawczasu żądaniem okupu.

Byli teraz związani ze sobą na śmierć i życie. Trzej bezpośredni wykonawcy nie znali co prawda tożsamości Addisona, ale gdyby którykolwiek z nich doniósł na innego, straciliby pieniądze, a zapewne i głowy. Plan wydawał się niezawodny. Peter miał opuścić hotel nazajutrz rano — wynajął już na inne nazwisko pokój w motelu przy Lombard Street. Tamci trzej po porwaniu dzieci jechali wprost do wynajętego domu w Tahoe. Razem spędzali tylko jedną noc bezpośrednio poprzedzającą akcję. Mężczyźni przespali się w śpiworach na podłodze w pokoju Petera, nad ranem zaś ostrożnie wymknęli się z hotelu. Nie byli jeszcze pewni, kiedy uderzą. Zamierzali najpierw przez pewien czas obserwować dom i wybrać odpowiedni moment. Nie było powodów do pośpiechu, mieli sporą swobodę działania. Peter również wstał, ubrał się i wyszedł nie wymeldowując się z hotelu, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Tymczasem tamci odebrali z parkingu zatankowaną do pełna furgonetkę. Przenieśli do niej z bagażnika forda torby golfowe z bronią. Wszystko było przygotowane. Mieli sznury i sporo taśmy samoprzylepnej oraz olbrzymi zapas amunicji. Po drodze kupili jeszcze prowiant na kilka dni. Nie spodziewali się, by miało to potrwać dłużej. W każdym razie nie tak długo, aby wyżywienie dzieci stało się problemem. Wystarczy im chleb, masło orzechowe i dżem oraz trochę mleka. Resztę stanowiło zaopatrzenie dla nich, a więc rum, tequila, mnóstwo piwa i gotowe dania mrożone i puszkowane, ponieważ żaden nie umiał gotować. W więzieniach mieli zapewnione posiłki.

Trzeciego dnia spędzonego pod ochroną policji Fernanda zadzwoniła rano do Jacka Watermana i powiedziała mu, że oboje z Samem mają grypę, w związku z czym nie będą mogli jechać na cały dzień do Napa. Wciąż wahała się, czy mu wyjawić prawdę, ale było jej głupio. Prawda zabrzmiałaby zbyt nierealne, wręcz idiotycznie. Wciąż miała nadzieję, że wszystko okaże się niepotrzebne i w ogóle nie będzie musiała mu o tym mówić. Jack bardzo się zmartwił. Chciał ich odwiedzić, ale Fernanda zaprotestowała tłumacząc, że czuje się fatalnie, no i nie chce, żeby się zaraził. Jak miała mu wyjaśnić obecność uzbrojonych mężczyzn koczujących w jej salonie i kuchni?

Przygotowała śniadanie, po czym wróciła do łóżka i puściła film na wideo. Sam wtulił głowę w jej ramię i po chwili usnął. Ona także zapadała już w drzemkę, kiedy zdała sobie sprawę, że z dołu dobiegł jakiś nietypowy dźwięk. Alarm nie był włączony — wydawał się zbędny, zważywszy na kwalifikacje oraz siłę ognia, jaką dysponowała ochrona. Ted powiedział zresztą, że będą wychodzić, aby sprawdzić teren wokół domu, i mogliby go przypadkiem uruchomić.

Zabrzmiało to, jakby coś upadło w kuchni — może krzesło? Fernanda wiedząc, że w kuchni są policjanci, nie przejęła się tym zbyt i znów przymknęła oczy. Ani ona, ani Sam nie sypiali

dobrze w nocy, łatwiej im było odprężyć się w ciągu dnia, tak jak teraz.

Posłyszała stłumione głosy, a potem kroki na schodach. Zaczęła się zastanawiać, o co chodzi, ale nie chciała wstawać, żeby nie zbudzić synka. Doszła do wniosku, że ochrona znów robi obchód domu. Wtem drzwi sypialni otworzyły się z hukiem uderzając o ścianę i zobaczyła w nich trzech mężczyzn w kominiarkach, celujących w nią z automatów wyposażonych w tłumiki. Sam ocknął się i zeszywniał w jej ramionach wytrzeszczając oczy ze zgrozy. Fernanda modliła się tylko, żeby napastnicy nie zaczęli strzelać. Nie знаła się na broni, ale poznała, że karabiny, w które byli wyposażeni, to broń maszynowa zdolna wyrzucać dziesiątki pocisków w ciągu sekundy.

— W porządku, Sam... w porządku... — powtarzała stłumionym drżącym głosem, sama nie zdając sobie sprawy, co mówi. Gdzie jest ochrona, myślała gorączkowo, nie było po nich śladu, na parterze panowała głucha cisza.

— Gdzie reszta dzieci? — spytał najwyższy. Nie znaleźli ich w innych pokojach.

— Wy... wyjechały — zająknęła się.

Jeden z napastników został w progu, dwaj podeszli bliżej. Przycisnęła do siebie Sama i cofnęła się na łóżku, jakby te pół metra mogło ich ocalić. Mężczyzna przyskoczył i wyrwał chłopca z jej objęć. Fernanda rozkrzyczała się przeraźliwie.

— Nie! Nieec!!! Nie zabierajcie go! — Chwila, której się obawiali, właśnie nadeszła, a ona mogła tylko błagać.

Inny porywacz złapał ją za włosy i szarpnął tak mocno, że omal jej nie oskalpował.

— Jeśli jeszcze raz choćby piśniesz, ukatrupimy go — syknął przez zęby. — Chyba tego nie chcesz, prawda?

Szłochała więc tylko spazmatycznie, gdy trzymał ją na muszce, ten drugi zaś krępował rękę Sama sznurem, a potem zakleił mu usta taśmą. Zobaczyła rozszerzone obłąkańczym strachem oczy swego dziecka.

— O mój Boże! — jęknęła z rozpaczą, gdy we dwóch wrzucili Sama do worka jak kupkę przeznaczonych do prania łaszków.

Ten niższy i krępy bez wysiłku zarzucił sobie worek na plecy. Fernanda bała się poruszyć ze strachu, że zabiją chłopca.

Wysoka, potężnie zbudowana postać w sztywnej roboczej kurtce przesłoniła jej widok.

— Jeśli zawiadomisz gliny albo powiesz o tym komukolwiek, szczeniak pożegna się z tym światem — posłyszała głos stłumiony przez kominiarkę, spod której wymykał się kosmyk jasnych włosów. Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

— Pozwólcie mi iść z nim — prosiła trzęsącym się głosem, ale mężczyźni milczeli.

Mieli inne rozkazy. Ona musiała zostać, żeby zapłacić okup. — Proszę..., błagam! Nie róbcie mu krzywdy!

— załkała osuwając się na kolana.

Gdy znikli za drzwiami, zerwała się i pobiegła za nimi. Dopiero na schodach spostrzegła, że wszędzie jest pełno krwawych odcisków stóp.

— Którędy do garażu? — spytał trzeci mężczyzna. Zobaczyła, że nogawki spodni ma zbryzgane krwią. Krew miał także na rękach. Nie słyszała ani jednego strzału.

Wskazała im drzwi. Dwaj zbiegli tylnymi schodami do garażu, niosąc Sama, trzeci cofał się ostrożnie, trzymając ją na muszce. Z worka nie dochodził żaden dźwięk, ale Fernanda czuła, że jak dotąd nic nie zagroziło bezpośrednio życiu Sama. Wciąż zastanawiała się, gdzie jest ochrona.

Kidnaperzy wcześniej podjechali tyłem pod niewidoczne z okien drzwi garażu. W roboczych ubraniach nie budzili najmniejszych podejrzeń. Obeszli dom od tyłu, rozbroili alarm

— była to dla nich rutynowa czynność — potem zaś przez ręcznik wybili szybę, otworzyli okno i weszli do środka. Nikt nic nie widział, podobnie jak teraz, gdy otworzyli garaż i przez tylne drzwi wozu wpakowali worek z Samem do środka obijając go o zderzak. Gdyby Fernanda miała broń, mogłaby w tym momencie wykorzystać ich nieuwagę. Ale tak nie była w stanie zrobić nic, by ich powstrzymać. Bała się nawet krzyknąć.

Jeden z porwaczy został na pace, inni wrzucili w ślad za nim karabiny, zatrzasnęli drzwi, pobiegli do przodu i w sekundę później odjechali. Fernanda została zapłakana na chodniku. Na

ulicy było pusto, nikt jej nie widział ani nie słyszał. Zanim ukryci za przyciemnionymi szybami kabiny mężczyźni zdjęli kominiarki, skęcili już za róg i nie zobaczyła ich twarzy. Dopiero poniewczasie przyszło jej do głowy, że mogła zwrócić uwagę na numer rejestracyjny. Patrzyła tylko tępo, jak uwożą jej syna.

Szlochając zawróciła do domu i przez zdeptany krwią hol wbiegła do kuchni, szukając ochroniarzy. Ujrzała przed sobą scenę koszarnej jatki. Jeden z policjantów otrzymał postrzał w twarz, drugi miał odstrzeloną połowę głowy, cała ściana zbryzgana była jego mózgiem. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak okropnego, krzyk zamarł jej w gardle. To samo mogli zrobić z jej synkiem — nadal mogli to zrobić. Trzeci agent leżał na podłodze, a czwarty spoczywał twarzą w dół na stole, w plecach ziała mu rana wylotowa wielkości talerza. Wszyscy mieli w rękach broń, ale żaden nie zdążył wystrzelić, nim zginął. Chwila nieuwagi, odprężenie przy kawie... Zostali zaskoczeni i wybici jak kaczki.

Chwiejnym krokiem wybiegła z kuchni. Musi do kogoś zadzwonić, komuś powiedzieć. Znalazła wizytówkę Teda i wystukała numer jego komórki. W panice zapomniała alarmowego numeru policji, poza tym kidnaperzy ostrzegali ją, żeby „nie zawiadamiała glin”. Wydawało się to niezbyt realne, gdy w kuchni leżały cztery trupy. Ted odebrał po pierwszym dzwonku. Był w domu, porządkował papiery i czyścił swojego glocka, do czego zbierał się przez cały tydzień. Posłyszał w słuchawce dziwne gardłowe jęki, jakby po tamtej stronie było ranne zwierzę.

— Kto mówi? — spytał ostro, ze strachem uświadamiając sobie, że już wie. A zatem stało się. — Odezwij się! — zawołał. Kobieta ze świstem wciągnęła powietrze. — Mów do mnie! Gdzie jesteś? Co się dzieje?

— Za... za... zabrali go... — wydusiła w końcu przez zaciśnięte zęby, wstrząsana gwałtownymi dreszczami od stóp do głów, ledwie zdolna zaczerpnąć tyle tchu, by się odezwać.

— Fernanda... — Poznał głos, nawet tak zmieniony.

— A gdzie są nasi?

Wiedziała, że ma na myśli swoich ludzi, lecz nie mogła wydobyć głosu. Rozszlochała się spazmatycznie. Zabrali jej synka, jej dziecko!

— Nie żyją... wszyscy nie żyją... — wyjąkała po chwili.

Nie odważył się zapytać, czy Sam żyje, ale to było prawie pewne. Nic nie zyskaliby zabijając go na oczach matki.

— Powiedzieli, że jego też zabiją, jeśli powiem glinom...

— szlochała Fernanda.

— Zaraz tam będę — uciął i nie zadając dalszych pytań przerwał połączenie.

Zadzwoił do centralnej grupy interwencyjnej, której podał adres Fernandy ostrzegając, by zachowali ciszę radiową, w przeciwnym bowiem razie mogłaby się dowiedzieć prasa. Następnie powiadomił Ricka; kazał mu ściągnąć rzecznika prasowego FBI. Musieli kontrolować rozchodzenie się wieści, żeby nie narażać Sama. Rick zdenerwował się tak jak on i zanim jeszcze zakończył rozmowę, już z telefonem w ręku biegł do drzwi.

Ted porwał ze stołu świeżo złożony pistolet i wepchnął go do kabury. Nie fatygował się, by zgasić światło, zatrzasnął tylko drzwi, wystawił koguta na dach i z maksymalną szybkością ruszył na Pacific Heights. Na miejscu zastał już rój samochodów, błyskających świateł i syren. Trawnik przed domem zajmowały trzy karetki. Wzdłuż krawężnika doliczył się dziewięciu radiowozów, dziesiąty blokował właśnie wjazd w ten odcinek ulicy. Kiedy Ted wysiadał z samochodu, pojawiły się następne dwie karetki, a tuż za nimi Rick.

— Co tu się u diabła stało?! — Rick dogonił go na schodkach przed wejściem. Wpadli do holu. Zobaczyli kilku mundurowych funkcjonariuszy, ale ani Fernandy, ani nikogo z jej ochrony.

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że porwali Sama. Powiedziała: „nie żyją”. Nie wypytywałem jej przez telefon, zawiadomiłem centralę i ciebie.

Zauważył nagle krwawe ślady na schodach i dywanie w holu. Jak po sznurku ich tropem dotarli do kuchni i zobaczyli to, co wcześniej ujrzała przerażona Fernanda. I choć wiele widzieli w życiu podobnych scen, ta odebrała im mowę.

— O mój Boże — wyszeptał tylko Rick.

Ted patrzył w milczeniu. Czterech ludzi zginęło bezsensowną, brutalną śmiercią z rąk zimnych bestii. Poczul, że ogarnia go wściekłość. Zawrócił do holu, żeby poszukać Fernandy. Po domu biegało kilkunastu policjantów, musiał łokciami utorować sobie wśród nich drogę. Rzecznik prasowy FBI wydawał głośne polecenia, potęgując tylko zamęt. Ted już miał wbiec na schody, kiedy przez uchylone drzwi salonu zobaczył Fernandę skuloną na podłodze z głową wpartą w dywan. Szlochała histerycznie. Uklęknął obok, objął ją i ukołysał w ramionach jak dziecko. Podniosła na niego rozwarte, przerażone oczy, a potem z płaczem wtuliła się w jego pierś.

— Zabrali Sama... o Boże, zabrali moje dziecko...

Nikt do końca w to nie wierzył. Wszystko wydawało się zbyt narwańcze, zbyt śmiałe i zbyt szalone. A jednak to zrobili

— zabijając czterech ludzi.

— Odzyskamy go — szepnął. — Przysięgam.

Nie miał żadnej gwarancji, że spełni obietnicę, ale powiedziałby wszystko, byle ją uspokoić. Do salonu weszło dwóch sanitariuszy, jeden przyklęknął obok Fernandy i odezwał się do niej łagodnie. Nie była ranna, ale tragedia wywołała u niej ciężki szok. Ted pomógł im ułożyć ją na sofie. Przyniósł zmoczony ręcznik, otarł jej twarz i ubrudzone krwią stopy. Potem wyszedł do holu. Ludzi przybywało, niektórzy płakali,

inni naradzali się półgłosem. Technicy robili zdjęcia i nagrania wideo na miejscu ponurej zbrodni. W ciągu pół godziny wszędzie zaroilo się od ekspertów z policji i FBI — zbierali nitki, włosy, odciski palców, okruchy szkła i strzępki tkanin dla laboratoriów kryminalistycznych. Dwóch wyszkolonych negocjatorów siedziało już przy telefonie, czekając, aż się odezwie. Panowała atmosfera zgrozy i wściekłości. Nim zakończono rutynowe czynności, był już prawie wieczór. Na drzwiach kuchni rozpięto żółtą plastikową taśmę wskazującą, że jest to miejsce przestępstwa i na razie musi pozostać „sterylna”, jak mawiali. Większość radiowozów znikła.

Czterech nowych ludzi podjęło ochronę nad Fernandą, która leżała w sypialni. Kapitan lustrował pobojowisko z posępną, zaciętą miną. Zaciekawieni sąsiedzi usłyszeli tylko że miał miejsce „niegroźny wypadek”. Ciało wyniesiono tylnymi drzwiami po rozejściu się zbiegowiska. Wszystkim funkcjonariuszom zapowiedziano, że nic nie może przedostać się do prasy. Wiedzieli zresztą bez przypominania, że nie wolno im wypowiadać się na ten temat publicznie. Każde zbędne, nierozważne słowo mogło narazić chłopca na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

— Z początku myślałem, że ci odbiło — rzekł kapitan do Teda, nim odjechał. — Ale teraz widzę, że to oni są chorzy.

Spytał, czy Fernanda zauważyła jakiś szczegół, który mógłby pomóc w identyfikacji i ściganiu sprawców — na przykład tablice rejestracyjne, albo jest w stanie określić, w którym kierunku pojechali. Fernanda jednak była zanadto zszokowana, aby zwrócić uwagę na to, jak wygląda furgonetka, porywacze zaś mieli na sobie kominiarki, mówili niewiele lub zgoła nic. Policja wiedziała więc nadal tylko to co przedtem: znali nazwiska podejrzanych oraz człowieka, który zapewne za tym stał. Nic nowego — poza tym, że zginęło czterech ludzi i porwano sześciolatniego chłopca. Natychmiast po telefonie Fernandy dwóch detektywów pojechało do hotelu na Tenderloinie, ale recepcjonista powiedział im, że pan Morgan wyszedł z rana i jeszcze nie wrócił. Jego nocnych gości nikt nie zauważył — skorzystali z drzwi dla personelu — i nikt ich z nim nie kojarzył. Policja została na czatach w hotelu, ale Morgan się nie pojawił i wątpliwe było, czy się jeszcze pojawi, choć w pokoju zostały jego rzeczy. Do wszystkich posterunków rozesłano listy gończe za Morganem i Watersem, a patrole otrzymały numery samochodu Morgana. Każdej informacji towarzyszył nakaz powstrzymania się od interwencji i podjęcia śledzenia z niezmierną ostrożnością, aby nie narazić zakładnika.

Morgan podał tamtym numer swojego nowego, absolutnie nienamierzalnego telefonu. Zadzwonili do niego z Berkeley, gdy tylko minęli most nad zatoką.

— Mielśmy drobny problem. — Waters mówił spokojnie, ale słychać było, że jest wściekły.

— Jaki problem? — Na moment Peter przeraził się, że zabili któreś z dzieci.

— Zapomniałeś nas uprzedzić, że w kuchni tej baby siedzi czterech gliniarzy — syknął ze złością Waters. Nie spodziewali się, że będą musieli zabić policjantów, aby porwać dziecko. Tego nie było w umowie. A Peter ich nie ostrzegł.

— Co takiego? To śmieszne. Dzień wcześniej miała gości, ale wczoraj nikogo tam nie było!

Mówił pewniej, niż się czuł. Odjechał o dziesiątej, być może przybyli później.

Zastanawiał się, czy to dlatego Fernanda ostatnio rzadko wychodziła z domu. Skąd mogła się domyślić? Nie było takiej możliwości. Nie zaszły żadne komplikacje — poza

tą, że Addison miał jakieś problemy z podatkami. To jednak nie mogło naprowadzić policji ani FBI na ślad planowanego porwania, chyba że Addison chlapnął coś niechcący. Ale Addison nie był głupcem. Peter zachodził w głowę, w którym miejscu plan okazał się wadliwy.

— No cóż, rozwiązaliśmy ten problem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. — Waters wypluł grudkę tytoniu przez okno.

— Raz, dwa, i po krzyku.

Prowadził Stark, Free siedział z tyłu. Chłopiec leżał w worku pośród kartonów z żarciem i amunicją. Free miał przy sobie M-16 oraz arsenał broni krótkiej — głównie półautomatyczne rugery 45 oraz beretty. Carl schował pod siedzeniem swoją ulubioną broń, niewielki automatyczny uzi MAC-10, którym nauczył się posługiwać jako nastolatek, jeszcze zanim trafił do więzienia.

— Zabiliście ich? — spytał osłupiały Morgan. To mocno komplikowało sprawę; Addison nie będzie zadowolony. Nic podobnego nie miało prawa się zdarzyć.

Obserwował przecież Fernandę ponad miesiąc. Skąd u licha wzięła się u niej policja? Peter nagle poczuł zimny dreszcz spelzający mu po karku. Jak kiedyś powiedział jego teść, nie ma nic za darmo. Czuł, że będzie się musiał ciężko napracować na swoje dziesięć milionów.

Waters puścił jego pytanie mimo uszu.

— Uprzedź ich, żeby nie rozgłaszali śmierci glin. Jeśli cokolwiek dostanie się do gazet, ukatrupimy smarkacza. Powiedziałem to mamusce, ale może lepiej, żebyś jej przypomniał. Ma być cisza i spokój, dopóki nie dostaniemy forsy. Jeśli o całej akcji zaczną bębnić w telewizji, każdy dureń w tym stanie poczuje się pieprzonym detektywem i weźmie do poszukiwań. A tego nam nie potrzeba.

— To nie trzeba było ich zabijać. Chryste, co ja mam z tym zrobić? Sądzisz, że uda mi się zamknąć im usta?

— Zrób cokolwiek, byle szybko. Wyjechaliśmy stamtąd pół godziny temu. Jeśli gliny puszcza farbę, za pięć minut wszystko będzie w wiadomościach.

Peter wiedział, że jego telefon jest bezpieczny, choć wolał nie przeciągać struny.

Waters miał jednak rację. Jeśli prasę obiegnie wieść o porwaniu dziecka i zabójstwie czterech policjantów, poszukiwania obejmą każdy zakątek stanu, każdą drogę, a granice zostaną otoczone kordonem. Już samo porwanie było ryzykowne, lecz śmierć policjantów nadała całej sprawie zupełnie nowy wymiar. Sam żył i policja wiedziała, że będzie żył. Ale tamci zginęli. To już całkiem inna historia. Walcząc z niechęcią Peter wybrał trzycyfrowy numer alarmowy i poprosił do telefonu kogoś starszego stopniem. Nie miało znaczenia, z kim będzie rozmawiał, wiadomość w parę minut dotrze do właściwych uszu. Przekazał więc to, co powiedział mu Carl.

— Jeśli choć słowo o porwaniu lub śmierci policjantów ukaże się w prasie, chłopiec zginie — rzekł i natychmiast się rozłączył.

Ted otrzymał tę informację w ciągu dwóch minut. Kapitan zadzwonił do szefa policji San Francisco i razem ułożyli treść oświadczenia, jakie miało zostać przekazane prasie. Mowa w nim była o śmierci czterech funkcjonariuszy w pościgu za piratem drogowym. Rodziny zabitych powiadomią nieco wcześniej, aby miały czas się przygotować. Wybrali najprostszy i najtrudniejszy do podważenia powód śmierci funkcjonariuszy policji lokalnej i federalnej, nie sposób bowiem było jej

całkiem zatuszować. Ta sprawa musiała poczekać do chwili, gdy życie dziecka nie będzie już zagrożone. Wtedy od nowa rozpęta się piekło.

Dwie godziny później, jeszcze w drodze do Tahoe, Waters usłyszał w radiu oficjalny komunikat. Tymczasem Peter borykał się z poważnym dylematem. Porwanie nie przebiegło całkiem zgodnie z planem i czuł, że powinien zawiadomić o tym Addisona. Nie mówił o tym z Carlem, choć ten mógł przypuszczać, że po wykonaniu zadania Peter skontaktuje się ze zleceniodawcą. Zresztą Carl był na niego wściekły, że tak nieudolnie śledził Fernandę Barnes. To przez niego mieli teraz problemy — bo zabójstwo czterech policjantów niewątpliwie stanowiło bardzo poważny problem.

W końcu zadzwonił. Zastał szefa w hotelu w Cannes. Addison przybył tam dzień wcześniej i właśnie wylegiwał się na sofie przed telewizorem, leniwie zmieniając kanały. Wiedział, co się dzieje, szczegółowy plan akcji zapisał sobie w pamięci. Czekał na wiadomość o jej powodzeniu, nie kłopotach. Mieli odczekać parę dni i dopiero gdy matka będzie już odchodzić od zmysłów z rozpaczy, zadzwonić z żądaniem okupu. Wiedział, że wtedy zapłaci szybciej. W ogóle nie sądził, że będzie się ociążać.

— O czym ty właściwie mówisz? — przerwał Morganowi, który od minuty plątał się i kluczył.

Peter wahał się, jak powiedzieć szefowi, że tamci zabili policjantów. Trudno mu też było wyjaśnić, dlaczego nic nie wiedział o ich obecności. Dlatego zaczął od powiadomienia Addisona, że schwytali tylko najmłodsze z dzieci.

— Mówię, że wynikł pewien problem — odparł wstrzymując oddech.

— Zabili dziecko albo matkę? — Głos Addisona tchnął lodem. Jeśli zabili chłopca, nie będzie okupu. Tylko bardzo, bardzo poważny kłopot.

— Nie — zaprzeczył Peter, siląc się na spokój. — chłopiec jest cały i zdrowy. Tylko że ubiegłej nocy, kiedy już odjechałem, w domu pojawiło się czterech uzbrojonych mężczyzn., najprawdopodobniej z policji. Wcześniej ich nie było, za to rękę. Tylko kobieta i dzieci. Nie mieli nawet pokojówki. Ale Waters mówi, że natknęli się na obstawę, kiedy weszli.

— I co? — wycedził Addison.

— No cóż... Zabili ich.

— Psiakrew! Prasa już o tym wie?

— Nie. Waters dzwonił do mnie z drogi. Połączyłem się z 911 i zostawiłem im wiadomość. Powiedziałem, że jeśli jakkolwiek informacja o porwaniu albo śmierci policjantów przedostanie się do mediów, zabijemy chłopca. Właśnie słyszałem w radiu komunikat o wypadku w czasie drogowego pościgu, w którym zginęło czterech funkcjonariuszy. Nie podano żadnych szczegółów. O porwaniu też cisza. Nasi chłopcy ostrzegli matkę, że mały zginie, jeśli ona lub gliny puszcza farbę.

— Dzięki Bogu. I tak będą go szukać, ale gdyby to podano do wiadomości publicznej, byłoby o wiele gorzej. Zaczęłyby się mnożyć doniesienia, że „widziano” was w kilkudziesięciu miejscach równocześnie, od Meksyku po New Jersey. Tego nam jeszcze potrzeba, żeby wszystkie siły policyjne cał po cału przeczesywały stan szukając zabójców glin. Zabolalo ich to znacznie dotkliwiej niż jakiś tam porwany dzieciak. Wiedzą, że będziecie trzymać go przy życiu, bo w przeciwnym razie okup przejdzie wam koło nosa. Ale zabicie funkcjonariuszy na służbie to całkiem inna

historia. — Addison był bardzo niezadowolony, choć mógł przypuszczać, że przez wzgląd na bezpieczeństwo Sama policja utajni sprawę. — Wygląda na to, że opanowałeś sytuację, ale tamci strasznie się wygłupili. Cóż... — dodał po chwili — chyba nie mieli wyboru. Nie mogli zabrać ze sobą jeszcze czterech gliniarzy. Addison wyszedł na balkon swojego apartamentu w hotelu Kan Carlton i dumiał tam przez dłuższą chwilę. Nowe okoliczności skłaniały go do zmodyfikowania planu. — Lepiej do nich jedź — orzekł.

Plan nie przewidywał, aby Peter miał dołączyć do pozostałych w Tahoe, przeciwnie — miał się trzymać od nich jak najdalej, żeby przez niego nikt nie dotarł do Addisona. Później) jakiś czas po otrzymaniu okupu, zamierzał zgłosić włamanie do wynajętego przez niego domu.

— Do Tahoe? To szaleństwo. Tylko tego nam trzeba, żeby ktoś mnie z nimi skojarzył! Albo co gorsza wraz z nimi schwytał, dodał w myśli Peter, jeśli zrobią znów jakieś głupstwo, na przykład wymordują obsługę baru nie chcąc płacić za piwo. Nie powiedział tego na głos. Addison był już i tak równie jak on zdenerwowany zabójstwem policjantów.

— Jednego, czego nam nie potrzeba, to utraty stu milionów dolarów — rzekł ten kwaśno. — Nazwij to nadzorem nad inwestycją. Moim zdaniem warto.

— Po co u licha mam tam jechać? — W głosie Petera zabrzmiała nutka paniki.

— Im dłużej o tym myślę, tym mniej im ufam, jeśli chodzi o chłopca. Wystarczy, że choćby niechcący go zranią lub nie daj Boże zabiją, a będziemy ugotowani. Nie jestem pewien, czy mają dostateczne kwalifikacje do opieki nad dziećmi.

Istotnie, wykonawcy planu ujawnili już brutalną stronę swych osobowości. Teraz brakowało tylko, żeby któryś stracił panowanie nad sobą. Niewiele trzeba, żeby zabić dziecko. Mogli zapomnieć o dość istotnym drobiazgu — że mają tylko jednego zakładnika. Jeśli go stracą) pożegnają się z okupem. Addison nie myślał ryzykować.

— Jedź tam natychmiast — rzekł stanowczo.

Peter nie miał na to najmniejszej ochoty, lecz uznawał siłę argumentów szefa. Będąc na miejscu, zdoła dopilnować Sama.

— Dzisiaj?

— Owszem, dzisiaj. A najlepiej zaraz. Miej ich na oku. Chłopca też. Kiedy zamierzasz dzwonić do matki?

Pytał tylko kontrolnie; ustalili wszystko w najdrobniejszych szczegółach, zanim wyjechał. Tyle że wykonanie już odbiegło od planu. Plan nie przewidywał czterech trupów.

— Za dwa dni — odparł Peter. Zamierzał trzymać się ustaleń.

— Zadzwoń do mnie z Tahoe. Powodzenia! — rzucił Addison, po czym się rozłączył.

Peter siedział przez chwilę, posępnym wzrokiem patrząc w ścianę. A miał już tylko zgarnąć swoją dolę i prysnąć. Choć im dłużej o tym myślał, tym silniejsze żywił przekonanie, że robi to wyłącznie dla córek. Pieniądze stopniowo schodziły na plan dalszy. Jazda do Tahoc zwiększała ryzyko, że zostanie schwytany. Ale wiedział — tak jak wiedział od samego początku — że nie ma wyjścia. Starał się nie myśleć o Fernaudzie i o tym, co ona czuje. Zapewne umiera w tej chwili ze strachu, ale jego w tym głowa, by odzyskała synka całego i zdrowego. Za sto milionów byli jej to winni. Wszystko się dobrze skończy.

Pocieszając się tą myślą, spakował do reklamówki przybory toaletowe, bieliznę oraz dwie czyste koszule. Dziesięć minut później wyszedł z motelu, złapał taksówkę i kazał się zawieźć na Fisherman's Wharf. Stamtąd inną taksówką pojechał do auto- komisur w Oaklandzie. Kupił za gotówkę stary model hondy i godzinę po rozmowie z Addisonem był już w drodze do Tahoe. Używany poprzednio samochód dawno porzucił w bocznej uliczce w Marinie, usunąwszy z niego tablice rejestracyjne, które wrzucił do śmieci idąc do motelu. Doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie nie poruszać się wozem, którym śledził Fernandę — ktoś z sąsiadów mógł go zapamiętać. Teraz, kiedy padli zabici, ryzyko wzrosło, a jadąc do kryjówki Peter jeszcze je zwiększał. Ale w tej materii nie on podejmował decyzje. Addison miał zresztą rację; Peter też im nie ufał i nie chciał, by stało się coś jeszcze gorszego niż to, co już się stało.

Zanim minął Vallejo, zdjęcia jego i Watersa okrążyły już sieć komputerową policji w całym stanie, podobnie jak numery i opis porzuconego samochodu. Informacji towarzyszyło ostrzeżenie, że sprawa jest ściśle tajna, dotyczy bowiem porwania. Peter nie przystawał po drodze; jechał z dozwoloną prędkością, nie chcąc ryzykować zatrzymania przez policję. Addison siedział w Cannes nie wiedząc, że FBI już go obserwuje. A Fernanda czekała na telefon.

Rozdział XV

Do rana wykonano resztę zdjęć i badań, rodziny poległych zostały powiadomione o tragedii, a ciała przewiezione do kostnicy. Żony i rodziny ofiar, obyte z wieloma trudnymi sytuacjami, zrozumiały, że stawką w grze jest życie dziecka i nie wolno im ujawnić prawdy, dopóki porywacze nie zostaną ujęci. Tymczasem próbowały się uporać z własnym bólem przy pomocy zatrudnionych przez policję psychologów.

Zbierano dane o Morganie i Watersie i równolegle przekazywano je ekspertom od tworzenia psychologicznych profili sprawców. Ich pokoje zostały dokładnie przeszukane, znajomi przesłuchani, a kierownik schroniska w Modesto dostarczył informację, że zwolnieni warunkowo Malcolm Stark i James Free opuścili schronisko w tym samym czasie co Waters. Wytyczono więc nowe kierunki śledztwa, rozprowadzono kolejne zdjęcia i listy gończe. Analitycy FBI łączyli wysiłki z kolegami z policji stanowej. Wywiadowcy rozmawiali z kuratorami i pracodawcami podejrzanych. Kurator Petera stwierdził, że prawie go nie znał, a jego rzekomy pracodawca w ogóle nie widział go na oczy. Trzy godziny później w końcu ustalono, że firma jest w rzeczywistości niejawną filią przedsiębiorstwa należącego do Addisona. Rick Holmquist trafnie przypuszczał, że „posada” Petera była tylko zmyłką.

Ted zadzwonił również do wyspecjalizowanej firmy zajmującej się sprzątaniami zakładów przemysłowych, z której usług często korzystali na miejscach zbrodni. Trzeba było zmyć krew, odkazić pomieszczenia i zerwać posiekane kulami granitowe okładziny. Fachowcy stawili się tegoż wieczora i można się było spodziewać, że do rana nie będzie śladu — przynajmniej w sensie dosłownym — krwawej jatki, która miała miejsce w kuchni.

Fernanda leżała jak martwa na piętrze, podczas gdy w jej domu kolejno zmieniali się ochroniarze, technicy, eksperci. Ted już od wczoraj w ogóle nie wychodził.

Zainstalował się w salonie i wszystkie rozmowy prowadził ze swojej komórki.

Policyjny negocjator czekał w pogotowiu na telefon od porywaczy. Było oczywiste, że zadzwonią, pytanie tylko — kiedy.

Tuż przed dziewiątą wieczorem Fernanda zeszła na parter. Była szara na twarzy. Przez cały dzień nic nie miała w ustach. Ted namawiał ją kilkakrotnie, żeby coś zjadła lub choćby wypła trochę mleka, ale w końcu dał spokój. Nie chciał jej się narzucać.

Potrzebowała trochę czasu w samotności. Był tuż obok, gdyby zapragnęła jego towarzystwa. Kilka minut wcześniej zadzwonił do żony, oględnie nakreślił jej sytuację i wyjaśnił, że spędzi noc na miejscu wypadku ze swoimi ludźmi. Chciał na wszystko mieć oko. Shirley odpowiedziała, że rozumie. W dawnych czasach, kiedy patrolował ulice, a później był wywiadowcą, nie widywała go całymi tygodniami. Zdążyła się przyzwyczaić. Całe ich życie zdeterminowane przez różne godziny pracy było w gruncie rzeczy trwającą latami rozłąką. Zaczynały być widoczne tego skutki. Czasami Shirley miała wrażenie, że od dawna już nie są małżeństwem; że przestali nim być, zanim jeszcze odchowali dzieci. Dziś robiła, co chciała, miała własnych przyjaciół, własne życie. On też. Prędzej czy później taka praca oddala od siebie ludzi. I tak mieli więcej szczęścia niż inni. Związki wielu starych przyjaciół Teda dawno się rozpadły — na przykład małżeństwo Ricka.

Fernanda weszła do salonu niczym widmo. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem raptownie siadła, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Dzwonili?

Ted potrząsnął głową. Gdyby dzwonili, natychmiast dałby jej znać. Wiedziała o tym, ale chciała się upewnić. Wszystkie jej myśli ześrodkowały się wokół telefonu.

— Jeszcze za wcześnie — powiedział Ted. — Będą zwlekać celowo, żeby spotęgować pani desperację.

To samo powiedział jej negocjator. Był na górze, w pokoju Ashley, gdzie miał specjalny telefon podłączony do głównej linii.

— Co się dzieje w kuchni? — spytała bez większego zainteresowania. Nie miała ochoty zaglądać do środka; czuła, że już nigdy się nie przemoże, by tam wejść, że do końca życia nie zapomni owej strasznej sceny. Ted również zdawał sobie z tego sprawę. Świadomość, że Fernanda sprzeda ten dom, sprawiała mu ulgę. Po tym, co tu zaszło, przeprowadzka dobrze im zrobi.

— Sprzątają — odparł.

Słysząc było potworny łoskot, jakby burzyli cały dom. Fernanda pomyślała przelotnie, że powinni go zburzyć do fundamentów.

— Nabywcy i tak zechcą zmienić wystrój — dodał Ted żartem i Fernanda uśmiechnęła się mimo woli.

— Wsadzili go do worka — powiedziała żałośnie, patrząc mu prosto w oczy. Ta scena wciąż trwała przed nią jak żywa, przyćmiewając nawet koszmarny obraz z kuchni. — Z buzią zaklejoną taśmą.

— Wiem. Nic mu nie będzie — powtórzył Ted, modląc się, by to była prawda. — Za dzień, najdalej dwa zadzwonią. Być może pozwolą wtedy pani z nim porozmawiać. Negocjator już ją pouczył, iż ma zażądać rozmowy z synem na dowód, że żyje. (Powstrzymał się przy tym od komentarza, że nie ma sensu płacić za martwe dziecko.) Ted przyjrzał się jej bacznie. Cera Fernandy przybrała szarzielony odcień, z włosami w strąkach wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować albo umrzeć. Mimo to wciąż wydawała mu się piękna.

— Ci biedni chłopcy... Ich rodziny muszą mnie w tej chwili nienawidzić. — Fernanda znów podniosła na niego wzrok. Czuła się współwinna śmierci policjantów, wprowadzie nie bezpośrednio, lecz na równi z porywaczami.

— Taki mamy zawód. Wszyscy jesteśmy świadomi ryzyka. Większości udaje się dożyć emerytury, ale jeśli nie, wiemy, żeśmy się na to zgodzili podpisując umowę o pracę. Nasze rodziny też zdają sobie z tego sprawę.

— Jak udaje im się z tym żyć?

— Po prostu żyją z tym, bo muszą. Ale wiele małżeństw się rozpada.

Kiwnęła głową. Jej małżeństwo też nie przetrwało próby. Aflan wolał się pożegnać z życiem, niż wziąć na siebie odpowiedzialność za zbyt pochopne decyzje, i zostawił ją z ich brzemieniem nie próbując nawet cegokolwiek naprawić. Ostatnio coraz częściej nachodziła ją ta myśl. Nie zdążyła się jeszcze z nią oswoić, kiedy dotknęła ją następna tragedia.

Ted doszedł do tych wniosków już wiele wcześniej. Było mu jej serdecznie żal. Mógł jej pomóc w jeden jedyny sposób:

uwalniając Sama. Dlatego nie ruszał się stąd na krok. Kiedy zadzwonią po okup, trzeba będzie prędko podejmować decyzje stąpając po bardzo cienkim lodzie.

— Co ja mam zrobić, kiedy zażądamy pieniędzy? — Myślała o tym przez cały dzień. Nie miała prawie nic; zastanawiała się, czy Jack zdoła cokolwiek wycisnąć. Graniczyłoby to z cudem, a itak wszystko zależało od tego, ile zechcą. Najprawdopodobniej dużo.

— Przy pewnej dozie szczęścia zdołamy namierzyć, skąd dzwonią, i odbijemy Sama. Przy bardzo dużej dozie szczęścia, powinien być rzec. Nie każde połączenie można zlokalizować, a nawet jeśli, pozostawało pytanie, czy zdążą uwolnić chłopca, nim tamci zdecydują się odebrać mu życie.

— A jeżeli wam się nie uda? — spytała ledwie słyszalnym szeptem.

— Uda się. Napewno. — Ted chciał być tego tak pewny, jak udawał. Musieli czekać. Kiedy odezwie się telefon, wtedy zobaczą. Negocjatorzy byli gotowi.

— Może jednak spróbuje pani coś zjeść? Zaraz przyniosę. Będzie pani potrzebne jeszcze wiele sił.

— Nie jestem głodna. — Pokręciła głową. Wiedziała, że nie zdoła niczego przełknąć. Jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Wszystkie jej myśli zaprzętał Sam. Gdzie jest? Jak go traktują? Czy nie jest ranny? I czy w ogóle jeszcze żyje? Tysiące lęków galopem przelatywało jej przez głowę.

Pół godziny później Ted przyniósł Fernandzie filiżankę herbaty. Wypiła ją siedząc na podłodze w salonie. Zasnąć także nie mogła. Miała przed sobą niekończące się czekanie. Wszyscy czekali, ale nikt nie był w tej sytuacji co ona. Nie powiadomiła jeszcze starszych dzieci. Policja zgodziła się z nią, żeby wstrzymać się z tym, dopóki nie dowiedzą się czegoś konkretniejszego. Nie było sensu wpędzać dzieci w panikę, a ta wieść na pewno przyniosłaby taki efekt. Powiadomiono natomiast posterunki policji w miejscu ich pobytu, ze zdwojoną czujnością pilnowano teraz zarówno Ashley, jak Willa. Co prawda Sam był wystarczająco kartą przetargową — można było przypuszczać, że dwojgu starszym dzieciom nic nie grozi.

Fernanda położyła się skulona na dywanie. Ted siadł obok i zabrał się do pisania raportu, zerkając na nią od czasu do czasu. Potem poszedł zajrzeć do swoich ludzi, a kiedy po chwili wrócił, spała na podłodze obok sofy. Zastanawiał się, czyby nie zanieść jej do łóżka, ale nie chciał jej budzić. Potrzebowała snu. Zostawił ją więc, okrywając tylko kocem. On sam o północy położył się na sofie i zdrzemnął parę godzin. Było jeszcze ciemno, kiedy obudził go szloch. Fernanda wciąż leżała na dywanie, zanadto wyczerpana, by zmienić pozycję. Nie powiedział nic, usiadł tylko obok niej i utulił w ramionach. Płakała i płakała, a nim zdołała wylać wszystkie nagromadzone łzy, weszło słońce. Wtedy wstała i poszła na górę do sypialni. Spędziła tam całe przedpołudnie. Telefon milczał. A Fernanda z godziny na godzinę wyglądała coraz gorzej.

Po południu zadzwonił Jack Waterman. Na dźwięk telefonu wszyscy zerwali się z miejsc. Fernanda wiedziała, że musi osobiście z nimi pertraktować. Zaznaczyli wyraźnie, że nie życzą sobie policji. Rzecz jasna, skoro zastali u niej policyjną ochronę, mogli podejrzewać, że nadal nie jest sama. Podniosła słuchawkę i słysząc głos Jacka omal nie wybuchła płaczem. Miała nadzieję, że to nareszcie oni.

— Jak zdrówko? Zwalczyliście już grypę? — spytał wesoło.

— Nie najlepiej.

— Fakt, jesteś strasznie zachrypnięta. A jak się miewa Sam?

Zawahała się. Milczenie się przedłużało, aż wreszcie mimo usiłowań rozpląkała się w głos.

— Fernando! Co się stało? Halo! Jesteś tam? Co się dzieje?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Płakała dalej. Jack był coraz bardziej zaniepokojony.

— Zaraz u ciebie będę — oświadczył. Fernanda niemo potrząsnęła głową, ale w końcu się zgodziła. Ostatecznie i tak będzie potrzebowała jego pomocy. Kiedy kidnaperzy zażądają okupu, rozpęta się piekło.

Jack pojawił się dziesięć minut później i zdębiał widząc w holu uzbrojonych mężczyzn. Z góry schodził właśnie jeden z negocjatorów. Ted naradzał się z inną grupką w kuchni, zaskakująco teraz pustej. Fernanda zaś stała przy telefonie ze zrozpaczoną miną. Na widok Jacka znów zalała się łzami. Nic wiedziała, jak zacząć. Ted zapędził swoich ludzi do kuchni, gdzie zniknęli za sobą drzwi.

— Co tu się dzieje? — zapytał z przerażeniem Jack. Było oczywiste, że zaszło coś strasznego. Fernanda opadła na sofę w salonie i minęło prawie pięć minut, zanim udało jej się wykrztusić:

— Sam został porwany.

— Porwany? Przez kogo?

— Nie wiemy. — Opowiedziała mu całą bolesną historię od samego początku, nie pomijając tego, że Sama wyniesiono w worku, ani sceny krwawej jatki w kuchni.
— O mój Boże! Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? — Uświadomił sobie, że to było powodem, dla którego odwołała wyjazd do Napa. Pozostawał w przekonaniu, że mają gripę. Tymczasem byli w o wiele gorszych opałach. Z trudem zmuszał się, by uwierzyć w jej opowieść, straszniejszą, niż słowa mogły wyrazić.

— I cóż ja zrobię, kiedy zażądamy pieniędzy? Nie mam za co wykupić Sama!
Jack wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Zadała mu pytanie, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

— Zdaniem policji ci ludzie są przekonani, że ja wciąż mam cały majątek Allana — ciągnęła z rozpaczą.

— Przykro mi, ale nie potrafię ci nic w tej chwili doradzić

— rzekł Jack bezradnie. — Miejmy nadzieję, że ich złapią, zanim do tego dojdzie. — Ze schedy po Allanie nie był w stanie wycisnąć nawet małej kwoty, nie mówiąc już o grubszej sumie, na jaką z pewnością liczą kidnaperzy. — Czy policja domyśla się, gdzie mogą być?

— Nie. Tego też nie wiemy. Pozostaje nam czekać na telefon. Jack przesiedział z Fernandą dwie godziny, obejmując ją ramieniem. Kazał jej obiecać, że zadzwoni do niego niezależnie od pory dnia lub nocy, jeśli się czegoś dowie albo po prostu będzie chciała pogadać. Nim wyszedł, wysunął jeszcze sugestię, by udzieliła mu pełnomocnictwa do dysponowania pieniędzmi — jeśli takowe uda się uzyskać — w jej imieniu. To w razie gdyby coś jej się stało. Propozycja ta była równie posępna jak pobieranie próbek DNA jej dzieci na wypadek, gdyby znaleziono je martwe. W zasadzie Jack sugerował mniej więcej to samo. Powiedział, że nazajutrz prześle jej dokumenty do podpisu, i kilka minut później wyszedł.

Błądząc po domu, Fernanda trafiła do kuchni, choć przysięgała sobie, że noga jej już tam nie postanie. Mężczyźni pili kawę, samo pomieszczenie zaś zmieniło się do niepoznania. Kamienne okładziny zostały zdjęte, duży drewniany stół, w który wsiąkła krew, zastąpiony innym, ze sklejki. Nie poznała nawet krzeseł. Wraz ze zmianą mebli zatarło się nieco wspomnienie koszmaru, który ujrzała tu wczoraj.

Kiedy weszła, policjanci podnieśli się grzecznie z miejsc. Ted, który rozmawiał z nimi oparty o ścianę, uśmiechnął się na jej widok. Odpowiedziała mu uśmiechem, przypomniawszy sobie, jak krzepiącą podporą był dla niej ubiegłej nocy. Nawet w tej bolesnej agonii potrafił natchnąć ją swoim spokojem i optymizmem.

Któryś z mężczyzn zrobił jej kawę i podsunął pudełko pączków. Wzięła jeden i zdążyła zjeść pół, nim wszystko zwymiotowała. Od dwóch dni żyła tylko kawą i herbatą i była już kompletnie wyczerpana nerwowo. Nikt nie pytał, czy są jakieś wieści — wiedzieli, że telefon nie dzwonił. Po chwili wróciła na górę i położyła się w ubraniu na łóżku. Rozebrała się dotąd tylko raz, żeby wziąć prysznic. Przez otwarte drzwi widziała, jak negocjator wraca korytarzem do pokoju Ashley. Nie raziła jej już panująca w domu frontowa atmosfera ani obecność uzbrojonych obcych mężczyzn. Obchodził ją wyłącznie Sam, tylko myśl o nim chroniła ją od obłędu. Podminowana wypita kawą długo leżała bezsennie, modląc się, by jeszcze żył.

Rozdział XVI

Kiedy nazajutrz Fernanda otworzyła oczy, słońce wstawało nad miastem w złotawej mgiele. Dopiero gdy zeszła na parter i zobaczyła gazetę, którą jeden z mężczyzn zostawił na stole, uświadomiła sobie, że jest czwarty lipca. Święteczny nastrój

— choć nie była to niedziela — sprawił, że zapragnęła pójść do kościoła. Nie mogła jednak ruszyć się na krok z domu, bo w każdej chwili mógł zadzwonić telefon.

Napomknęła o tym Talowi, który rankiem skoczył po ubrania na zmianę i właśnie wszedł do kuchni. Zastanowił się chwilę, po czym spytał, czy ma sprowadzić jej duszpasterza.

Pomysł wydał się Fernandzie nieco dziwny. Lubiła chodzić z dziećmi na niedzielne nabożeństwa, lecz po śmierci Allana zbuntowały się, a nie chciała ich zmuszać. Ona też odczuwała zbyt dotkliwą gorycz, by wizyta w kościele mogła przynieść jej ulgę. Ale teraz chciała, żeby ktoś się z nią pomodlił, bo zdawało jej się, że sama już nie potrafi.

— Czy to nie głupie? — spytała z zażenowaniem, ale Tal potrząsnął głową.

— Nic w tym głupiego, jeśli może pani pomóc. Mam kogoś poszukać czy myśli pani o konkretnej osobie?

— To obojętne — odparła wciąż trochę speszona. Choć... dziwne, ale po tych paru dniach uważała go za przyjaciela. Mogła mu powiedzieć wszystko. W takiej sytuacji jak ta nie było dumy ani wstydu, ani fałszu, tylko szczerść i ból.

— Zaraz zadzwonię — rzekł wychodząc do holu.

Dwie godziny później u drzwi pojawił się młody człowiek. Przywitał się serdecznie z Tedem, zamienili parę zdań, a potem Ted wprowadził go na górę.

Fernanda leżała na łóżku, starając się telepatycznie zmusić porywaczy, żeby wreszcie zadzwonili. Kiedy Ted zapukał do otwartych drzwi, usiadła, zastanawiając się, kim jest przybysz. Miał na sobie trykotową bluzę, sandały i dzinsy.

— Hej — rzucił Ted, nieco skrępowany stając w progu.

— To mój przyjaciel, Dick Wallis. Jest księdzem.

Fernanda podeszła się przywitać i podziękować mu, że przyszedł. Wallis wyglądał bardziej jak futbolista niż duchowny. Był młody, chyba ledwie po trzydziestce, ale kiedy mu się przyjrzała, zobaczyła w jego oczach mądrość i ciepło. Wprowadziła go do saloniku przylegającego do sypialni i poprosiła, żeby usiadł. Ted wycofał się i cicho zszedł na parter.

Fernanda nie była pewna, od czego zacząć. Spytała, czy jest zorientowany w sytuacji. Potwierdził. Potem powiedział jej parę zdań o sobie. Słuchała z zainteresowaniem.

Istotnie, przez dwa lata zawodowo grał w futbol, nim postanowił wstąpić do seminarium. Miał teraz trzydzieści dziewięć lat, z czego od dziewięciu był kapłanem.

Przez krótki okres pełnił funkcję kapelana policji San Francisco i wtedy poznał Teda. Jego przyjaciel zginął właśnie na służbie. Zrodziło to w duszy Teda wiele wątpliwości co do sensu życia, w którym triumfuje absurdalne zło.

— Bywają chwile, gdy zadajemy sobie takie pytania. Na pewno i ty je teraz zadajesz, Fernando. Czy wierzysz w Boga?

— Zaskoczył ją tym bezpośrednim pytaniem.

— Chyba tak. Zawsze wierzyłam. — Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

— W ciągu ostatnich miesięcy... cóż, nie jestem pewna. Pół roku temu zmarł mój mąż. Najprawdopodobniej popełnił samobójstwo.

— Jakże musiał się bać, skoro posunął się aż do tego!

Był to zupełnie nowy punkt widzenia. Po namyśle Fernanda skinęła głową. Tak, Allan się bał. Dlatego uciekł.

— To możliwe — powiedziała. — A teraz ja się boję. Boję się, że zabiją mojego syna.

— Nie mogła powstrzymać łez.

— Czy nie sądzisz, że możesz zaufać Bogu? — spytał łagodnie.

Fernanda patrzyła na niego przez długą chwilę.

— Naprawdę mogę? Zabrał mi przecież męża. A jeśli teraz zginie także Sam? — zakrztusiła się spazmatycznym łkaniem.

— Spróbuj mu zaufać tak, jak ufasz tym ludziom, że odzyskają twoje dziecko.

Niezależnie od tego, gdzie ukryto Sama, Bóg go widzi, wie, gdzie jest. Wystarczy ci ta wiedza, Fernando. Tylko tyle możesz zrobić: zostawić go w rękach Boga.

Wallis umilkł na chwilę, apotem powiedział coś, co wydało jej się tak osobliwe, że nie wiedziała, jak zareagować.

— Czasem poddawani jesteśmy straszliwym próbom, które mogą zabić w nas duszę, ale tego nie czynią. Wychodzimy z nich zwycięsko, wychodzimy silniejsi. Ciosy te ranią nas swym okrucieństwem, lecz w istocie są one komplementami Boga. Wiem, że może ci się to wydać absurdalne, ale tak właśnie jest. Gdyby Bóg cię nie kochał, gdyby w ciebie nie wierzył, nie stawiałby ci takich wyzwań. Są one dlań sposobnością do okazania łaski. Wyjdiesz z tego silniejsza, jestem pewien. Bóg sygnalizuje ci w ten sposób, że ci ufa. To komplement, prawda? Czy dostrzegasz w tym sens?

Popatrzyła na niego ze smutnym uśmiechem i potrząsnęła głową. Nie chciała się w tym doszukiwać sensu.

— Nie. Nie chcę takich komplementów. Ani takich jak śmierć Allana. Był mi potrzebny. Wciąż jest mi potrzebny.

— Nigdy nie pragniemy cierpieć, Fernando. Nikt nie chce być doświadczany. Spójrz na Ukrzyżowanego. Pomyśl o tym, czemu On musiał sprostać. Jakże cierpiał konając, zdradzony przez ludzi, którym ufał. Ale potem zmartwychwstał. Udowodnił, że żaden ból, choćby nie wiem jak wielki, nie zdoła zabić w Nim miłości do nas. W istocie kocha nas jeszcze więcej. Także ciebie, Fernando.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę i mimo że teza, jakoby tragedia miała być dowodem miłości Boga, wydała się Fernandzie absurdalna, nie wiedzieć czemu poczuła się lepiej. Jakby sama obecność młodego księdza przyniosła jej spokój. Nim wyszedł, delikatnie dotknął jej głowy i odmówił nad nią błogosławieństwo.

— Będę się modlił za ciebie i Sama — uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że kiedyś go poznam.

— Ja też mam tę nadzieję — powiedziała głucho.

Kiwnął głową i wyszedł. Z pewnością nie był tuzinkowym duchownym, a jednak trafiło jej do przekonania to, co mówił. Potem długo siedziała sama w pokoju, a w końcu zeszła poszukać Teda. Był w salonie, rozmawiał przez telefon komórkowy z Rickiem — dla zabicia czasu, bo ciągle jeszcze nie było żadnych wieści.

Kiedy ją zobaczył, zakończył rozmowę i wstał.

— Jak było?

— Nie wiem. To albo wariat, albo święty. Nie jestem pewna

— uśmiechnęła się blado.

— Pewnie i jedno, i drugie. Ale bardzo mi pomógł, kiedy zginął mój partner. Miał sześcioro dzieci; właśnie spodziewali się siódmego. Został zabity przez bezdomnego, który dźgnął go nożem bez żadnego powodu i zostawił, żeby się wykrwawił. Żadnego bohaterstwa, poświęcenia, nic. Tylko wariat i nóż. Ten bezdomny był chory psychicznie. Dzień wcześniej wypuścili go ze szpitala. Długo nie mogłem się z tym pogodzić. Ta śmierć nie miała sensu.

Śmierć czterech ludzi w jej kuchni i porwanie dziecka też go nie miało. Takie rzeczy po prostu nigdy nie mają sensu.

— Powiedział, że to komplement Pana Boga — zwierzyła się.

— Nie jestem pewien, czy byłbym skłonny się z nim zgodzić. To naprawdę brzmi idiotycznie. Może powinienem był zadzwonić po kogo innego. — Ted miał strasznie speszoną minę.

— Nie. Polubiłam go. Chętnie znów z nim porozmawiam. Może kiedy to wszystko się skończy... Nie wiem. Mam wrażenie, że mi pomógł.

— Ja też po każdej rozmowie z nim miewam to uczucie. Może rzeczywiście jest święty. Jego wiara jest niezachwiana. Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego o sobie — rzekł cicho Ted.

Fernanda znowu się uśmiechnęła. Wyglądała teraz na spokojniejszą.

— Nie byłam w kościele od śmierci Allana. Chyba pogniewałam się na Boga.

— Miała pani prawo.

— Niekoniecznie. Ksiądz Wallis twierdzi, że to jest okazja dla Bożej łaski.

— Być może są nią wszystkie ludzkie tragedie. Chciałbym tylko, żeby tych okazji było mniej — rzekł Tom szczerze. Jak każdy, i on niósł swój krzyż, choć z pewnością nie tak ciężki.

— Tak — przyznała łagodnie Fernanda. — Ja też.

Weszli do kuchni, gdzie zebrali się inni. Mężczyźni grali w karty przy stole. Właśnie dostarczono wielkie pudło kanapek. Fernanda machinalnie wzięła jedną, zjadła, a potem wypila dwie szklanki mleka. Milczała. Wciąż rozmyślała o tym, co mówił ksiądz Wallis o boskich komplementach. Wydawało jej się to niezrozumiałe, lecz prawdziwe. Po raz pierwszy od porwania miała pewność, że Sam wciąż żyje.

Morgan dotarł do Tahoe zaledwie dwie godziny po tamtych. Kiedy wszedł do wynajętego domu, Sam wciąż był jeszcze w worku. Malcolm Stark po prostu wniósł go do przyległego pokoju i rzucił na łóżko.

— To niezbyt mądre — sarknął Peter. — Dzieciak, jak przypuszczam, ma usta zaklejone taśmą. A jeśli się udusi?

Stark spojrział na niego tępo i Peter stwierdził w duchu, że Addison miał rację: nie można im ufać. To potwory. Ale tylko potwory mogły wykonać to zadanie.

Carl zdziwił się na jego widok. Peter wyjaśnił mu, że w nowych okolicznościach szef sobie tego życzył.

— Wkurzył się?

Peter zawahał się, nim odpowiedział:

— Był raczej zaskoczony. Zabójstwo policjantów skomplikowało sprawę. Będą nas szukać o wiele usilniej, niż gdyby chodziło tylko o chłopca.

Carl się z nim zgodził. Cholerny pech.

— Nie wiem, jak mogłeś ich przeoczyć — mruknął z irytacją.

— Ja też nie mogę tego zrozumieć. — Peter wciąż się zastanawiał, czy to nie Addison przypadkiem naprowadził policję na ich trop. On sam śledząc Fernandę zachował najwyższą ostrożność. Waters, Stark i Frec też nie popełnili żadnych błędów—w każdym razie nie takich, o jakich by wiedział. Kiedy natknęli się na ochronę, nie mieli już wyboru. Musieli zabić. Nawet Peter przyznawał im tu rację. Co nie zmienia faktu, że mieli strasznego pecha.

— Co z tym małym? — zapytał ponownie. Nie chciał, by jego troska rzucała się w oczy. Stark jednak nadal nie zamierzał się ruszyć.

— Chyba ktoś powinien sprawdzić — bąknął obojętnie Carl. Jim Free wnosił właśnie jedzenie, a wszyscy byli głodni. Mieli za sobą ciężki dzień i długą podróż.

— No dobra, ja pójdę — zaoflarował się Peter.

Starając się zbyt nie spieszyć, poszedł do pokoju na tyłach

I zdjął sznurek, którym związany był worek. Rozchylił go niezgrabnie, przerażony, że znajdzie zwłoki, i nagle napotkał spojrzenie pary wielkich piwnych oczu. Przyłożył palec do ust.

Nie wiedział już, po czyjej jest stronie, porywaczy czy tej kobiety.

A może po prostu po stronie dziecka. Ściągnął z chłopca worek i delikatnie odkleił mu z twarzy taśmę.

— W porządku? Dobrze się czujesz?

Sam kiwnął głową. Buzię miał brudną, a w Jego źrenicach malował się potworny strach. Był struchlały z przerażenia. Ale na szczęście żywy.

— Kim pan jest? — spytał szeptem.

— To nieistotne — odszepnął Peter.

— Policjantem?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Ach... — Chłopczyk zamilkł, patrzył tylko na niego apatycznie.

Parę minut później Peter wrócił do kuchni, gdzie tamci podgrzewali wieprzowinę z fasolą. W drugim garnku bulgotało chili.

— Powinniśmy go nakarmić — powiedział do Watersa, który przytaknął mu obojętnie. Nie pomyśleli o tym, zezłościł się w duchu Peter. Nie dali mu nawet wody. Żywnienie zakładnika uznali za mało ważne.

— Co to psiakrew, żłobek? — sarknął Malcolm Stark, a Jim Frec zarechotał:

— Niech siedzi w worku.

— Jak umrze, nie zobaczymy ani grosza — wytknął praktycznie Peter.

Waters się zaśmiał.

— Co racja, to racja. Matka na pewno będzie chciała z nim gadać, kiedy się z nią skontaktujemy. Co z was za sknery, ostatecznie chłopak funduje nam sto milionów, za

tyle kasy możemy mu dać coś do żarcia. Weź go nakarm — rzucił zwracając się do Petera.

Ten wzruszył ramionami, włożył plaster szynki między dwie kromki chleba i wyszedł do pokoju. Tam usiadł na łóżku obok malca i podetknął mu kanapkę do ust. Ale Sam potrząsnął głową.

— Nie wygłupiaj się, Sam, musisz jeść — stwierdził rzeczowo Peter, jakby się dobrze znali. Istotnie, przez ten miesiąc zdążył go poznać. Mówił łagodnie, tonem, jakiego użyłby wobec własnych dzieci, gdyby chciał je do czegoś skłonić.

— Skąd pan wie, jak mam na imię? — zdumiał się chłopczyk.

Wiedział, bo wielokrotnie słyszał, jak nazywa go nim matka. Wyobrażał sobie, jak teraz rozpacza. Miał okazję się przekonać, że bardzo kocha swoje dzieci. Na szczęście chłopiec był w dość dobrym stanie zważywszy na szok, jaki przeżył, i czterogodzinną podróż w worku. Zaimponował mu ten mały, był naprawdę dzielny. Znów podsunął mu kanapkę i tym razem Sam ugryzł kęs. Zjadł w końcu pół, a kiedy Peter skierował się do drzwi, usłyszał ciche:

— Dzięki.

Peterowi przyszło na myśl jeszcze coś. Zawrócił, by spytać, czy Sam przypadkiem nie chce skorzystać z toalety. Chłopczyk zarumienił się aż po cebulki włosów i Peter łatwo się domyślił dlaczego. Już dawno się zmoczył. Trudno było mieć do niego oto pretensje. Zdając sobie sprawę, że Sam nie wie, co go czeka, i nie ma powodu ufać porywaczom, także jemu, delikatnie wziął go na ręce, zaniósł do łazienki i poczekał za drzwiami. Potem odniósł go z powrotem do łóżka i nakrył kocem. Nic więcej nie mógł dla niego zrobić. Chłopiec odprowadził go czujnym wzrokiem aż do drzwi.

Późnym wieczorem zbudził malca i powtórzyli całą operację. Potem przyniósł mu szklankę mleka i kilka ciastek. Sam łączywie pochłonął jedno i drugie, kiedy zaś rano Peter wszedł do pokoju, powitał go uśmiechem.

— Jak pan ma na imię? — spytał ostrożnie.

Peter zawahał się, po czym doszedł do wniosku, że itak nie ma nic do stracenia.

Chłopiec go widział i mógł rozpoznać.

— Peter — rzekł.

Sam skinął poważnie głową.

Chwilę później Peter przyniósł mu śniadanie, jajecznicę na bekonie. Ni stąd, ni zowąd awansował na stanowisko oficjalnej niańki, zdejmując pozostałym kamień z serca.

Żaden nie miał ochoty cackać się z sześciolatkiem. Peter zaś nie mógł się wyzbyć dziwnego uczucia, że robi to dla Fernandy. Być może rzeczywiście tak było.

Po południu znowu spędził z chłopcem chwilę, zajrzał do niego także wieczorem.

Usiadł obok na łóżku i pogłaskał go po głowie.

— Przyszedł mnie pan zabić — na poły spytał, na poły stwierdził Sam. Był osowiały i przestraszony, ale Peter jeszcze nie widział, żeby płakał. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakie to musi być dla dziecka przeżycie. Ten mały był doprawdy wyjątkowy.

— Nie — zaprzeczył. — Za parę dni odeślemy cię do mamy.

Mówił to z przekonaniem, jednakże Sam chyba mu nie uwierzył. Innym wierzył jeszcze mniej. Słyszał ich w sąsiednim pokoju, ale do niego nie zaglądali. Byli zadowoleni, że mogą się wyręczyć Peterem. Ten zaś stwierdził, że dba o ich wspólną inwestycję, czym wszystkich trzech rozśmieszył do rozpuku.

— Zadzwoń do mamy po pieniądze? — spytał Sam jeszcze ciszej.

Peter skinął głową. Polubił tego chłopca — o wiele bardziej niż swoich współników. O, znacznie bardziej. Tamci to kanalie. Bez końca chęłpili się wymordowaniem policjantów, upajali się tym wspomnieniem. Kiedy ich słuchał, zbierało mu się na wymioty. Bez porównania przyjemniejsze były rozmowy z Samem.

— Za jakiś czas — dodał. Nie powiedział kiedy, bo sam nie był pewien. Za dzień lub dwa, myślał, taki był plan.

— Ona ich nie ma — szepnął Sam obserwując Petera, jak gdyby chciał przeniknąć go na wylot, odgadnąć, z jakim człowiekiem ma do czynienia. W zasadzie mu ufał. Nie całkiem, ostatecznie Peter też był porywaczem. Ale on przynajmniej był dla niego dobry.

Czego nie ma? — spytał z roztargnieniem Peter. Z dnia na dzień częściej rozmyślał o ucieczce. Plan miał być pewny, ale już raz zawiódł. Tamci trzej udawali się z fałszywymi paszportami do Meksyku, a stamtąd do Ameryki Południowej. Peter chciał najpierw zajeżdżać do Nowego Jorku w nadziei, że uda mu się zobaczyć córki. Jego ostatecznym celem była Brazylia. Miał tam paru znajomych z czasów, kiedy handlował narkotykami.

— Mama nie ma pieniędzy — rzekł Sam cichutko, dając mu do zrozumienia, że to sekret.

— Na pewno ma — uśmiechnął się Peter.

— Właśnie że nie ma. Dlatego tata się zabił. Stracił wszystkie.

Peter wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy dzieciak wie, co mówi. W jego głosie pobrzmiwała ta nieomal bolesna naiwna szczerłość.

— Myślałem, że twój tata zginął w wypadku. Wypadł zładzi.

— Zostawił mamie list. Powiedziała panu Jackowi, że sam się zabił

— Skąd o tym wiesz?

Chłopczyk spuścił wzrok.

— Podśluchiwałem pod drzwiami — wyznał zmieszany.

— Rozmawiała z nim o pieniądzach? — upewnił się z niepokojem Peter.

— Mnóstwo razy. Mówiąo tym prawie codziennie, On jest a... awokatem. I zna się na długich. Powiedział, że nic nie ma, tylko długi.

Peter zrozumiał to o wiele lepiej niż Sam.

— Ma zamiar sprzedać dom. Jeszcze nam nie powiedziała

— ciągnął chłopczyk.

Peter kiwnął głową i popatrzył na niego surowo.

— Nie wolno ci nikomu o tym mówić. Przyrzekasz?

Sam potaknął. Oczy miał poważne i smutne.

— Zabiją mnie, jeśli nie zapłaci, prawda?

— Nie pozwolę im na to — szepnął Peter. — Przysięgam

— dodał i wyszedł z pokoju.

— Nie szkoda ci czasu na zabawę z tym smarkiem? Wysiadasz z nim tam godzinami

— rzekł zrzędlawie Stark.

Waters spojrział na niego z niesmakiem.

— Ciesz się, że ty nie musisz go niańczyć. Ja się cieszę.

— Ja lubię dzieci — wyrwał się Free. — Z majerankiem.

— Zaśmiał się hałaśliwie. — Kosztowałem! Nie wierzycie?

Był wstawiony, przez cały dzień tankował piwo. Peter wiedział, że w kartotece Jima nie ma przestępstw wobec dzieci i jest to najprawdopodobniej czcza gadanina, ale i tak poczuł do niego odrazę.

Nie odzywał się już tego dnia aż do wieczora. Nazajutrz rano zaś spojrzął na Carla ze zmarszczonym czołem, jakby coś go trapiło.

— A jeśli ona nie zapłaci? — spytał wprost.

— Zapłaci. Chce odzyskać dziecko. Da tyle, ile zażądamy.

— Właśnie ostatniej nocy zastanawiali się, czyby nie zażądać więcej.

— A jeśli nie da? — powtórzył pytanie Peter.

— A jak myślisz? — rzekł zimno Waters. — Jeśli nie zapłaci, pozbywamy się smarka, bo wtedy będzie już tylko balastem, i wiejemy gdzie pieprz rośnie.

Tego obawiał się zarówno Peter, jak Sam.

Wczorajsza nowina o stanie majątkowym Fernandy nadała sprawie w oczach Petera całkiem inną optykę. Co prawda parokrotnie sam poruszał tę kwestię podając w wątpliwość jej bogactwo, nie przypuszczał jednak, że może być aż tak źle. Słuchając relacji z podsłuchanej przez Sama rozmowy Peter czuł, że chłopiec mówi prawdę. To zresztą wiele tłumaczyło — dlaczego Fernanda nigdzie nie bywa, dlaczego w domu nie ma służby. Spodziewał się, że będzie żyć na znacznie wyższej stopie. Myślał, że siedzi w domu z dziećmi, bo to lubi, ale jak się okazało, sprawa miała jeszcze i ten aspekt. Rzecz jasna brak pieniędzy ma różną treść dla różnych ludzi. Na pewno coś jej zostało, choć zapewne nie tak wiele jak kiedyś. Niepokoiła go jednak sprawa domniemanego samobójstwa Allana Barnes'a. Jeśli to prawda, z legendarnej fortuny rzeczywiście mogło nie zostać nic. To zaś miałyby fatalne skutki. Dla nich wszystkich, ale w pierwszym rzędzie dla Sama.

Odczekali jeszcze dwa dni i w końcu postanowili zadzwonić z żądaniem okupu.

Wszyscy czterej zgodzili się, że już czas. Peter wybrał numer na swojej niewykrywalnej komórce. Fernanda odebrała po pierwszym sygnale, jej schrypnięty głos załamał się do reszty, kiedy usłyszała, kto mówi. Peter, współczując jej w głębi serca, oznajmił, że ma dla niej wiadomość o synku. Negocjator przysłuchiwał się z drugiego aparatu, a technicy już pracowali gorączkowo, usiłując wykryć, skąd dzwoni. — Jest tu ktoś, kto chce z panią porozmawiać. — Peter przeszedł z telefonem do drugiego pokoju.

Fernanda wstrzymała oddech, gestykułując gwałtownie w stronę Teda. Ten już wiedział. Rozmowa była zresztą nagrywana.

— Cześć, mamusiu — rozległo się w słuchawce.

Oczy Fernandy wypełniły się łzami.

— Syneczku, jak się czujesz? Nie jesteś ranny? — wykrztusiła z trudem, dygocząc jak liść.

— Nie, nic mi nie jest.

Zanim Sam zdążył powiedzieć coś więcej, Peter odebrał mu telefon. Bał się, że chłopczyk napomknie o łączącej ich sympatii, a do tego w żadnym razie nie mógł dopuścić, zwłaszcza że baczny okiem obserwował ich Waters.

Fernanda usłyszała opanowany cichy głos, którego elokwencja ją zdumiała. Po tym, co zobaczyła cztery dni wcześniej w swoim domu, spodziewała się obłąkanego psychopaty, którym rzecznik porywaczy najwyraźniej nie był. Był uprzejmy, z pewnością wykształcony, a w jego tonie pobrzmiwała dziwna łagodna nutka.

— Bilet powrotny dla pani synka będzie kosztował równo sto milionów dolarów — rzekł bez zmruczenia oka.

Przysłuchujący mu się współnicy pokiwali głowami z uznaniem. Podobał im się ten styl — rzeczowy, grzeczny i chłodny.

— Proszę zacząć liczyć pieniądze. Zadzwonimy do pani wkrótce z instrukcją³ gdzie je przekazać — zakończył i przerwał połączenie.

Obrócił się do tamtych, którzy zgotowali mu przyciszoną owację.

— Ile czasu jej damy?

Z Addisonem ustalili, że tydzień, najwyżej dwa. Zgodzili się wówczas, że więcej nie będzie potrzebne, ale po rewelacjach Sama Peter nie był pewien, czy czas robi tu jakąkolwiek różnicę. Jeśli Fernanda nie ma pieniędzy, i tak ich nie zdobędzie, nawet jeśli zostały jej jeszcze jakieś akcje. Przy dobrych układach wyskrobie milion lub dwa, i to wszystko. Wiedząc, co Sam mówił o długach i śmierci ojca, Peter uważał to za mocno wątpliwe. Zresztą nawet dwa miliony podzielone na pięciu dawały tak śmieszne kwoty, że o nowym życiu nie mieliby co marzyć. Chyba że za kratkami. Wieczorem tamci trzej się upili, a on znów siedział z Samem. Rozmowa z matką kompletnie przygnębiła chłopca. Gawędzili więc tak długo, aż w końcu zasnął.

W San Francisco Fernanda patrzyła wstrząśnięta na Teda.

— Co ja mam zrobić? — zapytała z rozpaczą. W najgorszych snach nie podejrzewała, że zażądają takiej sumy. Sto milionów! To absurd. Ci ludzie byli psychicznie chorzy!

— Znajdziemy go — rzeki cicho Ted.

Nie mieli innego wyboru. Niestety, nie udało im się zlokalizować połączenia. Morgan mówił bardzo krótko, dysponowali jednak aparaturą, która pozwoliłaby go namierzyć, gdyby dzwonił ze zwykłej komórki. Tymczasem jedyną informacją, jaką udało im się uzyskać, była ta, że Sam wciąż żyje.

Ted zadzwonił do kapitana, a Fernanda do Jacka Watermana. Powiedziała mu, ile wynosi okup. Jack zaniemówił i przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu. Byłby wstanie pożyczyć jej pół miliona do czasu, kiedy sprzeda dom. Poza tym miała w banku zaledwie około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Pozostawała nadzieja, że policja znajdzie Sama, zanim porywacze go zabiją. Jack modlił się o to w duchu. Wiedział od Fernandy, że policja i FBI robią co w ludzkiej mocy, lecz kidnaperzy ukryli się w nieznanym miejscu. Czterej podejrzani dosłownie rozplynęli się w powietrzu, a sygnały od informatorów dowodziły, że nawet świat przestępczy nie miał o nich żadnej wieści.

Dwa dni później Will zadzwonił z obozu i już w chwili gdy usłyszał głos matki, zorientował się, że coś się stało. Fernanda próbowała zaprzeczać, ale zbyt dobrze ją znał. W końcu z płaczem przyznała, że Sam został porwany. Błagała, by nie wracał do domu.

— Nie musisz przyjeżdżać, Will. Policja robi wszystko, co może. Lepiej będzie ci na obozie. — Bała się, że grobowa atmosfera w domu go załamie.

Will także się rozplakał. Oznajmił stanowczo, że chce być przy niej, zadzwoniła więc do Jacka, który obiecał go przywieźć. Nazajutrz po południu chłopiec wbiegł do domu i ze łzami rzucił się jej w ramiona. Długo nie chciała wypuścić go z objęć.

Jack pokręcił się trochę, zamienił parę słów z Tedem i jego ludźmi, od których dowiedział się, że nie ma żadnych nowych poszlak. Wywiadowcy przeszukiwali cały stan, rozprowadzano zdjęcia podejrzanych i Sama, ale jak dotąd bez efektu. Nikt ich

nie widział, znikli bez śladu i mogli teraz być wszędzie — za granicą stanu, może nawet w Meksyku. Ted zdawał sobie sprawę, że mogą pozostać w ukryciu jeszcze długo — zbyt długo dla Sama.

Fernanda i Will do późna w noc rozmawiali ze sobą w kuchni. Potem chłopiec poszedł spać do siebie, a ochrona, która dotąd korzystała z jego łóżka, zajęła pokój Ashley. Pokój Sama stał pusty, ale czuli się w nim jak hieny. O czwartej nad ranem Fernanda jeszcze nie zmrużyła oka. Zeszła do salonu zobaczyć, czy Ted śpi. Leżał na sofie z otwartymi oczyma i rozmyślał. Tego wieczoru był przez parę godzin w domu i zjadł kolację z żoną. Rozmawiali o porwaniu. Shirley serdecznie współczuła Fernandzie. Zapytała, czy ma nadzieję, że odnajdą chłopca na czas, a on szczerze odparł, że me wie.

Ochroniarze rozmawiali w kuchni, mając w pogotowiu odbezpieczoną broń. Wyglądało to trochę jak surrealistyczne pogotowie albo oddział intensywnej terapii, na którym czuwali nad Fernandą uzbrojeni sanitariusze. Dzień splótł się zresztą z nocą, granice się zatarły. Nikt nie mógł zmrużyć oka.

Fernanda usiadła na krześle obok Teda i spojrzała na niego z rozpaczą. Zaczynała tracić nadzieję. Nie stać jej było na okup, a policji nie udało się wpaść na ślad Sama. Powtarzali tylko, że sprawa nie może znaleźć się w prasie, bo to ją zaciemni i zwiększy ryzyko. Rozwścieczeni porywacze mogą zabić dziecko. Nikt nie chciał ponosić takiego ryzyka, a już najmniej ona.

— Jak pan sądzi, kiedy znów zadzwonią? — spytała. W salonie było ciemno, światło padało tylko z holu.

— Wkrótce. Poinstruują panią, jak przekazać pieniądze.

Kiwnęła głową. Co za różnica jak, skoro i tak ich nie ma. Ustalili, że będzie grać na czas. Ale prędzej czy później zorientują się, że okupu na pewno nie zobaczą.

Ted wiedział, że ma mało czasu. Tego dnia sam dzwonił do Dicka Wallisa. Prosił go o modlitwę. Nie pozostawało im nic innego. Policja i FBI naciskały swych informatorów — bezskutecznie. Potrzebny im był cud.

Porywacze zadzwonili już nazajutrz rano. Znów pozwolili jej zamienić parę słów z Samem, który wydawał się przestraszony (Waters stał nad nim w czasie, gdy Peter trzymał mu słuchawkę przy uchu), i Fernanda nie usłyszała wiele ponad słabe „cześć, mamó”. Męski głos w telefonie poinformował ją, że za następną rozmowę z synem będzie musiała zapłacić. Dali jej pięć dni na zebranie pieniędzy. Instrukcję przelewu otrzyma niebawem. Fernanda wpadła w rozpacz. Znów nie udało się namierzyć rozmowy. Wiedzieli, kto to zrobił, ale „kto” to za mało, musieli wiedzieć, gdzie ukryto Sama. Phillip Addison tymczasem wypoczywał na południu Francji, ciesząc się niepodważalnym alibi. FBI sprawdziło rejestr jego rozmów. Nie dzwonił pod żaden numer komórkowy na obszarze USA, rozmów przychodzących zaś nie rejestrowano. Założyli stały podsłuch monitorując wszystkie rozmowy Addisona, ale nikt już nie dzwonił do niego z Ameryki. Porywacze otrzymali polecenia i mieli wykonywać je na własną rękę.

Peter coraz czujniej pilnował Sama. Waters i jego kompani niecierpliwie czekali na pieniądze. Policja, FBI i sieć informatorów poruszały niebo i ziemię — na próżno. A Fernanda z niepokoju odchodziła od zmysłów.

Rozdział XVII

W kolejnej, już ostatniej rozmowie Morgan podał Fernandzie numer konta, na które miała przekazać okup, przypominając, że zostały jej jeszcze tylko dwa dni. Kajmański Bank otrzymał już zlecenie podzielenia całej sumy, a następnie przepuszczenia jej przez szereg kont fikcyjnych spółek. Ostatecznie udziały Petera i Phillipa miały trafić do Genewy, pozostałe trzy zaś — do Kostaryki, skąd kidnaperzy mogli nimi swobodnie dysponować.

Fernanda nie знаła tych skomplikowanych ustaleń. Wiedziała tylko, że w ciągu dwóch dni musi wpłacić sto milionów, gdy tymczasem ma zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Nie pozwolili jej rozmawiać z Samem, a w głosie porywacza wyczuwała niecierpliwość. W San Francisco wszyscy zdawali sobie sprawę, że czas dobiega końca. Pora była zrobić jakiś ruch, mieli jednak związane ręce. Policja rozpracowywała każdy możliwy wariant, ale bez konkretnego tropu, przecieku, meldunku — jakiegokolwiek informacji o miejscu przetrzymywania chłopca — była bezsilna.

— Muszę mieć więcej czasu. Nie zdążę zebrać pieniędzy

— powiedziała Fernanda, starając się nie okazać ogarniającej ją paniki. Walczyła o życie Sama. Jack Waterman poinformował ją, że największy kredyt, jaki zdoła dla niej uzyskać pod zastaw już obciążonej hipoteki domu, wynosi siedemset tysięcy dolarów, a i tę o wiele za małą kwotę mogła otrzymać dopiero po upływie trzydziestu dni.

Porywacze chcieli sto razy więcej — po jutrze. Fernanda nie miała w ręku żadnych kart. Pozostawała jej tylko nadzieja, że policja znajdzie Sama przed upływem terminu. Armia wywiadowców zaglądała pod każdy kamień, ale mimo połączonych wysiłków policji i FBI, imponującej technologii i wiedzy, jaką dysponowali, nie byli bliżej odnalezienia Sama niż w dniu, w którym został porwany. Nadzieja bladła z każdą upływającą godziną.

— Czas ucieka — odparł stanowczo Peter. — Moi wspólnicy nie będą skłonni czekać.

— Starał się jej przekazać własną desperację. Musiała coś zrobić. Waters i pozostali zaczęli napomykać o zabiciu Sama. Życie ludzkie niewiele dla nich znaczyło.

Planowali zaszyć się na zawsze w dziczy Ameryki Południowej. Fałszywe paszporty czekały na nich tuż pod meksykańską granicą. Wystarczy, że dotrą tam, wezmą papiery, znikną i będą żyć jak królowie przez resztę swoich dni. Ale najpierw musieli dostać okup. Z upływem godzin, a później dni, ta piękna wizja zaczęła się oddalać. Gdyby miała rozwiać się całkowicie, śmierć chłopca byłaby w ich pojęciu stosownym odwetem.

— Ta baba z nami pogrywa. Ma nas chyba za idiotów!

— wściekł się Waters po zakończonej rozmowie. Na drugim końcu linii Fernanda rozpaczliwie szlochała.

— Nie jest łatwo wytrzasnąć sto milionów dolców — rzekł Peter współczując jej z całego serca. Wyobrażał sobie, pod jaką presją znajduje się Fernanda. — Postępowanie spadkowe po jej mężu jest w toku, musi najpierw uregulować podatki, a wykonawcy testamentu mogą robić problemy z wypłatą gotówki.

Usiłował zyskać jej trochę czasu. Nie odważyłby się wyjawiać, że jego zdaniem Fernanda Barnes nie ma pieniędzy, bo zabiliby Sama na miejscu. Gra na zwłokę była bezpieczniejsza. Dla Fernandy także.

— Nie będziemy czekać — oświadczył ponuro Waters.

— Jeśli nie przeleje pieniędzy za dwa dni, dzieciak pod nóż, a my chodu. Nie mam zamiaru siedzieć tu w nieskończoność, czekając, aż w końcu namierzą nas gliny. — Wyszedł do kuchni, skąd po chwili dobiegł brzęk ciśniętego o podłogę garnka.

Wszyscy mieli już dość *ytworów własnej kuchni. Na dodatek skończyła się i tequila, i piwo.

Peter wzruszył ramionami, obrócił się na pięcie i opanowując nerwy poszedł zajrzeć do Sama.

— Zabiją mnie, prawda? — Chłopiec podniósł na niego smutne oczy. Wysłuchał ich rozmowy przez ścianę.

— Obiecałem ci, że do tego nie dopuszczę — mruknął Peter zdając sobie sprawę, że nie będzie w stanie dotrzymać tej obietnicy. Co najwyżej sam straci życie.

Kiedy wrócił do salonu, zastał tamtych w fatalnym nastroju będącym wypadkową braku okupu i braku piwa. Po namyśle zaproponował, że pojedzie na zakupy. Miał nie rzucającą się w oczy powierzchowność, można go było wziąć za miłego mieszcza, który spędza tu wakacje z dziećmi. Propozycja została jednogłośnie przyjęta, a zamówienie uzupełnione o dania z chińskiej knajpy. Ostatecznie ileż można jeść to gównu, jak stwierdził dosadnie Stark.

Peter minął miasteczko i pojechał dalej, rozmyślając o tym, co zamierzał zrobić. Nie było wyjścia. Chłopczyk mówił prawdę. Czas się kończył, a wraz z nim malała szansa na okup. Peter miał tylko dwie możliwości: pozwolić im zabić Sama albo nie. I tak jak zaryzykował życie, żeby ocalić własne dzieci, wiedział, że zrobi to dla tego malca. Zatrzymał się na poboczu nieopodal kempingu i wyjął telefon komórkowy. Jednego był pewien: nie wróci już za kraty. Przez chwilę kusiło go, by jechać dalej, ale gdyby się nie pojawił w Tahoe, Sam zginąłby od razu.

Wybrał numer i czekał.

W San Francisco Fernanda zalewała się łzami, a Will krążył po domu jak upiór. W każdym pomieszczeniu, w każdej rozmowie czuło się nieznośne napięcie. Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, Fernanda skoczyła na równe nogi i podnosząc słuchawkę odetchnęła głęboko, pewna, że tym razem to Ashley. Dziewczynka nie wiedziała o porwaniu brata; Fernanda utrzymywała ją w nieświadomości. Kolejna zrozpaczona i bezsilna osoba nic by tu nie pomogła.

Uprzejmy głos poinformował ją, że Sam miewa się dobrze, po czym poprosił, żeby oddała słuchawkę jednemu z towarzyszących jej policjantów.

Fernanda zawahała się, zerknęła na Teda i odparła, że nie ma przy niej żadnych policjantów.

— W porządku — rzekł ze znużeniem Peter. Dla niego ta sprawa dobiegła już końca, zależało mu tylko na życiu Sama. Rozmawiając z tą kobietą nagle zdał sobie sprawę,

że robi to dla niej. — Zakładam, że ktoś słucha naszej rozmowy — powiedział spokojnie. — Pani Barnes, proszę pozwolić mi z nimi pomówić. Fernanda spojrzała na Teda udręczonym wzrokiem i oddała mu słuchawkę. Nie miała pojęcia, co to może znaczyć.

— Detektyw Lee — odezwał się sucho Ted.

— Macie niespełna czterdzieści osiem godzin, żeby go stąd wydostać. Jest z nim czterech mężczyzn, wliczając w to mnie

— rzekł Peter, oferując im nie tylko informację, lecz i sojusz. Czuł, że musi, także przez wzgląd na siebie. Zyskiwał w ten sposób cień szansy... i odrobinę szacunku dla samego siebie.

— Morgan, to pan? — Ted domyślił się, z kim rozmawia. To nie mógł być nikt inny. Peter nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Były ważniejsze sprawy. Podał mu adres domu w Tahoe i opisał rozkład pomieszczeń.

— W tej chwili chłopiec jest przetrzymywany w pokoju na tyłach. Zrobię co w mojej mocy, żeby wam pomóc, ale mnie też mogą zabić.

Ted zadał mu pytanie, na które desperacko pragnął znać odpowiedź. Rozmowa, tak jak inne dotyczące okupu, była nagrywana.

— Czy stoi za tym Phillip Addison?

Peter zawahał się, lecz odpowiedział:

— Tak.

Dla niego to był koniec. Wiedział, że choćby skrył się w mysiej dziurze, Addison go znajdzie i wykończy. Tyle że Waters i tamci zrobią to prawdopodobnie o wiele wcześniej.

— Nie zapomnę o tym — rzekł poważnie Ted.

Wpatrzona w niego Fernanda nie śmiała oddychać; wiedziała, że coś się dzieje, i me była pewna, źle czy dobrze.

— Nie dlatego to robię — oznajmił Peter ze smutkiem.

— Robię to dla Sama... i dla niej. Powiedz jej, że przepraszam.

— Przerwał połączenie, rzucił telefon na fotel obok siebie i ruszył do sklepu, gdzie kupił dość piwa i tequili, żeby nie wytrzeźwieli przez miesiąc. Wchodząc do domu objuczony flaszkami i torebkami z chińskim żarciem, nagle uśmiechnął się do siebie. Nareszcie czuł się wolny. Po raz pierwszy w życiu postąpił właściwie.

— Gdzieś się do cholery tak długo podziewał? — burknął Stark, ale zmiękł na widok jedzenia, piwa i trzech butelek dobrej tequili.

— Czekałem, aż żółtki zamordują to mięso — odburknął Peter i poszedł zajrzeć do Sama.

Chłopiec spał. Peter patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju. Nie wiedział, kiedy nastąpi atak. Miał tylko nadzieję, że nie będą długo czekać.

— Co się dzieje? —

spytała z przerażeniem Fernanda, gdy tylko Ted zakończył rozmowę.

Policjant spojrział na nią powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

— Są w Tahoe. Jeden z porywaczy podał nam adres. — To był cud, o który się modlili. Ich jedyna nadzieja.

— O mój Boże — szepnęła. — Dlaczego to zrobił?

Powiedział, że robi to dla Sama i dla pani. I że przeprasza.

Fernanda skinęła głową zastanawiając się, co skłoniło kidnapera do zmiany decyzji.

Cokolwiek nim powodowało, była mu wdzięczna. Ocalił życie jej syna. A przynajmniej próbował je ocalić.

Odtąd wszystko nabrało wariackiego tempa. Ted nie odrywał od ucha słuchawki; rozmawiał z kapitanem, z Rickiem Holmquistem i dowódcami trzech oddziałów specjalnych. Następnie zadzwonił do komendanta policji i szeryfa w Tahoe, ostrzegając ich, by nie wkraczali do akcji. Zgodzili się podporządkować tym bardziej że operacji miało patronować FBI. Atak trzeba było przeprowadzić z precyzją zabiegu na otwartym sercu. Nazajutrz w południe mieli ruszyć do Tahoe. Fernanda pobiegła przekazać nowiny Willowi, który rozplakał się z ulgi.

Kiedy rano wstała, Ted wciąż wisiał na telefonie, konferując z tuzinem różnych osób. Dwudziestu pięciu ludzi było już w drodze do Tahoe. Rick wziął z miasta najlepszy oddział komandosów będących zarazem strzelcami wyborowymi i ośmiu speców na stanowisko dowodzenia; Ted zabrał oddział specjalny policji stanowej, również w sile ośmiu mężczyzn. Towarzyszył im policyjny negocjator. Na miejscu mieli otrzymać wsparcie około dwudziestu funkcjonariuszy miejscowej policji. Ponadto FBI oddało do ich dyspozycji śmigłowiec i dwóch pilotów. Czterech ludzi zostawało na miejscu z Fernandą i Willem.

— Weźcie mnie ze sobą — poprosiła go z rozpaczą. — Chcę tam być.

Zawahał się, niezbyt pewny, czy powinien się zgodzić. Wiele mogło się zdarzyć, i to wiele złego, w czasie tak skomplikowanej i ryzykownej operacji. Nawet z pomocą Morgana wyciągnięcie chłopca z domu graniczyło z cudem. Jeśli zaś zdecydują się na frontalny atak, Sam może zginąć, nawet z rąk policji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie uda im się odzić go żywego. A gdyby miało się stać najgorsze, nie chciał, żeby była przy tym matka chłopca.

— Błagam — prosiła. Lzy płynęły jej po policzkach. I rad nierad Ted się zgodził.

Fernanda pobiegła na górę po sweter i sportowe buty.

Willowi powiedziała, że wychodzi z Tedem, nie uściślając dokąd,

i kazała mu zostać w domu z ochroną. Zanim zdążył zaprotestować, była już za drzwiami i chwilę później siedziała obok Teda

w samochodzie, który nabierając szybkości pruł w stronę wylotu

z miasta. Rick jechał osobno z czterema agentami i grupą

komandosów. Wyglądało na to, że w Tahoe będą mieli własną

małą armię.

W milczeniu przejechali most nad zatoką. Minęło jeszcze pół godziny, nim Ted wreszcie się odezwał. Nękały go wyrzuty sumienia, że pozwolił jej jechać) ale było

już za późno na zmianę decyzji. W drodze na północ zaczął się stopniowo odprężyć, podobnie Fernanda. Zaczęli rozmowę od słów księdza Wallisa, by zawierzyć Sama boskiej opiece. Ted streścił Fernandezie telefoniczną wymianę zdań z Morganem.

— Jak pan myśli, dlaczego on to zrobił? — spytała oszołomiona. Wyjaśnienie, że robi to dla niej, nie tłumaczyło niczego.

— Ludzie robią czasem zaskakujące rzeczy — odparł cicho Ted. Bywał już świadkiem jeszcze mnie) wytłumaczalnych zachowań. — Może doszedł do wniosku, że pieniądze nie są najważniejsze. Jeśli pozostali się zorientują, co zrobił, zabiją go, to pewne.

Gdyby Morganowi udało się ująć z życiem, włączą go do programu ochrony świadków, zmienią jego tożsamość miejsce pobytu, wszystko. W więzieniu nie przeżyłby nawet jednego dnia. Ale jego szanse były nikłe.

— Od tygodnia nie był pan w domu — odezwała się Fernanda, kiedy mijali Sacramento.

Ted zerknął na nią i uśmiechnął się.

— Jakbym słyszał swoją żonę.

— Na pewno nie jest jej łatwo — powiedziała ze współczuciem Fernanda.

Kiedy Ted nie odzywał się przez dłuższą chwilę, dodała:

— Przepraszam, nie chciałam być obcesowa. Myślałam sobie tylko, że to musi być trudne dla każdego małżeństwa.

— Jest — przytaknął. — A w każdym razie dawniej było. Teraz już przywykliśmy.

Pobraliśmy się dość młodo, jesteśmy małżeństwem od dwudziestu ośmiu lat.

To długo — stwierdziła z uśmiechem Fernanda. — Ja przeżyłam z Allanem siedemnaście. Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy za niego wyszłam.

Ted kiwnął głową. Takie niezobowiązujące zwierzenia w trakcie jazdy pomagały zabić czas. Czuli się trochę jak starzy przyjaciele. W minionym tygodniu spędzili razem wiele czasu w okolicznościach, które dla Fernandy były szczególnie trudne.

— Musiało być pani ciężko po śmierci męża — rzekł ze współczuciem.

— O, tak. Dzieci też mocno to przeżyły, zwłaszcza Wifl. Chyba ciągle ma żal do ojca. Czuje się bardziej porzucony niż osierocony.

Cały czas się martwiła, że dzieci czeka kolejny cios, kiedy sprzeda dom. Teraz w obliczu grożącej nowej tragedii tamte troski zbladły.

— Chłopiec w tym wieku potrzebuje ojca. — Mówiąc to,

Ted pomyślał o własnych synach. Nie poświęcał im dostatecznie wiele czasu, kiedy byli w wieku Willa. Była to jedna z rzeczy, o które miał do siebie największy żal. — Mnie nigdy nie było w domu, kiedy chłopcy byli mali. To cena, jaką płaci się za tę pracę. Jedna z wielu.

— Była przy nich matka. — Widząc, jak bardzo mu to ciąży na sercu, Fernanda starała się go pocieszyć.

— To nie wystarczy — rzekł ostro, a potem spojrzął na nią przepraszająco. — Proszę mi wybaczyć. To nie miało tak zabrzmieć. Nie o to mi chodziło.

— Ależ oczywiście, że o to. I zapewne ma pan rację. Robię, co mogę, ale przeważnie też czuję, że to za mało. Niestety, Allan nie dał mi swobody wyboru w tej kwestii.

Sam podjął decyzję.

Ted zapatrzył się na szosę i zwiększył prędkość. Łatwo znajdował z tą kobietą wspólny język. Łatwiej, niżby chciał.

— Kiedy dzieci były jeszcze małe — zaczął po chwili

— Shirley i ja omal się nie rozwiedliśmy. Ale po długiej i poważnej dyskusji doszliśmy do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł.

Zwierzenia też przychodziły mu zbyt łatwo.

— Słusznie — przyznała Fernanda żarliwie. — To dobrze, że zdecydowaliście się pozostać razem.

— Zapewne tak. Łączy nas prawdziwa przyjaźń.

— No, myślę! Po dwudziestu ośmiu latach! — Fernanda była pod wrażeniem.

Imponowała jej tak silna, długotrwała więź. Nagle jednak Ted powiedział coś, czego się nie spodziewała usłyszeć z jego ust.

— Chyba już dawno wyrosliśmy z siebie nawzajem. Dopiero parę lat temu zdałem sobie z tego sprawę. Po prostu któregoś dnia uświadomiłem sobie, że to, co nas łączyło, już nie istnieje. Pozostała przyjaźń. Dobre i to.

— Czy to wystarcza? — zapytała z dziwnym wyrazem twarzy. Te zwierzenia miały posmak wyznań na łożu śmierci, spotęgowany przez upiorną atmosferę, jaka od paru dni ją otaczała. Teraz, gdy w mrok koszmaru wdarła się nadzieja,

Fernanda nie mogła znieść myśli o tym, że już wkrótce los Sama się rozstrzygnie.

Wolała mówić o czym innym. O Tedzie.

— Czasami — rzekł szczerze, myśląc, co ich z Shirley łączyło, a co dzieliło, a czego nigdy nie dane im było zaznać.

— Miło wrócić do domu, w którym czeka przyjaciel. Ale czasem to nie wystarcza.

Rzadko już ze sobą rozmawiamy. Ona ma własne życie. Ja też.

— To dlaczego wciąż jesteście razem?

Rick Holmquist od lat zadawał mu to samo pytanie.

— Z lenistwa, ze zmęczenia, ze strachu przed zmianą, przed samotnością. A może po prostu jesteśmy już za starzy...

— O, to z pewnością nie! Ale dlaczego nie mówi pan o lojalności? O przyzwoitości? Może kocha ją pan bardziej, niż się panu wydaje? Za nisko pan ocenia własne motywy a także motywy pańskiej żony. Ona przypuszczalnie też kocha pana bardziej, niż pan myśli.

— Wątpię. — Ted w zadumie potrząsnął głową. — Myślę, że wytrwaliśmy ze sobą, bo wszyscy tego od nas oczekiwali. Rodzice, teściowie... Dzieci. Teraz dzieci są dorosłe, mają własne życie. Zabawne; czasem mam wrażenie, jakbym mieszkał z siostrą. Tym stała się dla mnie Shirley. To dość wygodne... w pewnym sensie.

Fernanda pokiwała głową. Jak dla niej też nie brzmiało to źle. Sama nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby się związać z kimś innym niż Allan. Po siedemnastu latach myśl o pójściu do łóżka z innym mężczyzną przeniosła się w sferę abstrakcji, wręcz absurdu. Być może kiedyś. Kiedyś... ale z pewnością nieprędko.

— A pani? Jak pani zamierza ułożyć sobie życie?

Stąpali po śliskim gruncie, lecz Fernanda miała dziwną pewność, że rozmowa nie zbcoczy na niepożądane tory. Ted nie był tego rodzaju człowiekiem. Przez kilka dni praktycznie u niej mieszkał, okazując jej wszak wyłącznie dobroć i szacunek.

— Nie wiem. Myślę, że już do końca życia pozostanę żoną Allana, obojętne, czy jest ze mną czy nie.

— Nie ma go — rzekł łagodnie Ted — i już nie będzie.

— Tak, wiem. To samo powtarza mi córka. Wciąż mnie namawia, żebym więcej wychodziła z domu. To akurat ostatnia rzecz, jaka mnie zaprzęta. Mam na głowie mnóstwo spraw i zmartwień w związku z długami, jakie zostawił Allan. Długo jeszcze potrwa, zanim się z nich wygrzebię. No chyba że dostanę rekordową cenę za dom. Co się tyczy zadłużenia firmy, ogłosimy po prostu bankructwo. Kiedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, co narobił, też miałam ochotę umrzeć.

— Szkoda, że choć części nie zdołał zachować — wtrącił Ted.

Fernanda obojętnie kiwnęła głową.

— I tak kiepsko się czułam w roli milionerki. — Uśmiechnęła się smutno. — Wiem, to brzmi idiotycznie, ale zawsze miałam wrażenie, że posiadamy za dużo. Wydawało się to... niesprawiedliwe. — Wzruszyła ramionami. — Choć niekiedy człowiek miał z tego trochę frajdy.

Opowiedziała mu o swoich dwóch obrazach. Był pod wrażeniem.

— To musi być niesamowite uczucie, mieć w domu coś takiego.

— Było niesamowite. Miałam je przez dwa lata. Kupiło je pewne belgijskie muzeum. Może któregoś dnia pojedę je odwiedzić.

Powiedziała to bez żalu, dając Tedowi dowód szlachetności duszy. Naprawdę zależało jej tylko na dzieciach. Była dobrą matką, dla Allana zaś pewnie równie dobrą żoną — zdaniem Teda o niebo lepszą, niż zasługiwał. Ale nie powiedział tego na głos. To byłoby niestosowne.

Zwalniając koło restauracji Ikeda spytał, czy chce się zatrzymać na lunch. Od tygodnia prawie nic nie jadła. Pomimo to odmówiła.

— Gdzie zamieszkacie po sprzedaży domu? — zagadnął nieco później. Nie zdziwiłby się, gdyby po tych przejściach chciała opuścić San Francisco. Nie mógłby jej za to winić.

— Gdzieś niedaleko. Może w Marinie, zobaczmy. Dzieci nie chcą się przeprowadzać, mają tu przyjaciół.

Poczuł się głupio, że tak wielką ulgę sprawiły mu jej słowa.

— Cieszę się. — Zerknął na nią i zaśmiał się widząc jej zaskoczoną minę.

— Będzie pan koniecznie musiał nas odwiedzić. — Była mu wdzięczna za wszystko, co dla nich zrobił.

Ted był nieco innego zdania. W gruncie rzeczy nie zrobił jeszcze nic. Wiedział, że jeśli w Tahoe powinie im się noga, stanie się dla Fernandy postacią z najstraszliwszego koszmaru jej życia. Być może już nią był. Ale myśl, że miałby jej nigdy więcej nie zobaczyć, sprawiała mu ból. Lubił z nią rozmawiać, lubił jej bezpretensjonalność i serdeczną życzliwość, jaką okazywała jego ludziom, choć mogła przecież zasklepić się w swej rozpacz. Pieniądze też nie uderzyły jej do głowy. Może Allanowi, ale jej nie. Ted miał wrażenie, że Fernanda bez żalu opuści swój pałac. Już był na to czas.

Po chwili minęli Auburn i znów zamilkła, pogrążona w myślach o Samie.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział miękko.

Popatrzyła na niego z troską.

— Jak może pan być tego pewien?

— Nie jestem. Ale przysięgam, zrobię wszystko, żeby się udało.

Nie musiał przyrzekać. Widziała jego poświęcenie i czuła, że zrobi wszystko co w ludzkiej mocy.

W Tahoe atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa. Kłócili się przez cały dzień. Stark chciał od razu dzwonić do Fernandy z pogroźkami. Waters wolał poczekać do wieczora. A Peter ostrożnie zasugerował, aby dać jej jeszcze jeden dzień na zebranie pieniędzy i zadzwonić jutro. Tylko Jim Free nie brał udziału w dyskusji, choć tak jak pozostali chciał już zgarnąć pieniądze i wreszcie dać nogę. Dzień był gorący i poszło mnóstwo piwa. Peter nie pił, wolał mieć trzeźwą głowę. Co jakiś czas wymykał się, żeby zajrzeć do Sama. Zastanawiał się, kiedy policja wykona jakiś ruch. Nie miał możliwości się tego dowiedzieć, skazany był na bierne oczekiwanie. Wiedział jednak, że kiedy już zaatakują, wszystko rozegra się błyskawicznie i bez pardonu. Gotów był osłaniać Sama własną pierś — miał tylko nadzieję, że to wystarczy.

Po południu tamci wszyscy byli już pijani, nawet Waters. Około szóstej usnęli pokotem w salonie. Peter przez jakiś czas siedział przy nich, a potem wrócił do pokoju na tyłach, gdzie trzymali Sama. Nie mówiąc nic chłopcu, położył się obok niego; objąwszy go ramieniem zasnął i śnił o swoich córkach.

Rozdział XIX

Policja w Tahoe

zajęła na potrzeby akcji niewielki podupadły motel, który nawet w sezonie zwykle świecił pustkami. Nieliczni goście nie robili przeszkód, kiedy zaproponowano im przeniesienie się do innego hotelu za odszkodowaniem. Dwóch policjantów zajęło się dostarczaniem posiłków z pobliskiego baru. Wszystko było przygotowane. Spośród przyjezdnych większość stanowili komandosi wyszkoleni w uwalnianiu zakładników. Miejscowa policja oddała pod ich komendę prawie wszystkie swoje siły. Kiedy Ted wysiadł z samochodu, zobaczył ponad pięćdziesięciu oczekujących mężczyzn. Trzeba ich było tylko wprowadzić w plan akcji, rozdzielić zadania i wydać rozkazy.

Naczelnik z Tahoe zajął się logistyką i blokadą dróg, ponadto sprawował bezpośrednią komendę nad swoimi ludźmi. Szefem całej operacji był Rick, który właśnie wysiadł z samochodu. Za nim przed motel zajechała flotyła wozów łączności i ciężarówek ze sprzętem. Pozorny chaos był wszakże ujęty w ścisłe ramy wynikające z doświadczenia i rutyny.

— Jak leci? — zagadnął Ted.

Rick wyglądał na równie zmęczonego jak on. W ciągu ostatnich kilku dni Ted przespał w sumie ledwie parę godzin; Rick poprzedniej nocy w ogóle nie zmrużył oka. Sprawa Sama Barnes'a stała się czymś na kształt krucjaty dla wszystkich, którzy o niej wiedzieli.

— Jesteśmy już prawie gotowi. — Rick zerknął na Fernandę i poprosił przechodzącego policjanta) żeby znalazł jej jakiś pokój. Podziękowała mu bledziutkim uśmiechem. Ledwie trzymała się na nogach. Stres wyczerpał jej wszystkie siły, choć niezobowiązująca pogawędka z Tedem w czasie jazdy pozwoliła jej się nieco odprężyć.

W pokoju czekali na Fernandę policjantka i psycholog sił specjalnych. Pozostawiwszy ją pod ich opieką, Ted udał się do centrum dowodzenia, gdzie zastał już Ricka. Wybrano do tej roli duży pokój przyległy do kantorka, który pozostawiono do dyspozycji naczelnika miejscowej policji. Na stole pod przypiętą do ściany mapą okolicy piętrzyła się góra kanapek na pełnoziarnistym chlebie i pudełek z sałatkami. Członkowie policyjnych oddziałów specjalnych zwracali baczną uwagę na swoją dietę. Wystrzegali się kofeiny, a także cukru i tłuszczów, które mogły spowolnić szybkość reakcji. Szef lokalnej policji był na miejscu, a dowódca komandosów właśnie wyszedł z pokoju, by zajrzeć do swoich ludzi. Ted wziął kanapkę i opadł na krzesło. Wyglądało to niczym sztab inwazji na Normandię. Operacja istotnie zakrojona była na potężną skalę, a zgromadzone siły i środki robiły wrażenie. Dom, który mieli zaatakować, oddalony był o niecałe dwie mile. Przestrzegano ciszy radiowej, by nie podsłuchali ich porywacze lub — co było równie niebezpieczne — dziennikarze. Ujawnienie przygotowań równałoby się fiasku całej operacji, dokładali więc nadludzkich starań, aby ustrzec się przecieku. Pomimo to Rick był coraz bardziej nerwowy. Oglądał właśnie plan domu, otrzymany z miejscowego biura geodezyjnego i powiększony do monstrualnych rozmiarów.

— Twój informator twierdzi, że chłopiec jest w pokoju na tyłach. — Wskazał na planie pomieszczenie przylegające niemal do granicy posesji. — Można go stamtąd wydostać, ale tuż za domem wznosi się urwisko. Moi ludzie zejdą stamtąd niepostrzeżenie, ale nie uda im się wspiąć dostatecznie szybko i wraz z dzieckiem będą wystawieni na cel jak kaczki. — Wskazał frontową ścianę. — Przed domem z kolei jest podjazd długości boiska do futbolu. Nie poślę tam śmigłowca, bo narobi hałasu.

A jeśli potraktujemy chałupę rakieta, chłopiec prawie na pewno zginie.

Dowódcy oddziałów specjalnych konferowali na ten temat od dwóch godzin i jak dotąd nie udało im się znaleźć bezpiecznego rozwiązania. Nie mogli skontaktować się z Morganem, żeby ustalić z nim plan. Musieli sami podjąć wszystkie decyzje i modlić się, aby okazały się trafne. Ted był szczęśliwy, że Fernanda nie słyszy, na jakie niebezpieczeństwo wciąż narażony jest jej syn. Wątpliwe, by to zniosła. Wymiana zdań przerodziła się w głośną burzę mózgów, lecz jak dotąd każdy projekt niósł ze sobą ogromne ryzyko śmierci zakładnika.

Wiadomo było, że atak to jedyna szansa ocalenia Sama. Z punktu widzenia porywaczy łatwiej było go zabić, niż wypuścić żywego — zwłaszcza gdyby musieli ratować się ucieczką. A bez okupu dochodził jeszcze motyw zemsty. Zebrani w pokoju głośno dawali wyraz tym obawom. Po kolejnej godzinie bezpłodnych rozważań Rick zwrócił się do Teda.

— Zdajesz sobie sprawę, jakie jest prawdopodobieństwo, że wyciągniemy go stamtąd żywego? Bliskie zeru. B a r d z o bliskie zeru. — Rick był szczery wobec przyjaciela. Istniało duże ryzyko, że Sam — nawet jeśli jeszcze żył — zginie w trakcie tej akcji.

— To ściągnij więcej ludzi — odparował Ted cierpko. — Nie dotarliśmy aż tutaj po to, by w końcu stracić dzieciaka! — Obaj wiedzieli, że tak się może stać, mimo iż wszyscy zgromadzeni tu mężczyźni gotowi byli oddać za Sama życie.

— Mamy całą armię! — wrzasnął na niego Rick. — Na litość boską, widziałeś ten tłum? Nie potrzeba nam więcej ludzi, potrzeba nam, cholera, cudu! — zgrzytnął zębami.

— To wymień ich na lepszych. Spraw ten cud. Nie możesz po prostu załamać rąk i pozwolić im wykończyć tego malca

— warknął Ted z rozpaczą.

— Zdaje ci się, że my tu nic nie robimy, idioto! — ryknął zdesperowany Rick.

W pokoju tyłu ludzi mówiło równocześnie, że nikt nie zwrócił uwagi na ich głośną wymianę zdań. Po chwili dowódca komandosów przedstawił kolejny plan i wszyscy zgodzili się, że jest diabła wart. Ratownicy będą wystawieni na strzały z okien.

Morgan wybrał idealne miejsce. Wydostanie chłopca z domu i z terenu posesji bez zwrócenia uwagi porywaczy rzeczywiście graniczyło z cudem. Ted zaczynał rozumieć, że ta akcja nie obędzie się bez ciężkich ofiar. Rick od dawna zdawał sobie z tego sprawę, inni także. Ale wiedzieli, że tego się od nich wymaga.

— Nie mogę posłać ludzi na pewną rzeź! — rzeki do Teda przygnębiony dowódca komandosów. — Musimy dać im przynajmniej pięćdziesiąt procent szans na powrót z dzieckiem.

— Wiem. — Ted był bliski łez. Nie zapowiadało się to dobrze. O dziewiątej wieczorem wyszedł wraz z Rickiem na dwór. Wciąż nie mieli planu rokującego powodzenie i zaczynał się bać, że nie uda się go stworzyć, w każdym razie nie na czas. Kilka godzin wcześniej ustalili, że muszą odbić Sama przed świtem. Po wschodzie słońca ryzyko będzie zbyt wielkie, a nie mieli do dyspozycji jeszcze jednego dnia. Nazajutrz Fernanda miała zapłacić okup. Czas uciekał, uciekał zbyt szybko.

— Psiakrew, nie podoba mi się to. — Ted oparł się o drzewo, spoglądając na Ricka. Nikt jak dotąd nie wymyślił niczego sensownego. Za godzinę nad Tahoe miał przelatywać samolot zwiadowczy wyposażony w podczerwone czujniki wykrywania ciepła, którymi jednak nie można było „zajrzeć” do wnętrza domu.

— Mnie też nie — odparł cicho Rick. Obu zabrakło już sił do dalszej kłótni. Czekala ich długa, ciężka noc.

— I co ja mam jej do cholery powiedzieć? — sarknął Ted.

— że najlepsze połączone oddziały specjalne policji i FBI nic mogą uratować jej syna?

— Wolał sobie nie wyobrażać, że mógłby stanąć przed koniecznością zakomunikowania Feniandzie, iż Sam nie żyje. A przecież było to całkiem realne. Słowa „jest kiepsko”, które padły w dyskusji, były grubym niedopowiedzeniem.

— Zakochałeś się w niej, co? — spytał Rick ni stąd, ni zowąd. Ted spojrzał na niego jak na wariata. Nie był to temat

zwyczajnych męskich rozmów, choć czasem mężczyźni mówią ze sobą także o miłości. Rick był w tym specjalistą.

— Oszalałeś? — zaperzył się. — Jestem gliną, na miłość boską. A ona i jej syn ofiarami przestępstwa. — Był wściekły na Ricka, że go o coś takiego podejrzewa. Ale jego przyjaciel nie dał się oszukać, choćby nawet Ted okłamywał sam siebie.

— „Ofiara” jest kobietą, piękną i bezbronną. A ty mężczyzną, który na dodatek od pięciu lat nie sypia z żoną. Popraw mnie, jeśli się mylę. Przez tydzień nie

odstępowałaś jej na krok, choć nikt tego od ciebie nie żądał. Cóż, każdy z nas jest tylko człowiekiem. Ale mam jedną jedyną prośbę: niech ci to nie przesłoni spraw zasadniczych. Wielu ludzi zaryzykuje tutaj życie. Nie chciałbym, żebyś posłał ich na pewną śmierć. Muszą mieć szansę powrotu; najlepiej razem z zakładnikiem. Ted zwiesił głowę, a kiedy ją znów podniósł, oczy błyszczały mu łzami. Nie potwierdził słów Ricka ani im nie zaprzeczył. Nie był pewien, który z nich ma rację. Ale tej nocy i jemu przyszło na myśl, że w równym stopniu martwi się o tę kobietę co o jej dziecko.

— Musi być jakiś sposób, żeby go stamtąd wyciągnąć

— szepnął tylko.

— Sporo będzie zależeć od samego chłopca i od tego gościa, który z nim tam siedzi. Nie wszystko jest w naszych rękach.

Musieli brać pod uwagę wiele innych czynników — szczęście i pecha, pozostałych porywaczy i umiejętności biorących udział w akcji komandosów. Było tyle nieprzewidywalnych elementów, na które nie mieli żadnego wpływu. Czasami wszystko zdawało się sprzysięgać przeciw siłom porządku, a jednak odnosili sukces. Innym razem znowuż akcja dopięta, zdawałoby się, na ostatni guzik kończyła się klęską. Decydował ślepy traf.

— A co ona o tym myśli? — podjął półgłosem Rick.

Ted wiedział, że przyjaciel ma na myśli jego, a nie Sama. Po tylu latach rozumieli się nie używając wielu słów.

— Nie wiem — odparł żałośnie. — Przecież ja jestem żonaty.

— Powinniście się byli rozwieść lata temu — rzekł Rick szczerze. — Oboje zasługujecie na coś lepszego, niż macie.

— Shirley jest dla mnie najlepszym przyjacielem.

Ale nie kochasz jej w ten sposób, no wiesz jaki. Dorastaliście razem i kiedy was poznałem, byliście jak brat i siostra. Zawarliście małżeństwo z rozsądku, z woli rodziców, takie jakie aranżowano sto lat temu. Wszyscy oczekiwali, że się pobierzecie, bo tak im było na rękę. Więc niewiele myśląc wzięliście ślub.

Ted w duchu przyznał mu rację. Ojciec Shirley stał wyżej od jego ojca i rodzice byli szalenie dumni, kiedy zaręczył się z córką szefa. Nigdy nie umawiał się z żadną inną dziewczyną. Nawet o tym nie pomyślał, kiedy miał jeszcze czas. A potem z czystej przyzwoitości był wierny Shirley i pozostał jej wierny, co u policjanta było rzadkim fenomenem. Życie pełne stresu, pomieszanie dnia z nocą, wieczna rozłąka z rodziną stwarzały wiele pokus i nawet Ted raz czy dwa omal im nie uległ. Rick podziwiał jego silną wolę i nazywał „żelazną dziewicą”, kiedy razem pracowali. O sobie nie mógł tego powiedzieć. Rozwód obojgu państwu Holmquistom przyniósł ulgę. A teraz Rick znalazł wreszcie kobietę, którą naprawdę kochał. Chciał, żeby Tedowi też tak się poszczęściło. I jeśli to Fernanda była tą kobietą, Rick nie zgłaszał obiekcji. Ze względu na nią, ale i na Teda, miał nadzieję, że uda się odbić Sama. Po takiej tragedii Fernanda Barnes już by się nie podniosła, nie zapomniała tego — ani ona, ani Ted. Rick zaś obwiniałby się do końca życia.

Jednakże ich desperacja, by ocalić chłopca, nie miała nic wspólnego z miłością. Taki wybrali zawód. Reszta była tylko okrasą.

— Ona nie jest z mojej sfery — stwierdził Ted ze zmartwioną miną, jeszcze niezbyt pewny, czy rzeczywiście coś do niej czuje, ale już pełen obaw, że w słowach Ricka

może być dostatecznie dużo prawdy, by warto je było przemyśleć. Zresztą myślał o tym nie raz, choć przed Fernandą nie zdradził się nawet gestem, nawet wyrazem twarzy. — Jej mąż zarobił pół miliarda dolarów, na litość boską. Facet miał łeb — rzekł z pokorą, podnosząc wzrok na przyjaciela. W mroku przed motelem krzątały się zaaferowane postacie.

— Ty masz łeb. A tamten? Stracił całą forszę szybciej, niż ją zarobił, a potem się zabił i zostawił żonę z dziećmi bez grosza przy duszy!

Sporo w tym było prawdy. Ted miał w banku znacznie więcej pieniędzy niż Fernanda. Jego przyszłość była zabezpieczona, tak samo jak przyszłość jego dzieci. Pracował na to ciężko przez prawie trzydzieści lat.

— Skończyła Stanford, a ja tylko szkołę średnią. Jestem zwykłym gliną.

— Jesteś dobrym człowiekiem. Nie każda ma tyle szczęścia.

Rick zdawał sobie sprawę, że w dzisiejszym świecie człowiek tak porządny i uczciwy jak Ted jest rzadkością. Sam często przyznawał, że do pięć mu nie dorasta. Ted patrzył na to całkiem inaczej i gotów był zajadle bronić przyjaciela. Czasem bywał do tego zmuszony. Rick wkurzył wiele osób, zanim odszedł z policji. W FBI także przysporzył sobie wrogów, bo nigdy nie wahał się mówić, co myśli. To sarno robił teraz—uważał, że Ted powinien go wysłuchać, nawet jeśli miałyby mu to sprawić przykrość lub wręcz go rozżłościć.

— Chcę, żebyś ty też był szczęśliwy — powiedział miękko.

— Zaslugujesz na to.

Nie chciał, by przyjaciel starzał się w samotności. A obaj zdawali sobie sprawę, że to mu właśnie grozi.

— Nie mogę tak po prostu odejść od Shirley — rzekł Ted z nieszczęśliwą miną. Już czuł się winny, bo Fernanda nieodparcie go pociągała.

— Na razie jest za wcześnie o tym myśleć — odparł trzeźwo Rick. — Zaczekaj, aż ta sprawa się skończy. Wtedy zobaczysz, co dalej. Być może pewnego dnia to Shirley wystawi cię do wiatru. Jest znacznie praktyczniejsza od ciebie i jeśli sporka właściwego mężczyznę, nie będzie się na ciebie oglądać, w każdym razie takie jest moje zdanie. Dziwi mnie, że dotąd tego nie zrobiła.

Ted kiwnął głową. I jemu nieraz to przeszło przez myśl. Shirley przywiązywała znacznie mniejszą wagę do świętości małżeństwa. Była tylko zbyt leniwa, jak sama twierdziła, by chcieć zmian. Kochała go, ale już parokroć wyrwało jej się, że wołałaby mieć oddzielne mieszkanie, skoro i tak mieszka sama, zważywszy, jak rzadko się widują. Podobne były odczucia Teda. Żył z nią, lecz doskwierała mu samotność. Nie mieli już wspólnych upodobań, zainteresowań, znajomych. Jedyńm, co trzymało ich razem przez prawie trzydzieści lat, były dzieci. A dzieci wyfrunęły już z domu; od paru lat byli tylko we dwoje.

— Nie musisz dzisiaj podejmować decyzji — parsknął Rick.

— Rozmawiałeś na ten temat z Fernandą? — dodał z ciekawości. Intrygowało go to, odkąd ją poznał. Natychmiast uderzyło go, że Fernanda i Ted nadają na tych samych falach. Bez trudu znajdowali wspólny język, co mogło sugerować łączącą ich więź, choć Rick nie doszukał się w niej żadnych zdrożnych podtekstów. Był to raczej rodzaj braterstwa dusz. Fernanda zdawała się idealną kobietą dla Teda, co Rick od razu spostrzegł. Ted też to czuł, ale trzymał język za zębami. Nie ośmieliłby się w tych okolicznościach deklorować uczuć. Nie wiedział nawet, czy ona go choćby lubi. Dla

niej był tylko gliną, zawodowcem, który miał chronić jej dziecko i nie uchronił go przed porwaniem. Z pewnością nie przydało mu to chwały w oczach Fernandy.

— Nie — przyznał. — To nie jest odpowiedni czas.

Co do tego obaj się zgodzili. Ted nie był zresztą pewien, czy ośmieli się poruszyć ten temat po zakończonej akcji. Nie wydawało mu się to właściwe. Czułby się tak, jakby chciał ją wykorzystać, zdyskontować niezасłużone punkty.

— Mam wrażenie, że ona cię lubi — bąknął Rick, a Ted uśmiechnął się z rozbawieniem. Czuł się jak smarkacz, który rozmawia na przerwie o ładnej dziewczynie z szóstej klasy. Ale ta rozmowa przyniosła mu ulgę, na parę minut zniosła napięcie czekającej ich walki o życie porwanego dziecka. Obu im była potrzebna ta chwila ulgi.

— Ja też ją lubię — mruknął cicho Ted wspominając, jak serce topniało mu z czułości, gdy Fernanda spała obok na podłodze, a on czuwał nad jej snem.

— No to jazda i nie zmarnuj szansy — szepnął Rick. — Życie jest krótkie.

Obaj o tym wiedzieli, mieli tego niezliczone przykłady w ciągu lat, a w przyszłości — kto wie, może jeszcze tej nocy

— czekały ich kolejne.

— To prawda — westchnął Ted i odepchnął się od pnia drzewa, o które się opierał. Na razie mieli ważniejsze rzeczy do zrobienia. Niemniej był zadowolony, że poznał opinię Ricka, którego zawsze darzył wielkim szacunkiem.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi „sztabu”, znów wpadli w wir dyskusji i zażartych argumentacji. Dobiegła północ, nim wreszcie uzgodniono plan. Nie był on w żadnym razie bezpieczny, ale lepszego nie udało się wymyślić. Atak miał nastąpić przed świtem; tymczasem powinni się przespać. Ted skierował się do pokoju Fernandy, by sprawdzić, jak się czuje.

Drzwi były zamknięte, ale widział przez okno, że leży na łóżku z otwartymi oczyma zapatrzona w przestrzeń. Była sama. Pomachał do niej przez szybę. Natychmiast wstała i otworzyła drzwi.

— Co się dzieje? — spytała niespokojnie, upewnił ją więc szybko, że nic złego.

Godziny, które minęły od ich przyjazdu, wydawały się wiekiem tak Fernandezie, jak im wszystkim. Kornandosi nie mogli się już doczekać rozpoczęcia akcji i dokonania tego, po co tu przybyli. Wielu snuło się wokół domu w kamuflażu i z pełnym rynsztunkiem.

— Wkrótce ruszymy.

— Kiedy?

— Tuż przed świtem.

— Dzwonili?

W domu na Pacific Heights został Will i ochrona, z którą mieli łączność, wszystkie telefony zaś przekazywane były z jej domu do wozu transmisyjnego stojącego przed motelem. Tej nocy jednak nie dzwonił już ani Morgan, ani żaden z jego kompanów. Ted zresztą nie spodziewał się telefonu. Morgan zrobił już, co mógł, i jeśli uda im się uratować Sama, będą to zawdzięczać przede wszystkim jemu. Gdyby nie otrzymana od niego informacja, chłopca czekałaby pewna śmierć. Teraz pora na nich, by przejęli podaną piłkę i biegli z nią do bramki. I tak też uczynią. Już wkrótce.

— Nikt nie dzwonił — odpowiedział. Pokiwała głową. Ona też nie spodziewała się regularnych wieści o Samie. — Wszędzie cisza i spokój.

W pobliżu drogi dojazdowej do kryjówki porywaczy stała ciężarówka z aparaturą obserwacyjno-podśluchową. Jej obsługa zameldowała, że nie rejestrują żadnych mchów ani dźwięków. Podobnie zakamuflowana na szczycie wzgórza grupa komandosów wyposażona w noktowizory potwierdziła, że w domu panuje całkowity spokój. Ted miał nadzieję, że zaskoczą ich we śnie, nawet jeśli będzie to oznaczało brak aktywnej pomocy ze strony Morgana. Trudno zresztą było jej oczekiwać.

— Jak się pani czuje? — spytał cicho, starając się nie myśleć o niedawnej rozmowie z Rickiem. Nie chciał palnąć jakiegoś głupstwa, zwłaszcza teraz, gdy zwierzenia poczynione Rickowi w znacznym stopniu określiły jego uczucie do Fernandy.

Zawahała się.

— Chcę, żeby to się już skończyło — szepnęła ze strachem

— tylko boję się, jak się skończy.

Nieco wcześniej rozmawiała przez telefon z księdzem Wal- lilem i zaczerpnęła nieco otuchy z jego niewzruszonej wiary.

— Już niedługo — powiedział Ted. Nie chciał jej zapewniać, że wszystko pójdzie dobrze. W tej chwili byłyby to puste słowa i ona także o tym wiedziała. Wkrótce mszą. Z czym wrócą — to się okaże.

— Idzie pan z nimi? — spojrzała nań pytająco.

— Tylko do wylotu drogi dojazdowej.

Reszta należała do komandosów. Oddział zwiadowczy przygotował stanowisko dowodzenia w zaroślach, osłonięte przed wzrokiem. Będą blisko, gdy gówno trafi w wentylator, a trafi na pewno.

— Mogę iść z wami?

Ted stanowczo potrząsnął głową i nie ugiął się pod jej błagalnym spojrzeniem. Co to, to nie. W żadnym razie nie mógł jej pozwolić. Naraziłaby tak ich, jak siebie. Jeśli dojdzie do wymiany ognia, mogłaby dostać się pod ostrzał, zwłaszcza jeśli kidnaperzy będą się przebijać do szosy. Rozwoju wypadków nie sposób było przewidzieć.

— Może spróbowałyby się pani trochę przespać? — zaproponował, choć z góry wiedział, że to na nic.

— Powiesz mi, kiedy będziecie wyjeżdżać? — Była tak spięta, że przestała dbać o formy. Chciała wiedzieć, co się będzie dziać i kiedy. To zrozumiałe. Niebawem rozstrzygnie się los jej syna. Kiedy mszą, Fernanda będzie im towarzyszyć myślami, siłą woli próbując uchronić Sama przed śmiercią.

Kiwnął głową i obiecał, że zawiadomi ją, kiedy oddziały szturmowe będą opuszczać motel.

— Gdzie będziesz do tego czasu? — W jej oczach widać było panikę. przyzwyczaiła się mieć go w pobliżu, był jej przewodnikiem przez gęsty las lęku.

— Drugie drzwi — wskazał kierunek. Dzielił pokój z dwoma swoimi ludźmi. Rick zajmował następny.

Fernanda spojrzała na niego dziwnie, jak gdyby chciała zaprosić go do środka. Stali przez dłuższą chwilę, patrząc na siebie. Ted miał uczucie, że czyta w jej myślach.

— Chcesz, żebym posiedział z tobą trochę? — spytał, dostosowując się do jej tonu. Potaknęła mchem głowy. Nie było w tym nic zdrożnego, w pokoju paliło się światło, zasłony były rozsunięte i każdy mógł zajrzeć. Ted wszedł i usiadł na jedynym krześle, a Fernanda na łóżku. Czekala ich długa noc i nie spodziewała się, że zdoła zasnąć. Na szali ważyło się życie jej syna. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak spojrzy w

oczy starszym dzieciom, jeśli Samowi coś się stanie. Pół roku wcześniej straciły ojca. Gdyby Sam także zginął, byłby to dla nich zabójczy cios. Kilka godzin wcześniej rozmawiała przez telefon z Willem. Starał się być dzielny, ale na koniec oboje się popłakali.

Ted patrzył na nią pełen podziwu. Wątpił, czy na jej miejscu potrafiłby wykazać taką siłę ducha.

— Domyślam się, że nie ma szans, byś zasnęła? — uśmiechnął się. Był tak samo wyczerpany jak ona, ale on to co innego. On wykonywał swoją pracę.

— Bardzo wątpię — odpowiedziała szczerze. Już niedługo oddziały specjalne miały zacząć atak. — Szkoda, że nie zadzwonili raz jeszcze.

— Szkoda, że nie mainy żadnych nowych informacji — poprawił ją Ted — ale co do porywaczy, lepiej, że nie dzwonią, tylko śpią. Na pewno zamierzali zadzwonić do ciebie jutro. Jutro upływa termin wpłaty okupu.

Sto milionów dolarów! Niewiarygodne. A jeszcze bardziej niewiarygodne było to, że ledwie rok temu jej mąż mógł swobodnie zapłacić taką kwotę. Wydawało się cudem, że nie porwano ich wcześniej.

— Jadłaś cokolwiek?

Po pokojach wciąż krążyły kartony z kanapkami i pizzą oraz sterty pączków wystarczające, żeby wszyscy poumierali z przejedzenia. Do tego szły hektolitry kawy i coca-coli. Z wyjątkiem komandosów wszyscy szprycowali się kofeina, a teraz, gdy do kofeiny dołożyła się adrenalina, nikt nie mógł zasnąć. Paliwem dla Fernandy był strach; tylko on trzymał ją jeszcze na nogach. Patrzyła na Teda rozszerzonymi oczyma, zastanawiając się, czy jej życie kiedykolwiek wróci do normy.

— Nie masz mi za złe, że cię tu trzymam? — spytała ze smutkiem i przez moment sama wyglądała jak dziecko. Za kilka tygodni przypadały jej urodziny; miała nadzieję, że Sam będzie je świętował wraz z nią.

— Oczywiście, że nie — uśmiechnął się. — Jesteś przemiłą towarzyszką.

— Już nie. — Mimowolnie westchnęła ciężko. — Odnoszę wrażenie, że nie byłam miła już od lat. A w każdym razie od wielu miesięcy.

Dużo wody upłynęło od czasu, gdy miała okazję porozmawiać z kimś dorosłym.

Pamiętała wypady na kolację z Allanem, kiedy śmiali się i gawędzili o zwykłych codziennych sprawach. Rozmowy z Tedem stały się niejako ich namiastką; dopiero z nim udało jej się nawiązać nić porozumienia. Tyle że tematy tych rozmów były inne.

Jej codzienność bardzo odbiegła od normy, składała się teraz wyłącznie ze smutków.

Najpierw Allan, potem kłopoty, jakie jej zostawił. A teraz Sam.

— Wiele przeszłaś w rym roku — rzekł Ted ze współczuciem.

Nawet jeśli Sam wyjdzie z tego cało, czeka ją mnóstwo zmian. Po rozmowie z Rickiem zastanawiał się, czy jego także. Wywody Ricka o jego małżeństwie trafiły mu do przekonania. Zwłaszcza teza, że pewnego dnia Shirley go opuści. Ta myśl zresztą parokrotnie przemknęła mu wcześniej przez głowę. Shirley mniej niż on ulegała konwenansom i w gruncie rzeczy od lat sama decydowała o swoim życiu.

— Czasem myślę, że moje życie już nigdy nie będzie normalne... — Fernanda nagle zdała sobie sprawę, że wcześniej także normalne nie było. Trudno bowiem błyskotliwą karierę Allana nazwać normą. Minione lata były jednym wielkim szaleństwem. — Miałam zacząć szukać jakiegoś małego domku...

— Głos jej się załamał. Bez Sama to nie miało sensu. Gdyby stało się najgorsze... wiedziała, że choćby uciekła na koniec świata, nie ucieknie od wspomnień.

— To będzie rewolucja w życiu pani i dzieci — przyznał Ted. — Jak to przyjmą?

— Lękiem, niezadowoleniem, ale i podnieceniem. Jak wszystkie dzieci przy okazji przeprowadzki. Przez jakiś czas na pewno będzie nam trudno. Ale może w końcu wyjdzie nam to na dobre.

O ile tylko będziemy wszyscy razem, cali i zdrowi, dodała w myśli.

Siedzieli potem w milczeniu, bez zbędnych słów. Po drugiej Fernanda nareszcie zapadła w sen. Ted na palcach wyszedł z pokoju i wrócił do siebie, gdzie położył się na podłodze, bo oba łóżka były już zajęte. Nie przeszkadzało mu to. Mógłby spać na sto jęco.

Zaledwie usnął, ktoś potrząsnął go za ramię. Zerwał się i zobaczył dowódcę komandosów. Pozostali dwaj policjanci byli już w drzwiach. Ted pospiesznie ochlapał twarz wodą; przygładził włosy i wybiegł za nimi. Mijając pokój Fernandy spostrzegł, że już wstała i krąży po pokoju. Kiedy go zobaczyła, podbiegła do drzwi. Jej oczy błękały, żeby ją zabrał. Uścisnął jej ramię; wiedział, co czuje, i chciał jej dodać otuchy. Ale nie mógł jej niczego przyrzec.

Ciężko było mu ją opuszczać w takiej chwili. Cofnął rękę. Musiał iść, wkrótce będzie jasno.

— Powodzenia. — Nie mogła oderwać od niego oczu. Rozpaczliwie pragnęła iść z nimi, być tak blisko Sama, jak to tylko możliwe.

— Będzie dobrze, Fernando. Dam ci znać przez radio od razu, gdy Sam do nas dotrze. Skinęła głową, patrząc bez słowa, jak wsiada do samochodu.

Na stanowisku Teda było pięciu ludzi. Nałożył kamizelkę kuloodporną i słuchawki zestrojone zwozem łączności i wpatrzył się w ciemność. Za jego plecami bezszelestnie przemykali się komandosi uzbrojeni w automatyczne pistolety maszynowe MP-5 Hecklera i Kocha, będące standardowym wyposażeniem policyjnych sił specjalnych, rozstawiając się wzdłuż drogi dojazdowej do kryjówki porywaczy. W tym samym czasie trzech innych opuszczało się na linach z urwiska. Ubrani byli na czarno jak włamywacze, twarze mieli poczernione, a broń przypiętą pasami, żeby kołysząc się nie wydawała dźwięku.

Po chwili jeszcze jeden człowiek w polowym mundurze i kamuflażu wśliznął się na stanowisko. Ted obejrzał się; w ciemności nie widział, czy to ktoś od niego czy jeden z ludzi Ricka, ale drobna postać nie wyglądała na komandosa. Dopiero gdy przykucnęła tuż obok niego, poznał Fernandę, która najwyraźniej w zamieszaniu dostała sprzęt, wsiadła do drugiej ciężarówki i znalazła się w miejscu, w którym absolutnie nie powinna się była znaleźć. Ted miał ochotę porządnie ją zrugać i odesłać, ale było za późno — akcja już trwała. Pokręcił więc tylko głową i ustąpił bez słowa. Jakżeby mógł ją winić? Uścisnął mocno jej dłoń. Teraz czekali już razem.

o piątej rano jakiś głęboki pierwotny instynkt wyrwał Petera ze snu. Chłopczyk spał obok, z głową na jego ramieniu. To samo niewytłumaczalne przeczucie kazało Peterowi zdjąć mu więzy. Malec przewrócił się na bok i szepnął:

— Mamo...

Peter uśmiechnął się, wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz było ciemno, ale niebo miało już kolor antracytu, nie sadzy. Niedługo zza wzgórza wychynie słońce. Kolejny dzień. Nie kończące się godziny czekania. Tego dnia upływał termin ultimatum. Jeśli matka nie będzie miała dla nich pieniędzy, Waters i jego ludzie zabiją chłopca. Życie dziecka niewiele dla nich znaczyło. Jeszcze mniej warte będzie jego życie, gdy odkryją, co zrobił. Peter nie dbał już oto. Poświęcił się dla Sama. Jeśli będzie miał szansę uciec wraz z nim, przyjmie to jak łaskę, ale nie spodziewał się takiego szczęścia. Kolejna osoba może spowolnić ucieczkę i jeszcze bardziej narazić życie dziecka.

Usłyszał cichy dźwięk, jakby szelest skrzydeł budzącego się ptaka. Pojedynczy kamyk poszybował w jego kierunku i z miękkim pacnięciem wylądował na ziemi. Peter podniósł wzrok. Niemal poza polem widzenia wyczuł jakiś ruch. Kiedy przyjrzał się baczniej, zobaczył trzy czarne kształty zjeżdżające z urwiska. Serce zabiło mu jak młotem. Bezszelestnie uchylił okno i mrużąc oczy patrzył w ciemność. Sylwetki opuściły się jeszcze niżej i znikły

Peter wrócił do łóżka, nakrył dłonią usta Sama i delikatnie nim potrząsnął.

— Pst! — szepnął. — Cicho. Nic nie mów.

Chłopczyk zastygł w bezruchu. Nabral do Petera zaufania i czuł, że ten w decydującej chwili mu pomoże. Dopiero po minucie do niego dotarło, że Peter zdjął mu więzy.

Ostrożnie poruszył kończynami, starając się nie robić hałasu.

Peter znów podszedł do okna. Z początku nie widział nic, lecz po chwili rozróżnił przykucniętą w ciemności postać o parę metrów od domu. Obleczonej w czarną rękawiczkę dłoń wykonała przyzywający gest. Zawrócił, wziął Sama na ręce i wychylił się z nim przez półotwarte okno. Wiedział, że nogi chłopca będą sztywne z bezruchu, a parapet znajdował się na tyle wysoko, że musiał wypuścić go z rąk. Spojrzał na niego po raz ostami i dokonał największego, a może jedyne go aktu czystej miłości w swoim życiu — upuścił tualca i wskazał triu kierunek. Sam na czworakach poczołgał się w mrok, po chwili zniknął mu z oczu. Czarna ręka znów się uniosła, ponagliła go. Równocześnie posłyszał kroki we wnętrzu domu. Potrząsnął głową, ostrożnie zamknął okno i ułożył się z powrotem. Nie chciał ratując siebie narazić Sama.

Sam pełził we wskazanym przez Petera kierunku, nie mając pojęcia dokąd ani po co. Nagle z ciemności wyrosły dwie ręce i został wciągnięty w zarośla z taką siłą, że zaparło mu dech. Zobaczył majaczącą niewyraźnie czarną masywną postać.

— Jesteś dobry czy zły? — spytał słabym głosem.

Trzymający go w objęciach mężczyzna omal się nie rozplakał ze wzruszenia. Jak dotąd wszystko szło jak z płatka, ale mieli jeszcze długą drogę przed sobą.

— Dobry — odpowiedział szeptem.

Sam kiwnął głową i już miał zapytać, gdzie jest mama, kiedy został przypłaszczony do ziemi, aż piach zazgrzytał mu między zębami. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz ratownicy wiedzieli, że nie mają wiele czasu.

Wykluczyli już możliwość wciągnięcia malca z powrotem na linie. Gdyby jego nieobecność została odkryta, pełniłby rolę

żywej tarczy strzelniczej. Pozostawała ucieczka podjazdem, ale tu też byli odsłonięci.

Jeden z komandosów chwycił mocno Sama i pobiegli przygięci co sił w nogach. Tam, gdzie było to możliwe, przemykali się poboczem unikając suchych kolczastych krzaków, które tworzyły nieprzebyte i potwornie trzeszczący mur. Poruszali się bez słowa, w niemej, lecz precyzyjnie zgranej pantomimie, starając się robić jak najmniej hałasu. Tymczasem świt wyrzał zza wzgórze i zaczął rozlewać się po niebie.

Peter posłyszał odgłos wody spuszczonej w toalecie, a potem głucho stuknięcie i przekleństwo, kiedy mężczyzna uderzył się o coś, wracając do łóżka. Kilka minut później wstał następny. Peter leżał cichutko, ale po namyśle postanowił również wstać. Nie chciał, by któryś wszedł do pokoju i zobaczył, że Sama nie ma.

Wyszedł boso do salonu, ostrożnie zerknął w okno, nie zauważył niczego i usiadł.

— Wcześniej dziś wstałeś — rozległ się głos za jego plecami.

Peter wzdrygnął się i odwrócił. Zobaczył półnagiego Watersa w wymiętych dzinsach, z oczyma przekrwionymi po wczorajszym przepiciu. Poczł niesmak. Widok ich wszystkich przyprowadził go już o mdłości. Miał dość.

— Jak dzieciak? — Waters zajrzał do lodówki i wyłonił się z puszką piwa.

— Dobrze — mruknął obojętnie Peter.

— Kiedy tamci wstan zadzwonię do kobiety. — Waters rozsiadł się na sofie naprzeciw Petera. — Niech przelewa forsz albo kończymy tę zabawę. Nie mam zamiaru czekać tu w nieskończoność, aż w końcu znajdą nas gliny. Jeśli liczyła na to, że zmiękniemy, to się przeliczyła.

— Może nie ma pieniędzy. — Peter wzruszył ramionami. On o tym wiedział, Waters nie. — Jeśli tak, to zmarnowaliśmy mnóstwo czasu.

— Ten twój szef nie zadawałby sobie tyle trudu, gdyby baba nie miała szmalu. —

Waters wstał i wyrzał przez okno. Czerń nieba powlekleła się warstwą różu i zaczęły być widoczne zarysy podjazdu. — Co, do cholery...! — Waters nagle zeszytniał.

Wybiegi na ganek i równie prędko wrócił po broń, wrzeszcząc, żeby się zbiegali.

— Co się stało? — Peter podniósł się z krzesła z zaniepokojoną miną.

— Nie jestem pewien.

Pozostali dwaj zaspali wyskoczyli z pokoju, łapiąc po drodze pistolety maszynowe. W Peterze serce upadło. Nie miał możliwości ostrzec uciekających ratowników.

Wiedział, że nie oddalili się jeszcze poza zasięg strzału.

Waters dał znak tamtym i wyszli na ganek. Zaglądając im przez ramię Peter dojrzał na drodze niewyraźne jak widma skulone sylwetki. Stark puścił za nimi serię z automatu.

Fernanda zacisnęła oczy i kurczowo chwyciła rękę Teda. Nic jeszcze nie widzieli, mogli tylko czekać. Z jazgotu broni można jednak było wysnuć wniosek, że ucieczka z Samem już się rozpoczęła — i co gorsza, już została odkryta.

— Boże... Boże.... proszę cię, Boże... — powtarzała Fernanda.

Ted bał się spojrzeć jej w oczy. Rozległa się następna seria. Wytężał wzrok w jaśniejącym świetle, trzymając ją mocno za rękę. Rick nie wytrzymał, wstał i wychylił się z krzaków.

— Widać ich? — zapytał gorączkowo Ted.

Rick potrząsnął głową. Znow rozszczękały się pistolety maszynowe. Wzdłuż podjazdu w zaroślach rozmieszczonych było jeszcze dwunastu komandosów, a przy końcu drogi duża grupa, która miała wejść do akcji po ewakuowaniu Sama.

Ogień urwał się nagle i zapadła cisza.

Waters wolno obrócił się do Petera i zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

Gdzie dzieciak?

— Z tyłu. Związany.

— Tak? To może mi powiesz, do kurwy nędzy, jakim cudem... — gwałtownie pchnął Petera na ścianę, wpierając mu

lufę automatu w gardło — ... jakim cudem widziałem go przed chwilą na podjeździe?

Stark i Free patrzyli na nich osłupiali. Waters ruchem głowy posłał Jima do

sąsiedniego pokoju. Ten po chwili wrócił pędem, głośno łapiąc oddech.

— Nie ma go! Zniknął!

— Wiedziałem. Ty sukinsynu... — Waters patrzył Peterowi prosto w oczy, stopniowo zwiększając nacisk lufy. — Dałeś im cynk, prawda? Ty... ty... ty pieprzona cioto, przestraszyłeś się, tak? A może żal ci się zrobiło dzidziusia? Lepiej zacznij żałować nas i siebie. Wykołowałeś nas z masy pieniędzy! — Waters był nieprzytomny z wściekłości i strachu. Wiedział jedno: nie wróci do więzienia. Najpierw będą musieli go zabić.

— Gdyby miała te pieniądze, dawno by je wpłaciła — wyszeptał ochryple Peter. — Może Addison jednak się mylił.

Nie zależało mu już na zachowaniu tajemnicy. I tak był skończony. Równie dobrze tamci mogli wiedzieć, kto ich wynajął.

— A co ty, kurwa, wiesz?! — wrzasnął Waters i wybiegł z powrotem przed dom.

Mężczyźni niosący Sama — już tylko dwaj — byli w połowie drogi. Robiło się coraz jaśniej.

— Widzę ich — syknął przez zęby Rick i głośno wciągnął powietrze. Sam wypadł z objęć niosącego go komandosa, lecz natychmiast, jak pałeczkę w sztafecie, pochwycił go drugi i dał wraz z nim nura na oślep w krzaki. Z pobocza poderwały się sylwetki komandosów z oddziału wsparcia. Waters i Stark pruli do wszystkiego, co się ruszało. Fernanda otworzyła oczy i w ślad za Tedem podczołgała się na pobocze. Zobaczyła, jak jeden z ludzi Ricka podnosi do oka broń, celuje starannie i nieomal w tej samej chwili Waters wali się jak podcięte drzewo.

Stark szczupakiem rzucił się w półotwarte drzwi, za którymi wcześniej zniknęli Peter i Jim. Grad kul zabębnił o ścianę domu. Stark przeturlał się po podłodze i zerwał, stając na wprost Petera.

— Ty draniu, to przez ciebie dostali Carla! — wrzasnął wypuszczając z automatu serię, która nieomal przecięła Petera na pół. Ten zdążył jeszcze spojrzeć na niego nieodgadnionym wzrokiem i ułamek sekundy później osunął mu się miękko pod nogi.

— Co robimy? — spytał krótko Jim Free.

— A jak myślisz? Spieprzamy stąd!

Wiedzieli, że zginą, nim zdołają się przedrzeć przez chaszcze na poboczu, za domem zaś wznosiło się urwisko. Pozostawała im tylko droga, na której teraz oni mieli się znaleźć pod ostrzałem.

Podawany z rąk do rąk Sam słyszał ogłuszający łoskot i wysilony oddech niosących go mężczyzn. Potem wpadli w krzaki, jakiś ostry cierń rozorał mu skórę na głowie, kilka innych szarpnęło za ubranie. Nagle gałęzie się rozstąpiły, wturlali się razem do jakiegoś dołka i zobaczył tuż przed sobą twarz matki, która ze szlochem porwała go w ramiona. Wszyscy wokół płakali. Oczy Sama w brudnej, otępiełej twarzyczce rozwarły się szeroko, a z gardła dobył się spazmatyczny krzyk:

— Mama! Mama! Mama!

Fernanda nie mogła wydusić z siebie ani słowa, przycisnęła go tylko kurczowo do piersi i wraz z nim osunęła się na ziemię, tuląc cudem odzyskane dziecko. Dopiero po chwili Ted podniósł ją delikatnie i dał znak jednemu z ludzi, żeby odprowadził ich w bezpieczne miejsce. Obaj z Rickiem patrzyli za nimi ze łzami w oczach. Podbiegł sanitariusz, który poniósł Sama do czekającej karetki. Fernanda biegła obok, trzymając synka za rękę.

— To ilu jeszcze zostało? Trzech? — spytał Ted ocierając łzy wierzchem dłoni.

— Raczej dwóch — sprostował chłodno Rick. — Wątpię, żeby Morgan jeszcze żył, skoro wszystko się wydało, a Watersa zdjęli nasi.

Porywacze nie mieli dokąd uciec. Snajperzy podsunęli się bliżej, a dowódca podniósł do ust megafon i zawołał, żeby wyszli z rękami uniesionymi nad głowę. Nie było odpowiedzi. Dwie minuty później czterdziestu ludzi ruszyło do ataku. Posypały się pociski z gazem łzawiącym i szturmowe granaty ogłuszające. W ślad za nimi poszły serie z broni maszynowej. Odjeżdżając wraz z Samem karetką Fernanda słyszała ogłuszającą kanonadę. Mignął jej Ted, który stał na drodze ubrany w kamizelkę kuloodporną i rozmawiał z kimś przez radio.

Już w motelu dowiedziała się od jednego z agentów, że oblężenie chaty nie trwało nawet pół godziny. Stark wyszedł pierwszy, krztusząc się od gazu. Miał kule w ramieniu i nodze. Potem zawrócił i pomógł się wyczołgać ciężej rannemu kompanowi. Free wił się w drgawkach, kwicząc jak zarzynane prosię. Aresztowano ich na miejscu i po opatrzeniu ran odesłano do więzienia. W ciągu najbliższego roku czekał ich proces; mieli stanąć przed sądem za porwanie Sama oraz zabicie czterech policjantów w domu Fernandy i jednego, który zginął na miejscu w czasie akcji. Kilku innych odniosło rany, w tym jeden ciężkie i nie wiadomo było, czy przeżyje.

W chacie znaleźli ciało Petera Morgana oraz wszelkie potrzebne dowody — broń, amunicję, podpisaną przez Petera kopię umowy wynajmu domu. Furgonetka stała na podjeździe. Tożsamość aresztowanych nikogo nie zaskoczyła; podobnie nie było problemu z identyfikacją zwłok Watersa. Nikt nie ronił po nim łez. Spędził na wolności zaledwie dwa miesiące, podobnie jak Morgan. Dwa zmarnowane żywoty, od początku aż do samego końca.

Można było się spodziewać, że Starki Frec już nigdy nie ujrzą jasnego nieba. Ted miał nadzieję, że zostaną skazani na śmierć. Jeśli przyznają się do winy, to wiele uprości i sprawa potrwa krócej, lecz nawet jeśli nie, dowody i tak były niepodważalne. Ted przypuszczał, że obaj będą się jednak starali grać na zwłokę, wносить niekończące się apelacje, wszystko po to, by przeżyć jeszcze choć jeden dzień w więzieniu.

Razem z Rickiem pozostali na miejscu do popołudnia. W tym czasie zabrano zwłoki, ranni zostali odwiezieni do szpitala, wykonano też dokumentację fotograficzną pola walki. Przestraszeni sąsiedzi, których o świcie obudziła kanonada, tłoczyli się na drodze, domagając wyjaśnień. Policja uspokajała ich i kierowała ruchem na szosie. Kiedy nareszcie wrócił do motelu, Ted był wykończony. Najpierw jednak poszedł do pokoju Fernandy zobaczyć się z Samem. Musieli teraz zadać mu mnóstwo pytań, ale Ted chciał najpierw stwierdzić, w jakim stanie jest chłopiec. Właśnie wrócili ze szpitala, gdzie stwierdzono, że prócz drobnych zadrapań nie poniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu. Zastał go wtulonego w ramiona matki, która wciąż nie chciała wypuścić go z objęć; oglądał telewizję, zajadając ogromnego hamburgera. Przez pokój przewinęła się już istna pielgrzymka

— każdy z biorących udział w akcji policjantów chciał mu pogratulować lub choćby pogłaskać go po głowie. Ryzykowali dla niego życie, w akcji padli ludzie, ale wszyscy uważali, że było warto. Gdyby tego nie zrobili, zginąłby Sam. Ktoś inny zapłacił za jego życie własnym — także człowiek, któremu przede wszystkim zawdzięczał odnalezienie.

Fernanda powitała go rzewnym uśmiechem. Ted był brudny, zmęczony, na twarzy miał szczecinę świeżego zarostu. (Rick zapewnił go solennie, że wygiąda jak wyjątkowo niechlujny kloszard, po czym oddalił się tanecznym krokiem, mówiąc, że musi zadzwonić do Europy.)

— Witam, młodzieńcze — uśmiechnął się do malca, muskając spojrzeniem Fernandę.
— Miło mi cię znowu widzieć, zwłaszcza że jak słyszę, wsławiłeś się dziś bohaterską postawą. Jesteś naprawdę doskonałym nabytkiem dla policji San Francisco! — zaśmiał się tubalnie.

Zrezygnował z wypytywania go od razu — to mogło poczekać, chciał najpierw dać chłopcu czas, by ochłonął. Czekąco go jeszcze mnóstwo poważnych rozmów z policją.

— Twoja mama jest bardzo szczęśliwa, że cię odzyskała

— rzekł i czując, że coś go drapie w gardle, dodał ciszej: — Ja też. Jak wszystkim, którzy pracowali dzień i noc, by odnaleźć

i uwolnić malca, i jemu tego dnia łzy często stawały w oczach. Sam rozpromienił się na jego widok, lecz po chwili spoważniał.

— Tamten pan powiedział, że przeprasza — odezwał się cicho.

Ted domyślił się, że mówi o Morganie.

— Wiem — przytaknął. — Mnie też to powiedział.

— Jak mnie znaleźliście? — zaciekawił się chłopczyk.

Ted opadł na krzesło i delikatnie pogłaskał go po głowie. Ostatni raz czuł taką ulgę, gdy jego własny syn zgubił się w lesie i nim się odnalazł, umierali z trwogi, że wpadł do jeziora.

— On do nas zadzwonił.

— Był dla mnie dobry. Tamtych się bałem.

— Nie dziwię się, bo to byli straszni ludzie. Ci, którzy przeżyli, już nigdy nie wyjdą z więzienia. — Nie mówił chłopcu o prawdopodobnej egzekucji porywaczy, ta informacja nie mogła mu przynieść żadnego pożytku.

Sam kiwnął głową i spojrzał na matkę.

— Myślałem, że już cię nie zobaczę — wyszeptał.

— A ja byłam pewna, że wrócisz — oznajmiła z mocą Fernanda, choć w rzeczywistości chwilami traciła wiarę. Dzwonili już z Samem do Willa, który rozpląkał się ze szczęścia. Ashley, przebywająca zaledwie o parę mil od miejsca, w którym się znajdowali, wciąż nie wiedziała o niczym. Fernanda postanowiła zaczekać, aż wszystko się uspokoi; nie czuła się na siłach opowiadać teraz córce całej tej historii. Rozmawiała za to z księdzem Wallisem, dziękując mu, że podtrzymywał ją na duchu. Jego wiara okazała się prorocza. Mimo wszystko jednak Fernanda nie chciała już więcej takich komplementów od Boga.

— Co powiecie nato, żebym za chwilę odwiózł was do domu?

— Ted spojrzał na nich pytająco. Zastanawiał się, czy Sam nie będzie się bał wrócić do domu, z którego został porwany. Ale wiedział skądinąd, że długo już w nim nie pomieszka.

Sam jednak energicznie kiwnął głową.

— Chcieli dużo pieniędzy, co? — Zerknął na matkę. — Powiedziałem mu, że nie mamy pieniędzy, że tatuś wszystkie stracił. Ale on chyba nie powtórzył tego innym. Albo powtórzył, tylko oni mu nie uwierzyli. — Było to najzwięźlejsze podsumowanie sytuacji.

— Skąd to wiesz? — Fernanda zmarszczyła brwi. Malec orientował się lepiej, niż podejrzewała. — No, skąd wiesz, że nie mamy pieniędzy?

Sam zaczerwienił się leciutko i łypnął na nią ze skruchą.

— Słyszałem, jak mówiłaś przez telefon — wyznał.

Fernanda rzuciła okiem na Teda i uśmiechnęła się smętnie.

— Kiedy byłam dzieckiem, mój tato mawiał, że małe dzbanki mają duże uszy.

— Co to znaczy? — spieszył się Sam.

Ted roześmiał się słysząc to stare porzekadło. On też je znał.

— To znaczy, że nieładnie jest podsłuchiwać — burknęła Fernanda, lecz niezbyt surowo. Sam jeszcze na długo miał u niej carte blanche. Mógł psocić, ile wlezie, najważniejsze, że wrócił do niej cały i zdrowy.

Ted zadał w końcu chłopcu kilka pytań, a po chwili wszedł Rick, który też chciał zasięgnąć pewnych informacji. Odpowiedzi malca nie zaskoczyły ich. Odgadli to już wcześniej.

Brygada policyjna opuściła motel o szóstej. Fernanda z Samem wsiedli do samochodu Teda. Rick zabrał się z jednym ze swoich agentów, a nim odjechał, puścił do Teda znaczące oko.

— Praca w policji wymaga poświęceń — zakpił szeptem.

— Dobra, dobra, odczep się — mruknął Ted pod nosem, żartobliwie grożąc mu palcem.

Nie zamierzał robić nic głupiego. Teraz, gdy emocje opadły, znów czuł się wierny Shirley. Cieszył się, że akcja się udała. Mogło być o wiele gorzej. Tego nigdy się nie wiedziało, aż do końca. Dziś także połała się krew — ich krew. A Fernanda... cóż, Fernanda miała własne życie i własne problemy.

Droga do domu przebiegła spokojnie i bez zakłóceń, tylko Sam wciąż skarżył się, że jest głodny. Ted zatrzymał się i kupił mu cheeseburgera, frytki, koktajl mleczny i cztery paczki ciastek. Chłopczyk pochłonął wszystko i nim dotarli do San Francisco, spał już jak suseł. Kiedy zajechali przed dom, Fernanda przez chwilę nie ruszała się z miejsca, zbyt zmęczona, by wysiąść.

— Proszę nie budzić synka, zaniosę go — rzekł swobodnie Ted wyjmując kluczyk ze stacyjki. Ta jazda była całkiem inna niż podróż w tamtą stronę, napiętnowana grozą, że mogą stracić

Sama. Po długich tygodniach wypełnionych ciągłym strachem przyszło odprężenie i wyczerpanie.

— Jak mam panu dziękować? — Spojrzała mu w oczy. W ciągu minionych tygodni stali się przyjaciółmi.

— Nie musi mi pani dziękować — uśmiechnął się. — W końcu to moja praca.

Oboje wiedzieli jednak, że nie ograniczył się tylko do wykonywania obowiązków.

Przeżył wraz z nią każdą chwilę tego koszmaru, nie odstępując jej na krok i angażując się całym sobą. Takim po prostu był człowiekiem. Fernanda nachyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu między nimi.

— W najbliższej przyszłości będę musiał jeszcze trochę pomóc Sama. Mam do niego mnóstwo pytań. Niestety, takie są wymogi śledztwa. Musimy przygotować materiał dla prokuratury. — Wiedział, że Rick też będzie chciał przesłuchać malca.

— Dam pani wcześniej znać. Fernanda skinęła głową.

— Może pan przyjść, kiedy tylko pan zechce — powiedziała ciepło.

Ted wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i wziął na ręce śpiące dziecko.

Fernanda poszła za nim do frontowych drzwi domu. Otworzyło je dwóch uzbrojonych policjantów w cywilu, a tuż zza nich wyjrzał Will, który nagle zbladł jak ściana.

— O mój Boże, jest ranny? — Jego oczy biegały od matki do Teda. — Nic mi nie mówiłaś!

— Bo nic mu nie jest, kochanie. — Fernanda przytuliła go do siebie. Też był dzieckiem, choć skończył już szesnaście lat. — Po prostu śpi.

Objęci, rozplakali się oboje. Dużo czasu minie, nim przestaną się bać. Brzemie katastrofy przygniatało ich tak długo, że nie umieli z uśmiechem patrzeć w przyszłość.

Ted zaniósł Sama do pokoju i położył na łóżku, a Fernanda zdjęła mu tenisówki.

Chłopiec sapnął lekko i nie budząc się przewrócił na bok. Patrzyli, napawając się rozkosznym widokiem ocalonego dziecka śpiącego we własnym domu, z główką wtuloną we własną poduszkę.

Fernanda odprowadziła Teda do drzwi, pożegnawszy uprzednio dwóch policjantów z ochrony. Wychodząc przystanął w progu.

— Zadzwoń jutro.

— Na razie nigdzie się nie wybieramy — obiecała. W tej chwili bała się nawet wyjść na ulicę. Dziwnie się czuła pozostając sama, bez opieki, bez pewności, czy gdzieś tam ktoś znów na nich nie dybie. Od razu z Tahoe zadzwoniła do Jacka Watermana i zgodzili się, że jak najszybciej trzeba wydać publiczne oświadczenie o upadku fortuny Allana Barnes'a. Inaczej dzieci nawet na chwilę nie będą bezpieczne. Otrzymała już bolesną nauczkę.

— Musi pani odpocząć — upomniął ją Ted.

Skinęła głową. Wiedziała, że to głupio z jej strony, ale żał jej było, że Ted odchodzi.

Przyzwyczaiła się do świadomości, że znajdzie go w pobliżu o każdej porze dnia i nocy. Spała obok niego na podłodze (choć przecież mogła się położyć gdziekolwiek indziej), bo przy nim zawsze czuła się bezpieczna. Teraz to sobie uświadomiła.

— Zadzwoń — powtórzył. Zamknęła drzwi zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła mu się odwdziżyć.

Powoli zaczęła wchodzić na górę. Dom wydawał się pusty bez gorączkowych narad, ludzi, broni, telefonów komórkowych wygrywających melodyjki w każdym kącie, negocjatorów czatujących przy telefonie. I dzięki Bogu.

Will czekał na nią w jej pokoju. Wyglądał, jakby w ciągu tego jednego dnia wydoroślał.

— Jak się czujesz, mamó?

— Chyba dobrze — odpowiedziała z wahaniem. — Tak, na pewno dobrze.

Ostrożnie badała swoją posiniaczoną duszę. Ran było wiele, ale teraz wszystkie się zagoją. Sam wrócił, to najlepsze lekarstwo.

— A ty? — spytała.

— Nie wiem. Do tej pory nie mogę przestać o tym myśleć.

Pokiwała głową. Miał rację. Wszyscy będą to pamiętać przez długi, długi czas.

Kiedy Will poszedł spać, wzięła gorący prysznic. W tym czasie Ted dotarł już do swojego domu na Sunset. Nie zastał w nim nikogo. Tak już było stale. Shirley nigdy nie było w domu — spędzała czas w pracy albo u znajomych, których w większości nawet nie widział na oczy. W domu panowała ogłuszająca cisza i po raz pierwszy od bardzo dawna Ted poczuł się boleśnie samony. Zażęknął za przytulnym nastrojem kuchni Barnesów lub swobodną atmosferą posterunku. Nawet podczas akcji, w skrajnym napięciu, czuł się znowu młody. Teraz jednak nie tęsknił za swoimi ludźmi, a za Fernandą.

Usiadł na krześle i zapatrzył się w przestrzeń. Przyszło mu na myśl, żeby do niej zadzwonić. Miał na to wielką ochotę. Słowa Ricka padły na podamy grunt. Ale Rick to Rick, a on to on. Po prostu nie mógł tego zrobić. Czuł, że nie powinien.

Rozdział XXI

Nazajutrz Ted zadzwonił do Ricka z pytaniem o Addisona. On również miał stanąć przed sądem, nakaz aresztowania czekał już jego powrotu do kraju. W trakcie dochodzenia związanego z przestępstwami finansowymi można było założyć, iż Addison nie stwarza ryzyka ucieczki. Od tego czasu jednak sytuacja nieco się zmieniła.

— Już leci do domciu — zaśmiał się Rick.

— To szybko. Myślałem, że wyjechał na miesiąc.

On też tak myślał. Skontaktowałem się wczoraj z Interpolem i biurem FBI w Paryżu.

Wysłali po niego swoich chłopców i przymknęli od razu, za udział w porwaniu. A dziś

dzwonił jeden z moich ulubionych informatorów. Wyobraź sobie, nasz przyjaciel jest, by tak nec, chemikiem hobbystą. Od dłuższego czasu zajmuje się produkcją krystalicznej heroiny. Oj, zabawimy się z nim niewąsko!

— Ależ musiał się zdziwić na ich widok! — Ted roześmiał się, chociaż postęпки Addisona nie nastrajały do śmiechu. Pamiętał jednak górne pozy tej ozdoby społeczeństwa i cieszył się, że wreszcie została ona sprowadzona do właściwych rozmiarów.

— Jego żona omal nie dostała ataku serca. Najpierw spoliczkowała agentów, a później jego.

— Musiało być wesoło. — Ted uśmiechnął się blado. Wciąż jeszcze nie zdążył się wyspać.

— W to akurat wątpię. A tak przy okazji: miałeś rację w kwestii samochodu sędziego. Free zeznał, że to Waters go wysadził. Co prawda nie widzieli tego na własne oczy, ale chwalił im się kiedyś po pijanemu. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

— Przynajmniej szef przestanie mnie posądzać o omamy

— mruknął Ted, a następnie poinformował Ricka, że znaleźli większość pieniędzy, które Addison wypłacił porywaczom w charakterze zaliczki. Leżały w walizkach w przechowalni bagażu na dworcu autobusowym w Modesto.

Rick wysłuchał go z zainteresowaniem, potem jednak radykalnie zmienił temat, swoim zwyczajem trafiając w samo sedno:

— No i co jej powiedziałaś na pożegnanie?

— Komu? — Ted udał, że nie rozumie.

— Nie wciskaj mi kim, głupku. Doskonale wiesz, mówię.

T

o kim

ed westchnął.

— Nic jej nie powiedziałem. Zamierzałem nawet zadzwonić do niej wczoraj, ale to nie ma sensu. Nie mogę tak postąpić wobec Shirley.

— Shirley nie miałaby tych obiekcji. Nie krzywdzisz jej, tylko siebie, Ted. I Fernandę. Ona cię potrzebuje.

— Być może ja jej także. Ale mam już żonę.

— Jędzę, a nie żonę — wypalił bez ogródek Rick. Grubo przesadził; Shirley była dobrą kobietą, a po prostu niewłaściwą partnerką dla Teda. Ona także nie była z nim szczęśliwa. — Mam nadzieję, że kiedyś wreszcie zmadrzejesz, zanim będzie za późno — ciągnął z ferworem. — A przy okazji, może zjedlibyśmy razem obiad po niedzieli? Chcę o czymś z tobą pogadać.

— O czym? — zaciekawił się Ted.

— Wierz lub nie, chcę zasięgnąć u ciebie rady.

— Z rozkoszą ci jej udzielę! — Jeśli miało to związek ze zbliżającym się ożenkiem Ricka, trudno było go uważać za eksperta; wręcz przeciwnie. Ale ostatecznie byli starymi przyjaciółmi. — A propos, kiedy wybierasz się przepytać Sama?

DANIELLz STEEL

— Idź najpierw ty. Ciebie zna lepiej. Nie chcę go straszyć, a może się okazać, że dowiesz się wszystkiego, co mi jest potrzebne.

— W porządku. Dam ci znać.

Umówili się, że się zdzwonią za parę dni, a nazajutrz Ted wybrał się z wizytą na Pacific Heights. Fernanda siedziała w salonie z Jackiem Watermanem; wyglądali, jakby mówili o interesach. Wkrótce potem Jack pożegnał się i wyszedł. Ted spędził cały czas na rozmowie z Samem. Fernanda była roztargniona i zaaferowana; mimo woli Ted zaczął się zastanawiać, czy jest coś między nią a Jackiem. Nie byłby to zły wybór, przeciwnie

bardzo rozsądny. Czuł przez skórę, że Jack także jest tego zdania.

Nazajutrz w prasie ukazał się ponury artykuł o niesławnym końcu kariery Aflana Barnes. Nie wspomniano w nim tylko o samobójstwie — Ted wyczuwał tu rękę Fernandy. Zastanawiał się, czy właśnie nad tym naradzała się z Jackiem i dlatego była tak zdenerwowana. Nie dziwił się jej, ale lepiej było ujawnić stan faktyczny. Jak dotąd prasa nie wiedziała jeszcze o porwaniu. Z pewnością sprawa zatoczy szersze kręgi w trakcie procesu Malcolma Starka i Jima Free, ale ten nie odbędzie się tak prędko. Na razie kidnapery przebywali w więzieniu na podstawie cofniętego zwolnienia i czekali na wyznaczenie daty pierwszej rozprawy.

Sam okazał się cennym świadkiem mimo młodego wieku. Zdumiewające, ile zaobserwował i zapamiętał w tych jakże traumatycznych okolicznościach.

Później życie rodziny Barnesów nabrało tempa. Fernanda skończyła czterdzieści lat i z tej okazji dzieci zabrały ją na ucztę do baru, w którym serwowano naleśniki z całego świata. Jeszcze rok temu do głowy by jej nie wpadło, że tak będzie obchodzić okrągłą rocznicę urodzin, ale teraz nie pragnęła niczego więcej. Wkrótce potem powiedziała dzieciom, że sprzedaje dom. Ashley i Will byli zaskoczeni, Sam nie — przyznał się, że już od dawna o tym wiedział. Po tym oświadczeniu ich życie przybrało posmak tymczasowości, jak gdyby już siedzieli na walizkach. Ashley skarżyła się, że wieść, iż jej ojciec stracił wszystkie pieniądze, rozniosła się po szkole i niektóre dziewczynki nie chciały się już z nią przyjaźnić. Will, który w tym roku przygotowywał się do matury, był tym oburzony. Żadne z dzieci nie chwaliło się, że byli obiektami zakusów porywaczy. Ta sprawa była zbyt poważna i groźna, aby stać się przedmiotem szkolnego wypracowania pod tytułem „Jak spędziłem wakacje”. Rozmawiali o tym tylko pomiędzy sobą. Policja nalegała na zachowanie dyskrecji, żeby ustrzec się naśladowców i prasy.

Jedna z potencjalnych nabywczyń domu aż jęknęła, kiedy zobaczyła kuchnię.

— Mój Boże, dlaczego pani jej nie wykończyła? Taki dom powinien mieć kuchnię w odpowiednim stylu! — Spojrzała pogardliwie na Fernandę i pośrednika.

Fernanda z trudem opanowała chęć, żeby dać jej po

— Była wykończona, ale w lecie mieliśmy tu mały wypadek — odpowiedziała nie wdając się w szczegóły.

— Jaki wypadek — wystraszyła się kobieta.

— Nic poważnego. Zdecydowałam się jednak usunąć okładziny. — Z powodu dziur po kulach i plam krwi, dodała w duchu.

Porwanie wydawało się koszmarnym snem. Sam powiedział o nim Swojemu najlepszemu koledze. Chłopczyk mu nie uwierzył, a nauczycielka zbeształa go, że nieładnie jest kłamać i wymyślać niestworzone historie. Sam wrócił do domu z płaczem.

— Nie uwierzyła mi! — poskarżył się matce.

Któż by w to uwierzył? Fernanda sama wciąż nie mogła oswoić się z myślą, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Odsuwała tę myśl jak najdalej od siebie, ale dręczący ją nie do końca sprecyzowany lęk pozostał.

Sam budził się w nocy z krzykiem. Była z nim u psychiatry, lekarki specjalizującej się w urazach u dzieci, która ją pocieszyła, że Sam zniósł porwanie zaskakująco dobrze, a przy odpowiednim postępowaniu jego radosne usposobienie pomoże mu zwalczyć uraz i lęki z czasem ustąpią.

Ted wpadał do nich co jakiś czas przez cały wrzesień, spisując i uzupełniając zeznania Sama. Potem zniknął z ich życia, choć Fernanda nieraz o nim myślała i wciąż powtarzała sobie, że musi do niego zadzwonić. Tymczasem oprowadzała po domu potencjalnych kupców, rozglądała się za mniejszym lokum i szukała pracy. W portfelu widać już było dno. Starła się nie wpadać w panikę, ale często rozmyślała nad tym do późna w noc. Will uspokajał ją mówiąc, że będzie pracował po lekcjach, aby jej pomóc. Martwiła się o jego college. Na szczęście miał dobre stopnie kwalifikujące go do systemu stypendialnego Uniwersytetu Kalifornijskiego, ale nadal nie wiedziała, skąd weźmie na akademik. Czasem trudno jej było uwierzyć, że Allan posiadał ongiś setki milionów dolarów, choć jego dobra passa nie trwała długo. Nigdy nie była w takim finansowym dołku jak w tej chwili. To ją przerażało.

Jack któregoś dnia zaprosił ją na lunch i zagał rozmowę na ten właśnie temat. Zaczął od stwierdzenia, że nie chciał go poruszać wcześniej, bo po śmierci Allana mógł urazić jej uczucia, a potem Sam został porwany i wszyscy odchodzili od zmysłów. Od dawna już jednak o tym myślał i podjął decyzję.

Tu przerwał, jakby oczekiwał fanfar. Fernanda na próżno usiłowała się połapać, do czego zmierza.

— Jaką decyzję? — spytała tępo.

— Uważam, że powinniśmy się pobrać.

Wytrzeszczyła na niego oczy pewna, że żartuje. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Jack mówi najpoważniej w świecie.

— Podjąłeś decyzję? — powtórzyła. — Ot tak, nie pytając mnie o zdanie, nawet mnie nie informując? Czyżbym nie miała tu nic do powiedzenia?

— Fernando, nie oszukujmy się, już teraz ledwie wiążesz koniec z końcem. Nie dasz rady utrzymać dzieci w prywatnych szkołach. Will jesienią idzie do college'u. A ty nie masz żadnych kwalifikacji zawodowych — oznajmił rzeczowo.

— Przepraszam, chcesz się ze mną żenić czy mnie zatrudnić?

— warknęła czując narastającą złość. Próbował dysponować jej życiem nie wzięwszy w ogóle pod uwagę jej samej. Co więcej, nie

wspomniał ani słowem o miłości. Ta propozycja rzeczywiście brzmiała bardziej jak oferta pracy niż jak oświadczyzny. Nie pochlebiała jej, wprost przeciwnie, uwłaczała. Czuła się jak kupowany samochód, nie zaś przyszła towarzyszka życia.

— Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić. Poza tym dzieci mnie lubią — odparł Jack z lekką irytacją. Wszystko to było dlań najzupełniej logiczne.

— Ach tak? — Fernanda zdecydowała, że odpowie mu w równie obcesowym tonie.

— Jest jeden mały szkopał: ja cię nie kocham.

— Miłość! — prychnął. — Z czasem się pokochamy.

Fernanda zawsze lubiła Jacka, uważała go za dobrego, rozsądnego i odpowiedzialnego człowieka, ale między nimi nigdy nie „iskrzyło”. Jeśli miałyby znów wyjść za mąż, to z potrzeby serca, nie rozumu.

— Myślę, że dla nas obojga to sensowne wyjście — argumentował Jack. — Ja od dawna jestem wdowcem, nieźle zresztą sytuowanym, a Allan zostawił cię w strasznych tarapatach. Fernando, chcę się opiekować tobą i dziećmi.

Prawie ją wzruszył, lecz niedostatecznie. Westchnęła głęboko, spoglądając na niego. Czekał na odpowiedź. Złożył dobrą ofertę i nie widział powodu, by Fernanda miała się długo nad nią namyślać. Jakby rzeczywiście proponował jej posadę albo kupno odkurzacza. Zaczynała rozumieć, dlaczego dotąd się powtórnie nie ożenił. Jeśli oświadczał się w tym tonie i traktował związek tak pragmatycznie, może lepiej powinien sprawić sobie psa.

— Przykro mi, Jack — powiedziała najłagodniej, jak umiała.

— Nie mogę.

— Dlaczego? — Spojrzał na nią zdumiony.

— Może uznasz mnie za wariatkę, ale nie wierzę w małżeństwo bez miłości.

— Nie jesteś już podlotkiem, Fernando. Masz obowiązki w stosunku do swoich dzieci. Miała sprzedać się w niewolę, żeby móc posłać Willa do Harvardu. W jej pojęciu graniczyło to z prostytutką. Nie, po stokroć wołała, żeby studiował na stanowej uczelni. Nie mogła tego zrobić — nawet dla dobra dzieci.

Jack mylnie zinterpretował jej milczenie.

— Jeśli to przemyślisz, sama przyznasz mi słuszność — rzekł zachęcająco.

— Jesteś wspaniałą i naprawdę na ciebie nie zasługuję

— powiedziała wstając. Nie potrafiła zwalczyć w sobie uczucia, że oto długie lata ich przyjaźni zostały właśnie spuszczone w klozecie.

— Może i masz rację — oświadczył, pociągając za łańcuszek wyimaginowanej splotki. Nieomal słyszała szum spływającej wody. — Mimo to gotów jestem się z tobą ożenić.

— Ale ja cię nie chcę — odparła patrząc mu prosto w oczy.

Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jest aż tak apodyktyczny. Liczyło się dla niego tylko własne zdanie; podjąwszy decyzję żądał od Fernandy, by się jej podporządkowała. Nie zamierzała spędzić reszty życia słuchając rozkazów kogoś, kto jej nie szanuje. Rzuciła serwetkę na krzesło i spojrzała na niego z góry.

— A skoro już mówimy o interesach, Jack — dodała — zwalnię cię.

Następnie obróciła się na pięcie i wyszła.

Rozdział XXII

Dom udało się sprzedać

tuż przed Bożym Narodzeniem, mogli więc spędzić jeszcze jedno święta w wielkim salonie, z wysoką choinką pod czarodziejskim wiedeńskim kandelabrem.

Majestatyczny wystrój zdawał się odpowiedni, stanowił nagrodę

— mieli przecież za sobą bardzo ciężki rok. Fernanda wciąż szukała pracy. Starła się o biurową posadę w niewielkim wymiarze godzin, tak żeby mogła odbierać ze szkoły Sama i Ashley. Dopóki nie wyfruną z domu, chciała mieć dla nich czas. Chociaż wiedziała, że inne matki korzystają z opiekunek, przedszkoli albo po prostu wieszają dzieciom klucz na szyi, robiła co w jej mocy, aby tego uniknąć. Pragnęła dać dzieciom tyle miłości, ile tylko zdoła.

Dom kupiło starsze małżeństwo z Nowego Jorku. Pośrednik wyjawiał jej w zaufaniu, że są to ludzie bardzo majątni. Fernanda zdawkowo wyraziła podziw, w duchu zaś dodała: „Niech się cieszą fortuną, póki trwa”. W minionym roku życie wciąż udzielało jej lekcji, co jest naprawdę ważne. Po porwaniu Sama nie miała już co do tego wątpliwości. Najważniejsze są dzieci. Reszta się nie liczy. A pieniądze, jeśli tylko mają co jeść, też nie są istotne.

Zamierzała ogołocić wnętrze z cenniejszych rzeczy i wyprzedać je na aukcjach, ale nabywcom tak spodobał się wystrój, że kupili dom wraz z całą zawartością płacąc zań niemal potrójną cenę. Nie mogli się nachwalić jej gustu. Wszyscy więc byli zadowoleni.

Wyprowadzili się w styczniu. Ashley płakała, Sam też miał smutną minę, za to Will jak zawsze był jej ogromną pomocą i podporą — pakował i nosił pudła, sam też praktycznie zorganizował transport. Nowy dom znaleźli z Willem w Sausalito; stał wysoko na wzgórzu i rozciągał się zeń widok na przystań jachtową i zatokę. Był malutki, przytulny i bezpretensjonalny. Od razu ujął Fernandę za serce, bez wahania więc wpłaciła pierwszą ratę, resztą obciążając hipotekę. Dzieci też natychmiast go polubiły. Zdecydowała się zapisać Ashley i Sama do publicznej szkoły w Marinie, Will natomiast, któremu zostało tylko parę miesięcy do matury, dojeżdżał do swojej szkoły w mieście. Dwa tygodnie po przeprowadzce Fernanda znalazła pracę w niewielkiej galerii oddalonej zaledwie o pięć minut drogi od nowego domu. Właściciel zgodził się, żeby wychodziła o trzeciej. Pensja była głodowa, ale przynajmniej pewna. Poza tym zatrudniła nowego adwokata, kobietę. Jack wciąż był na nią śmiertelnie obrażony. Ilekroć wspominała jego oświadczenia, ogarniał ją równocześnie smutek i pusty śmiech. Wylazł z niego wtedy taki niewiarygodny, potworny bufon. Nie znała go wcześniej z tej strony.

Innym wspomnieniem, które nigdy nie budziło jej uśmiechu, a wciąż często zsyłało koszmarnie sny, było wspomnienie zeszłorocznego porwania. Bez żalu pozostawiła je w starym domu. Nie mogła tam zasnąć, dręczył ją obezwładniający lęk, że stanie się coś strasznego. W Sausalito sypiała znacznie lepiej.

Od października Ted już się nie odzywał. Zadzwoił dopiero w marcu i spytawszy, jak się miewa, oznajmił, że wyznaczono wreszcie termin dwukrotnie już odraczanego procesu Malcolma Starka i Jima Free. Miał się odbyć w kwietniu.

— Sam będzie musiał zeznawać — powiedział z zakłopotaniem. — Boję się, jak to zniesie — dodał cicho.

— Ja też — przyznała Fernanda.

Myśląc o nim doznawała dziwnej mieszanki uczuć. Towarzyszył jej w najgorszym okresie życia, nieomal splótł się z nim nierozzerwalnie we wspomnieniach, ale mimo to pamięć o nim zawsze była jej miła.

Ted właśnie tego się obawiał. Często o niej myślał, ale nie odważył się wcześniej zadzwonić, mimo że Rick Ho]mquist bez przerwy go namawiał. Był pewien, że Fernanda nie tęskni za tym, aby jej przypominał tamte ciężkie chwile. Rick powiedział mu krótko a dosadnie, że jest głupi.

— Z czasem się z tego otrząśnie — rzekła Fernanda myśląc o Samie.

— Jak się teraz czuje?

— Świetnie. Jakby nic złego mu się nie zdarzyło. Chodzi do nowej szkoły razem z Ash. Chyba dobrze im to zrobiło. Zaczęli wszystko od nowa.

— Widzę, że zmieniła pani adres.

— Uwielbiam swój nowy dom — zwierzyła mu się z uśmiechem, który wyczuł w jej głosie. — Pracuję w galerii, pięć minut od domu. Naprawdę musi nas pan kiedyś odwiedzić.

— Odwiedzę — przyrzekł i znowu znikł.

Odezwał się ponownie trzy dni przed rozprawą. Zadzwonił z informacją, gdzie i kiedy ma się stawić z Samem. Kiedy powtórzyła to synkowi, wybuchnął płaczem.

— Nie chcę tam iść. Nie chcę ich nigdy więcej widzieć!

Rozmawiała z jego psychoterapeutką. Miała poważne wątpliwości, czy Sam w ogóle będzie w stanie zeznawać i czy mu to nie zaszkodzi. Lekarka była zdania, że rozprawa i wyrok mogą nareszcie zamknąć tę sprawę także w pamięci Sama. Fernanda obawiała się, że o wiele bardziej prawdopodobny będzie powrót sennych koszmarów. Dla Sama ta sprawa była już zamknięta. Odbito go, zabijając dwóch porywaczy, w tym tego, który pomógł mu uciec. Pozostała dwójka siedziała w więzieniu. Jej to wystarczyło i uważała, że Samowi też. W końcu chłopczyk sam zdecydował, że jednak pójdzie do sądu. Ale w wyznaczonym dniu zaraz po śniadaniu zaczął się skarżyć na ból brzucha. Fernanda też miała uczucie, że lada chwila zwymiotuje. Nie była w stanie opanować zdenerwowania.

Ted czekał na nich przed budynkiem. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy go widziała po raz ostatni — chodząca oaza spokoju, pełen umiaru w mowie, zachowaniu i stroju. Gdy jednak zwrócił się do Sama, na jego twarzy odmalowała się troska.

— Jak leci, partnerze? — spytał z uśmiechem, widząc nieszczęśliwą minę chłopczyka.

— Jest mi niedobrze.

— O, to źle. A dlaczego? Możesz mi to wyjawić?

— Boję się, że oni mi zrobią krzywdę — rzekł chłopczyk szczerze. Trudno się było dziwić tej obawie. Raz już go skrzywdzili.

— Nie pozwolę na to. — Ted odchylił marynarkę, pokazując pistolet w kaburze pod pachą. — Mam to na podorędziu, a poza tym wprowadzą ich do sądu w kajdankach na rękach i nogach. Będą mieli skrepowane ruchy.

— Mnie też skre... skrepowali — wyjąkał Sam żałośnie i zaczął płakać. Dobrze, że o tym mówił, a nie tłumił w sobie urazu, ale Fernanda podniosła na Teda zrozpaczony wzrok. Wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł. Kazał im iść do bufetu na lemoniadę, on tymczasem coś sprawdzi.

Zajął mu to w sumie dwadzieścia minut. Rozmawiał z sędzią, obrońcą z urzędu i prokuratorem. W końcu doszli do zgody:

Sam złoży zeznania w pokoju sędziowskim, w obecności ławy przysięgłych, lecz nie oskarżonych. Tych mógł rozpoznać ze zdjęć; nie musiał się z nimi stykać. Ted podkreślał, że chłopczyk już przeżył psychiczny szok; nie było potrzeby go pogłębiać zmuszając dziecko do konfrontacji z porywaczami w sali sądowej.

Kiedy oznajmił to Barnesom, Sam się rozpromienił, a Fernanda westchnęła z ulgą. — Jestem pewien, że polubisz panią sędzinę — zapewnił Sama Ted. — To bardzo miła osoba.

Sędzina okazała się starszą panią o babcinej posturze i ciepłym uśmiechu. Serdecznie powitała chłopca, a w czasie krótkiej przerwy częstowała go mlekiem i ciasteczkami i opowiadała mu o swoich wnukach. Sam i jego matka ujęli ją za serce, głęboko im współczuła, że tyle przeszli.

Najpierw pytania zadawał oskarżyciel. Obrona miała uczynić to po południu, po przerwie, zastrzegła sobie też prawo ponownego wezwania świadka w późniejszym terminie. Jak dotąd Sam radził sobie znakomicie. Ted wcale nie był tym zaskoczony.

Kiedy sędzina zarządziła przerwę, Ted zabrał ich na lunch do małej włoskiej restauracji niedaleko sądu. Nie mieli czasu na dłuższą wycieczkę, ale czuł, że powinni wyjść z gmachu i nieco się odprężyć. Oboje, i Sam, i Fernanda, jedli w milczeniu. Mieli za sobą trudny ranek, który obudził na nowo wiele bolesnych wspomnień; Fernanda obawiała się ich wpływu na Sama. Chłopczyk nie stracił jednak równowagi ducha, był tylko przygaszony.

— Przykro mi, że musicie przez to przechodzić — powiedział Ted regulując rachunek. Fernanda zaofiarowała się, że pokryje połowę, lecz z uśmiechem odmówił. Miała na sobie czerwoną sukienkę, wysokie obcasy i makijaż. Ted mimo woli zastanowił się, czy spotyka się z Jackiem Watermanem. Nie pytał. Równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny. Widział, że Fernanda jest w znacznie lepszej formie niż zeszłego lata. Przeprowadzka i nowa praca miały na nią zbawienny wpływ. On sam też zamierzał dokonać w swoim życiu pewnych zmian. Zwierzył się, że po trzydziestu latach rzuca pracę w policji.

— Dlaczego? — Fernanda szczerze się zdumiała. Ted był gliną z krwi i kości; wiedziała, że kocha swoją pracę.

— Mój dawny partner Rick Holmquist zakłada własną firmę ochroniarską. Prywatne śledztwa, ochrona znanych osobistości i tym podobne. Dla mnie to egzotyka, ale nigdy nie jest za późno na naukę. Rick ma ambitne plany i przyznaję mu rację w tym, że po trzydziestu latach pora na jakąś zmianę.

Fernanda zdawała sobie sprawę, że po trzydziestu latach Ted otrzyma pełną emeryturę w niebagatelnej kwocie. Pracował więc nadal z chęci, a nie konieczności, choć interes, który zamierzali rozkręcić z Rickiem, też wyglądał na dochodowy.

Popołudniu obrońca dokładał wszelkich starań, by podważyć zeznania Sama, ale mu się to nieudało. Chłopczyk niewzruszenie obstawał przy swoim, dając dowody niezawodnej pamięci. Nie dał się zbić z tropu, bez wahania rozpoznał obu oskarżonych na pokazanych mu fotografiach, choć będąc więziony widział ich tylko przez przełomie, z dała przez uchylone drzwi. Fernanda nie mogła ich zidentyfikować, bo w czasie porwania mieli na sobie kominiarki, ale jej opowieść o przebiegu porwania była poruszająca, a opis sceny mordu w kuchni zapierał dech. Na koniec sędzina podziękowała im i odesłała ich do domu.

— Byłeś prawdziwą gwiazdą! — wykrzyknął z entuzjazmem Ted, kiedy razem opuszczali gmach sądu. — Mało który dorosły byłby temu spróstał. Jak brzuszek? — Już nie boli — rzekł Sam z zadowoleniem. Nawet sędzina pochwaliła go za dobrą robotę.

— Trzeba to uczcić. Chodźmy na wielkie lody — zaproponował Ted.

Dwoma samochodami pojechali więc na plac Ghirardello. Nawet Fernanda dała się wprawić w świąteczny nastrój postawionym jej przez Teda korzennym piwem.

— Czuję się jak małolata na prywatce — chichotała.

Kamień spadł jej z serca na wieść, że udział Sama w procesie już się zakończył. Ted twierdził, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby wzywano go powtórnie. Każde jego słowo stanowiło brutalny cios dla obrony. Ted nie wątpił, że zapadną wyroki skazujące, podejrzewał też, że sędzina, choć taka miła i serdeczna, tym razem orzeknie karę śmierci. Była to trzeźwiąca myśl.

Opowiedział Fernandez, że Phillip Addison będzie sądzony osobno w sądzie federalnym pod zarzutem współorganizacji porwania, a także uchylania się od podatków, prania pieniędzy oraz przemytu i handlu narkotykami. Groziło mu długoletnie więzienie. Nie zanosilo się jednak na to, aby Sam miał zeznawać także i w jego sprawie. Ted zamierzał zasugerować Rickowi, aby posłużyli się protokołami zeznań Sama z sądu okręgowego i zaoszczędzili chłopcu dalszych stresów. A choć Rick opuszczał szeregi FBI, Ted wiedział, że przekaze sprawę Addisona w dobre ręce. Zresztą Rick także miał świadczyć w tej sprawie. Zależało mu, by uzyskać dla Addisona co najmniej dożywocie. Zarzuty były poważne i Rick, tak jak Ted, chciał, by sprawiedliwości stało się zadość. Fernanda czuła ulgę. Dobrze było mieć tę paskudną sprawę za sobą. Kiedy nie wisiało już nad nimi widmo procesu, koszmar nareszcie się skończył.

Wyrok zapadł miesiąc później, niemal dokładnie w rocznicę dnia, w którym Ted po raz pierwszy zapukał do drzwi Fernandy w związku z eksplozją na ulicy. Malcolm Stark i Jim Free zostali skazani na karę śmierci. Proces Addisona jeszcze się nie rozpoczął, jego adwokaci robili wszystko, by go odwlec, choć ich pracodawca siedział za kratami. Prędzej czy później jednak i on poniesie odpowiedzialność za swe czyny, tak jak tamci dwaj.

Ted natychmiast zadzwonił do Fernandy.

— Czytała pani w prasie orzeczenie sądu? — spytał.

— Tak — potwierdziła. — Zawsze byłam przeciwniczką kary śmierci, ale tym razem zmieniłam zdanie. Człowiek patrzy na to inaczej, gdy to on jest ofiarą.

Fernanda była dostatecznie religijna, by uważać, że człowiek nie ma prawa odbierać bliźniemu życia. Ale ci ludzie przypisali sobie takie prawo, zabili policjantów, grozili śmiercią porwanemu dziecku. A ponieważ było to jej własne dziecko, Fernanda po raz pierwszy gotowa była żądać pomsty. Oczywiście wiedziała, że gdyby zabili Sama, żadna kara nie byłaby wystarczającym zadośćuczynieniem, ponieważ nic nie byłoby w stanie przywrócić go życiu. Ona i Sam mieli wiele, wiele szczęścia. Ted również zdawał sobie z tego sprawę i dziękował niebiosom, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Termin egzekucji nie został jeszcze określony; skazani mieli teraz mnóstwo czasu na apelacje, ale były wszelkie dane, by spodziewać się wykonania wyroku.

Zaczęli gawędzić o innych sprawach. Ted był w dobrym nastroju. Zwierzył jej się, że nie ma wolnej chwili, choć tydzień wcześniej wśród licznych pożegnalnych przyjęć opuścił wydział śledczy policji San Francisco.

— A, właśnie! Kiedy przyjdzie pan do nas na obiad?

— przypomniała sobie Fernanda.

Chciała mu się odwdziaczyć za jego życzliwość — choćby smacznym obiadem. Ich kontakt się urwał, żałowała tego, choć zarazem był to znak, że jej życie stopniowo wraca do normy. Miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała korzystać z pomocy policji. Teda jednak nie uważała za zwykłego policjanta. Był przyjacielem.

— Prawdę mówiąc, po części dlatego dzwonię. Zamierzałem zapytać, kiedy mogę was odwiedzić. Mam prezent dla Sama.

— Ucieszy go pańska wizyta — uśmiechnęła się Fernanda i spojrzała na zegarek. Spieszyła się do pracy. — Może jutro?

— Bardzo chętnie. — Uśmiechnął się i jeszcze raz zapisał jej nowy adres. — O której?

— O siódmej?

— Świetnie.

Ted odłożył słuchawkę i zapatrzył się w okno swojego nowego biura. Rozmyślał. Trudno było uwierzyć, że od tamtych wydarzeń minął już rok. Niedawno właśnie sobie o tym przypomniał czytając w gazecie nekrolog starego McIntyre'a. Sędzia zmarł z przyczyn naturalnych, przeżywszy jeszcze rok po nieudanym zamachu.

— O czym tam znowu dumasz? Nie śpij! Czas goni! Nie masz nic do roboty? — zbeształ go żartobliwie Rick przystając w drzwiach. Interes się rozkręcał, istniał spory popyt na ich usługi i mieli coraz więcej zleceń. Ted powiedział niedawno swojemu byłemu partnerowi z policji, Jeffowi Stone'owi, że nowa praca sprawia mu ogromną przyjemność — większą, niż się spodziewał. Poza tym cieszył się, że znów pracuje z Rickiem.

— I kto to mówi! — fuknął. — Facet, który wczoraj zmarnował trzy godziny na lunch. Jak tak dalej pójdzie, obetnę ci pensję, były agencie Holmquist!

Rick udał urażoną minę. Oczywiście spędził te trzy godziny z Peg. Za kilka tygodni mieli się pobrać, w związku z czym Rick patrzył na cały świat przez różowe okulary.

— I nie myśl sobie, że dostaniesz płatny urlop na miodowy miesiąc — ciągnął niewzruszenie jego przyszły druhna. — To poważna firma. Jeśli chcesz gruchać z Peg pod włoskim niebem, rób to za własne pieniądze!

Rick parsknął śmiechem, wszedł do środka i usiadł. Tak szczęśliwy nie był od lat. Biurokracja w FBI znużyła go do reszty, znacznie przyjemniej było mu działać na własny rachunek.

— O czym tak rozmyślałeś? — zagadnął widząc, że Teda coś gryzie.

— Jem jutro obiad u Barnesów. Przeprowadzili się do Sausalito.

— To miłe. Czy wolno mi spytać, detektywie Lee, jakie ma pan zamiary? —

Spojrzenie Ricka było poważniejsze niż jego słowa. Znał uczucia Teda, nie wiedział tylko, co przyjaciel zamierza w związku z tym przedsięwzięciem. Ale Ted również tego nie wiedział.

— Żadne — fuknął. — Zajrzę, spytam, jak leci, pogadam z dziećmi.

— A to wielka szkoda — zmartwił się Rick. — I znów całkiem dobra kobieta się zmarnuje! — Sam był tak szczęśliwy z Peg, że chętnie przychyliłby nieba wszystkim wokół.

Masz rację, to dobra kobieta — zgodził się Ted. Nękało go jednak mnóstwo skrupułów, z którymi nie mógł dojść do ładu, i wątpił, czy kiedykolwiek się ich pozbędzie. — Bez obaw. Na pewno kogoś ma. Na procesie wyglądała prześlicznie. — Może chciała być śliczna dla ciebie? — podsunął Rick.

Ted wybuchnął śmiechem.

— Co za głupi pomysł!

— Wiesz co? Ty jesteś głupi. Stary, a głupi. Czasami strasznie mnie wkurzasz. Poprawka: właściwie stale mnie wkurzasz. Kiedy wreszcie zmądrzejesz? — Rick wstał i z uniesioną brodą wymaszerował z pokoju. Wiedział, że jego przyjaciel jest zbyt uparty, aby dał się przekonać.

Przez resztę popołudnia obaj byli zajęci. Ted zasiedział się do późna w pracy — jak zwykle.

Nazajutrz większość dnia spędził w terenie i Rick zobaczył go dopiero wieczorem, kiedy Ted wprost z biura wybierał się do Sausalito. Właśnie chował do kieszeni przewiązany wstążeczką pakiecik.

— Co tam masz? — zainteresował się Rick.

— Nie twój interes — odparował wesoło tamten.

— No, ładnie! — rzekł Rick zgorszonym tonem, a gdy Ted go mijał, krzyknął za nim:

— Powodzenia!

Odpowiedział mu śmiech i stuknięcie zamykanych drzwi. Po wyjściu Teda Rick stał na środku pokoju przez dłuższą chwilę, pogrążony w zadumie. Miał nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Ted już dawno zasłużył na jakiś uśmiech losu. Być może nareszcie przyszedł na to czas.

Rozdział XXIII

Fernanda krzątała

się w fartuchu po ciasnej kuchni, kiedy zadźwięczał dzwonek.

— Otwórz! — zawołała do Ashley.

Dziewczynka w ciągu roku urosła o trzy cale i Ted zdumiał się, kiedy ją zobaczył. Spodziewał się ujrzeć dziecko, tymczasem miał przed sobą niespełna czternastoletnią kobietę. Ubrana w krótką dzinsową spódniczkę, trykotową koszulkę i matczyne sandały Ashley wyglądała prawie jak wierna kopia Fernandy. Miały te same rysy, ten sam uśmiech, te same wymiary, choć była już trochę wyższa od matki, i te same proste jasne włosy.

— Jak leci, księżniczko? — zapytał swobodnie Ted wchodząc do środka. Lubił dzieci Fernandy; były grzeczne, dobrze wychowane, serdeczne, inteligentne i wesołe. Widać było, ile miłości i starania poświęciła im matka.

Fernanda wystawiła głowę z kuchni i zaproponowała mu lampkę wina. Odmówił. Nie pijał dużo, nawet poza służbą (teraz cały czas już był poza służbą). Fernanda znikła, za to wszedł Will, z radością uściśnął mu dłoń i wciągnął w rozmowę o jego nowej pracy. Po chwili do pokoju wpadł jak bomba Sam. Jego temperament wyśmienicie pasował do płomiennorudych włosów. Na widok Teda uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Mama mówiła, że masz dla mnie prezent. Co mi przyniosłeś?

— Sam!!! — Fernanda wybiegła z kuchni. — Jak ty się zachowujesz?

— No przecież sama mówiłaś.

— Tak, ale gdyby pan Lee zmienił zdanie albo zapomniał? Postawiłbyś go w niezręcznej sytuacji.

— Ach... — Sam nieco się speszył, lecz w tej samej chwili Ted wręczył mu przywieziony z biura pakiecik. Był niewielki, kwadratowy i wyglądał tajemniczo.

— Mogę otworzyć? — Na policzkach Sama pojawiły się łobuzerskie dołeczki.

— Oczywiście, że możesz. — Ted miał lekkie wyrzuty sumienia, że nie przyniósł nic starszemu rodzeństwu, ale to było coś, co już dawno przeznaczył w duchu dla Sama. Pamiątka, która wiele dla niego znaczyła. Miał nadzieję, że dla chłopca też będzie cennym skarbem.

W paczuszce było małe wytarte skórzane etui, a w nim oryginalna odznaka policyjna w kształcie gwiazdy z numerem identyfikacyjnym Teda — ta sama, którą nosił przez trzydzieści lat. Samowi odjęło mowę. Fernanda także osłupiała.

— Pra... prawdziwa? — wyjąkał Sam. Była nieco porysowana, lecz Ted wypolerował ją z tej okazji szczególnie pieczołowicie i teraz lśniła w rękach chłopca.

— Najprawdziwsza. Przeszedłem na emeryturę i już jej nie potrzebuję. Ale jest dla mnie bezcenna. Chciałbym, abyś teraz ty ją miał. Niniejszym awansuję cię z honorowego detektywa na pełnoprawnego funkcjonariusza policji San Francisco. To wielkie wyróżnienie zaledwie po jednym roku — rzekł z uśmiechem Ted. Istotnie, minął rok od tamtej żartobliwej nominacji za zeznania w sprawie wysadzonego samochodu.

— Mogę ją założyć?

— Jasne. — Ted przypiął mu gwiazdę i Sam pobiegł obejrzeć się w lustrze. Fernanda zerknęła na detektywa z wdzięcznością.

— To niesamowicie hojny gest z pańskiej strony — powie- - działa miękko.

— Zasłużył na nią. Ten chłopiec bardzo wiele przeszedł.

Oboje o tym wiedzieli. Fernanda skinęła głową, a Ted z uśmiechem przyglądał się chłopcu płasającemu po pokoju z gwiazdą na piersi.

— Jestem detektywem! Jestem detektywem! — pokrzykiwał. Nagle przystanął i spojrział na Teda pytająco. — Mogę aresztować, kogo zechcę?

— Tak, z tym że na twoim miejscu byłbym ostrożny. Na razie nie bierz się do ludzi znacznie od ciebie większych, którzy mogliby się rozgniewać.

Przypuszczał, i słusznie, że Fernanda schowa gwiazdę pośród innych skarbów Sama, takich jak zegarek czy spinki ojca. Będzie pieczołowicie przechowywana i od czasu do czasu oglądana z pietyzmem. Wszyscy chłopcy mieli takie swoje skarby.

— Aresztuję moich kolegów, co do jednego — oznajmił Sam dumnie. — Mogę ją wziąć do szkoły, mam? — Był tak podniecony, że nie mógł ustać spokojnie. Ted był bardzo rad. Dobrze wybrał prezent.

— Ja ją wezmę do szkoły — sprostowała matka — i zabiorę z powrotem, kiedy już się nią pochwalisz. Nie chciałbyś przecież jej zgubić, prawda? To wyjątkowy prezent.

— Wiem — szepnął Sam z podziwem.

Kilka minut później zasiedli do obiadu. Fernanda przyrządziła pieczeń wołową z warzywami, purée ziemniaczane i yorkshirski pudding, a na deser przygotowała ciasto czekoladowe i lody. Dzieci były pod wrażeniem, że zadała sobie aż tyle trudu, podobnie Ted. Obiad był przepyszny. Po jedzeniu gawędzili dalej przy stole. W końcu dzieci rozeszły się do swoich pokoi. Will musiał się uczyć — w przyszłym tygodniu zdawał końcowy egzamin. Sam zabrał gwiazdkę do siebie, żeby ją dokładnie obejrzeć. Ashley zaś usiadła przy telefonie, chcąc się podzielić nowinami z koleżanką.

— Ależ to była uczta! Palce lizać! — Ted westchnął z lubością. — Już dawno się tak nie najadłem — dodał czując, że nie zdoła się poruszyć. Ostatnio przeważnie pracował do późna, potem chodził na siłownię i wracał do domu tuż przed północą. Rzadko jadał kolacje, przekąszał tylko coś w czasie pracy. — Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem normalny domowy obiad.

Żona panu nie gotuje? — zdziwiła się Fernanda i nagle zauważyła brak obrączki, którą nosił rok wcześniej.

— Już nie — bąknął, apotem uznał, że powinien to wyjaśnić.

— Rozstaliśmy się tuż po Bożym Narodzeniu. Chyba od dawna się na to zanosilo i zapewne powinniśmy to byli zrobić wcześniej. Ale i tak było nam bardzo ciężko. Minęło pięć miesięcy, a on jeszcze nie umówił się z żadną inną kobietą. W pewnym sensie nadal czuł się mężem Shirley.

— Czy coś się stało? — spytała współczująco Fernanda. Wiedziała, że był bezgranicznie lojalny wobec żony i jak mało kto szanował więzy małżeńskie, choć sam się jej przyznał, że ich związek nie jest idealny; za bardzo się od siebie różnią. — I tak, i nie. Tydzień przed świętami Shirley oznajmiła, że jedzie na wycieczkę do Europy i wróci dopiero po Nowym Roku. Nie mogła pojąć, dlaczego jestem na nią zły. Uważała, że ma prawo się rozerwać, a ja rzucam jej kłody pod nogi. Tymczasem ja byłem zdania, że święta powinniśmy spędzać razem, z dziećmi. Powiedziała, że przez trzydzieści lat dostosowywała się do nas, a teraz kolej na nią. Pewnie miała trochę racji. Pracuje ciężko, zaoszczędziła sobie nieco pieniędzy. Wróciła szczęśliwa. Cieszyłem się przez wzgląd na nią, ale to dowiodło, że nie mamy już wiele ze sobą wspólnego. Tak było niestety od lat i choć dzieci dorosły, my wciąż podtrzymywaliśmy tę małżeńską fikcję. Przemyślałem to wszystko pod jej nieobecność i kiedy wróciła, zapytałem ją o zdanie. Odparła, że już dawno myślała o rozwodzie, lecz nie chciała mnie zranić. No cóż, litość to dosyć wątła podstawa małżeństwa.

Ted westchnął i podjął:

— W trzy tygodnie po naszym rozstaniu poznała kogoś. Oddałem jej dom, a sam wynająłem mieszkanie wmieście, blisko firmy. Trochę ciężko mi się było przyzwyczaić, ale nie narzekam. Teraz żałuję, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. Jestem już ciut za stary, żeby się znów umawiać na randki.

Skończył czterdzieści osiem lat. Fernanda zbliżała się do czterdziestych pierwszych urodzin i czuła się tak samo.

— A pani? — spytał. — Chodzi pani na randki ze swoim prawnikiem?

— Z Jackiem? Skąd ten pomysł? — Fernanda wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła głową, myśląc: „Jaki on jest spostrzegawczy!” Chociaż z drugiej strony, obserwowanie ludzi należało do jego zawodu.

— Wydawało mi się, że ma w stosunku do pani pewne zamiary. — Ted wzruszył ramionami. Reakcja Fernandy zdawała się świadczyć, że jednak pomylił się w swojej ocenie.

— Miał. — Fernanda nieco spoważniała. — Uważał, że powinnam wyjść za niego przez wzgląd na dzieci. Pomógłby mi je utrzymywać. Stwierdził, iż tak będzie najlepiej dla nich i dla mnie, no i podjął decyzję. Jedyne problem w tym, że przed jej podjęciem zapomniał ją ze mną skonsultować. Ja zaś miałam nieco inne zdanie.

— Dlaczego? — zdziwił się Ted. Jack był przystojny, inteligentny i bogaty.

Wymarzony partner. Najwyraźniej jednak Fernanda istotnie była innego zdania.

— Bo go nie kocham — powiedziała z uśmiechem, jakby to tłumaczyło wszystko. — Dostał kosza. Również ze stanowiska mojego adwokata.

— Biedak! — Ted we mógł powstrzymać śmiechu wyobrażając sobie minę podwójnie wzgardzonego prawnika. — Naprawdę mi go żal. Zrobił na mnie wrażenie miłego człowieka.

— To niech pan się z nim ożeni, bo ja nie chcę. Wolę być sama z dziećmi.

Wszystko wskazywało na to, że naprawdę jest sama. Ted zawahał się. Nie był pewien, co powinien teraz powiedzieć.

— A wy? — podjęła. — Wystąpiliście orozwód czy to tylko separacja? — W pytaniu nie było żadnych podtekstów, Fernanda była jedynie ciekawa, jak poważny jest rozdzźwięk. Trudno jej było sobie wyobrazić, że Ted rozszedł się z żoną. On sam również wciąż jeszcze nie mógł się z tym oswoić.

— Rozwód. Uprawomocni się za sześć tygodni. — W jego głosie zabrzmiał smutek.

Cóż, rozwód po dwudziestu dziewięciu latach nie nastraja do śmiechu. Powoli zaczynał się przyzwyczajać, ale to był dla niego spory szok. — Może kiedyś wybierzemy się razem do kina? — zagadnął ostrożnie.

Fernanda uśmiechnęła się. Wydało jej się zabawne rozpocząć od kina, gdy tyle razem przeszli. Ted ocierał jej łzy, kołysał ją do snu i trzymał za rękę, kiedy komandosi odbijali jej syna.

— Bardzo chętnie. Brakowało nam pana — odpowiedziała szczerze.

— Bałem się, że będę wam przypominał tamte straszne chwile.

Potrząsnęła głową.

— W tamtych wspomnieniach to pan jest jasnym punktem. Pan i powrót Sama. — Uśmiechnęła się ponownie, wzruszona jego delikatnością. Zawsze traktował w ten sposób ją i dzieci.

— Sprawił mu pan ogromną radość tą odznaką.

— Bardzo się cieszę. Zamierzałem ją dać któremuś z synów, ale uznałem, że powinien ją mieć Sam. Zapracował na nią.

— O, tak... — mówiąc to, Fernanda wróciła myślą do wydarzeń ubiegłego roku.

Przemknęły jej przez głowę wszystkie słowa, które sobie wzajem powiedzieli, a także te, które pozostały nie wypowiedziane. Łączyła ich wtedy silna więź i tylko

małżeństwo Teda nie pozwoliło jej się rozwinąć. Szanowała go za to. A teraz oboje zaczynali życie od nowa.

Ted spojrzął na nią i nagle oboje zapomnieli o minionych miesiącach. Ubiegły rok rozwiął się, wróciła dawna zażyłość i Ted bez słowa przechylił się przez stół i ją pocałował.

— Tak bardzo za tobą tęskniłem — szepnął.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Ja też. Było mi tak przykro, że nie zadzwoniłaś. Myślałam, że o nas zapomniałaś — mówiła cicho, żeby nikt ich nie słyszał. Dom był mały; dzieci tuż za ścianą.

— Sądziłem, że nie powinienem... Ależ byłem głupi — rzekł i znów ją pocałował. Nie mógł się nią nasycić; żałował, że czekał tak długo. Przez całe miesiące odsuwał myśl o niej, wmawiając sobie, że nie jest dla niej dość dobry ani dostatecznie bogaty. Powinien był puknąć się w czoło. Fernanda była ponad to. Okazała się znacznie od niego mądrzejsza. Już od porwania zdawał sobie sprawę, że ją kocha. A ona kochała jego. To właśnie był ten cudowny fenomen, który starała się wytłumaczyć Jackowi, ale on jej nie zrozumiał. To był prawdziwy komplement od Boga, nie taki jak poprzednie; balsam na stare rany żaloby, bólu i lęku — szczęście, o jakim oboje od dawna marzyli.

Całowali się przy stole, a potem Ted pomógł jej zebrać naczynia i przenieśli się do kuchni. Tulił ją w ramionach, gdy nagle oboje podskoczyli, do kuchni wpadł bowiem Sam.

— Jesteś aresztowany! — wrzasnął, celując do nich dwoma palcami z wymyślnego pistoletu.

— Za co? — spytał Ted oddychając głęboko. Malec omal nie przyprawił go o atak serca. Fernanda oblała się pąsem i zachichotała jak nastolatka.

— Za całowanie mojej mamy — oznajmił chłopczyk, udatnie odgrywając gest chowania broni do kabury.

— Czy jest jakieś prawo, które tego zabrania? — roześmiał się Ted i wciągnął go w krąg utworzony z ich ramion.

— Nie, możesz ją sobie wziąć — odparł rzeczowo Sam, uwalniając się z uścisku. — Ona chyba cię lubi. Mówiła, że za tobą tęskni. Ja też tęskniłem — zakończył i wybiegł w podskokach poinformować siostrę, że miała rację: jednak się całują.

— A zatem klamka zapadła — rzekł Ted przyciągając Fernandę do siebie. — Otrzymałem oficjalną zgodę twojego opiekuna. Mogę cię wziąć już teraz czy porwać cię nieco później?

— Możesz zostać — szepnęła nieśmiało. Jemu też spodobał się ten pomysł.

— Prędko byś się mną znudziła.

Shirley była nim rozczarowana, co mocno podkopało jego samoocenę. To boli, kiedy ktoś, na kim człowiekowi zależy, już go nie kocha. Ale Fernanda była inną kobietą. Rick miał rację, z Fernandą pasowali do siebie znacznie lepiej niż z Shirley, nawet tuż po ślubie.

— Nigdy się tobą nie znudzę — powiedziała cicho.

Z nikim nie czuła się tak dobrze, tak bezpiecznie jak przy nim, nawet w dramatycznych okolicznościach zeszłorocznego porwania. Była to prawdziwa próba i zarazem wyjątkowy sposób, żeby kogoś poznać do głębi. Musieli tylko poczekać, aż przyjdzie odpowiednia pora — i właśnie przyszła.

Trzymając ją za rękę, podszedł do drzwi obiecując, że nazajutrz znów wpadnie. Teraz było inaczej. Nareszcie miał normalne życie. Jeśli chciał, mógł po południu wyjść z biura i udać się prosto do domu. Żadnych nocnych dyżurów i zwariowanych godzin pracy. Właśnie miał pocałować Fernandę na dobranoc, gdy z pokoju wyjrzała Ashley. Nie zdziwiła się widząc ich splecionych w uścisku. Obrzuciła ich domyślnym spojrzeniem, w którym jednak nie było dezaprobaty, raczej pobłażliwa sympatia. Ted poczuł radość. Oto za jednym zamachem zdobył kobietę, na którą czekał całe życie, i rodzinę, do której tęsknił, odkąd jego synowie dorośli. Pocałował ją jeszcze raz, ostami, i pobiegł do samochodu machając jej na pożegnanie.

Fernanda stała w drzwiach i odprowadzała go wzrokiem, gdy odjeżdżał. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś znajdzie miłość. Tymczasem miłość sama zapukała do jej drzwi i cały rok cierpliwie czekała na spełnienie.

Ted był w połowie mostu nad zatoką, kiedy postyszał brzęczyk komórki. Miał nadzieję, że to Fernanda, ale dzwonił Rick.

— I jak? — spytał bez tchu. — No mów, bo umieram z ciekawości!

— Nie twój interes — odparł Ted z uśmiechem. Uśmiech chyba już na stałe przyrósł mu do twarzy. Poczul się jak dzieciak, rozmawiając z kumplem o przebiegu randki.

Przy Fernandzie czuł się mężczyzną.

— Owszem, mój — sprzeciwił się Rick. — Chcę, żebyś był szczęśliwy.

— Jestem szczęśliwy.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Miałaś rację. Dziękuję.

— Jasny gwint! A niechże mnie! Bardzo się cieszę, stary. Czas już był najwyższy. —

W głosie Ricka słysząc było radość i ulgę.

— O, tak — przyznał Ted. — Już był na to czas. Potem się rozłączył i z uśmiechem pojechał dalej.

KONIEC.

